

ZESZYT CZTERDZIESTY TRZECI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1978

ZESZYT CZTERDZIESTY TRZECI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1978

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 287

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE

Kazimierz OKULICZ

O PIŁSUDCZYKACH, INSTYTUCIE im. PIŁSUDSKIEGO I „NIEPODLEGŁOŚCI”

W okresie kiedy Polską rządził Obóz Józefa Piłsudskiego, utworzenie Instytutu Historycznego, oraz wydawanie czasopisma, poświęconego przede wszystkim przywódcy tego Obozu i jego epoce nie było trudnym zadaniem. Były na to pieniądze, nie brakowało ludzi i piór chętnych do opracowania przeżytych czasów i dokonanych dzieł. Nie był to czas na obiektywną analizę i ocenę żyjącego wodza i jego polityki. Tym bardziej w ciągu pierwszych lat po śmierci, kiedy jego postać urosła w oczach mas polskich do wielkości symbolu idei prawdziwie niepodległego państwa, jakim Polska być przestała już w pierwszej ćwierci XVIII-go wieku.

Epoka Piłsudskiego nie zakończyła się wraz z jego śmiercią. Należą do niej również lata 1935-1939 aż do chwili rezygnacji prezydenta Mościckiego, Rządu i naczelnego wodza po opuszczeniu Kraju we wrześniu 1939. Faktycznie, wpływ na politykę rządów emigracyjnych niektórych współpracowników Piłsudskiego, jak gen. Sosnkowskiego i prezydenta Zaleskiego, mimo pierwotnej nagonki na cały Obóz Marszałka po klęsce, trwał dłużej, szczególnie w dziedzinie wojskowej i zagranicznej, i w pewnej mierze trwa dotychczas. Ale emigracja, jako taka, należy już do innej epoki.

Nikt dotąd nie napisał historii Obozu Józefa Piłsudskiego, i *Niepodległość* nie rości sobie do tego pretensji. Czasopismo to od początku wykonuje zadanie gromadzenia *materiałów* do historii tego okresu. Jeżeli pojawiały się w nim czasami próby oceny rządów Marszałka, nosiły charakter bardziej egzegezy jego myśli i czynów, niż samodzielnej krytyki. Było to zupełnie natu-

ralne, gdyż autorami byli ludzie, dla których autorytet Józefa Piłsudskiego był absolutny.

„Obozem Piłsudskiego” ogólnie zwano luźną formacją polityczną, która dopóki żył Marszałek stanowiła najbardziej dynamiczną siłę polityczną, w nowej Polsce. Po powrocie z więzienia niemieckiego w listopadzie 1918 roku i objęciu władzy z rąk Rady Regencyjnej, swoimi pierwszymi zarządzeniami zadokumentował Naczelnik Państwa wyraźnie, że wolność, niepodległość i demokratyczny ustrój polityczny i społeczny jest celem jego polityki. Ten program był dla wszystkich zrozumiały i pierwszy rząd nowej Polski przez niego powołany, Rząd Jędrzeja Moraczewskiego, wprowadził w życie podstawowe elementy tego demokratycznego programu, bijąc na głowę kilkakrotne próby komunistycznej dywersji.

Kryzys Obozu nastąpił z chwilą śmierci jego twórcy i wodza i musiał być głęboki, bo nikt z jego współpracowników nie dorastał mu do ramienia. Kryzys ten miał dramatyczny przebieg, trwał aż do wojny 1939 roku i klęski, która go zakończyła. Jest to okres najmniej znany, szczególnie pokoleniu urodzonych podczas wojny i po niej. Wart jest przypomnienia, by móc zrozumieć wysiłek najtwardszych ludzi Obozu Piłsudskiego do zgodnej kontynuacji przerwanej przez wojnę pracy.

Piłsudczycy bez wodza

Ludziom niezaślepionym, mającym oczy otwarte na ówczesną polską rzeczywistość stało się po śmierci Marszałka w maju 1935 jasne, że nie pozostał po nim żaden autorytet, który by mógł przejąć pozycję zajmowaną przez niego w hierarchii państwowej. Testamentu politycznego Zmarły nie zostawił, a ostatnią dyspozycją jeszcze na okres jego życia — jak sądził — było wyrażenie w rozmowach prywatnych ze Sławkiem i Prystorem życzenie, aby zaraz po wyborach do Sejmu i Senatu odbyły się wybory prezydenta i aby został nim Walery Sławek, który w chwili śmierci Marszałka był premierem. Oczekiwano jednak w kołach politycznych walki diadochów o polityczną schedę po zmarłym wodzu.

Hamowane przez niego ambicje zagrały na różnych polach politycznej szachownicy. Ale ambicjom osobistym w większości wypadków towarzyszyła niewątpliwie rzetelna troska o interes państwa, którego najwyższy walor zdołał Piłsudski zaszcześcić wszystkim swoim podwładnym i stronnikom. Wszyscy bowiem rozumieli, że nagle ubył mąż, skupiający w sobie wszystkie decyzje o zasadniczym znaczeniu. Nastąpił długi, całoroczny okres

skomplikowanych manewrów na czubku rządzącego obozu (którego szczegółowy przebieg nie wchodzi w zakres niniejszych uwag). Kryzys „na szczycie” — jakby dziś powiedziano — nieznanym szerokiemu ogółowi — zakończył się kompromisem pomiędzy prezydentem Mościckim a gen. Rydzem-Śmigłym (każdy z nich miał swoich doradców). Pierwszy miał pozostać prezydentem do końca kadencji, czyli do roku 1940, drugiego obdarzono buławą marszałkowską i — za pomocą okólnika premiera Składkowskiego — pozycją „pierwszej osoby po prezydencie”. Okólnik ten naraził na szwank powagę naczelnych władz państwa, naruszył przepisy nowej konstytucji, a kompromis prezydenta z inspektorem sił zbrojnych był sprzeczny z ustnie wyrażoną wolą Marszałka Piłsudskiego, by odbyły się po wprowadzeniu w życie nowej konstytucji wybory prezydenta, oraz aby został nim Walery Sławek. Wyraz woli Piłsudskiego został niejednako przyjęty przez trzech zainteresowanych: przez Sławka, jako nakaz absolutny, nie z powodu ambicji osobistej, lecz poczucia obowiązku spełnienia powierzonych mu misji; przez prezydenta i Rydza-Śmigłego jako nieobowiązujące życzenie, wypowiedziane nie na wypadek śmierci, nie jako testament.

Układ pomiędzy prezydentem a generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych poprzedziły wydarzenia rozszerzające dysonans w Obozie Piłsudskiego i mające akcenty dramatyczne. Wybory do Sejmu i Senatu odbyły się we wrześniu 1935 podług nowej, przez Sławka skomponowanej, apartyjnej ordynacji wyborczej — przy udziale mniejszości wyborców (46 %), wskutek bojkotu przez całą opozycję. Odtąd, pozbawiona przez samą siebie normalnego forum sejmowego, zaczęła opozycja przechodzić z wolna do tzw. akcji bezpośredniej, w formie strajków, manifestacji i zamieszek, pociągających za sobą — niezbyt surowe zresztą — represje.

Następnym faktem dramatycznym była odmowa prezydenta ustąpienia przed upływem kadencji i wyboru następcy, oraz, w konsekwencji, rezygnacja Sławka. Motywem odmowy było zwiększające się przekonanie prezydenta, że Sławek, słynący z całkowitego, niczym nie podważalnego oddania Józefowi Piłsudskiemu, po śmierci swego mistrza stracił busolę i z roli wykonawcy nie zdołał przejść do roli zwierzchnika. Nie obyło się to, oczywiście, bez przesadnego podkreślania przez kilka osób u prezydenta tych braków w skądinąd nieskazitelnej postaci ówczesnego premiera. Mogły też zapewne zrodzić się u prezydenta dodatkowe motywy, wpływające z jego własnej ambicji.

Kryzys „na szczycie”, po przejściowym rządzie Mariana Zyndram-Kościąłkowskiego, który trwał tak długo, ile czasu było potrzeba aby doszło do porozumienia prezydenta z Rydzem-Śmi-

głym, zakończył się pozostaniem pierwszego na dotychczasowym najwyższym urzędzie, a na promocji wojskowej i politycznej drugiego. Grupa najstarszych piłsudczyków zajęła wobec tego kompromisu postawę biernie negatywną i pozostała na uboczu wydarzeń, będących jego skutkiem.

Już za życia Piłsudskiego, część lewicowych piłsudczyków, oraz znaczna część konserwatystów, współpracujących z Obozem, odsunęła się ze zgrozą po aresztowaniu i brutalnym potraktowaniu grupy postów lewicowych i nacjonalistów ukraińskich, zakończonym głośnym procesem „brzeskim” w Warszawie. Obok tego dysonansu, założenie — pod wpływem reakcji na zabójstwo przez Ukrainca ministra Pierackiego — „obozu odosobnienia” w Berezie Kartuskiej zwiększyło krytyczne reakcje przeciwników tej polityki wewnątrz Obozu; nie wyszły one jednak na forum publiczne.

Odsunięty od polityki już za życia Marszałka, a po jego śmierci przez Sławka (jako „nieposiadający pełnego zaufania Komendanta”), jak również przez Rydza-Śmigłego (jako intelektualnie przerstający go rywal) gen. Kazimierz Sosnkowski, oceniając bardzo pesymistycznie sytuację międzynarodową i „niebezpiecznie anachroniczny” stan sił zbrojnych, spróbował wyjść na czoło polityki państwowej. Podjął na własną rękę starania o dużą pożyczkę państwową, oraz zgłosił Rydzowi-Śmigłemu swoją kandydaturę na szefa rządu. Pierwsza inicjatywa powiodła się Sosnkowskiemu częściowo (choć nie bez psikusów ze strony Becka); druga inicjatywa natrafiła na zapadłą już decyzję „trójki” (prezydent, Rydz-Śmigły i Beck) powołania na to stanowisko gen. Sławoja Składkowskiego, z zawodu lekarza, dowcipnego pisarza-gawędziarza, dotychczas ministra spraw wewnętrznych. Już w tej decyzji można było dopatrzeć się osobliwej selekcji ludzi na najważniejsze stanowiska państwowe. Gen. Sosnkowski, który przy dużym intelekcie i zmyśle organizacyjnym nie posiadał nigdy *fighting spirit*, zaniechał dalszych prób i usunął się z pola manewrów.

Prócz Sosnkowskiego, dwóch innych ludzi wyrastało w Obozie ponad przeciętny poziom; Józef Beck i Bogusław Miedziński, redaktor naczelny *Gazety Polskiej*, zarazem wszechobecny taktik polityczny Obozu. Konspiracyjna z nawyku maniera i nieco fanfaronskie obejście stawało obydwu prymusom Obozu na zawadzie w zdobyciu popularności w kraju. Odsunięty przez prezydenta i Rydza-Śmigłego Sławek nie podjął walki. Bez Piłsudskiego malał w swoim politycznym wymiarze i tracił posiadany dotąd autorytet. Jego koncepcja bezpartyjnej struktury społeczeństwa i ciał ustawodawczych, wypływająca ze szczerego idealizmu, na-

dawała się tylko dla ludzi świętych. Trzeci zdolny człowiek, tuż pod „szczytem” władzy, Eugeniusz Kwiatkowski, minister skarbu i gospodarki państwowej, był faworytem prezydenta, lecz przy ambitnych próbach wysunięcia się na czoło napotykał zawsze na opór kół wojskowych, nie doceniających wagi zagadnień ekonomicznych i finansowych dla rozwoju państwa.

Bez Piłsudskiego Obóz kruszył się i intelektualnie podupadał. Wyraznym tego objawem był manifest „Obozu Zjednoczenia Narodowego” (OZON’u), organizacji mającej być wyrazem polityki rządzącej grupy piłsudczyków, rozszerzonej na nowopozyskanych adeptów. Opracował manifest mianowany szefem OZON’u płk Adam Koc, senior Legionistów, który — jak twierdzi Miedziński w swoim pamiętniku (*Zeszyty Historyczne*, Nr 37) „trzykrotnie odegrał ogromną rolę w pracach organizacyjnych i w polityce piłsudczyków”. Projekt manifestu („odezwy”) napisał Koc, skrytykował i poprawił Miedziński i ostatecznie zepsuł marszałek Rydz-Śmigły. Dokument ten nie przyniósł tym razem chwały autorowi i nie przysporzył sukcesów OZON’owi. Powołana na jego podstawie organizacja pozostawiła po sobie wspomnienie raczej żenujące. Do tej nowej organizacji zostały wprowadzone elementy narodowo-radykalne, sekretarzem generalnym, nazwanym „szefem sztabu” został oficer sztabowy, wybitny specjalista od odcyfrowywania kodów, płk Jan Kowalewski. Szybko zresztą zmiarkował, że nie tu jest jego miejsce i wycofał się. Znaczna grupa starszych piłsudczyków pozostała na boku tego politycznego przedsięwzięcia, a gdy w czerwcu 1938 roku zmarł marszałek Sejmu Stanisław Car, głosami posłów OZON’u wybrany został jego następcą Sławek. Wywołało to niepokój na Zamku, w Rządzie i w Inspektoracie Generalnym. Po długich deliberacjach postanowiono skarcić posłów OZON’owych za wybór Sławka, przeciąć mu drogę do dalszych prób opozycji przeciwko OZON’owi i nowemu układowi rzeczy na „szczycie”. Sejm i Senat zostały bez żadnej widomej przyczyny rozwiązane i nowe wybory wyznaczone. Względem Sławka i grupy jego przyjaciół zastosowano różne szykany. Nikt z nich nie wszedł do nowych Izb Ustawodawczych, w których OZON miał bezwzględna acz niekoniecznie legalną większość. Miała ta większość zmienić nieudaną, apartytną, niedemokratyczną i bojkotowaną przez opozycję ordynację wyborczą. Nie zdołano już tego dokonać, Czteroosobowy „szczyt” władz naczelnych odrzucił usilne zabiegi opozycji o utworzenie, wobec zagrożenia wojennego ze strony Niemiec hitlerowskich, Rządu Narodowego.

Finałem łańcucha wydarzeń, rozpoczętych odmową ustąpienia

prezydenta po wyborach 1935 roku, następnie po rezygnacji Sławka z premierostwa i wysunięciu gen. Rydza-Śmigłego na semidyktatora, było samobójstwo Sławka o tej samej godzinie co cztery lata przedtem nastąpił zgon Marszałka Piłsudskiego. Co było przyczyną tego tragicznego czynu można się tylko domyślać. Najgłówniejszą zapewne było poczucie winy, że nie potrafił wykonać poleconego mu zadania. Drugim z kolei motywem mogła być świadomość staczania się Polski ku wojnie, i trzecim — przygnębienie z powodu prowadzonej przeciwko niemu przez Zamek i GISZ kampanii. Zdobył sobie Sławek tym czynem pierwszeństwo w wierności dla swego Komendanta.

Jak głębokie było w owej chwili rozdarcie wewnątrz Obozu Piłsudskiego, mógł się przekonać przypadkowo przechodzień Nowym Światem któregoś z następnych dni po samobójstwie Sławka. Od strony Alei Ujazdowskiej posuwał się szybkim krokiem w stronę Starego Miasta kondukt pogrzebowy. Za konnym katafalkiem szło w szyku niemal wojskowym, czwórkami, paręset osób. W pierwszej czwórce — czterech byłych premierów: Prystor, Jędrzejewicz, Świtalski i Kozłowski. W drugim rzędzie gen. Wieniawa-Długoszowski, jedyny wojskowy w mundurze. Nie było nikogo z ramienia rządu ani GISZ'u. Na nielicznych przypadkowych świadkach tego pochodu widok ten zrobił wstrząsające wrażenie.

Wojnę 1939 roku przyjął rządzący Obóz jak nieunikniony dopust Boży — będąc w stanie jakby prostracji psychicznej. Aparat administracyjny i wojsko już po paru dniach odczuło brak silnej, dominującej woli kierowniczej. Rozterki wewnętrzne ustały, ale quadrumvirat — Mościcki, Rydz-Śmigły, Beck i Składkowski — uchylając ofertę Rządu Narodowego, zaleconego przez Piłsudskiego w wypadku wielkiego zagrożenia — wzięli odpowiedzialność za losy państwa na siebie. Naród spotykał nowy najazd z determinacją, ale bez wodza. Mobilizacja odbyła się w zupełnym porządku, nie wyłączając obszarów o znacznej wielkości ludności niepolskiej, a klub ukraiński w Sejmie złożył wzorową deklarację pełnego udziału w odparciu najeźdźcy. Tragiczny marszałek wydawał spóźnione, niewykonalne rozkazy, nie wierząc w znowę niemiecko-sowiecką i biorąc na serio nieszczerze obietnice odciążającej ofensywy zachodnich sojuszników. Jeden z najzdolniejszych piłsudczyków, Józef Beck, uczeń zmarłego Wodza, osadzony przez niego przy sterze, kierował polityką zagraniczną, zapewne w przekonaniu, że tak samo postępowałby jego mistrz. Trudno stwierdzić czy miał świadomość fikcyjności pomocy wojskowej ze strony sojuszników, realności zagrożenia so-

wieckiego i słabości własnej bazy finansowo-gospodarczej, oraz — co najważniejsze — przestarzałego uzbrojenia. Jak wynika z IV-go tomu „Tek” Szembeka — świadomości tej nie miał, albo tych zagadnień nie doceniał. Nie mając charyzmatycznych cech swego mistrza, ani jego intuicji politycznej, natomiast sporo pozycji i ambicji, musiał jednak wiedzieć, że nie może powziąć żadnej decyzji sprzecznej z uczuciową postawą społeczeństwa i z poglądami naczelnego wodza, który uchodził za dobrego dowódcę wielkich jednostek wojskowych, ale do żadnego manewru politycznego zdolny nie był. Przyjmując wyzwanie, czuł się, być może, Beck podobnie jak Sławek wobec odmowy prezydenta Mościckiego ustąpienia z urzędu przed upływem kadencji.

W kampanii wrześniowej nie wysunął się nikt na czoło z legionowych generałów, z wyjątkiem Sosnkowskiego, a porzucenie przez naczelnego wodza walczącej armii legło ciężkim brzemieniem na legendę Legionów. Osierocony obóz Józefa Piłsudskiego, w osobach marszałka Rydza-Śmigłego, premiera Składkowskiego i ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, musiał wziąć na swoje barki odpowiedzialność za klęskę. Obciążony nią, znalazł się na obczyźnie. Trafili tam piłsudczycy pod inne, nasroszone dowództwo, lecz lojalnie walczyli, wyzbywszy się niekiedy rang i stanowisk. Internowanego przez sprzymierzeńców Becka spotkała śmierć w Rumunii. Gorzkie było pożegnanie Becka — przed zgonem — dwóch krajów, z którymi łączyły Polskę sojusze. „Nie chciałbym — powiedział do swego towarzysza internowania — aby chowali mnie księża francuscy lub rumuńscy”. Rydz-Śmigły, po bezpłodnej ucieczce z Rumunii do okupowanej Polski, zmarł w Warszawie. Sosnkowski przez Karpaty i Węgry dotarł do Anglii, odegrał dużą rolę w rządzie polskim i w wojsku, lecz po konflikcie z sojusznikiem angielskim, usunął się w cień. Po dziesięciu latach, podjął, na propozycję prezydenta Zaleskiego, próbę zjednoczenia rozłupanej emigracji. Doznawszy niepowodzenia, i nie próbując nawet usunąć napotkanych przeszkód, wycofał się z życia politycznego, napisał kilka prac o charakterze wspomnień z okresu 1935-1945 i po kilkunastu latach zmarł w Kanadzie.

Przyszło długo oczekiwane zakończenie działań wojennych. Dwaj anglosascy sojusznicy (w gruncie rzeczy, Amerykanie byli „przyjaciółmi”, lecz nie sojusznikiem) chcieli po swoim zwycięstwie tylko okroić Polskę na rzecz swego moskiewskiego sprzymierzeńca, lecz ze strachu oddali mu w końcu całą. Po śmierci naczelnego wodza, gen. Sikorskiego, a nawet nieco wcześniej, ustały mściwe zarządzenia i szykany względem wielu cywilnych

i wojskowych piłsudczyków. Poprzez 1-szy i 2-gi Korpus, z obozów jeńców, łagrów, więzień i zsyłek zgromadziła się liczna ich grupa w Wielkiej Brytanii, zwłaszcza w Londynie. Przez czas jakiś uznawali za swego przywódcę gen. Sosnkowskiego, lecz po jego wyjeździe do Kanady pozostali sami, znów bez uznanego wodza. Ogromna większość towarzyszy Piłsudskiego z lat akcji bojowej, strzeleckiej i legionowej zachowała w stosunku do zmarłego wodza wierność i pietyzm. A nie będzie przesadą, jeżeli do tego stosunku wielu z nich dodać uczucia uwielbienia i przywiązania. Symbolem tego stał się Sławek. Wojna zwarła ponownie rozłupane wewnętrznymi niesnaskami szeregi piłsudczyków.

W obliczu klęski urastała tym bardziej w ich oczach i uczuciach postać Komendanta, który nimi kierował, za nich myślał, wpadał czasami w pasję i beształ niemiłosiernie, ale cenił ich wierność i doprowadził do państwa i rządów. Jak wiadomo, władza dłużej sprawowana, paczy niektóre charaktery. Nie zdobyli piłsudczycy w Drugiej Wojnie Światowej nowych tytułów do sławy, a z wielu stron, zwłaszcza tych na czubku emigracji, odczuwali przez jakiś czas względem siebie niechęć. Mimo tego ostracyzmu, siedzieli mocno w organizacjach wojskowych i, jako liczna grupa, byli bardzo lojalni — po początkowych dąsach na naczelne dowództwo gen. Sikorskiego — względem jego następców, nie wyłączając gen. Władysława Andersa, przeciwnika z roku 1926, dowódcy, który zdobył w tej wojnie najwięcej laurów. Zwarli się i zorganizowali w Związku Legionistów, Koła Pułkowe, weszli do Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (SPK).

Owocem ich pracy na obczyźnie jest Instytut Najnowszej Historii Polski im. Józefa Piłsudskiego, dziesięć roczników *Niepodległości*, wspólnego dzieła obydwu Instytutów, londyńskiego i nowojorskiego, oraz znaczna ilość książek i broszur. Poczynając od następnego jedenastego tomu, redakcja *Niepodległości* została przeniesiona do Nowego Jorku, gdzie będzie prowadzona przez Instytut nowojorski przy ściślejszej nadal współpracy z Instytutem londyńskim.

I n s t y t u t

Instytut Józefa Piłsudskiego, poświęcony badaniu najnowszej historii Polski, został wznowiony na obczyźnie w Londynie w niespełna dwa lata po zawieszeniu broni w drugiej wojnie światowej, kiedy już najbliższa przyszłość Polski nie budziła wątpliwości.

Inicjatorami byli najbliżsi współpracownicy Józefa Piłsudskiego i najstarsi jego podkomendni. Motywy ich były uczuciowe i historyczne. Chodziło im o ustalenie faktów i wydarzeń, które od ostatniego powstania 1863 roku wśród zmiennych losów pokoju, wojny i rewolucji, doprowadziły do restytucji Państwa Polskiego przy przemożnej w tym roli Józefa Piłsudskiego, jako przywódcy politycznego i dowódcy wojskowego.

Tworzyła Instytut londyński wielka gromada ludzi bezwzględnie swemu Komendantowi wiernych i oddanych. Autorytet Marszałka pozostał nienaruszony poniesioną *bez niego* klęską. Nie było w tym gronie ludzi skorych do poddania jego dzieł naukowej analizie i krytyce. Spojrzenie na Józefa Piłsudskiego w wydawnictwach i wypowiedziach Instytutu było jak gdyby od wewnątrz pewnego zakonu, którego był on mistrzem i którego pisma i czyny mają być poddane dokładnej egzegezie i zachowane dla potomności.

Pierwsi wystąpili z inicjatywą wznowienia Instytutu generałowie Władysław Bortnowski i Józef Wiatr. Jeszcze w czasie istnienia w Wielkiej Brytanii PKPR (Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia) odbyło się w Londynie, w dniu Imienin Marszałka 19 marca 1947 zebranie pod przewodnictwem Tytusa Filipowicza, b. ambasadora, towarzysza Piłsudskiego w podróży do Tokio w 1904 roku, które powzięło uchwałę wznowienia Instytutu w Londynie. Początek uchwały określał cel i charakter wznawianej na obczyźnie instytucji:

„Jako byli podkomendni Józefa Piłsudskiego, czy to z okresu walki o niepodległość przed rokiem 1920, czy też z doby Jego pracy państwowej w Niepodległej Ojczyźnie, uważamy za swój obowiązek utworzyć tu, w Wielkiej Brytanii, placówkę naukowo-historyczną, która ma mieć za zadanie zebranie wszystkiego co dotyczy osoby Józefa Piłsudskiego, nurtu historycznego, który Go zrodził, i testamentu, który po nim pozostał”.

Na tymże zebraniu wybrano Radę Instytutu w składzie 30 osób, Rada z kolei wybrała Zarząd, którego prezes jest zarazem prezesem Instytutu. Do pierwszego Zarządu weszli: gen. Bortnowski — prezes, gen. Głuchowski — wiceprezes, płk Münnich — sekretarz, płk Jakubowski — skarbnik, oraz płk Iranek-Osmecki, mjr Konrad Libicki, b. wojewoda Hauke-Nowak, Jerzy Nowak i min. Jan Starzewski — członkowie.

Po roku prac przygotowawczych i organizacyjnych, mimo braku własnego lokalu, Zarząd utworzył Wydział Studiów, któ-

rego zadaniem jest planowanie działalności Instytutu, oraz przygotowywanie wydawnictw i rocznika pt. *Niepodległość*. Pierwszy rocznik po wznowieniu wyszedł w tymże roku 1948 pod redakcją Konrada Libickiego i Jana Starzewskiego. Zawierał prace 15 autorów i 5 listów Piłsudskiego do żony z lat 1908-1916. W lipcu tegoż roku zainaugurowane zostały przez Sekcję Historyczną zebrania dyskusyjne i 20 lipca odbyła się pierwsza dyskusja na temat „Doświadczenia metodologiczne Wojskowego Biura Historycznego i Instytutu Józefa Piłsudskiego w Warszawie przed rokiem 1939” (zagajał płk J. Moszczeński). Opracowano program odczytów publicznych, założono bibliotekę, zbiory pamiątek i archiwum. Nabyty został dom w dzielnicy Putney — i tam odbyło się 20 marca 1949 pierwsze Walne Zebranie członków Instytutu.

Wskutek nie ustalenia schematu sprawozdań i komunikatów od początku, dopiero komunikat Nr 58 z marca 1959 podaje po raz pierwszy ilość członków Instytutu — 210 osób. Biblioteka, licząca obecnie około 3.100 tomów, wielki zbiór fotografii (inwentarz bliski ukończenia) i archiwum są dotąd w toku inwentaryzowania i katalogowania w niewystarczającym pod względem pojemności lokalu. Całą tę pracę wykonywują osoby ofiarujące bezpłatnie pewne ilości godzin tygodniowo. Środków na zaangażowanie płatnych urzędników Instytut nie posiada.

Nieliczna w pierwszych latach ilość członków Instytutu, mimo niechętnego wówczas stosunku znacznej części społeczeństwa do tzw. sanacji, identyfikowanej błędnie z Obozem Piłsudskiego i obciążanej głównie wojskową klęską we wrześniu 1939, wciąż rosła i w końcu lat sześćdziesiątych przekroczyła liczbę 300. Ale już wówczas zaczął się odczuwać przyspieszony trudami życia *exodus* pokolenia legionowego i międzywojennego. Tworzyło to w szeregach członków Instytutu duże luki, zwłaszcza wśród starszyny wojskowej. Ilość członków w styczniu 1976 spada do 281, w tym 27 członków zbiorowych, podczas kiedy dwa lata wcześniej odpowiednie liczby były 337 i 26. Wybitniejsi członkowie Instytutu ubywali, nowi tegoż kalibru nie przybywali. Pokolenie sformowane po wojnie, na obczyźnie, nie ciąży ku Obozowi Piłsudskiego, nie miało bowiem uczuciowego stosunku do Marszałka i jego bojowego pokolenia.

Prozelityzm kierowników Instytutu w stosunku do osoby Józefa Piłsudskiego, jego czynów i wypowiedzi nie zachęcał powojennego pokolenia, wychowanego w klimacie szkolnictwa angielskiego, do zaciągania się pod sztandar Instytutu. Nie dawał on im nowego obrazu współczesnego świata, nowej jego koncepcji,

obejmującej zagadnienia wysuwające się na czoło życia zbiorowego Polski — polityczne, socjalne ekonomiczne, technologiczne itp. Pokolenie to nie zaznało triumfu zwycięstwa i uczuć szczęścia z odzyskania niepodległości. Przeciwnie, przeżyło w wojnie 1939-1945 lat zawód i gorycz bezowocnych wysiłków i ofiar, triumf bezprawia i gwałtu. Zgasiły te przeżycia i pokryły popiołem dodatnie oceny i wspomnienia niedawno minionej przeszłości.

W tym okresie ofensywy na Obóz Piłsudskiego ze strony tradycyjnych jego wrogów nie mogli współpracownicy i żołnierze Piłsudskiego zniżyć skali swojej wiary i przywiązania do swego wodza, musieli trzymać jego sztandar wysoko, i odparowywać ataki i kalumnie. Zwolna, fala złych, gorzkich reakcji na klęskę i utratę niepodległości zaczęła na emigracji słabnąć. Reżym komunistyczny w Kraju zrobił wszystko co mógł, aby wzbudzić do siebie niechęć i pogardę, a do dwudziestolecia zainteresowanie i nawet tęsknotę. I oto powstał pozorny paradoks. Pod niedo-
łącznie totalitarnym i fałszywie komunistycznym ustrojem zainteresowanie Piłsudskim wśród nowego pokolenia zaczęło się szerzyć. Odwrotnie, na obczyźnie to samo pokolenie, wyrastające w środowisku i szkole obcej, w klimacie bodźców i celów materialistycznych, mające przed sobą nieznanne dla młodzieży w Kraju możliwości — cały świat otwarty — tylko w małym odsetku zdołało zachować czynny, żywy stosunek do niedawnej przeszłości, teraźniejszości i najbliższej przyszłości swej ojczyzny, opuszczonej nie z własnej woli i wyboru.

Polacy w diasporze, którzy stali się obywatelami krajów osiedlenia, lecz zachowali więź duchową z ojczyzną, interesują się jeszcze jej losem, jej przeszłością, przeżytą wolnością, związaną z imieniem Józefa Piłsudskiego. Ale i oni, po ostygnięciu uczuć i przeżyć, mogą oceniać jej niedawną przeszłość tylko z *perspektywy historycznej*.

Instytut przeżywa obecnie kryzys, nieunikniony dla każdej emigracji, której nie dane było w tym samym pokoleniu wrócić do wolnego Kraju. Wśród następnego pokolenia, powojennego, niewiele jest tych, którzy mimo obywatelstwa brytyjskiego poczuwają się do obowiązku przejęcia na siebie zastępstwa w świecie zagłuszanego w Kraju lub wykoślawionego wolnego głosu polskiego. Emigracja polska jest tak liczna i stosunkowo zamożna, że założone przez nią instytucje mają duże szanse przetrwania okresu semikolonialnego Polski, jeżeli dostosują się organizacyjnie i celowo do nowych warunków i przewyciężą sejmikowe ambicje. Organizacyjnie powinna nastąpić *komasacja*, merytorycznie — *liberalizacja*.

Konieczność komasacji jest tak jasna, że nie potrzeba jej udowadniać. Instytucje mające identyczne lub równoległe cele powinny się organizacyjnie łączyć lub koordynować swoją działalność, lecz nie konkurować. Nie można tylko łączyć podległości, choćby przymusowej i bogatej, z niezawisłością choćby niezasobną. Liberalizację trzeba rozumieć w tym znaczeniu, że instytuty historyczne nie powinny być kapliczkami, poświęconymi pewnym zasłużonym mężom lub niewiastom, czy organizacjom, lecz pewnym epokom historycznym, tam bowiem ze ścierania się różnych uczciwych i poważnych poglądów mogą sformować się oceny najbliższe prawdy historycznej. Instytuty Historyczne powinny mieć swe podwoje otwarte szeroko dla wszystkich badaczy dobrej woli, nie opętanych jakąś obsesją, a przede wszystkim dla naukowców i świadków historii, wiernych metodom naukowym w swojej pracy.

Autorytet w świecie naukowym a tym samym w świecie politycznym zdobywają przede wszystkim instytucje stosujące maksimum obiektywizmu w ustalaniu prawdy historycznej. Wychodzą one ze słusznego założenia, że ludzie są z natury swojej ułomni i wielkość ich nie polega na posiadaniu wszystkich cnót i przymiotów ludzkich, na absolutnej bezbłędności, która nie istnieje, lecz na wymiarze ich zdolności twórczych, na sile ich charakteru i woli. Historia nie zna człowieka, który by był nieomylny lub bezgrzeszny, a wielkie potęgi państwowe w pewnych epokach były budowane raczej ogniem i mieczem, niż retoryką i cnotą.

Wydawanie sądów czy istniejące w Londynie trzy Instytuty Historyczne wykonują swoje zadania w sposób wzbudzający autorytet i zaufanie do ich publikacji i wypowiedzi w międzynarodowych sferach naukowych nie wchodzi w krąg zamierzeń i kompetencji autora niniejszych uwag. Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie niewątpliwie czyni wszystko co może, aby zgromadzić, uporządkować i udostępnić badaczom materiały i źródła historyczne odnoszące się do okresu nowoczesnego, czyli lat powstaniowych, (mało uwzględnionych w pracach Instytutu, z wyjątkiem ruchów rewolucyjnych), oraz epoki Piłsudskiego, czyli lat 1891-1939 (lata późniejsze są jeszcze współczesnością). Publikacje i wypowiedzi Instytutu nie mogą być zupełnie pozbawione tego stosunku do Piłsudskiego, który cechował założyciela Instytutu, lecz to „zaangażowanie” nie powinno być posunięte tak daleko, ażeby graniczyło z hagiografią, z usuwaniem na bok lub przemilczaniem wszystkiego co dla niej jest niedo-
godne. Im bardziej ściśle rocznik Instytutu *Niepodległość* przestrzegać będzie tych zasad, zachowując dotychczasowy program,

o tyle większy zdobędzie sobie autorytet w międzynarodowych kołach naukowych i politycznych, oraz szerszą poczytność — co powinno być stałą jego troską. Obecny obraz Józefa Piłsudskiego w historiografii angielskiej, amerykańskiej (z wyjątkiem autorów polskiego pochodzenia), francuskiej i nawet niemieckiej (gdzie jest najwięcej starań o obiektywizm) jest, z małymi wyjątkami niezadawalający.

Redaktorem *Niepodległości* na emigracji był przez długie lata płk Tadeusz Schätzel, jedna z najszlachetniejszych postaci pośród piłsudczyków, człowiek integralnie bezinteresowny, pędzący żywot eremity, niezdolny do krytycyzmu w stosunku do swego Komendanta (żywił do niego ten sam kult co Sławek), lecz apodyktyczny i trudny we współpracy. Schätzel wywarł przemożny wpływ na dobór tematów i treści kilku zeszytów *Niepodległości*. Gdy zachorował ciężko, nie chciał oddać redakcji w inne ręce, łudząc się nadzieją powrotu do swej pracy. Zeszyt IX-ty *Niepodległości* redagował zastępczo płk Edmund Charaszkiwicz, a po jego nagłej śmierci objął te funkcje historyk, płk dr Stanisław Biegański. Organ Instytutu, po długim okresie eksperymentowania, dostał się w kompetentne ręce.

Kazimierz OKULICZ

Od Redakcji. 2-ga część powyższego artykułu, zawierająca przegląd treści trzech ostatnich roczników *Niepodległości* IX, X i XI (ten ostatni jest w druku), ukaże się w następnym numerze *Zeszytów Historycznych*.

Stanisław WÓJCIK

NA 30-LECIE WYBORÓW W POLSCE

19 stycznia 1977 roku upłynęło 30 lat od daty przeprowadzonych w Polsce pierwszych po drugiej wojnie światowej wyborów do Sejmu. Nie były to normalne wybory, jakie zna wyborca w każdym państwie zorganizowanym na zasadach demokratycznych. Wybory w Polsce w styczniu 1947 roku odbywały się w niezwykle trudnych warunkach, niespotykanych w krajach praworządnych, w których prawo zapewnia wyborcom zgłaszanie swych kandydatów do parlamentu, gwarantuje prowadzenie kampanii na rzecz zgłoszonych kandydatów i daje możliwość złożenia głosu na kandydata cieszącego się zaufaniem wyborcy.

Styczniowe wybory 1947 roku są klasycznym przykładem zaprzeczenia naprzymitywniejszych zasad demokracji i praworządności, są dowodem gwałtu i przemocy dokonanych na narodzie polskim przez sowiecki system.

Sprawa Polski w świetle uchwał w Teheranie i w Jaltie

Los Polski, która pierwsza podjęła walkę z agresją hitlerowską i do końca wojny krwawiła się niemal na wszystkich frontach, dotrzymując wierności państwom demokracji zachodniej, został przesądzony już na konferencji w Teheranie (28. XI - 1. XII. 1942) przedstawiciele trzech mocarstw: Roosevelta, Churchilla i Stalina. Tam dokonano podziału wpływów, według którego Roosevelt i Churchill wyrazili zgodę na oddanie pod dominację sowiecką państw Środkowo-wschodniej Europy, a w tym oczywiście i Polski, a jednocześnie zaakceptowali żądanie Stalina na przesunięcie granicy polsko-sowieckiej do linii Curzona, a więc po Bug. Władze sowieckie, mając tego rodzaju zapew-

nienie ze strony mocarstw zachodnich, wszczęły intensywne przygotowania do narzucenia już tak poważnie okrojonej Polsce ustroju sowieckiego.

W nocy z 31 grudnia 1943 na 1 stycznia 1944 została powołana Krajowa Rada Narodowa (KRN) na czele z emisariuszem sowieckim w osobie Bolesława Bieruta, jako przyszła zwierzchnia władza Polski. Po przekroczeniu przez armię sowiecką Bugu powstaje w dniu 20 lipca 1944 roku w Moskwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), jako organ wykonawczy KRN'u, nieco później przekształcony w Tymczasowy Rząd Polski. Mówiąc o przygotowaniach do opanowania Polski przez Związek Sowiecki, nie można pominąć powołanego w 1943 roku do życia w Związku Sowieckim z inicjatywy komunistów Związku Patriotów Polskich (ZPP) i tworzonej z polskich jeńców wojennych Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, obsadzonej w większości przez sowieckich oficerów. Wszystkie te plany rodowód swój wywodzą z Moskwy. Zostały one narzucone narodowi polskiemu po wkroczeniu wojsk sowieckich na ziemie polskie przy stosowaniu najróżnorodniejszych metod nacisku i gwałtu, wywożenia opornych do Rosji, przetrzymywania w więzieniach, a nawet likwidacji jawnej i skrytej. Ujawniające się władze polskiego podziemia, zarówno cywilne jak i wojskowe, były w zasadzie wywożone do Rosji.

W tych tragicznych chwilach dochodzi do skutku druga konferencja przedstawicieli trzech mocarstw w Jałcie w lutym 1945. Uczestnicy tej konferencji we wstępie swych decyzji odnośnie Polski stwierdzają, że pragną widzieć Polskę silną, wolną, niezależną i demokratyczną. Tak niewątpliwie myśleli Roosevelt i Churchill, gdy tymczasem trzeci kontrahent już zaciskał pętlę na organizmie narodu polskiego. Po tej wstępnej deklaracji konferencja w Jałcie postanawia utworzenie nowego Polskiego Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej. Ten nowy rząd, zgodnie z uchwałą w Jałcie, ma być utworzony przez wprowadzenie do już narzuconego przez Związek Sowiecki Tymczasowego Rządu działaczy demokratycznych z Polski i z zagranicy. Na rząd ten został nałożony obowiązek przeprowadzenia jak najrychlej niczym nieskrępowanych wyborów na zasadzie powszechnego prawa wyborczego przy tajnym głosowaniu. Zapewniano również udział w tych wyborach wszystkim partiom antyfaszystowskim i demokratycznym. Nadto powołana została komisja w osobach Harri-man, Kerr i Mołotow dla przeprowadzenia konsultacji z dotychczasowym Rządem Tymczasowym oraz z demokratycznymi przywódcami z Polski i z zagranicy celem reorganizacji rządu zgodnie z ustalonymi zasadami.

Tak sformułowane uchwały Trzech w Jałcie potwierdzają nie tylko podjęte uprzednio w Teheranie krzywdzące Polskę decyzje, ale również i fakty narzucenia przez władze sowieckie narodowi polskiemu obcej mu struktury sieci administracji państwowej na czele z KRN i Tymczasowym Rządem. Nowy rząd, którego zadaniem jest przeprowadzenie wyborów ma powstać na bazie dotychczasowego Tymczasowego Rządu przez wprowadzenie doń przedstawicieli demokratycznych z Polski i z zagranicy. Przemilczany został w tych uchwałach nie tylko Rząd Polski w Londynie, co miałoby jeszcze pewne uzasadnienie, ale przemilczano również władze podziemnego państwa w Kraju w postaci Rady Jedności Narodowej (RJN) i Krajowej Rady Ministrów (KRN), które nie podzielały stanowiska premiera Arciszewskiego i jego rządu w Londynie. Takie przemilczenie nie odstraszało, ale raczej zachęcało władze sowieckie do wzmożenia uprawianych dotąd metod terroru. Nic też dziwnego, że już w następnym miesiącu po konferencji w Jałcie następuje w podstępny sposób porwanie przez NKWD czołówki RJN, KRN i przedstawicieli stronnictw, by ich uwięzić w Moskwie, a następnie w pozbawionym wszelkich podstaw prawnych procesie wydać skazujący wyrok.

Tak sformułowana uchwała jałtańska była raczej czymś w rodzaju wysoce nieudolnej próby osłodzenia goryczy Teheranu.

Jałta w oczach Kraju

Uchwała jałtańska nie dawała rozwiązania dręczących naród problemów, ale w tej beznadziejnej sytuacji terroru i wyniszczania, jaki zaistniał po wkroczeniu armii sowieckiej na ziemie polskie, stwarzała iskrę nadziei jakiegoś znośniejszego ułożenia stosunków. Żadnego innego rozwiązania nie było. Polityka protestu, jaką stosował Raczkiewicz i rząd Arciszewskiego w Londynie, była aktem samobójczym, prowadziła do wyniszczenia narodu. Dlatego też przedstawiciele stronnictw, tworzących w okresie okupacji niemieckiej państwo podziemne, a także i niektórzy przywódcy znajdujący się poza Krajem, postanowili prowadzić dalszą działalność w oparciu o uchwałę jałtańską. W tym duchu wypowiedziała się również Krajowa Rada Ministrów i Rada Jedności Narodowej.

Stronnictwo Ludowe, idąc konsekwentnie po tej linii, już na swej konferencji krajowej w połowie marca 1945 postanowiło m.in. zawiesić dotychczasową działalność konspiracyjną i przygotować sieć organizacyjną do wszczęcia jawnej działalności politycznej z chwilą utworzenia nowego rządu przewidzianego uchwałą

jałtańską. Zdawaliśmy sobie sprawę już wtedy na podstawie dotychczasowych doświadczeń, że walka o zachowanie niezależnego działania będzie bardzo ciężka, wobec czego już przy starcie trzeba będzie wszystkie siły rzucić na szalę wywalczenia sobie tej niezależności. Wszak komuniści nie po to przywłaszczyli sobie wszystkie firmy przedwojennych, demokratycznych stronnictw, aby je oddać ich prawnym właścicielom, ale aby tym ostatnim uniemożliwić samodzielne działanie.

Stalin nie zmierzał wcale do wprowadzenia w życie uchwały jałtańskiej, wręcz przeciwnie — przeciwdziałał. Dowodem tego jest choćby fakt porwania czołówki polskiego podziemia i wyznaczenia rozprawy sądowej w Moskwie na dzień zapowiedzianej konferencji dla powołania nowego rządu polskiego. W tym duchu również działał cały aparat reżymu komunistycznego na ziemiach polskich. Ostatecznie jednak pod auspicjami Komisji Trzech (Harriman, Kerr i Mołotow) w czerwcu 1945 w wykonaniu uchwały jałtańskiej doszło w Moskwie do ustalenia nowego rządu.

Nowe nadzieje

Dzień 27 czerwca 1945, dzień przyjazdu Mikołajczyka do Warszawy bezpośrednio po zakończeniu rozmów w Moskwie, był dniem rozbudzenia się w masach narodu nowych nadziei. Niemal wszyscy mieszkańcy wynurzyli się z ruin Warszawy i pociągnęli do trasy wiodącej z lotniska na powitanie tego, który wracał do Kraju, by razem z całym narodem podjąć walkę o niepodległy byt Polski, o należne prawa narodowi. Okrzyki „niech żyje Mikołajczyk” wzdłuż całej trasy zamieniały się w jeden wielki huragan. Kobiety zalewały się łzami, a nierzadko można było widzieć mężczyznę usuwającego łzę z twarzy. Rozpoczął się nowy okres walki o niezależne działanie demokratycznych stronnictw oraz o doprowadzenie do wyborów, które wykazałyby właściwą wolę narodu.

Walka o niezależne partie

Z ramienia Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) podjął akcję jeden z najstarszych przywódców tej partii, uczestnik konferencji moskiewskiej w czerwcu 1945, Zygmunt Żuławski. Cieszył się on, jak również jego najbliższy współpracownik, Antoni Zdąnowski, dużym zaufaniem klasy robotniczej, ale zadanie ich utrud-

niało, a raczej wprost uniemożliwiało rozbitcie i rozproszenie czołówki PPS. Stary działacz PPS, Tomasz Arciszewski, po ustąpieniu Mikołajczyka stanął na czele nowego rządu polskiego w Londynie, który odrzucał umowę jałtańską. Jan Stańczyk, były minister w rządzie Mikołajczyka, wprowadził razem z Mikołajczykiem wziął udział w czerwcowej konferencji w Moskwie i przyjął stanowisko ministra w nowym rządzie jedności narodowej, ale z chwilą znalezienia się w Warszawie zdradził Żuławskiego i włączył się do lubelskiej PPS Osóbki-Morawskiego. Już w Moskwie zdradzał skłonności w tym kierunku. To samo uczynili i inni powracający z Londynu, a także Rusinek i Cyrankiewicz po wyjściu z obozu niemieckiego. Ten ostatni nawet objął stanowisko sekretarza generalnego lubelskiej PPS. Kazimierz Pużak, przedwojenny sekretarz generalny PPS, współorganizator polskiego państwa podziemnego i przewodniczący RJN znalazł się w liczbie czołówki porwanej przez NKWD i uwięzionej w Moskwie. Jego najbliższy współpracownik w czasie wojny, Zygmunt Zarembo, poszukiwany przez UB i NKWD, stale atakowany przez lubelską PPS i przez komunistów, po wydaniu w 1945 roku kilku tajnych biuletynów, informujących członków PPS o wytworzonej sytuacji w Kraju i w partii, opuścił Polskę, przedostając się do Francji. Reszty dokonały administracyjne zakazy oraz terror stosowany przez UB.

Żuławskiemu uniemożliwiono uaktywnienie niezależnej PPS, nie zrezygnował on jednak z walki przeciw komunistycznemu ujarzmianiu narodu. W okresie kampanii wyborczej razem ze swym przyjacielem, Antonim Zdanowskim, tworzył listę chłopsko-robotniczą kandydatów do Sejmu pod egidą PSL. Antoni Zdanowski przypłacił to życiem. Był w pełni sił i zdrowia, gdy w czasie kampanii został aresztowany przez UB. W wyniku zastosowanych tortur w więzieniu UB wydało go rodzinie już nieprzytomnego. W malignie powtarzał tylko różne słowa zaprzeczeń, świadczące o metodach badań i zadawanych torturach. Zmarł w parę dni po zwolnieniu z więzienia. Żuławski wybrany posłem zabrał głos w Sejmie 8 lutego 1947 w dyskusji nad *exposé* premiera Cyrankiewicza jako niezależny socjalista, obrońca dobrego imienia polskiego socjalizmu. Poddał on miążdżącej ocenie metody bloku komunistycznego, przyrównując je do metod hitlerowsko-nazistowskich. Podniósł zasługi w prowadzonej walce chłopów, Polskiego Stronnictwa Ludowego i jego prezesa, Stanisława Mikołajczyka. Było to ostatnie publiczne wystąpienie Żuławskiego. Złożony ciężką chorobą zmarł w 1949 roku.

Wszczął również działalność prezes Stronnictwa Pracy, Karol Popiel, bezpośrednio po przybyciu z Londynu do Warszawy w

pierwszych dniach lipca 1945 roku. Stronnictwo Pracy miało pewne szanse wywalczenia sobie niezależności. Wyszło ono z konspiracji wydatnie wzmocnione w porównaniu z okresem przedwojennym. Cieszyło się poparciem duchowieństwa, a przecież komuniści w tym pierwszym okresie do czasu utrwalenia swej władzy nie chcieli wszczynać otwartej walki z Kościołem Katolickim. Nie zwalniało to oczywiście Stronnictwa Pracy od podjęcia zdecydowanej walki o swą niezależność i gotowości do ponoszenia ofiar w dążeniu do tego celu. Tymczasem władze SP już przy starcie zastraszone pogroźkami Bieruta poszły na kompromis, w wyniku którego wprowadzone legalnie do SP wtyczki komunistyczne wypchnęły za burtę właściwych przywódców SP. Prezesowi Popielowi pozostały tylko protesty i osobiste zabiegi w gabinetach dygnitarzy komunistycznych, które okazały się najzupełniej bezowocne.

Zgodnie z instrukcją z marca 1945 podjęło również samodzielną akcję i Stronnictwo Ludowe. Wszędzie gdzie przed wojną było koło SL, a w czasie okupacji niemieckiej działało tajne ogniwo ruchu ludowego „Roch” stanęły do pracy nowe koła stronnictwa. Cały aparat będący w dyspozycji reżymu komunistycznego otrzymał wyraźne instrukcje aby nie dopuścić do powstania odrębnego stronnictwa na czele z prezesem Witosem i Mikołajczykiem. Już w trzecim dniu pobytu w Polsce Mikołajczyk odczuł to na własnej osobie. Następnego dnia po przyjeździe do Warszawy Mikołajczyk wyjechał do Wierzchosławic celem złożenia prezesowi Witosowi wizyty i sprawozdania z minionego okresu, a szczególnie z ostatnich rozmów w Moskwie. W drodze powrotnej z Wierzchosławic zatrzymał się w Krakowie, by wziąć udział w zebraniu działaczy tamtejszego okręgu. Gdy wieczorem po zebraniu wyszedł na ulicę, by udać się do hotelu, w którym zatrzymał się na noc, funkcjonariusze UB i milicji, a także i żołnierze sowieccy rozstawieni po obu stronach ulicy urządzili mu strzelaninę wzdłuż całej trasy aż do hotelu. Był to pierwszy sygnał ostrzegawczy — nie próbuj niczego nowego, bo zginiesz.

Na dzień 11 lipca wieczorem wyznaczone było pierwsze posiedzenie w Krakowie przedwojennych członków NKW stronnictwa oraz Kierownictwa Centralnego „Rocha” dla ukonstytuowania się w nowym składzie, wyboru prezydium i ustalenia planu działania. Ponieważ prezes Witos nie przybył, gdyż powstał w drodze jakiś defekt samochodu, więc obradom przewodniczył wiceprezes Mikołajczyk. Stanowisko prezesa W. Witosy wybranego na ostatnim Kongresie SL przed wojną nie podlegało żadnej dyskusji, natomiast do prezydium NKW zostali jednomyślnie wybrani: na 1-go wiceprezesa Stanisław Mikołajczyk z powierze-

niem mu jednocześnie obowiązków prezesa na okres choroby prezesa Witosy, na 2-go wiceprezesa Józef Niećko, na 3-go wiceprezesa Dr Władysław Kiernik, na sekretarza naczelnego Stanisław Wójcik, na drugiego sekretarza — Jan Witaszek i na skarbnika — Wincenty Bryja. Ustalono funkcję drugiego sekretarza, aby w wypadku aresztowania pierwszego mógł kontynuować pracę. W ogóle przyjęto zasadę, że każdy działacz stronnictwa sprawujący jakąś określoną funkcję winien mieć ustalonego następcę, który w każdej chwili mógłby wejść w jego rolę. Przyjęcie tej zasady w dużym stopniu zapobiegło skutkom licznych aresztowań. Z dotychczasowego postępowania „władzy ludowej” widoczne było, że firmy swej „SL” nie odzyskamy, przeto już na tym pierwszym zebraniu NKW ustalono przyjąć nową nazwę „Polskie Stronnictwo Ludowe” (PSL). Komunikaty odpowiednie jeszcze w lipcu były przygotowane, ale podano o tym do publicznej wiadomości w sierpniu po należyтым usprawnieniu całej sieci organizacyjnej.

Już pod koniec obrad NKW docierały jakieś okrzyki z ulicy. Gdy Mikołajczyk po zamknięciu obrad wyszedł na ulicę, rozpoczęła się strzelanina, i po chwili wtargnęli do lokalu obrad uzbrojeni funkcjonariusze UB i milicji, wykrzykując — co to za konspiracja? kto wam udzielił zezwolenia na zebranie? Trochę się spieszyli, gdy Dr Kiernik krzyknął — Jestem ministrem Rządu Jedności Narodowej i pytam was, kto wam pozwolił wdierać się do naszego prywatnego mieszkania? Tym nie mniej rozpoczęli legitymowanie obecnych. Zaglądając do wszystkich kątów, z uporem powtarzali, że przecież działa już od dłuższego czasu Stronnictwo Ludowe i tam dla każdego ludowca jest miejsce, że władze państwowe nie dopuszczą do rozbijackiej roboty. Dr Kiernik zmusił do wylegitymowania się kierownika tej grupy. Był to drugi bardzo wymowny znak ostrzegawczy, aby nie próbować samodzielnej drogi działania.

Jednym z wielu następnych ostrzeżeń był atak na zwołaną przeze mnie wkrótce po 11 lipca 1945 konferencję w Lublinie delegatów poszczególnych powiatów województwa lubelskiego. Władze administracyjne, a przede wszystkim UB i MO, robiły wszystko, aby uniemożliwić delegatom dostanie się do Lublina. Mimo to przeszło 50 delegatów, w tym kilka kobiet przedostało się do miejsca zebrania. W czasie wygłaszania przeze mnie referatu nagle wszczęty został hałas i strzelanina na ulicy. Budynek został otoczony, ale jedno wyjście nie było strzeżone, jak to ustaliła straż zebrania. Zrobiono to świadomie dla zachęcenia uczestników zebrania do ucieczki, by w ten sposób rozbić obrady. Metodla zastraszenia nie podziałała. Nikt nie uciekał. Ostatecznie

liczna grupa UB i milicji wtargnęła na salę. Wezwałem przybyłych „gości”, aby zajęli boczne ławy i nie utrudniali nam obrad. Po tym wezwaniu dalej kontynuowałem swe przemówienie. Zapewne w oczekiwaniu na dalsze rozkazy zastosowali się do mego wezwania. Po krótkim czasie wszedł ktoś, starszy rangą i oznajmił, że muszą dokonać pewnych formalności i dlatego obrady należy przerwać. Podzielili zebranych na kilka grup i rozpoczęli spisywać personalia, dokonując jednocześnie rewizji osobistej. Po dokonaniu tych czynności wyprowadzono nas wszystkich owym nie strzeżonym wyjściem na podwórze i po załadowaniu do krytych ciężarówek zawieziono do UB. Tu przy użyciu różnych gróźb oraz obietnic natychmiastowego zwolnienia próbowano uzyskać od delegatów podpisy pod deklaracją o rezygnacji z tworzenia odrębnej partii. Chcącym należeć do stronnictwa zalecano lubelskie SL. Budująca była postawa, gdy każdy delegat z oburzeniem odrzucał tę propozycję, a kobiety, gdy im robiono nadzieje zwolnienia oświadczyły, że opuszczą to więzienie tylko razem ze swymi kolegami. Po tych wstępnych nieudanych próbach rozpoczęło się wywoływanie poszczególnych osób do osobnych pomieszczeń na badania. Codziennie te same pytania, te same naciski i groźby.

Mój inwestygator pierwsze badanie rozpoczął w formie bardzo napastliwej. Próbował narzucić mi pogląd, że zebranie było nielegalne, że uprawiamy dywersję itp. Zareagowałem mocno i zdecydowanie, że naruszenie obowiązujących w Polsce praw dokonane było przez tych, którzy zrobili najazd na nasze zebranie, wywołali zaburzenie swą strzelaniną na ulicy, przerwali nam obrady i bezpodstawnie aresztowali uczestników zebrania. W trakcie tej, dość ostrej wymiany zdań wszedł do pokoju w starszym wieku oficer NKWD i pociągnąwszy na bok mego inwestygatora, zaczął mu coś tłumaczyć. Dotarły do mnie ostatnie słowa — „nada sierdieczno”, „tolko sierdieczno”. Po wyjściu owego „nadziratiela” mój inwestygator z drapieżnego zwierza zamienił się w potulne jagnię. Przepraszał, że będzie musiał zadać mi szereg pytań należących do rutyny, a w trakcie tych pytań nawet zaproponował herbatę.

Drugiego dnia byłem badany przez inną osobę, te same pytania, niby należące do rutyny, jednak z wyraźnym nastawieniem akceptowania narzucanej koncepcji politycznej. Gdy jednak trzeciego dnia nowy inwestygator rozpoczął badania od tych samych pytań, spokojnie wyjaśniłem, że na te pytania odpowiadałem już dwukrotnie i badający mnie wszystkie moje odpowiedzi notowali, więc nie mam zamiaru po raz trzeci dawać tych samych odpowiedzi, zwłaszcza że ja tu nie jestem jako przestępca, ale jako pokrzywdzony, którego prawa obywatelskie zostały naru-

szone. Badający zmieształ się nieco i zaczął tłumaczyć, że on otrzymał takie zlecenie i nic nie wie o poprzednich badaniach. Powiedziawszy to wyszedł. Po powrocie już nie wracał do pytań, tylko zaczął uderzać w nutę patriotyczną i dowodzić, że my, Polacy, powinniśmy zgodnie występować i działać, gdyż to najlepsze rozwiązanie dla Polski. Więcej już nie byłem wzywany, a po tygodniu wszyscy zostaliśmy zwolnieni.

Nie tylko tego rodzaju aresztowania, ale również różne metody znęcania się nad aresztowanymi, niszczenie mienia, a nawet mordy były stosowane na terenie całej Polski. Nie dawało to oczekiwanego rezultatu dla reżymu. Już w pierwszych dniach startu stanęła organizacja w liczbie ponad 300 tysięcy członków, a do końca 1945 roku wzrosła do przeszło jednego miliona 200 tysięcy członków. Wysyłane od góry reżymowej instrukcje, by nie dopuścić do powstania odrębnego stronnictwa z Witosem i Mikołajczykiem na czele, natknęły się oddolnie na wręcz odwrotny proces: włączania się do nas po przyjęciu nowej nazwy „PSL” całych województw sieci organizacyjnej reżymowego SL. Tak było w woj. Poznańskim, Bydgoskim, Gdańskim, Wrocławskim, a w olbrzymiej większości w województwach Szczecińskim, Olsztyńskim, Rzeszowskim, Łódzkim. Wszyscy po wyeliminowaniu ze swego grona wtyczek komunistycznych włączali się w szeregi PSL. W końcu w pierwszych dniach listopada 1945 w czasie pogrzebu nestora ruchu ludowego, prezesa Wincentego Witosa, włączyła się do PSL i ta część naczelnych władz SL z prezesem Bańczykiem, dla której obcy był system rządów i ustrój narzucany przez komunistów, wspieranych przez agentów Stalina. W ten sposób wbrew nakazom komunistycznym i wysiłkom UB nastąpiło całkowite zjednoczenie niezależnego ruchu ludowego w szeregach Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL), obok którego skupił się cały naród z wyjątkiem oportunistów, karierowiczów, agentów NKWD, którzy przeszli przeszkolenie w okresie wojny w Związku Sowieckim, i skromnej garstki rzeczywistych komunistów.

Wiele elementów złożyło się na ten masowy rozwój PSL i wielką odporność na ataki kierowane przeciw niemu. Do najważniejszych można zaliczyć:

1. ukształtowanie w latach przedwojennych, a szczególnie w latach konspiracji, olbrzymiego, młodego zespołu przodowniczego, pełnego determinacji i poświęcenia dla sprawy narodowej i godnych praw ludzkich;
2. wielkie uznanie w masach narodu dla osoby prezesa Wincentego Witosa, a ostatnio i dla Stanisława Mikołajczyka,

jako kontynuatora polityki tragicznie zmarłego gen. Władysława Sikorskiego. Szczególnie przez powrót do Kraju i stanięcie do walki o lepsze jutro narodu i państwa Mikołajczyk zdobył sobie powszechne zaufanie;

3. niedopuszczenie do szeregów PSL wtyczek komunistycznych;
4. darzenie zaufaniem PSL przez inne warstwy narodu, a przede wszystkim przez klasę robotniczą i inteligencję.

Posiadając ten wielki kredyt moralny narodu, a w ślad za tym i pomoc w działaniu, PSL skutecznie odpierało najróżnorodniejsze ataki, szybko wyrównywało zadawane mu ciosy i konsekwentnie zmierzało do ostatecznej próby, jaką w tych zmaganiach miały być wybory, przewidziane uchwałą jałtańską.

Jednocześnie z montowaniem i rozbudową sieci PSL, organizowaniem własnej prasy, odpowiednich pomieszczeń i zakładów drukarskich, własnej sieci kolportażowej — władze naczelne PSL rozwinęły szeroką akcję zmierzającą do:

1. przerwania trwającego dotychczas wywożenia Polaków, a także i mienia polskiego do Związku Sowieckiego oraz umożliwienia powrotu wszystkim już wywiezionym zarówno ostatnio, jak i na początku wojny;
2. zapewnienia prawa przesiedlania się do Polski ludności polskiej ziem włączonych do Związku Sowieckiego;
3. wydania jak najszerzej amnestii, która umożliwiłaby rozładowanie wypełnionych więzień oraz lasów, w których chroniono się przed wywózką względnie aresztowaniami UB i NKWD;
4. zapobiegania wszelkim aktom sowietyzacji życia polskiego;
5. wchodzenia do wszelkich instytucji gospodarczych, samorządowych, oświatowych, do administracji i organizacji zawodowych, by na każdym odcinku życia zbiorowego działały zapobiegawcze hamulce sowietyzacji.

Sprawa Bloku Wyborczego

Komuniści po utwierdzeniu się w przekonaniu, że nie są w stanie w obecnym stadium zetrzeć z powierzchni życia narodowego PSL, przyjęli nową taktykę. Stosując w dalszym ciągu wszelkie metody nękania PSL, a nawet zaostrzając je w wielu wypadkach, puścili w obieg nowe hasło dotyczące bloku wyborczego. Uzasadniali to względami dobra narodu i państwa, a także

i korzyściami dla PSL. Komuniści zwykle nie stawiali sami nowych koncepcji swej taktyki. Używali do tego celu PPS, personalnie Stanisława Szwalbego, przewodniczącego Rady Naczelnej PPS i Edwarda Osóbkę-Morawskiego, Prezesa CKW PPS i premiera rządu. Szwalbe robił to z pełną premedytacją jako zaufany Bieruta. Natomiast Osóbka-Morawski był raczej eksploatowany, wmawiano mu jak zbawienną rolę może i powinien odegrać dla Polski i świata pracy, podejmując podsuwaną mu koncepcję. Oficjalnie Rada Naczelna PPS uchwałą z 4 listopada 1945 zwróciła się do wszystkich stronnictw z propozycją utworzenia bloku wyborczego. Faktycznie uchwała ta była kierowana pod adresem PSL, które jednak nie zareagowało, wobec czego przedstawiciele PPS zaproponowali PSL wszczęcie rozmów na ten temat. Stanowisko władz naczelnych PSL w sprawie bloku od początku było negatywne, pokrywało się ono ze stanowiskiem szeregów PSL i olbrzymiej większości narodu. Przyjęliśmy jednak taktykę nie odrzucania z punktu propozycji i w spotkaniu 5 grudnia 1945 z delegacją PPS zażądaliśmy uprzedniego wykonania już zaciągniętych zobowiązań względem PSL, zaniechania wszelkich metod bezprawia, ustalenia zasad ordynacji wyborczej, terminu wyborów itp., aby Kongres PSL mógł zająć w tej sprawie stanowisko. Miało to pewien wpływ. Ostrze walki nieco złagodniało. Z Nowym Rokiem 1946 wprowadziliśmy do KRN swych przedstawicieli, tworząc razem z grupą Bańczyka klub w liczbie 52 posłów. W styczniu 1946 odbył się Kongres PSL przy udziale przeszło 2.000 delegatów oraz 5.000 członków, którzy pragnęli asystować obradom. Kongres w sprawie wyborów wypowiedział się, że decyzja w tej sprawie może być podjęta przez Nadzwyczajny Kongres po zmianie nastawienia do PSL, wykonaniu już zaciągniętych zobowiązań, po ustaleniu ordynacji wyborczej oraz programu współpracy stronnictw Rządu Jedności Narodowej na dalszą przyszłość. W wypadku trudności zwołania Nadzwyczajnego Kongresu upoważniona została Rada Naczelna PSL do podjęcia ostatecznej decyzji.

Uchwała ta w żadnym razie nie odpowiadała komunistom. Mimo to w końcu stycznia 1946 została przez KRN ustanowiona komisja dla opracowania ordynacji wyborczej. Komisja ta już w marcu miała gotowy projekt ordynacji, wzorowany na ordynacji z 1922 roku. Projekt ten został uzgodniony ze wszystkimi partiami, ale nie został wniesiony na plenum KRN wobec przerwania prac Komisji.

Prace Komisji w sprawie ordynacji wyborczej były ściśle związane z ponowną próbą w sprawie bloku. W dniu 30 stycznia 1946, a więc w dniu ustanowienia Komisji ponownie PPS wystą-

piła z inicjatywą rozmów w sprawie bloku. Tym razem w rozmowach uczestniczyli również przedstawiciele PPR. Przeprowadzono 4 rozmowy: 7, 13, 18 i 22 lutego 1946. W dniu 18 lutego przedstawiciele PPR i PPS przedłożyli uzgodniony między nimi tekst zasad porozumienia wyborczego oraz tekst listu wprowadzającego. W odpowiedzi PSL w dniu 22 lutego przedłożyło na piśmie swoje stanowisko.

Na tym rozmowy zostały przerwane, gdyż PSL nie mogło się zgodzić na ustalone przez PPR i PPS zasady, które zmierzały do zaprowadzenia w Polsce systemu sowieckiego oraz do sprowadzenia PSL i SP z prezesem Popielem do roli bez najmniejszego wpływu na sprawy państwowe. Grupa Żuławskiego w projekcie PPR i PPS została zupełnie pominięta. I odwrotnie, przedstawiciele PPR i PPS nie godzili się na wysunięte reorganizacje oraz żądanie 75 % mandatów dla PSL, SP z prezesem Popielem i dla niezależnej PPS reprezentowanej przez Żuławskiego.

Żądanie 75 % mandatów, mając na uwadze całą niezależną część społeczeństwa, nie było wygórowane, ale nie ulegało wątpliwości, że komuniści tych warunków nie przyjmą, gdyż równałoby się to oddaniu władzy.

Ten niekorzystny wynik rozmów w sprawie bloku zadecydował o przerwaniu dalszego postępowania w sprawie uzgodnionego projektu ordynacji wyborczej.

Rozpoczął się nowy, wzmożony okres prześladowań PSL. Ostatnimi na wielką skalę manifestacjami PSL były zgromadzenia w dniu 7 kwietnia 1946 w Katowicach gdzie z okazji poświęcenia sztandaru PSL zebrało się ponad 50.000 Górnoszlązaków (według danych UB — 30.000), by zmanifestować swe poparcie dla polityki PSL, oraz następnego dnia zgromadzenie w Opolu przy udziale przeszło 10.000 autochtonów Opolszczyzny. Odrębny charakter miało zgromadzenie 60.000 chłopów z całej Polski w Palmirach dla złożenia hołdu zamordowanym tam patriotom polskim na czele z Maciejem Ratajem, b. marszałkiem Sejmu oraz Mieczysławem Niedziałkowskim b. posłem i przywódcą Polskiej Partii Socjalistycznej. W obchodzie tym uczestniczył również Bierut. Tym nie mniej w czasie nabożeństwa i przemówień samoloty sowieckiego lotnictwa zrzuciły ulotki oczerniające Polskie Stronnictwo Ludowe.

Ponieważ wszelkie tego rodzaju zgromadzenia i obchody nie tylko wpływały na rozbudowę PSL, ale oddziaływały również rozkładowo na ośrodki reżymowe, więc wydana została tajna instrukcja, zakazująca zezwoleń dla PSL na zgromadzenia publiczne pod gołym niebem.

Referendum — namiastka wyborów

Komuniści zdawali sobie sprawę, że wolne wybory dałyby w wyniku całkowitą kompromitację dla nich i ich satelitów. Ponieważ dotychczasowe rozmowy nie dawały nadziei na wciągnięcie do bloku PSL, więc przedstawiciele PPR i satelickiej PPS zastanawiali się nad znalezieniem rozwiązania, które pozwoliłoby uniknąć właściwych wyborów, ale stwarzałoby jakieś pozory darzenia reżymu zaufaniem przez społeczeństwo. W wyniku tych narad znowu Rada Naczelna PPS na posiedzeniu swym w dniu 1 kwietnia 1946 uchwala projekt przeprowadzenia głosowania ludowego, czyli referendum, PPR z całym zapalem przyłącza się do tej propozycji i już na sesji KRN w dniach 27-28 kwietnia zostały przyjęte ustawy o głosowaniu ludowym i wyznaczeniu na dzień 30 czerwca 1946 terminu owego głosowania. Według tych ustaw obywatel mający 21 lat winien dać odpowiedź na trzy pytania:

1. Czy jest za zniesieniem senatu przewidzianego w konstytucji 1921 roku?
2. Czy chce utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego wprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?
3. Czy chce utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Dobór pytań wskazywał na ukryte cele. Wszak nie było Polaka, który byłby przeciwny pytaniu trzeciemu. Reformy gospodarcze były już przeprowadzone na podstawie wydanych ustaw i nikt w Polsce nie myślał o przywracaniu pierwotnego stanu. Mogły być jakieś kwestie jedynie odnośnie pierwszego pytania, ale i tu można było liczyć na zdecydowaną odpowiedź pozytywną. Dlatego też PSL od pierwszej chwili wystąpienia z tą inicjatywą przez PPS podjęło szeroką kampanię, wymierzoną w ukryte cele tego projektu, domagając się jednocześnie ustalenia terminu wyborów. To zmusiło premiera Osóbkę Morawskiego do złożenia oświadczenia przy zgłaszaniu projektu ustawy o głosowaniu ludowym, że niezależnie od referendum wybory odbędą się na jesieni 1946 roku. Aby jednak komuniści nie mogli używać wyników głosowania jako dowodu zaufania dla siebie, PSL postanowiło wezwać społeczeństwo do dania odpowiedzi „nie” na pierwsze pytanie.

Ta kontrakcja PSL niweczyła plany komunistów, wobec czego

po uchwaleniu ustawy o głosowaniu ludowym wszczęta została wzmoczona kampania zmierzająca do zniszczenia PSL. Najpierw z atakiem wystąpiły tuż komunistycznego bloku jak Kliszko, Zambrowski, Sokorski, Szwalbe, Cyrankiewicz, a także, bodaj najmłodszy z czołówki PPR, Władysław Bieńkowski. Wszyscy grozili zniszczeniem PSL. Kliszko na odprawie PPR zapowiadał rozłupywanie na części do ostatecznego zniszczenia. Zambrowski na odprawie PPR i PPS oświadczył, że zanim odbędą się wybory musimy „złamać stos pacierzowy” opozycji z PSL na czele. Cyrankiewicz deklarował, że władzy nie oddadzą bez względu na układ sił w społeczeństwie, z trybuny KRN gromił sekretarza naczelnego PSL za jego wystąpienie w Katowicach, przedstawiające PSL jako obrońcę interesów klasy robotniczej i w ogóle człowieka pracy. Szwalbe oburzał się w prasie, że nawet ośrodki robotnicze jak: Katowice, Łódź, Warszawa znajdują się w szeregach PSL, groził PSL ściganiem policyjnym i dywersją. Sokorski w przemówieniu na sesji KRN wzywał milicję, UB, a także i wojsko, by z karabinem w rękę rozprawili się z reakcją nie tylko z tą w lasach, ale również i z siedzącą w tej sali na prawicy, wskazując wyraźnie na posłów PSL. Na innym posiedzeniu, kiedy sekretarz naczelny PSL w przemówieniu swym zaczął wyliczać różne nadużycia funkcjonariuszy UB, w tym i mordy dokonywane na członkach PSL — zerwał się z miejsca Władysław Bieńkowski i zaczął krzyczyć — „z karabinem w rękę rozprawimy się z wami”. Na to odpowiedziałem — „Właśnie mówię, że to już robicie”.

Znane mi są z ostatnich lat wypowiedzi i poglądy Bieńkowskiego. Cieszę się, że odnajduje właściwą drogę współżycia ludzkiego i sprawowania władzy. Jakże inaczej układałyby się wówczas stosunki w Polsce, gdyby Bieńkowski i jego towarzysze wtedy myśleli podobnie do jego dzisiejszego pojmowania zagadnień.

Za głosem przywódców poszedł aparat partyjny PPR, a przede wszystkim UB. Miesiące kwiecień-czerwiec 1946 roku to okres wzmoczonych prześladowań i prób rozbicia organizacji PSL. Podrzucano działaczom nielegalne ulotki, preparowane przez UB, a także i broń, by mieć podstawę do aresztowań i maltretowania. Działo się to nagminnie. Na przykład prezesowi Zarządu Powiatowego PSL w Łukowie podrzucano rewolwer. Jak się okazało później, rewolwer ten był zdeponowany w UB w poprzednim okresie ujawniania się. Liczne były wypadki podpażeń zabudowań działaczy PSL. Najjaskrawszym tego przykładem było spalenie przez UB osady Wąwolnica w pow. Puławy. W dniu 2 maja 1946 przyjechał tam samochodami ciężarowymi liczny oddział UB, podpalił w kilku miejscach budynki i nie pozwalał gasić

ognia, ani też ratować dobytku. Spłonęło około 100 zabudowań, dwie osoby zginęły w płomieniach, trzecia osoba zmarła na udar serca w czasie tej akcji. Zrobiono to dlatego, ponieważ mieszkańcy Wąwolnicy związani byli z PSL i promieniowali na całą okolicę, uniemożliwiając akcję komunistyczną. Osada ta wspólnie zapisała się w okresie wojny w walce z okupantem niemieckim.

Na drugi, czy też trzeci dzień byłem na zgliszczach tej osady. Rozmawiałem z ofiarami tej strasznej zbrodni. Sporządziłem protokoły zeznań, wskazujących z wyglądu, z imienia i nazwiska, a nawet funkcji sprawców zbrodni. Wkrótce po moim wyjeździe zjawiała się tam milicja. W przewidywaniu tego podałem inny kierunek dalszej mej podróży, wobec czego poszukiwania ich były daremne. Oczywiście chodziło o odebranie wynotowanych zeznań. Interwencje u Bieruta, Osóbki-Morawskiego i Radkiewicza były kwitowane wzruszeniem ramion i wyrażaniem przypuszczeniem, że to robota band leśnych. Jedynie Bierut wprost cynicznie powiedział, że będzie gorzej, jeśli PSL nie zgodzi się na blok, bo wtedy bandy rozruchwałą się do najwyższego stopnia.

O nasileniu represji w stosunku do PSL równie wymownym dowodem jest lista 22 działaczy PSL zamordowanych tylko w jednym miesiącu maju 1946, nie wliczając w to trzech ofiar pożaru w Wąwolnicy.

Wyniki głosowania

Stosowany terror i wszelkiego rodzaju bezprawia, jak usuwanie członków PSL od udziału w komisjach głosowania, spowodowało, że przedstawiciele PSL zdołali utrzymać się zaledwie w 3.000 komisji obwodowych na ogólną liczbę 14.000 i w trzech okręgowych komisjach na ogólną liczbę 17 okręgów (Kraków, Poznań i Łódź). Nie zdołano jednak zniszczyć PSL, ani też osłabić zdolności do dalszego działania. PSL zostało wyeliminowane z większości komisji głosowania, ale w komisjach zasiadały nadal osoby sprzyjające polityce PSL, które w miarę swych możliwości służyły informacjami dla PSL. Tym się tłumaczy, że PSL zdołało zgromadzić z 2.805 obwodów odpisy protokołów komisji obwodowych oraz z przeszło 7.000 obwodów wynotowane z protokołów zestawienia oddanych głosów na poszczególne pytania. Również dzięki poparciu przedstawicieli innych grup politycznych w Krakowskiej Komisji Okręgowej nie dopuszczono do fałszowania protokołów komisji obwodowych i tu komuniści zmuszeni byli przyznać oficjalnie swoją klęskę. W komisjach okręgowych w

Poznaniu i Łodzi przedstawiciele PSL, mając dane z protokołów obwodowych względnie odpisy tych protokołów, zażądali przeliczenia głosów w urnach, przeliczenie wykazało zgodność z danymi posiadanymi przez przedstawicieli PSL. W ten sposób ustalono, że w tych 2-ch okręgach 70 % protokołów było sfałszowanych, ale fałszerze nie naruszyli zawartości urn.

Ostatecznie po wielu przeróbkach dopiero 11 lipca został ogłoszony komunikat Głównego Komisarza Głosowania podający oficjalny wynik głosowania. Według tego komunikatu na pytanie w sprawie senatu odpowiedzi „Tak” padło 7.844.522, zaś odpowiedzi „Nie” — 3.686.029.

Faktycznie według zebranych danych przez PSL przeszło 83 % głosów oddano z odpowiedzią „Nie” w sprawie senatu:

Jeśli się zważy, że w dniu głosowania oficjalnie podano ogólną liczbę uprawnionych do głosowania w wysokości w zaokrągleniu — 10.600.000, zaś w komunikacie Komisarza podającym wyniki głosowania liczba uprawnionych wzrosła do 13.160.451, to już to samo jest dostatecznym dowodem zakwestionowania wszelkich danych tego komunikatu. Taka też była powszechna opinia. Komuniści, nie mając dowodów zdolnych spowodować zmianę tej opinii, uciekli się do zabronienia ogłaszania w prasie PSL treści oficjalnych protokołów głosowania, a także pod groźbą kary zabroniono członkom komisji podawania i dyskusowania wyników głosowania.

Pogrom Kielecki

By odwrócić uwagę społeczeństwa od wyników referendum, od dokonywanych nadużyć i by jednocześnie skompromitować PSL — sprowokowany został w Kielcach przez agentów UB w dniu 4 lipca 1946 pogrom żydowski. W dniu tym przed południem jakiś chłopiec na ulicy w pobliżu domu gminy żydowskiej, gdzie mieszkało kilkadziesiąt rodzin żydowskich, począł krzyczeć, że w gmachu gminy żydowskiej mordują dzieci. Zelektryzowało to przechodniów, począł się gromadzić tłum, nadbiegli robotnicy z zakładów fabrycznych zaalarmowani przez jakiegoś osobnika. Atmosfera była podatna, gdyż już w przeddzień jacyś osobnicy rozpowszechniali wiadomości w mieście o dokonaniu mordu w gminie żydowskiej. Doszło do starcia, ofiarą którego padło 26 osób spośród Żydów i trzech Polaków.

Bezpośrednio po tym strasznym zajściu prasa komunistyczna usiłowała narzucić opinię, że sprawcami pogromu jest polska reakcja na czele z PSL, dowodem czego, jak głosili komuniści, jest

milczeniu prasy PSL w tej sprawie. Ażeby argument ten znalazł uzasadnienie w opinii społeczeństwa konfiskowano w prasie PSL wszystkie wypowiedzi oraz zabiegi przedstawicieli PSL, zmierzające do wykrycia sprawców zbrodni. Owo „milczenie” wyglądało w ten sposób, że bezpośrednio po pogromie prezes Mikołajczyk na posiedzeniu Rady Ministrów zażądał od p. Radkiewicza, Ministra Bezpieczeństwa Publicznego, wyjaśnienia sprawy, a zwłaszcza roli milicji i UB. Następnego dnia po pogromie przedstawiciel PSL w Komisji KRN dla spraw bezpieczeństwa zgłosił nagły wniosek, domagający się wysłania na miejsce zbrodni specjalnej komisji dla zbadania sprawy. Oczywiście wniosek ten został odrzucony głosami komunistów. W tymże czasie Wojewódzka Rada Narodowa w Kielcach na wniosek przedstawiciela PSL uchwaliła powołanie specjalnej komisji wojewódzkiej dla zbadania sprawy. Komisja ta jednak nigdy nie zebrała się, mimo wielokrotnych domagań się przedstawicieli PSL. Uchwała ta, jak i wszystkie wnioski oraz żądania w tej sprawie uległy konfiskacie.

Tymczasem w świetle ustaleń przeprowadzonych przez PSL sprawa przedstawiała się następująco: Głównymi inspiratorami zajścia byli major Sobociński, komendant Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach, Józef Kalinowski, sekretarz wojewódzki PPR i wicewojewoda kielecki. Wykonawcami natomiast byli agenci UB. Chłopiec, który podniósł krzyk na ulicy, był przez dwa dni przygotowywany do tego przez agenta UB. Osoba, która zaalarmowała robotników w fabryce, była również na usługach UB. W osobnikach rozpuszczających w przeddzień wieści o mordach w gminie żydowskiej rozpoznano tajnych agentów UB. Gdy gmach gminy żydowskiej został otoczony przez tłum, zagrożeni mieszkańcy tego gmachu wzywali pomocy, komunikując się ze wszystkimi urzędami. Charakterystyczne, że ani UB, ani Milicja Obywatelska, mające swoje siedziby w pobliżu zajścia oraz posterunki na mieście, nie przybyły z pomocą, dopóki nie znalazło się tam wojsko, które przemaszerowało z odległości 5 km., zalarmowane przez członków gminy żydowskiej,

Faktów tych nie dało się ukryć czynnikiem reżymowym, wobec czego Radkiewicz zmuszony był ogłosić o aresztowaniu mjr. Sobocińskiego i innych sprawców, jednak uczynił to dopiero po upływie miesiąca. Odbył się proces sądowy, ale wśród oskarżonych nie było ani majora Sobocińskiego, ani też innych organizatorów zajścia. Na ławie oskarżonych zasiadły tylko ślepe narzędzia prowokatorów. Sobociński, główny sprawca tej zbrodni, podobną prowokację organizował uprzednio w Rzeszowie i był sprawcą mordu Władysława Kojdera, członka NKW PSL. Po pogromie

kieleckim był on zdjęty ze swego stanowiska, ale raczej chyba za nieudolność w wykonaniu.

Pogrom, jako narzędzie do rozprawienia się z PSL, nie udało się wobec zdemaskowania roli UB. Dlatego też prasa komunistyczna przestała o tym pisać, a prasie PSL konfiskatami uniemożliwiono publiczne wyświetlenie sprawy.

Nastroje po referendum

Mimo dokonanych szczerb w okresie kampanii głosowania ludowego, PSL wyszło z tej akcji pełne sprawności organizacyjnej oraz mocne duchem. Każdy członek PSL był głęboko przekonany, że wypełniał swój obowiązek narodowy, że służy dobrej sprawie. Utrwaliło się jeszcze mocniejsze przekonanie, że PSL obrało właściwą drogę i po niej winno dalej kroczyć. Podobnie kształtowała się postawa większości narodu. W centralnych władzach PSL, a szczególnie w NKW na podstawie ostatnich praktyk komunistycznych nie było wątpliwości, że komuniści w wypadku odmowy PSL pójścia w bloku sfałszują wybory, aby utrzymać się przy władzy. Nie było też wątpliwości, że kontrahenci zachodni umowy jałtańskiej ograniczą się raczej tylko do protestów. Tym niemniej powszechna była opinia, że PSL nie może przykładać ręki do utrwalania komunistycznego despotyzmu i zniewolenia narodu. Nie inny bowiem wydzźwięk miałyby pójście w bloku, w którym w żadnym razie PSL nie mogło liczyć na uzyskanie większości głosów w Sejmie razem z niezależnymi od komunistów grupami. Tym bardziej nie do przyjęcia była dla PSL droga prezesa Popiela, który, ograniczając się do protestu przeciwko gwałtom i przemocy, wycofał się z dalszej walki.

PSL było w stanie dalej stawiać opór, szeregi organizacyjne PSL opowiadały się za kontynuacją tego oporu i nie dopuszczały absolutnie myśli kompromisu w postaci bloku, dającego przewagę komunistom. Ten opór był potrzebny, opóźniał stabilizację władzy komunistycznej. Miało to poważne znaczenie dla dalszego przeciwstawiania się społeczeństwa sowietyzacji Polski.

Narady z Moskwą

W zespole komunistycznym trwały narady nad wytworzoną po referendum sytuacją. Komuniści nie mieli wątpliwości, że jeśli nie dojdzie do bloku, to będą zmuszeni fałszować wybory, aby utrzymać się przy władzy. Zdawali sobie też sprawę, że przy

organizacji, jaką dysponuje PSL, i zaufaniu, jakim PSL darzone jest przez naród, nie da się ukryć fałszerstw, a tego chcieliby uniknąć. W trakcie tych narad wewnętrznych w końcu lipca 1946 w ścisłej tajemnicy udała się delegacja PPR do Moskwy. 18 sierpnia to samo uczyniła delegacja PPS, a po powrocie PPS ponawia inicjatywę rozmowy w sprawie bloku. Tym razem PPR nie bierze udziału. Odbyły się dwa spotkania 23 i 28 sierpnia. W pierwszej rozmowie z ramienia PPS wzięli udział, jak zwykle, Szwalbe, Osóbka-Morawski i Cyrankiewicz, natomiast z ramienia PSL — Dr Kiernik, Bańczyk, Wójcik i Wycech, członek NKW i minister Oświaty. Zagaił Szwalbe, podnosząc, że podejmują jeszcze raz próbę ustalenia wspólnego bloku. Informował, że w wyniku ostatnich rozmów w Moskwie z delegacją angielskiej Partii Pracy i in. jeszcze bardziej utwierdzili się co do słuszności ich stanowiska odnośnie bloku. W związku z tym Wójcik wtrącił, że z PPS zawsze PSL gotowe iść w bloku, że wyływa to z obecnej postawy szeregów chłopskich i robotniczych. Na to odpowiedź Szwalbego była: „My możemy mówić tylko o bloku wszystkich stronnictw”. Z dalszej dyskusji dowiedzieliśmy się, że jeśli nie dojdzie do bloku, to przeciwnicy zetrą nas z powierzchni, może to nawet doprowadzić do wkroczenia obcego czynnika, że według Stalina rząd w Polsce winien być rządem przyjaźnie usposobionym do Związku Sowieckiego, a ponieważ Związek Sowiecki nie ma zaufania do PSL, więc nie można kształtować stosunków, w których PSL byłoby głównym czynnikiem w rządzie polskim. W następnej rozmowie z ramienia PSL wzięli udział Mikołajczyk, Bańczyk i Wójcik, a od PPS — Szwalbe i Cyrankiewicz.

W wyniku krótkiej wymiany przedstawiciele PPS wysunęli następujący podział mandatów poselskich w bloku: PPR i PSL po 25 %, PPS — 22 %, SL — 12 % oraz SD i SP po 8 %. Nadto obaj zapewniali, że poprą prezesa Popiela.

W odpowiedzi prezes Mikołajczyk oświadczył, że na 25 % udziałów nie możemy się zgodzić, możliwe natomiast byłoby do przyjęcia 40 %. Na to Szwalbe powiedział — „Sądzę, że PPR nie zgodzi się na waszą propozycję, a wówczas zmuszeni jesteśmy poddać się metodom oszustwa tj. poprawy naszych wpływów przez odpowiednią ordynację wyborczą”. Po tych rozmowach już 29 sierpnia delegacje PPR i PPS udały się do Moskwy. Tam zdecydowano dać dla PSL najwyżej 28 % mandatów w przyszłym sejmie. W żadnym razie nie dopuścić, by PSL łącznie z innymi niezależnymi czynnikami uzyskało przewagę. W wypadku uchylenia się PSL od bloku sfałszować wybory tak, by uzyskało najwyżej 12 % mandatów, złamać wszelki opór społeczeństwa prze-

ciwko poczynaniom komunistycznym, ścigać karnie wszelkie zarzuty i wypowiedzi o fałszerstwach wyborów i referendum. PSL nie zgodziło się na 28 %.

Na tym zostały zakończone rozmowy blokowe.

Nowy projekt ordynacji wyborczej

Próby pozyskania PSL dla koncepcji wspólnego bloku zawiodły, wobec czego komuniści, mając zgodę Moskwy na fałszowanie wyborów, zarządzają we wrześniu 1946 wznowienie prac komisji dla opracowania ordynacji wyborczej. Na pierwszym posiedzeniu po wznowieniu obrad Komisji delegacje PPR i PPS zgłaszają nowy projekt ordynacji wyborczej, odmawiając poparcia projektowi, który już w marcu był całkowicie uzgodniony. Zgłoszony nowy projekt tym się różnił od poprzedniego, że stwarzał wielkie możliwości do nadużyć. W odpowiedzi delegacja PSL przedłożyła kontrprojekt, a po odrzuceniu go przez większość blokową, zgłosiła poprawki do 37 artykułów projektu PPR i PPS oraz cały nowy rozdział dotyczący przepisów karnych, a także wniosek w sprawie podziału kraju na okręgi wyborcze. Wniosek ten ustalał 84 okręgi, zamiast 52. Oczywiście wszystkie poprawki i wnioski PSL zostały odrzucone. Spotkał je ten sam los i na sesji plenarnej KRN po przedłożeniu w dniu 22 września 1946 w obszernym przemówieniu wygłoszonym przez sekretarza naczelnego PSL, Stanisława Wójcika. W tymże dniu 22 września została ostatecznie uchwalona większością głosów ordynacja wyborcza w brzmieniu zgłoszonym przez PPR i PPS.

Do najważniejszych wad tej ordynacji wyborczej należy zaliczyć:

1. Prawo samowolnego pozbawiania czynnego i biernego prawa wyborczego przez komisje wyborcze. Mogły one to robić nawet na podstawie doniesienia lub zasłyszanej wiadomości, że uprawniony do głosowania współpracuje z leśnymi oddziałami lub kolaborował z Niemcami.
2. Przekreślenie zasady równości przez niewłaściwe wytyczenie okręgów wyborczych. W okręgach centralnych na jeden mandat wypadało 60 do 80 tysięcy mieszkańców, zaś w okręgach ziem zachodnich 30 tysięcy mieszkańców.
3. Do obwodowych komisji wyborczych mogły być powoływane osoby nawet spoza danego okręgu wyborczego i ci nie znający zupełnie danego środowiska mieli decydować o pozbawieniu prawa głosowania.

4. Brak określenia kompetencji pełnomocników list i mężów zaufania oraz możliwość usuwania ich przez przewodniczących komisyj.
5. Brak przepisów ustalających przestępstwa wyborcze i przewidzianych za nie kar.

WYBORY

Decyzją Prezydium KRN z dnia 12 listopada 1946 zostały zarządzone wybory do Sejmu Ustawodawczego na dzień 19 stycznia 1947 roku. Jeszcze bezpośrednio po ogłoszeniu terminu wyborów wysuwano propozycję bloku, ale PSL, nie chcąc tracić czasu, uchyliło się od podejmowania dyskusji. Rozpoczął się ostatni etap walki w wykonaniu umowy jałtańskiej. W szeregach PSL nie było żadnej wątpliwości, jak wiele poświęcenia, samozaparcia i ofiar będzie ten okres wymagał. Świadome tego władze naczelne i ogniwa terenowe PSL czyniły już wcześniej dokładne przygotowania, aby sprostać podjętemu zadaniu. Podstawowym elementem w dążeniu do należytego wywiązania się było posiadanie własnej, utrzymanej w tajemnicy, rozległej sieci łączności, która dostarczałaby do każdego punktu wszelkie instrukcje, ulotki, numerki do głosowania i odwrotnie przekazywała do Sekretariatu Naczelnego informacje o rozwoju sytuacji w terenie i o dokonywanych nadużyciach. Na pocztę ani też na kolej nie można było liczyć, mimo wyrażanych sympatii dla PSL, gdyż do tych instytucji byli przydzieleni politycy z UB, których zadaniem było wszelkie listy i paczki PSL i dla PSL zatrzymywać. Już po ogłoszeniu wyborów Sekretariat Naczelny wysłał kilka listów i paczek. Nie można narzekać, zostały doręczone, ale już po wyborach. A więc bez własnej, sprawnej, dobrze zakonspirowanej sieci łączności PSL nie byłoby w stanie sprostać podjętemu na siebie zadaniu. Potrzebne były również specjalne punkty, dobrze zakonspirowane, dla przechowywania otrzymywanych przez terenowe ogniwa materiałów, jak również gromadzonych dla przekazania centrali PSL. Nie można było tego trzymać w sekretariatach, gdyż te w okresie kampanii stale znajdowały się pod obserwacją i często UB względnie milicja dokonywały rewizji, niszcząc wszelkie materiały. Już w trakcie uchwalania ordynacji wyborczej wzmoczone zostało ponowne rugowanie z różnych instytucji, zakładów pracy, a przede wszystkim z administracji, samorządu i rad narodowych, szczególnie rad wojewódzkich, osób podejrzanych o powiązania z PSL. Robiono to z myślą zapewnienia sobie fałszowania wyborów i uniemożliwienia Polskiemu Stronnictwu

Ludowemu uzyskania dowodów fałszerstw, jak to było z referendum.

Czystki w radach narodowych gminnych i powiatowych nie dawały rezultatu, wobec braku pewnych dla reżymu osób, dlatego też już w ordynacji wyborczej wprowadzono przepis powoływania komisji wyborczych okręgowych i obwodowych przez rady wojewódzkie. Tych było tylko 17 i łatwiej było oczyścić je z elementów sympatyzujących z PSL. Godny jest uwagi fakt, że obwody wiejskie były wytyczane pod kątem umożliwiającym fałszerstwo. W czasie referendum kraj był podzielony na 14.000 komisji obwodowych, gdy do wyborów ustalono tylko 5.227 obwodów. Nie dość na tym, obwody wiejskie były znacznie większe, często sięgające 10.000 mieszkańców i wydłużone do ponad 20 km. przy jednoczesnym ustalaniu siedziby komisji obwodowej na krańcu tak wydłużonego obwodu. Tworzenie takich odległości w zimowym okresie przy ówczesnym dużym jeszcze braku lokomocji zmierzało do uniemożliwienia głosowania dużej części wyborców i wyręczenia tych wyborców przez fałszerzy.

Myliłby się ten, kto sądziłby, że kampanię wyborczą ze strony bloku komunistycznego prowadził w terenie jakiś komitet zblokowanych partii. Może i było coś w tym rodzaju, ale faktycznie cała kampania bloku i rozprawianie się z oponentem w postaci PSL była prowadzona przez urzędy bezpieczeństwa. Miały one do swej dyspozycji Milicję Obywatelską, Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej (ORMO), Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) liczący ok. 90.000 ludzi, podzielony na grupy dla pacyfikowania ludności wiejskiej. Współdziałającym z UB był również aparat wyborczy przewidziany ordynacją wyborczą. Nadto na czas kampanii zostały wydzielone z wojska tak zwane grupy ochronno-propagandowe pod dowództwem specjalnie przeszkolonych oficerów, przeważnie obcego pochodzenia. Grupy te, jak i poszczególne oddziały KBW w wyznaczonych im rejonach wiejskich miały za zadanie zniszczyć PSL, a w każdym razie uniemożliwić mu wszelką działalność. W dążeniu do tego celu nie przebierano w środkach. Tak np. w Kieleckim zastrzelono gospodarza, który odmówił udania się na zebranie zwołane przez grupę wojskową. Kierownicy tych grup mieli nadto, bardzo ważne zadanie obok UB, narzucanie komisjom obwodowym swych rejonów wniesienia do protokołów komisji obwodowych fałszywych wyników głosowania, które każda grupa uprzednio otrzymała.

Grupy wojskowe maltretowały ludność wiejską na miejscu. Niezależnie od tego funkcjonariusze UB i MO masowo wzywali członków PSL i sympatyków na przesłuchy do swych komend. Przetrzymania i aresztowania w czasie tych przesłuchów były

nagminne. Około 100.000 osób poddanych było tego rodzaju nękananiu. Lokale PSL były pilnie strzeżone przez agentów UB. Zarówno przychodzący, jak i wychodzący byli poddawani rewizji i nierzadko przetrzymywani w areszcie. Wszelkie materiały dotyczące wyborów zabierano. W okresie kampanii wyborczej nagminnie były stosowane napaści bojówek UB i PPR. Często doświadczał tego Sekretariat Naczelny PSL. Ponieważ okna i drzwi były ubezpieczone kratami, więc wyprawy ograniczały się do tłuczenia szyb. W jednym tylko wypadku napastnicy zdołali wdrzeć się do wnętrza, wyłamując drzwi. Zostały zdemolowane biura redakcji i administracji *Gazety Ludowej*, a nadto w osobnym budynku zniszczono intrologatornię PSL. W Poznaniu bojówki zdemolowały drukarnię PSL, a w Krakowie, Katowicach, Olsztynie, Szczecinie, Wrocławiu — lokale biurowe i znajdujące się w nich urzędy. W okresie kampanii w 29 powiatach UB wydało oficjalny zakaz działalności PSL, a w wielu innych opieczętowano lokale.

Nadużycia aparatu wyborczego

Aparat wyborczy stanowiły — Komisje Obwodowe w liczbie 5.227, 52 Komisje Okręgowe i Państwowa Komisja Wyborcza na czele z Generalnym Komisarzem Wyborczym. Państwowa Komisja Wyborcza świeciła przykładem dla podległych komisji, skreślając bezprawnie z nazwy państwowej listy PSL słowa „prezes Stanisław Mikołajczyk”. Lista ta miała nazwę: „Polskie Stronnictwo Ludowe — Prezes Stanisław Mikołajczyk”. Użyto tego dodatku, by odróżnić od podobnej nazwy, przyjętej przez reżymową grupę Reka: „Polskie Stronnictwo Ludowe — „Nowe Wyzwolenie”. Idąc w ślady za tą decyzją również komisje okręgowe wprowadziły odpowiednie zmiany nazwy okręgowych list kandydatów PSL na posłów. Państwowa Komisja Wyborcza bezprawnie również skreśliła z uprawomocnionej już listy państwowej kandydatów na posłów: Antoniego Zdanowskiego, socjalistę z grupy Żuławskiego oraz członków NKW PSL Kazimierza Bagińskiego i Stanisława Mierzwę. A już najbardziej rażącym i kompromitującym, pozbawionym wszelkiej podstawy prawnej, było zarządzenie Generalnego Komisarza Wyborczego domagające się od mężów zaufania świadectw moralności. Ponieważ świadectwa moralności wydawały urzędy powiatowe na podstawie opinii urzędów bezpieczeństwa, więc zarządzenie to równało się wyeliminowaniu mężów zaufania PSL od udziału w komisjach obwodowych w czasie głosowania i obliczania głosów. W wyniku

tego zarządzenia tylko 435 mężów zaufania PSL na ogólną liczbę 5.227 obwodów uzyskało świadectwa moralności, z których tylko 296-ciu dostało się do swych komisji. Reszta z 435 częściowo została aresztowana, a częściowo nie została dopuszczona do swych komisji. Z tych 296-ciu tylko część (nieco ponad 100) mogła asystować do końca wszystkim czynnościom komisji, inni w trakcie głosowania albo też bezpośrednio po głosowaniu, przed obliczeniem głosów zostali usunięci przemocą od udziału w komisji. To usuwanie dokonywane było przez funkcjonariuszy UB, lub kierowników wojskowych grup ochronnych względnie KBW, którzy pilnowali każdej komisji obwodowej, a szczególnie ostatniej czynności, jaką było sporządzanie protokołów, ustalających wynik głosowania. W zasadzie nie przeszkadzali w obliczaniu głosów znajdujących się w urnie, ale bez względu na wynik obliczenia przestrzegali, aby do protokołu zostały wniesione liczby dostarczone im przed rozpoczęciem głosowania. Przewodniczący komisji obwodowych odnosili się przyjaźnie do wszelkich tego rodzaju żądań ochrony i akceptowali je. Protesty miały miejsce ze strony członków komisji.

Do ważniejszych nadużyć komisji obwodowych zaliczyć należy:

1. Masowe skreślanie ze spisów wyborców osób opozycyjnie nastawionych do bloku. Pozbawiano w wielu wypadkach całe wsie. Szczególnie szeroko to stosowano w woj. Lubelskim, Białostockim i Rzeszowskim. W ten sposób, jak opiewał protest PSL do Generalnego Komisarza Wyborczego, pozabawiono głosu kilkaset tysięcy wyborców, a w tym 98 kandydatów na posłów.
2. Uniemożliwianie wyborcom sprawdzenia spisów, odmawianie przyjęcia reklamacji osób pominiętych w spisie.
3. Skreślanie ze spisów wyborców osób, które podpisały listę kandydatów PSL na posłów, aby w ten sposób unieważnić listę kandydatów.
4. Fałszowanie wyników głosowania przez wniesienie do protokołu liczb narzuconych przez UB lub kierowników wojskowych grup.

Nadużycia przy sporządzaniu i składaniu list kandydatów

Przepis ordynacji wyborczej wymagał dla ważności listy kandydatów na posłów stu podpisów wyborców danego okręgu. Instrukcja wewnętrzna PSL zalecała 500 podpisów oraz trzy listy w okręgu na tych samych kandydatów. W okresie zbierania

podpisów odbywały się w całym kraju istne pogonie za zbierającymi podpisy. Cały aparat bezpieczeństwa, MO, ORMO, wojskowych grup oraz bojówek komunistycznych uruchomiony był w terenie celem wyłapywania list z podpisami i niszczenia ich. Doświadczenie wykazało, że najlepiej było zbierać podpisy w nocy, kiedy aparatura łapaczy pogrążona była we śnie. Okazało się, że niemniej trudnym, a raczej trudniejszym zadaniem było złożenie listy kandydatów PSL przewodniczącemu Okręgowej Komisji Wyborczej. W okresie składania tych list biura komisji okręgowych były pilnie strzeżone przy wejściu przez UB, milicję lub wojsko. Przed wejściem do budynku przedstawiciele PSL poddawano rewizji. Oczywiście znalezione listy kandydatów były zabierane i niszczone. Aby temu zapobiec, próbowano powierzać tę czynność dotychczasowym posłom do KRN, korzystającym z nietykalności, jednakże w 16 wypadkach i ci byli zatrzymani i rewidowani. Ostatecznie korzystano zależnie od warunków z pomocy pracowników, członków komisji okręgowych, a najczęściej z usług kobiet. Mimo zastosowanych środków ostrożności, wiele list było przechwyconych. Np. w okręgu Chełm dopiero czwarta lista szczęśliwie została przemycona, w Radomiu dopiero 5-ta i to już na skutek interwencji u generalnego komisarza w związku z aresztowaniem posła KRN, który składał listę. Mimo tych niezwykłych bezprawí we wszystkich 52 okręgach zostały złożone w terminie przewidzianym listy okręgowe kandydatów PSL. Nie kończyły się na tym szykany. Lista złożona przewodniczącemu Komisji wędrowała do UB i z tą chwilą rozpoczynało się nękanie osób, które podpisały listę, aby wycofały podpis, a kandydatów nakłaniano do zrzeczenia się. Gdy to nie dawało rezultatu, skreślano podpisujących z listy uprawnionych do głosowania, względnie UB wprost komunikowało, że podpisy zostały sfalszowane lub też podpisujący nie wiedzieli co podpisują. Tego rodzaju gołosłowne oświadczenia UB przewodniczący komisji honorował i lista była zwracana do uzupełnienia nowymi podpisami. I te szykany zostały przezwyciężone. Wszystkie formalności zostały wypełnione. Ostatecznie jednak wbrew wszelkim zasadom w 10-ciu wybitnie ludowych okręgach wybierających razem 76 posłów listy PSL zostały unieważnione. W okręgach tych PSL wezwało wyborców do bojkotu wyborów. W pozostałych okręgach listy PSL zostały oznaczone różnymi numerami, gdy lista bloku miała numer „3” w całej Polsce.

Godne uwagi, że 14 kandydatów z listy państwowej i 135 z list okręgowych PSL było uwięzionych w tym Szyguła; Ślázak został zakatowany przez UB wobec odmowy wycofania swej kandydatury.

Jawne głosowanie

Jawne głosowanie było sprzeczne z konstytucją z 1921 roku, z uchwaloną przez komunistów ordynacją wyborczą, a także z umową jałtańską, porozumieniem w Moskwie i zobowiązaniem przyjętym w Poczdamie przez delegację Rządu Jedności Narodowej. Mimo to już na kilka tygodni przed głosowaniem wszczęta została szeroka propaganda przez cały aparat komunistyczny na rzecz jawnego głosowania. W dniu głosowania pod groźbą zwolnienia z pracy zmuszano pracowników do zbierania się w zakładach pracy oraz na dziedzińcach domów mieszkalnych, skąd pod nadzorem tzw. blokowych prowadzono do urn, by razem jawnie głosować. System ten jednak wobec zdecydowanej postawy wyborców szybko załamał się. W ośrodkach wiejskich system jawnego głosowania nie dał żadnego rezultatu, wobec czego w lokalach głosowania odbywały się nieprawdopodobne sceny, jak bicie wyborców przez wojskowych propagandzistów i funkcjonariuszy UB za sprzeciwianie się jawnemu głosowaniu.

Wyniki głosowania

Obliczanie głosów wykazywało, że wszystkie metody gróźb, terroru, zmuszanie do jawnego głosowania na blok zawiodły. Głosy oddane przez wyborców do urny wykazywały zdecydowaną większość na rzecz PSL. Wobec tego, zgodnie z instrukcją Stalina, komuniści, a właściwie ich aparat wyborczy na czele z Radkiewiczem zmuszony był uciec się do ostatecznego środka fałszowania woli wyborców, jakim było wnoszenie do protokołów komisji obwodowych liczb sprzecznych z wynikami otrzymanymi z obliczenia głosów. Dokonanie tego „cudu” wyborczego należało do obowiązków funkcjonariuszy UB i propagandzistów grup ochronnych. Dane cyfrowe, jakie żądali oni do wniesienia do protokołów, były w tak rażącej sprzeczności z obliczeniami, że nawet zasiadający w komisjach członkowie partii próbowali je złagodzić. Oczywiście bezskutecznie.

W rezultacie tych fałszerstw protokoły wykazały 86 % na rzecz bloku i 6 % na rzecz list PSL, co dało dla PSL 28 mandatów na ogólną liczbę 444.

Wprawdzie z wyników wyborów Sekretariat Naczelny PSL nie zdołał uzyskać tak dokładnych danych, jak to miało miejsce odnośnie referendum, ale mimo tych strasznych metod, stosowanych w ostatnich miesiącach z wyraźną intencją zniszczenia PSL,

zebrano sporo materiału, dającego wręcz odwrotny obraz wyników w zestawieniu z danymi zaprezentowanymi przez Generalnego Komisarza Wyborczego. Z przeszło 100 obwodów wyborczych, w których do końca czynności komisji utrzymali się mężowie zaufania PSL, zestawienie wyników wykazało 63 % głosów oddanych na PSL, 28 % na blok komunistyczny, 9 % wyborców nie brało udziału w głosowaniu. Poza informacjami od mężów zaufania sieć PSL zdołała zdobyć wyniki obliczeń głosów od członków komisji wyborczych z przeszło 1.200 obwodów. Te informacje w zestawieniu wykazały 68 % głosów na listy PSL i 22 % na blok.

PSL, a właściwie prezes Mikołajczyk otrzymał informację z poufnego źródła, że komuniści w tajnym sprawozdaniu do Stalina poza oficjalnie ogłoszonym wynikiem podali faktyczny wynik, który w tym sprawozdaniu określony był na około 84 % głosów na rzecz PSL. Odsetek ten w świetle danych, uzyskanych przez PSL z przeszło 1.300 obwodów, ustalonych przez komisje po zakończeniu głosowania, jest bliski rzeczywistego stanu. Wszak w trakcie głosowania, nie mówiąc już o okresie przed głosowaniem, stosowano różne nadużycia, mające na celu, jak to mówił Szwalbe, poprawienie wpływów bloku kosztem PSL, czego protokoły z 1.300 obwodów nie uwzględniają. Gdyby wybory były zupełnie wolne, to odsetek głosów na rzecz PSL byłby bezwzględnie wyższy od podanego w sprawozdaniu dla Stalina.

Po wyborach

Wyborami zakończony został odrębny okres walki narodu polskiego na czele z PSL przeciwko sowieckiemu imperializmowi w oparciu o umowę jałtańską. W okresie tym PSL poniosło duże ofiary. Wystarczy wymienić 128 morderstw dokonanych na działaczach PSL łącznie z trzema ofiarami spalonej osady Wąwolnica przez funkcjonariuszy UB. Wśród tych ofiar 2-ch członków NKW i jeden działacz śląski, kandydat na posła, zakatowany w UB wobec odmowy wycofania swej kandydatury. Nie można tu przemilczeć również 29 ofiar pogromu kieleckiego, organizowanego z pełną premedytacją przez funkcjonariuszy UB dla niecnego celu obciążenia odpowiedzialnością za tę straszną zbrodnię nie tylko PSL, ale również popierającej go olbrzymiej większości narodu, określanej przez komunistów wyświechtanym mianem reakcji.

Przy zastosowaniu jawnego fałszerstwa woli narodu wyrażonej w dniu 19 stycznia 1947 komuniści utrzymali się przy władzy,

ale nie został osiągnięty główny cel, jaki wytyczył Stalin posłusznym mu narzędziom w sierpniowej konferencji w Moskwie. Nie tylko nie został unicestwiony opór narodu, ale nawet ta jego część, jaką było PSL szczerbione i łupane przez blisko 2 lata, w dalszym ciągu po sfałszowanych wyborach wyraża w sejmie razem z niezależnym socjalistą, Zygmuntem Zuławskim, właściwą wolę narodu. Długo jeszcze komuniści stosowali różne metody terroru, posługiwali się fałszywymi oskarżeniami i preparowanymi na ich podstawie wyrokami, by usunąć z sali sejmowej to nieliczne grono posłów PSL, będące wyrzutem sumienia dla fałszerzy. Ofiarą metod tego okresu był również adwokat, wybitny działacz PSL, członek NKW, Dr Stanisław Tabisz zamęczony w kazamatach UB.

PSL zostało ostatecznie zlikwidowane. Chłopi w dużej części przy użyciu przemocy wtrąceni zostali do kółchozów, które przy najbliższej okazji w 1956 roku zostały przez tychże chłopów zlikwidowane. Jednakże i tym razem nie złamano ducha oporu narodu. Opór ten kontynuowany był przez duchowieństwo z prymasem na czele, przez młodzież, przez masy robotnicze. Świadczą o tym wydarzenia lat 1956, 1968, 1970 i ostatnio w czerwcu 1976 roku. Proces ten trwać będzie dopóki obywatel nie przestanie być traktowany jako przedmiot eksploatacji i nie zostaną mu przywrócone należne prawa ludzkie.

Tego nie przewidział Lenin, ani też realizator jego wskazań Stalin. Czas najwyższy, aby młodsza generacja ich wyznawców po okresie 60-cioletnich strasznych doświadczeń na narodach Związku Sowieckiego, a od przeszło 30 lat i na narodach bloku sowieckiego, dokonali zasadniczej korekty owej spuścizny leninowsko-stalinowskiej, zeszli z wertepów okrutnej tyranii i wkroczyli na drogę socjalizmu z ludzką twarzą.

Stanisław WÓJCIK

USA, Marzec 1977.

U w a g a: Jestem tym, którego drogi z Mikołajczykiem rozeszły się tu na emigracji i do chwili obecnej nie zmieniłem swego przekonania o słuszności stanowiska zajętego w 1954 roku razem z resztą członków NKW.

Nie oznacza to wcale, aby rozejście się nasze wpływało w czymkolwiek na zmianę oceny działalności Mikołajczyka i położonych przez niego zasług w okresie naszej współpracy w latach zmagania (1945-1947) z narzucanym narodowi sowieckim ustrojem.

St. W.

WSPOMNIENIA

Anatol MÜHLSTEIN

PAMIĘTNIK

1 września 1939

Natychmiast po obudzeniu się rano rzucam się z niepokojem na gazety. Są tam wymienione warunki Hitlera.

Telefonuję do ambasadora, który mówi mi o niemieckiej agresji i bombardowaniach lotniczych. Łukasiewicz jest podniecony, spocony...

Anatol MÜHLSTEIN (1889-1957) zaczął prowadzić dziennik, a raczej luźne notatki pisane na gorąco, w okresie 1939-1940, później pisania zanichał. Pisał po francusku, zapewne ze względu na córki. Wspomnienia są bardzo kontrowersyjne, wyrażają sądy często krzywdzące i niesprawiedliwe — są one jednak dokumentem epoki. Mühlstein w kilku momentach odegrał wielką rolę w polityce polskiej, rolę zakulisową, bardzo mało znaną. Była to sprawa wojny rewolucyjnej z Niemcami, gdzie był jednym z pośredników Marszałka Piłsudskiego, jak również ogromna rola w usadówieniu generała Sikorskiego przy władzy po klęsce wrześniowej, za co mu odpłacono czarną niewdzięcznością. To w pewnej mierze tłumaczy namiętny ton notatek. Z pamiętnika, który życzliwie udostępniła nam jego córka, zamieszczamy jedynie fragmenty dotyczące spraw polskich.

Pamiętnik, pisany na gorąco zawiera też szereg nieścisłych informacji i plotek, powstających na skutek braku komunikacji.

By przedstawić pełniej czytelnikom postać Mühlsteina zamieszczamy także (ze skrótami) wspomnienia Kajetana Morawskiego, które ukazały się w *Kulturze* w styczniu-lutym 1958 roku. Mimo pewnego protekcyjnego tonu i ostrożności — tak charakterystycznej dla amb. Morawskiego — daje on dość pełną sylwetkę A. Mühlsteina.

Z *Kulturą* łączyły go przyjazne stosunki — kilkakrotnie pomagał nam swymi dużymi możliwościami; sprawy polskie jednak interesowały go i jeszcze w 1957 roku, mimo choroby, gotów był jechać do Warszawy na nieoficjalne negocjacje w sprawie dużej pomocy finansowej dla Polski — szło o modernizację polskiego kopalnictwa węglowego. Był to nasz projekt, który wzbudził duże zainteresowanie poolu węglowo-stalowego i Quai d'Orsay, ale z którego nic nie wyszło — prawdopodobnie z powodu ignorancji i nieufności Warszawy, a przede wszystkim Jędrzychowskiego.

Będąc wciąż urzędnikiem dyplomatycznym, stawiam się do jego dyspozycji. W kilku słowach przypominam mu moją sytuację; proszę by, w braku pozytywnej roboty, pozostawił mi swobodę. Mogłbym wtedy przynajmniej wstąpić do armii francuskiej. Łukasiewicz żąda ode mnie pozostania w jego dyspozycji i dostarczania wiadomości. Moja sytuacja zostanie uregulowana później, gdy wypadki pozwolą mu nieco odetchnąć. Zgodziłem się. W ciągu dnia spotkałem się z Jacques Helbronnerem. Jego agenci zapowiadają inwazję Holandii i Szwajcarii. W stosunkach dyplomatycznych sygnalizują ochłodzenie włosko-niemieckie. Po raz pierwszy urząd Ribbentropa zaczyna wątpić w wierność Italii.

2 września 1939

Widziałem się rano z Łukasiewiczem. Jest zaniepokojony opóźnieniem się mocarstw z wejściem do wojny. Anglia zaleca ultimatum w należytej formie, z bardzo krótkim terminem. Francja, czy też ściślej Georges Bonnet, jest za długim, 48-godzinnym terminem.

Widziałem się o 10.30 wieczorem z Mandel'em, u niego. Miasto jest zaciemnione, z trudnością można znaleźć drogę.

Mandel jest surowy i bezlitosny dla swoich kolegów. „Pan ich nie zna — mówi. Oni umierają ze strachu. Mają wciąż nadzieję, że się to ułoży w ostatniej chwili i z tego powodu szukają wykrętów. Idą na pomoc Polsce z utajoną nadzieją, że przyjdą po niewczasie. Dyskusja nad terminem ultimatum trwała półtorej godziny. Ministrowie mówili, rozprawiali, wyłuszczając swe *pro* i *contra*.

„Jednakże — mówił dalej Mandel — niech się Pan nie niepokoi. Najpóźniej jutro wieczorem Francja będzie w stanie wojny z Niemcami”.

— Jak Pan tę wojnę sobie wyobraża? — zapytałem.

— Wojna będzie trudna i długa. Dopiero po wypowiedzeniu jej zaczną się przygotowania zarówno tu jak i w Anglii. Mamy mniej ciężkiej artylerii teraz, niż mieliśmy w roku 1918. Jak długo możecie wytrwać? To jest ważne jeśli mamy przyjąć wam z pomocą. Trzeba przygotować operację przez Saloniki, korzystając z dobrych nastrojów w Jugosławii. Trzeba atakować linię Zygryda. Mówią o niej, że jest nie do przebycia. Co za nonsens! Jest to kwestia artylerii i stanów liczebnych armii. Mamy wojska kolonialne. Nie będziemy, mimo wszystko, mazgać się, jeśli pół miliona Murzynów padnie trupem.

Jadłem obiad z cesarzem austriackim, Ottonem. Jest to sympatyczny, przystojny młody człowiek, pełen nadziei, że zaraz na początku wojny Austriakom oddane zostanie ich poselstwo. Mówi, że wie z pewnego źródła, jakoby wojna została wypowiedziana na żądanie armii, a nie partii, która wołałaby odczekać wybory prezydenckie w Ameryce.

Jest to sprzeczne z informacjami dostarczonymi przez placówki Marigny Club.

3 września 1939

Wyjechałem z powrotem z Deauville o 11-tej rano. Drogi względnie puste, spotyka się jeszcze sporo aut. Dużo rekwirowanych koni. Stan wojny we Francji istnieje od 5-tej wieczorem, w Anglii — od 11-tej rano.

4 września 1939

Widziałem się z Łukasiewiczem. Jest zdenerwowany, wzburzony. Ma wciąż urazę do Francji, nie wiadomo właściwie dlaczego. Ale mniej udaje zucha.

5 września 1939

Tej nocy pierwszy alarm lotniczy, nie wiadomo czym spowodowany. Czy były samoloty nad Paryżem, czy nie — nikt nie wie. Gazety w kioskach i chleb w sklepach opóźniły się o kilka godzin.

Widziałem się z Łukasiewiczem. Tym razem był spokojniejszy. Powiedział mi, że podpisał z Francją protokół, zakazujący obu państwom zawarcia pokoju oddzielnie. Dodał przy tym — rzecz zupełnie zdumiewająca! — że Bonnet podpisał protokół nie wiedząc co on zawiera.

Jadłem śniadanie u Maxim'sa przy stole Edouarda Rothschilda z Robertem de Billy w mundurze lotnika.

Widziałem się dłużej z profesorem Debré, który przyjął mnie w mundurze. Został on w przedzień ogólnej mobilizacji mianowany lekarzem — konsultantem sił zbrojnych. W czasie wojny jest to dla osoby cywilnej najwyższe stanowisko lekarskie. Całość zagadnień, dotyczących higieny i opieki lekarskiej nad żołnierzami rannymi lub chorymi, jest powierzona Komitetowi, złożonemu

z trzech członków: generała — naczelnego lekarza, szefa jego sztabu i lekarza-konsultanta sił zbrojnych, który ma być konieczną osobą cywilną — profesorem na Sorbonie i członkiem Akademii Medycznej. Wszyscy trzej są przydzieleni do Kwatery Głównej.

Prof. Debré wygłosił wobec mnie mowę pochwalną na rzecz oficerów z którymi jest w kontakcie. Są to ludzie poważni, świadomi wagi zadania, które im przypadło.

Krew żołnierza będzie oszczędzana. Dowodzący obecnie generałowie byli porucznikami w wojnie 1914-1918. Wiedzą ile ofiar ludzkich kosztowała lekkomyślność niektórych szefów pierwszej wojny światowej.

Zażądano od prof. Debré, by nie rozpoczynał generalnego szczerzenia żołnierzy w chwili, kiedy wojsko zajmuje pozycje bojowe i może być w krótkim czasie skierowane do akcji. Prof. Debré zgodził się na odroczenie szczerzenia pod warunkiem, że nie będzie podjęta akcja na dalszy dystans. Zdaje się więc, że nie mają zamiaru okazać Polsce pomocy natychmiastowej. Los Polski rozstrzygnie się na polach bitew we Francji.

Dopiero co słyszałem w radio niemieckim, po polsku, wiadomość o zajęciu (*brak w rękopisie*) i Jaworzna na północ od Wadowic. Uwzględniając przesadę, ma się jednak wrażenie, że na froncie polskim dzieje się źle, bardzo źle. Niestety, przewidywałem to aż za nadto. W jaki sposób ten okropny rząd mógłby przygotować kraj do wojny?

6 września 1939

Pojechałem do Deauville. Drogi nie zatłoczone. Wszędzie odnosi się wrażenie porządku i spokoju.

7 września 1939

Wróciłem z Deauville z Arturem Rubinszteinem, który decyduje się nareszcie wyjechać razem z rodziną do Hiszpanii, a następnie do Ameryki.

Widziałem się z Łukasiewiczem, który zapowiada wkrótce kontrofensywę na froncie polskim. Sytuacja tam wydaje mi się, szczerze mówiąc, fatalna. Kraków i Łódź zajęte przez Niemców, którzy są o 80 km. od Warszawy. Ruch wojsk niemieckich naprzód jest bardzo szybki.

Giraudoux próbował dziś wytłumaczyć przez radio dlaczego polski Sztab Główny rozkazał bronić tereny przygraniczne, zamiast zarządzić natychmiastowy odwrót. Wykład mętny, nieinteresujący, prawie niezrozumiały. Nic zresztą nie mogłoby wytłumaczyć powodów, dla których polskie Naczelne Dowództwo nie nakazało szybkiego odwrotu, aby uratować armię.

Moje przecucia są, niestety, bardzo ponure. Oczywiście, kontrofensywa jest teoretycznie możliwa, ale czy wojska polskie, bombardowane przez lotnictwo wroga, mogłyby rzeczywiście uszykować się na nowo? Wschodnia część kraju ma mało linii kolejowych. Ilość samochodów jest śmiechu warta, podczas gdy po drugiej stronie jest wręcz odwrotnie. Gdybyż przynajmniej można było mieć zaufanie do dowódców. Ale ja ich znam; są to ludzie mierni, aroganccy, niepoważni, próżni i zarozumiali w stopniu przechodzącym wszelkie wyobrażenie. Wydawało mi się zawsze, że katastrofa jest nieunikniona. Ciągle przepowiadałem ją swoim bliskim. Teraz, kiedy ona jest już faktem, serce mi się kraje, łzy cisną się do oczu. Co się stanie z moimi przyjaciółmi w tym piekle? Filip, Walfisz, Błeszyński — czy żyją oni jeszcze?

Dziś wieczorem radio niemieckie ogłosiło kapitulację Westerplatte. Dzielni chłopcy, trzymali się tydzień, będąc okrążeni przez nieprzyjaciela ze wszystkich stron.

Jadłem obiad z Mohlem. Opowiadał że Łukasiewicz, chcąc mieć swoją manifestację przed ambasadą, nakazał podjąć Lechoniowi potrzebne kroki. Z pomocą Róży Bailly zmobilizowano setkę członków stowarzyszenia „Amis de la Pologne” do których dołączyli urzędnicy konsulatu. Wydawano przed ambasadą okrzyki „Niech żyje Polska”. Nędzna komedia w tej tragicznej chwili.

Ambasador był u Prezydenta Republiki. Zaczny Lebrun nie omieszkał przypomnieć Łukasiewiczowi wszystkich błędów, wszystkich karygodnych czynów polskiej dyplomacji...

8 września 1939

[...] Śniadanie u Maxim'sa z Edouardem Rothschildem i jego rodziną. Był tam również wysoki urzędnik z południa i panna w wieku mniej więcej czterdziestki (nazwisk obu tych osób zapomniałem). Sala, jak zwykle, dość barwna. Przy jednym stole Pierre Brisson w mundurze wojskowym, przy drugim admirał Darlan, parlamentarzyści, dziennikarze... Wszyscy rozprawiają, jedzą i nie wydają się przygnębieni.

Po śniadaniu wychodzimy razem z Robertem de Billy, który mówi, że Bonnet'a ma zastąpić Herriot i że pomiędzy Ministrem

Spraw Zagranicznych a Sztabem Głównym nie ma zgody, bo Quai d'Orsay, z wyjątkiem Leger'a, jest defetystyczne. Wracający z Niemiec konsulowie, którzy przywożą wiadomości o słabości wewnętrznej tego kraju, nie są przyjmowani uprzejmie. Quai d'Orsay chciałoby układać się po upadku Warszawy.

Powtórzyłem tę wiadomość Łukasiewiczowi, który już wiedział o niej od de Monzie. Poza tym gadał głupstwa, jak zwykle. Najpierw oświadczył, że zmiany ministerialne to nie jego sprawa, ale nominacja Herriota byłaby klęską. Potem zmienił zdanie i przyznał, że odejście Bonneta byłoby jednak dla Polski pomyslnie. Oświadczył mi, że poczynił nawet pewne kroki w tym sensie, oraz, że p. Jeanneney, który musiał mu w tym pomagać, jest jedynym przyzwoitym człowiekiem we Francji!

Kandydatem Łukasiewicza na Quai d'Orsay jest Delbos, który, moim zdaniem, nie ma szans, przynajmniej nie teraz. Pomijam zwykłą serię jego obelg pod adresem Francji. To jest rzeczywiście ambasador szczególnego rodzaju.

Dziś rano byłem na Quai d'Orsay, aby dowiedzieć się czy jest tam Odette Bonnet. Wychodziła właśnie i mogłem przez chwilę z nią rozmawiać. Bardziej spokojna niż zwykle powiedziała mi:

„Łukasiewicz opowiadał głupstwa Georges'owi. Przechwalał się, że Polacy zajmą Prusy Wschodnie w ciągu kilku dni, bez żadnej pomocy”.

To jest zupełnie ściśle, Łukasiewicz mówił to mnie także. Umówiłem się z Odette na obiad razem z Georges'em na początku przyszłego tygodnia.

O szóstej widziałem się z Mandelem. Sytuacja na froncie polskim nie wydaje mu się beznadziejna. Zawołał jednego ze swoich oficerów i polecił mu zreferować przy mnie wiadomości z Polski. Niemcy wzięli 25 tysięcy jeńców i pewną ilość materiału wojennego. To nie jest szczególnie niepokojące. Trafiła do niewoli siódma dywizja, a z nią generał Gąsiorowski. Wydaje mi się, że *gros* armii uniknęło okrążenia. Generał Gamelin uważa, że zaledwie 15 dywizji na 45 zostało przez dowództwo polskie wprowadzonych do boju. Jednym słowem — nie jesteśmy w obliczu klęski.

Operacje na froncie francuskim mają rozpocząć się jutro lub po jutrze. Dotąd nie było tam starć. Niemcy nie strzelali do francuskich patroli. Do godziny 11-tej wczoraj nie było jeszcze rannych. Ale operacje rozpoczęły się i będą poważne. Jeżeli nie dadzą wyniku, wypadnie zmontować nową operację w październiku.

W dziedzinie polityki mamy zmiany ministerialne. Trzej ministrowie odchodzą, tworzą się dwa nowe ministerstwa: Zbrojeń i Blokady. Możliwa jest zamiana Bonneta przez Herriota w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ma to być załatwione w niedzielę wieczorem.

Sądziłem, że te zmiany są raczej pocieszające. Zaniósłem je więc Łukasiewiczowi; nie okazał on jednak zadowolenia, którego oczekiwałem.

Według niego Francuzi są zwariowani, głupi i nieuczciwi. Nie honorowali warunków konwencji, według której powinni byli interweniować od trzeciego dnia mobilizacji. Nie wiem ile jest w tym prawdy, ale wydaje mi się, że człowiek tak podniecony, jak Łukasiewicz w owej chwili, nie może mieć racji.

Wieniawa donosi, że Włosi zezwolili na eksport materiału wojennego, m.in. samolotów, zamówionych we włoskich fabrykach.

Łukasiewicz wyciąga z tego wniosek, że Włochy są gotowe zdradzić Niemcy i ugodzić się z Francją i Anglią, ale sądzi, że Bonnet nie umie negocjować, jest zbyt miękki. Być może, chociaż wiadomości wychodzące od Łukasiewicza należy — według mnie — przyjmować jako niepewne.

Jaśćłem obiad u Fouqueta z Arturem Rubinszteinem, Misią, Sert i Lechoniem. Na sali był król albański Ahmet Zogu. Przy wyjściu zaczął mnie Hervé Alphand i jakiś młody dyplomata francuski. Dzięki wiadomościom uzyskanym od Mandela, mogłem ich uspokoić.

Wróciłem jeszcze na Avenue Marigny. Miasto jest ciemne, tylko kilka niewyraźnych światełek niebieskich lub zielonych przerywa czarną głębię ulic. *Gardes mobiles* sprawdza papiery przechodniów. Pogoda wspaniała, ciepło jak w sierpniu. Dla nalołów lotniczych warunki idealne.

Wojna powoli instaluje się. Od 11 bm. niezbędne będą specjalne pozwolenia na jazdę samochodem. Mówi się o wprowadzeniu bonów na benzynę.

9 września 1939

Powiedziano mi w ambasadzie, że Quai d'Orsay odmówiło zaopatrzenia mego paszportu w specjalną wizę, przewidzianą dla członków Korpusu Dyplomatycznego, figurujących oficjalnie na liście. Zapytałem Łukasiewicza, czy nie mógłby mnie umieścić na niej jako radcę do szczególnych zleceń. Odpowiedział, że nie

może tego uczynić bez upoważnienia Warszawy. Jego ton nie podobał mi się.

Widziałem się z Jacques Helbronner'em. Otrzymał on ciekawe wiadomości: Niemcy zamierzają, zaraz po zajęciu Warszawy, stworzyć rząd polski na wzór rządu Hachy i, za pośrednictwem Mussoliniego, zaproponować Francji i Anglii pokój, a w razie odmowy, zaatakować całą siłą, zapraszając do współdziałania Włochy a nawet Rosję. Ten ostatni punkt wydaje mi się wątpliwy. Wobec sukcesów niemieckich w Polsce, spory generałów, zdaje się, ucichły. Z tegoż źródła twierdzą, że neutralność Włoch została ogłoszona w porozumieniu z Berlinem.

Były Kanclerz Wirth jest tego samego zdania. Twierdzi, że istnieją kontakty z niemieckim duchowieństwem, którego hasłem będzie: uwolnić się od Antychrysta — i pokój jest zapewniony.

Czuję się coraz bardziej przygnębiony, nie znajduję bowiem dla siebie miejsca w tej wojnie.

Konieczność przestawania z takim głupcem jak Łukasiewicz — doprowadza mnie do rozpacz. Każde jego słowo — to bzdura — i na to nie ma rady. Polskę zabijają: miernota i głupota, próżność i arogancja. Biedny kraj, na wpół martwy, który rządzące nim łotry w końcu zamordują. Naród polski, dobry i odważny, zasłużył na lepszych przywódców.

Czuję się bardzo nieszczęśliwy.

Dowiaduję się, że Eugène Rothschild napisał do dyrektora kopalni rudy żelaznej w Szwecji, należącej do Witkowic, zakazując sprzedawać rudę Niemcom. Co zrobi rząd niemiecki, który jest dostawcą Witkowic, podczas gdy „KUX” tego ogromnego przedsiębiorstwa są powierzone trustowi angielskiemu, „Alliance”. Rząd szwedzki będzie miał kłopoty.

Napisałem do ambasadora rumuńskiego z prośbą o przyjęcie mnie. Bardzo bym chciał dowiedzieć się o losach naszego wspólnego przyjaciela Arciszewskiego, b. ambasadora w Bukareszcie. Zobaczę go w poniedziałek.

.....

11 września 1939

Dziś rano p. Blanc, dyrektor gabinetu Langerona, przyjął mnie bardzo uprzejmie w Prefekturze Policji i polecił odnowić moją kartę tożsamości. Z przepustką i pozwoleniem na jazdę autem poradził zaczekać do 20-go, ponieważ te rzeczy nie są jeszcze gotowe.

Około południa widziałem się z ambasadorem rumuńskim Frassołović. Rozmowa serdeczna. Ambasador wierzy w tajne porozumienie niemiecko-rosyjskie. Powiedział tę swoją opinię Beckowi, który zupełnie w to nie wierzy. Postawa Włoch wydaje mu się również podejrzana.

Widziałem się też z J. Helbronner'em. Nie wie nic nowego. Wbrew temu co mi powiedział Mandel, zmiany ministerialne wczoraj wieczorem nie nastąpiły.

Byłem na obiedzie u Ritza z Mohlem, Janem Lechoniem i Mowrerem. Ten ostatni sądzi, że Stany Zjednoczone będą interweniować czynnie jedynie wówczas gdyby sytuacja Francji i Anglii bardzo się pogorszyła. Nie wątpi w pomoc materialną i przysyłanie ochotników. Jego zdaniem, potwierdza to wypowiedzenie wojny przez Kanadę, która w przeciwnym wypadku zachowałaby neutralność po to, aby służyć jako składnica.

Profesor Minkowski polecił mi niejakiego dra Senler'a, Austriaka polskiego pochodzenia. Jest on w okropnej sytuacji; dałem mu 400 franków.

12 września 1939

Sytuacja bez zmian. Polski komunikat donosi, że Warszawa wciąż trzyma się. Mnie się zdaje, że atak niemiecki kieruje się głównie na północny odcinek Bugu, aby obejść stolicę i na południowy w celu przecięcia komunikacji z Rumunią.

Opór wojsk jest silny, lecz naczelnemu dowództwu wyraźnie brakuje inicjatywy. Nie jestem tym zaskoczony. Znam tych ludzi i nigdy nie łudziłem się co do nich. Trzeba otwarcie powiedzieć, że ich wartość jest mierna, a próżność niezmiernie duża. Tych, którzy mieli niezależny sąd — usunięto; taką stosowano zasadę w dyplomacji, jak i w armii. Dodajmy do tego środki techniczne nieprzyjaciela, druzgocącą przewagę jego lotnictwa i broni zmotoryzowanej, a wtedy zrozumiemy co się stało na froncie polskim. Ośławiona bitwa, którą mi codziennie zapowiada Łukasiewicz, prawdopodobnie nigdy rozegrana nie zostanie. Zresztą, w jaki sposób mogłoby się dokonać przegrupowanie armii polskich? Na wschód od Wisły, na Bugu, koleje są nieliczne, a drogi rzadkie. Panowanie w powietrzu pozwala Niemcom wiedzieć o ruchach armii i im przeciwdziałać. Wskutek wielkiego braku pojazdów motorowych, poruszanie się jest powolne. Pozostaje tylko dzielność chłopca, robotnika, odwaga szarych ludzi, których można posiekać na miejscu, ale w ten sposób nie wygrywa się bitew.

Po krótszym lub dłuższym popasie, Niemcy ruszą znów na-

przód i zajmą całe terytorium państwowe, jeśli Rosjanie nie zagarną również jakiegoś jego skrawka. Powiedziałem Mandel'owi że Polska będzie mogła bronić się miesiąc, lub sześć tygodni. Byłem może zbyt wielkim optymistą. [...].

J. Helbronner opowiedział mi, że wczoraj siedział w poczekalni Leger'a w towarzystwie Łukasiewicza. Łukasiewicz był zdenerwowany i wzburzony, chodził po pokoju jak lew po klatce. Oto człowiek, na którym leży ciężka odpowiedzialność. Był entuzjastycznym wykonawcą polityki Becka, wyrósł na swoim mistrzu. Ten ambasador polski odmówił zaproszenia gen. Weygand'a do Ambasady! Podczas pobytu Kaden-Bandrowskiego w Paryżu Lechoń sugerował, by zaproszono gen. Weygand'a na obiad choćby z tego powodu, że jest członkiem Akademii Francuskiej. Łukasiewicz skreślił nazwisko znakomitego współpracownika Foch'a, z komentarzem: „To za wcześnie, niech zaczeka”. Te słowa warto zanotować.

Ambasador Polski dowiedział się o wyjeździe Weyganda na Bliski Wschód i o jego zamiarze odwiedzenia Polski tylko z powodu wizy, o którą generał musiał poprosić. Łukasiewicz wyraził wyniosłe swoje niezadowolenie z tego powodu.

Rekonstrukcja rządu, która miała być zakończona w niedzielę wieczorem, nie nastąpiła. Kompletny bałagan. Pierwsza kombinacja z Edwardem Herriot'em w MSZ została podobno obalona przez Senat. Druga, z Daladier'em w MSZ, Pétain'em w MSWojskowych, jakoś się także nie udaje. Nic nie wiadomo, panuje zamieszanie i chaos.

W restauracji Chanland'a spotkałem dziś Mistler'a. Długa rozmowa we trójkę z R. De Billy. Mistler jest mroczny jak noc. Nic nie jest gotowe, ani pod względem wojskowym, ani dyplomatycznym.

Daladier na czele rządu — według niego — to byłaby katastrofa. On niczego nie przewidział, nic nie przygotował. To co się dzieje na froncie polskim, mianowicie panowanie Niemców w powietrzu, mogłoby doskonale powtórzyć się tutaj. Jak dotąd Niemcy nie chcą się bić z Francuzami. Powiadają o tym plakatami żołnierzy francuskich. Na wsi szerzy się niezadowolenie z powodu bezładu przy rekwizycjach. Taki sam nastrój przeważa w Izbie Deputowanych i w Senacie. Według słów Mistler'a, sprawy idą jak najgorzej.

Z trudnością przychodzi mi streszczenie tego monologu prezesa Komisji Spraw Zagranicznych, nie mniej sens ogólny jest jasny. Mistler i jego kolega w Senacie — Beranger — są tymi, którzy przygotowują grunt dla przyszłych rezygnacji.

Widziałem się z Łukasiewiczem. Rozmowa nieinteresująca. Przyznał się, że brał udział w uruchomieniu kampanii przeciwko Daladier, którego teraz piętnuje za bezczynność, podczas gdy przed dwoma tygodniami wychwalał jego znakomitą postawę. Z Polski nie ma nowych wiadomości, prócz depechy od syna, który jest we Lwowie we względnym bezpieczeństwie.

W Paryżu znów noc bez alarmu. Czy mamy naprawdę obronę przeciwko samolotom? Bóg to wie. Sprowadzono z Marsylii działa przeciwlotnicze dla wzmocnienia obrony Paryża. [...]

13 września 1939

Znów noc bez alarmu. Jadłem obiad z rodziną u Maxim'sa. Jak zwykle — przepełnienie. Zgiełk okropny. Przy wyjściu zaczęli mnie Bernstein i Ewa Curie. Byłem zmuszony do rozmowy o sytuacji. M.in. powiedziałem Ewie, że jest naprawdę przesadą oskarżać Francuzów o wszystkie zawody. Nieszczęścia Polski są przede wszystkim dziełem jej rządu. Francja spełniła swój obowiązek — wypowiedziała wojnę Niemcom. Co do prowadzenia operacji wojskowych — nie czuję się kompetentny do wydawania o nich sądów. Generał Gamelin zrobił na pewno to, co należało. Nie znając jego planów, nie możemy ich osądzać.

Będę się widział o 5-tej z Mistler'em, a o 6.30 z Mandel'em. Na wieczór zaprosiłem na obiad Kawałkowskiego.

Notuję wiadomość uzyskaną od Bernstein'a, że nasz ambasador w Ameryce, Jerzy Potocki, powiedział mu dosłownie co następuje: „Nie jesteście (Francuzi) nam potrzebni! pobijemy Niemców sami”.

Tu, w Paryżu, Łukasiewicz nie mówił tak, ale prawie. Co za błazen!

O 5-tej poszedłem na spotkanie z Mistler'em. Prezes Komisji Spraw Zagranicznych jest bardzo ponury. Opór Polski wydaje mu się beznadziejny. Pomiedzy armią niemiecką a armią polską nie ma żadnego porównania. Pierwsza jest współczesna armią zmotoryzowaną, zaopatrzoną w potężne lotnictwo, druga jest armią starego typu. Pomiedzy armią polską a armią francuską nie ma żadnej łączności. Wbrew samochwalstwu Łukasiewicza armia polska nie mogła stawić poważnego oporu. Beck jest grabarzem Polski. Sygnalizują nam teraz ruchy nacjonalistyczne w Galicji Wschodniej. Poza tym — co robi Rosja?

Nie warto kontynuować tego streszczenia wywodów Mistler'a. Jest on niewątpliwie za natychmiastowym pokojem i uważa Polskę za wykończoną. Gdy napomknąłem o swojej trudnej sytuacji

osobistej, odpowiedział, że nie pozostaje mi nic innego, jak naturalizować się jako Francuz.

Mistler jest zdecydowanym przeciwnikiem Daladier'a. Opłakuje ewentualne odejście Bonnet'a, którego robotę dyplomatyczną pochwała. Niedawno — powiada — mieliśmy do obrony trzy granice. Obecnie mamy przyjazną Hiszpanię i neutralne Włochy — przynajmniej tymczasowo, co nam pozwoli zakończyć spokojnie koncentrację naszych armii. Wyszliśmy z Mistlerem razem; odprowadziłem go do Chautemps.

O 7-mej krótkie spotkanie z Mandel'em. Był bardzo zajęty i tłumaczył się, że nie może mnie zatrzymać dłużej. Miał nawet pracy, a w chwili, kiedy mnie przyjmował, ministerstwo się tworzyło. Mam zbyt dużo politycznego doświadczenia by nie zdawać sobie sprawy ile wzruszeń dawała taka chwila ministrowi. Opuściłem więc mego przyjaciela Mandel'a po kilku minutach rozmowy. Pogląd jego na sytuację może być streszczony w następujący sposób: położenie Polski nie jest tak katastrofalne, Polacy bronią się wspaniale, kładą trupem wielu Niemców. Sytuacja ich nie pogorszyła się w ciągu ostatnich czterech dni, ale też nie poprawiła się. Jest nieco nadziei.

W gruncie rzeczy opinia ministrów o Polsce wpływa z ich ogólnej postawy w stosunku do wojny. Ci, którzy są za natychmiastowym pokojem — obnoszą się ze swoim pesymizmem. Ci, którzy chcą prowadzić wojnę w dalszym ciągu aż do zwycięstwa — okazują pewien optymizm w stosunku do Polski.

Jadłem obiad z Kawałkowskim, konsulem generalnym w Lille, któremu ambasador zlecił negocjacje w sprawie dywizji polskich we Francji. Kawałkowski jest typem dobrego Polaka. Skromny, spokojny i rozważny entuzjasta, nosi w sobie znamię szkoły Filipa Endelmana.

Zgodziłem się z nim prawie we wszystkich punktach. Jego opinia o Łukasiewiczu jest druzgocąca. Ambasador, tak stanowczy w rozmowach ze mną, ulega napadom ciężkich depresji.

Trzeba zanotować następujący, smakowity szczegół: Łukasiewicz skreślał z przygotowanych przez Kawałkowskiego projektów przemówień w radio wszystkie wzmianki o legionach Dąbrowskiego. Usunął nawet imię Napoleona. Jego nienawiść do Francji jest naprawdę chorobliwa. Kawałkowski w ciągu kilku lat żył się z Francją i żywi dla niej przyjaźń i podziw. To mu pozwala pertraktować z Francuzami kurtuazyjnie i skutecznie.

Projekt polskiej dywizji we Francji wyszedł od niego. Łukasiewicz z początku nie chciał o tym słyszeć. Kawałkowski przedstawił wtedy projekt wprost w Warszawie, gdzie został on przyjęty raczej nieprzychylnie. Drymmer, umysł żywszy od innych,

zainteresował się projektem, zreferował główne jego punkty Beckowi, który oczywiście sprzeciwił się.

Dopiero w przeddzień wojny, ściśle 31 sierpnia o 7-mej wieczorem, Warszawa wyraziła telefonicznie zgodę, a o 10-tej telegram szyfrowany potwierdził tę zgodę. W ciągu pięciu dni Kawałkowski, z pomocą Dąbrowskiego, doprowadził pertraktacje do pomyślnego końca i w kilka dni później konwencja została podpisana. W ten sposób powstanie we Francji dywizja polska, ale tylko jedna, ponieważ rząd francuski chciałby zatrzymać górników polskich w kopalniach. Kawałkowski nie widział się jeszcze z gen. Burhardt-Bukackim. Widział tylko płk. Fydę.

Kawałkowski sądzi, że ten ostatni rozumie sytuację, ale niewiele spodziewa się po jego działalności. Wątpi natomiast, by generał wiele zrozumiał. W każdym razie musiał on przywieźć z Polski złe wiadomości, gdyż po jednej z nim rozmowie Łukasiewicz zmienił tekst swojego przemówienia radiowego na bardziej przyjemny dla Francji.

Nie potrafię zanotować całości tej rozmowy, która objęła moc tematów i trwała przeszło dwie godziny. Wynika z niej w każdym razie, że Kawałkowski myśli zupełnie tak samo jak ja i że Łukasiewicz to naprawdę nędzny typ, jeszcze bardziej godny pogardy niż myślałem.

Wróciłem pieszo, sam, pośród ciemnej nocy. Plac de la Concorde jest pogrążony w nieprzejrzanym mroku, który przerywają tu i ówdzie rzadkie światełka. Na ulicach nie ma prawie nikogo. Co będzie, gdy znajdziemy się naprawdę w wojnie, kiedy samoloty niemieckie rzeczywiście nadlecą by bombardować Paryż.

14 września 1939

Miałem dziś wizytę Pironneau, redaktora naczelnego *l'Epoque*. Udowodniłem mu, że głównym celem armii polskiej jest obecnie nie dać się odciąć od Rumunii. Na jego prośbę napisałem mu krótką notatkę jako kanwę do artykułu.

Jadłem obiad u Ritza. W jednym kącie Mandel — sam. Obok duży stół z Boussac'iem, Elie Bois, Cahen-Salvador i innymi. Naprzeciwko drugi stół z de Monzie, ambasadorem angielskim i redaktorem naczelnym *Nation* — o ile się nie mylę.

Przy kawie przyłączyliśmy się do nich. Wkrótce podszedł do nas Mandel, którego zaproszono, by usiadł z nami. Krążyły cięte i ironiczne rozmówki: o wojnie, o nowym rządzie Daladier'a, o głupocie tyłowych wojskowych. Te same mury musiały słyszeć identyczne rozmowy w roku 1914 i, być może,

na początku roku 1870. Kto wie, czy w salonach wielkich hoteli na placu Vendôme nie gawędzono równie „przyjemnie” w czasie wojny o sukcesję hiszpańską!

Anatol de Monzie nie wydaje się zadowolony z nominacji Champetier de Ribes. Poprzez jego lekkie i zabawne frazesy przebija żal usuniętego kandydata.

Sądzę, że przeszedł całkowicie do stronnictwa natychmiastowego pokoju. Jego polonofilizm, dawniej tak gorący — wydaje się przygaszony. „Nigdy naiwny naród nie szedł z takim spokojem na śmierć”. Formułka znalazła się. Niczego więcej nie trzeba. Krótka dyskusja o burzliwych stosunkach pomiędzy Łukasiewiczem i Bonnet'em — w tonie dość lekceważącym dla nich obu.

Miałem wizytę F. Pułaskiego. Chciałby założyć czasopismo propagandowe, aby przygotować przyszłe negocjacje pokojowe. Sam projekt jest głupi. Ale zdradza on chęć stworzenia czegoś, o co można by się zaczepić. Państwo polskie powoli ześlizguje się do niebytu. Ci co z niego żyli starają się już gdzieś urządzić.

To mi przypomina rok 1914.

Odmówiłem Pułaskiemu motywując, że projekt jest przedwczesny.

Napisałem do Champetier de Ribes. Ponadto Billy ma mu powiedzieć, że jestem do jego dyspozycji w razie, gdyby chciał konsultować mnie na tematy polskie i rosyjskie.

Wieczorem widziałem się z Mohlem. Ostrzegł mnie, że Łukasiewicz jest człowiekiem fałszywym.

18 września 1939

Spędziłem dwa dni w Deauville. Wróciłem w niedzielę wieczorem. Po raz pierwszy widziałem wojska angielskie na drogach.

Od wczoraj wieczór rząd polski jest w Rumunii. Ambasador rumuński powiedział mi o tym u Ritz'a podczas śniadania. Mandel, którego też widziałem, potwierdził, dodając że rząd polski jest w drodze do Paryża. Koc jest już tutaj od wczoraj, otoczony przez Baczyńskiego, Mohla etc...

Nie wiem co się dzieje ze Śmigłym. Dzienniki donoszą, że rząd przekroczył granicę rumuńską w komplecie. Wszyscy ministrowie-oficerowie, którzy tak chętnie nosili mundury, okazali wyraźną niechęć do kariery męczennika. Nikt z nich nie chciał zostać z wojskiem, które jest godne podziwu i nadal walczy.

Złoto Banku Polskiego pojechało do Londynu. Zdaje się, że je eskortuje Matuszewski.

Złożyłem długą wizytę Teresie d'Arenberg. Rozmowa urywana na różne tematy, m.in. czy Żydzi są patriotami? Zdaje się, że są osoby, które kwestionują zdolność posiadania tego uczucia przez Żydów. Rozprawianie o różnych rodzajach patriotyzmu.

Wieczorem odwiedził mnie Mohl. Sądzi, że należałoby spróbować, posługując się wpływami francuskimi, narzucić Mościckiemu zmiany w składzie rządu. Trzeba, jego zdaniem, porozumieć się z Matuszewskim i innymi Polakami, jeżeli tu się pojawiają.

Byłby to jednak ładny skandal oglądać Becka paradującego tutaj w roli ministra spraw zagranicznych, który ponosi w pierwszym rządzie odpowiedzialność za klęskę.

19 września 1939

Spacer w lasku z Lechoniem. Rozmowa o polityce, którą należałoby zastosować względem bandy nieszczęśników, noszącej w dalszym ciągu miano rządu polskiego. Lechoń sądzi, że przede wszystkim chodzi o to, aby, dywizja polska nie podpadła pod władzę tych ludzi. Wszyscy Polacy we Francji, nawet pracownicy ambasady pragną, aby francuscy oficerowie objęli komendę nad jednostkami polskimi.

W kolonii polskiej umysły są bardzo podniecone. Ucieczka rządu nie podniosła prestiżu jego członków. Ten rząd wojskowych był rządem tchórzów.

Łukasiewicz chciał zorganizować coś w rodzaju hołdu dla tych uciekinierów. Grupa parlamentarna polsko-francuska miała złożyć im jakiś adres. Mam nadzieję, że zadni deputowani francuscy, będący członkami tej grupy, uchylą się od tej śmiesznej manifestacji.

A *propos* Łukasiewicza warto również zanotować, że w marcu br. wyliczał z pewnym upodobaniem Lechoniowi i Mohlowi kolonie francuskie którymi Polska zawładnęłaby do spółki z Włochami. I to w chwili, kiedy orzeł niemiecki zatapiał już swe szpony w ciało Polski!

Ten człowiek zawsze mnie zdumiewał. Jego głupota jest rozbijająca. Chciałbym jednak wiedzieć dlaczego ten głupiec tak mocno nienawidzi Francji. Był tu przyjęty z niezrównaną uprzejmością. Fetowano go, cackano się z nim, a on wciąż pomiatał tym krajem. Zresztą cała ta zgraja nie cierpi Francji.

Mówiono mi, że według komunikatu radia włoskiego przybyło do Włoch 29 aut, wiozących Prezydenta Rzeczypospolitej, ministrów i ich otoczenie. Marszałek Śmigły-Rydz jest podobno pomiędzy nimi. Tego byłoby już za wiele!

Dowiaduję się, że jeszcze przed dwoma dniami konsulat polski w Paryżu zajmował się rozsyłaniem do obywateli polskich żydowskiego pochodzenia zawiadomień o cofnięciu im tego obywatelstwa. W ten sposób, w chwili kiedy Polska upadała, jej konsulowie zajmowali się najgorliwiej prześladowaniem swoich współobywateli pochodzenia żydowskiego. Taka bezmyślność wprawia w osłupienie.

Wieczorem jadłem obiad w bistro z kilku urzędnikami ambasady, którzy zajęci są organizowaniem armii polskiej we Francji. Chodzi o to, aby wbić do głów polskich, że trzeba zabrać się do całkowitej rewizji polskiej myśli politycznej.

Trzeba stworzyć program nowej Polski, gdyż poprzednia nie oparła się naciskowi faktów. Opowiadanie, że zwycięstwo zwróci nam Polskę taką, jaką znaleźliśmy, jest dowodem intelektualnego lenistwa, gdyż tej Polski nie zobaczymy nigdy, nawet jeżeli zwycięstwo będzie szybkie i kompletne. W oczach Anglii i Francji ta dawna Polska nie spełniła powierzonego jej zadania. Państwo 37-milionowe, które upada po dziesięciu dniach oporu, wyraźnie nie jest użyteczne dla Europy. Jeżeli Polska ma odżyć, musi być inna. Trzeba zabrać się do przemyślenia od początku i stworzyć plan nowej Polski, zanim się stworzy ją w rzeczywistości.

Powiedziałem Kawałkowskiemu, że jestem właśnie zajęty przygotowaniem pracy na ten temat i że trzeba by zebrać grupę Polaków zdolnych do zrozumienia nowych idei.

21 września 1939

Spotkałem wczoraj Jacques Errera, który przyjechał z Brukseli i zabawi tu tydzień.

Wczoraj odwiedził mnie Stroński w towarzystwie Mohla. Przyjeżdża z Polski z powierzoną mu przez były rząd misją propagandową. Chciałby o coś się zaczepić; przywiózł manifest ogłoszony przez Paderewskiego. Nasza rozmowa dała wyniki dość mętne. Ze swej strony sądzę, że trzeba by odciąć się jak najprędzej od Becka i od tych, na których spoczywa odpowiedzialność za obecne klęski. Stroński natomiast chciałby ułożyć się z częścią lub całością obecnego gabinetu, ze względów najpierw prawnych, a następnie — i szczególnie — finansowych; przede wszystkim z Kocem, który posiada pełnomocnictwa w stosunku do wywiezionego Skarbu. Złoto polskie płynie gdzieś na morzu, eskortowane przez Matuszewskiego. Jedynie Koc jest prawnie upoważniony do dysponowania nim.

Billy uprzedził mnie, że spędzimy jutrzejszy wieczór we trójkę z Champetier de Ribes, aby omówić naszą współpracę. [...]

Warszawa wciąż się trzyma. Polacy biją się jak wściekli. Odkąd nie ma rządu, obrona, zdawałoby się beznadziejna, ożywia się. Stefan Starzyński i Lipiński stają się bohaterami. Dla filozofa jest w tym wiele materiału do rozważań. Starzyński, w czasie pokoju człowiek przeciętny, wykazuje zalety podziwu godne. Ten przeciętny człowiek był jednak jednym z najlepszych w tym rządzie; pracowity i uczciwy. Jako prezydent miasta Warszawy, ma za sobą duże zasługi. Inteligencja przeciętna, dużo inicjatywy, wielka zdolność i wydajność pracy — oto główne jego cechy osobiste.

Lipiński, podpułkownik, historyk z zawodu, dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego — jest człowiekiem tego samego rodzaju. Miałem z nim dużo do czynienia z powodu wydania mojej książki o Marszałku. Gdy poznał się z pierwszymi jej rozdziałami był nią literalnie zachwycony; mówił mi, że trzeba koniecznie wydać ją po polsku i podjął się to uczynić pod egidą Instytutu. Jednym słowem był gorącym propagatorem mojej pracy. Nagle, prawdopodobnie na czyjś rozkaz, zmienił stanowisko. Stał się zażenowany i, osłaniając się autorytetem swego komitetu, odmówił wydania mojej książki. To mówi o człowieku: rozkaz z góry przewrócił wszystkie jego pomysły.

Widać tu wyraźnie głęboką bolączkę reżymu. Zarówno Lipiński jak i Starzyński gotowi są zginąć bohatersko, ale nie można od nich żądać, aby sprzeciwili się rozkazowi szefa mafii. Dzielni i uczciwi obydwaj, zdolni byli popełnić najgorszą nikczemność bowiem najlepsi piłsudzcycy zupełnie nie mieli charakteru. I to na skutek tego zła upadła Polska.

Dzisiejsze pisma donoszą o śmierci na polu bitwy generałów Monda i Skotnickiego. Mond był jedynym generałem-Żydem w armii polskiej. Uchodził za jednego z najodważniejszych ludzi w kraju, w którym jednak jest ich wielu. Dawny oficer armii austriackiej, podczas wojny 1914-1918, przeszedł potem do armii polskiej, w której zrobił dużą karierę. Marszałek Piłsudski miał do niego wielką słabość.

Dziwi mnie, że Mond mógł pozostać w armii, pomimo silnego ruchu antysemickiego, rozpoczętego przez „Ozon” z inspiracji Śmigłego.

Bohaterska śmierć Monda* na polu bitwy szczególnie kontrastuje z niesławną ucieczką wojskowych — członków rządu, oraz — jeżeli wierzyć niemieckiemu radiu — naczelnego wodza,

* Wiadomość o śmierci gen. Monda nie odpowiadała prawdzie.

Śmigłego, który miał w ubiegły poniedziałek przekroczyć granicę rumuńską. To samo radio donosi, że ostatni wojewoda poznański — Bociński — strzelił sobie w łeb na granicy polsko-rumuńskiej*.

22 września 1939

Widziałem się z J. Helbronner'em, który pokazał mi raporty, przesłane przez niego Leger'owi i Daladier'owi, o tajnych układach rosyjsko-niemieckich. Pierwszy raport nosi datę 11 czerwca. To jest bardzo sensacyjne. Początkowo nikt nie dawał temu wiary, ale Leger szybko rozpoznał znaczenie tych informacji. Uprzedzono o tym Anglików, którzy również przyjęli to sceptycznie.

Z tego samego źródła napłynęły wiadomości o projektowanej przez Niemców inwazji Holandii i Szwajcarii.

Podczas obiadu z Georges i Odette Bonnet u Ritza wyba-
dałem byłego ministra spraw zagranicznych o jego ostatnich rozmowach z Polakami. Jego informacje, zgodne z posiadanymi przeze mnie, są przerażające.

Uprowadzony przez Bonnet'a o potajnym układzie niemiecko-rosyjskim, Łukasiewicz okazał kompletne niezrozumienie. Nie chciał ani na chwilę dopuścić, że Rosjanie nie pomogą Polsce z własnej woli przez dostawę amunicji. 15 sierpnia Rosjanie oświadczyli, że mogliby rozważyć pomoc Polsce pod warunkiem zajęcia przez ich wojska Lwowa i Wilna. Beck odmówił i dopiero 24 sierpnia zgodził się rozważyć rosyjską propozycję pomocy.

W czasie pobytu w Paryżu gen. Kasprzyckiego odbył się w Ambasadzie obiad z Georges Bonnet'em i generałem Georges'em. Kasprzycki mówił o armii niemieckiej z niesłychaną nierozumą. Opowiadał, że Polska będzie prowadziła wojnę ruchomą, wtargnie do Niemiec etc. Wychodząc, gen. Georges powiedział: „Ci ludzie są zwariowani”.

Według słów Georges Bonnet'a francuski Sztab Generalny również omylił się co do polskich możliwości. Gen. Gamelin sądził, że Polska będzie mogła utrzymać się do początku zimy.

Co się tyczy propozycji włoskich, to trzeba stwierdzić, że było ich dwie. Jedna w przeddzień konfliktu, proponująca konferencję czterech mocarstw, a druga w nocy na 4 września.

Co do pierwszej, Georges Bonnet był zdania, że trzeba ją

* W rzeczywistości był to nie wojewoda Bociński, lecz wojewoda lwowski, Biłyk (przyp. tłumacza).

przyjąć pod warunkiem, że Polska zostanie zaproszona. Daladier oparł się temu. Łukasiewicz też zaczął dowodzić hałaśliwie, że Polska jest gotowa, arcygotowa.

Druga propozycja zrobiona przez Ciano telefonicznie Bonnet'owi i Halifax'owi, miała na celu zawieszenie broni z symbolicznym cofnięciem się armii niemieckiej o 10 km. Propozycja była beznadziejna, gdyż Francja i Anglia żądały ewakuacji zajętego terytorium polskiego, co Ciano uważał za niemożliwe do uzyskania.

Georges Bonnet odczytał mi szereg dokumentów, m.in. notatkę rozmowy z Welczek'iem, po jego powrocie z Berlina. Welczek opowiadał, że widział się z Ribbentropem i Hitlerem. Obydwaj są zdecydowani rozstrzygnąć sprawę Gdańska. Dalej Welczek mówił, że Hitler żywił dla Becka prawdziwą przyjaźń, i dodaje, że nie rozumie dlaczego rząd polski, który tak długo ręką w rękę współpracował z Niemcami, mógł zająć równie nieprzejednane stanowisko w sprawie Gdańska. Welczek nie ukrywał w tej rozmowie, że Hitler jest zdecydowany użyć siły, zmiażdżyć Polskę w ciągu trzech tygodni „ponieważ rząd polski, złożony z megalomanów, podnieconych śmiazków”, nie domyśla się nawet do jakiej doskonałości doprowadzone zostały zmechanizowane dywizje niemieckie. Zapewne, jest możliwe, że w razie zwycięstwa aliantów Polska mogłaby się odrodzić, ale tymczasem będzie okupowana i poniesie wszystkie konsekwencje tego stanu rzeczy.

Bonnet sądzi, że Ribbentrop w czasie swej wizyty w Paryżu 6 grudnia 1938 stawiał jeszcze na politykę antyrosyjską w porozumieniu z Polską. Powiedział Bonnet'owi, że sojusze francuskie z Rosją i z Polską bynajmniej go nie krępują, gdyż pierwszy z nich ma bardzo ogólne znaczenie, a drugi, bardziej dokładny, jest dopasowany do konwencji wojskowej, dotyczącej mocarstwa, z którym Niemcy utrzymują doskonałe stosunki. To znaczy, że Niemcy uważają, iż żaden z tych sojuszów nie mógłby działać w wypadku zaatakowania Rosji przez Niemcy z udziałem Polski.

Dopiero po wizycie w Warszawie 26 stycznia 1939 — mówił Bonnet — Ribbentrop zmienił swoją koncepcję. Widząc, że Polska nie idzie z Niemcami, zdecydował odwrócić swoją kombinację i, zamiast zaatakować Rosję z udziałem Polski, uderzyć na Polskę z udziałem Rosji. Ta teza Bonnet'a wydaje mi się bardzo prawdopodobna i idzie w parze z moimi wiadomościami.

Umówiliśmy się z Bonnet'em spotkać ponownie i pomówić o tym samym z dokumentami w rękach.

Obiad u Roberta de Billy z Champetier de Ribes. Rozmowa

toczyła się najpierw dokoła spraw polskich. Champetier de Ribes przypomniał co mu mówiłem o Becku przeszło rok temu.

Objął on w MSZ stanowisko Podsekretarza Stanu „ponieważ — mówił Daladier — Bonnet chce zawierać pokój”.

Podczas rozmowy wypłynęło nazwisko de Monzie. „Co za talent — powiedział Champetier de Ribes — a jednocześnie — co za nicpoń!”.

23 września 1939

[...] Polscy uchodźcy zaczynają napływać. Przyjechali: Zaleski, Szembek, jak również Tuwim. Zaleski postarzał, jego żona jest nie do poznania. Przeżyli oni straszne chwile. Wymieniłem kilka zdań z Zaleskim na temat ewentualnej pracy, którą trzeba wykonać. Otrzymał on od Noëla i od Kennarda propozycję obdarczenia go następstwem Prezydenta Rzeczypospolitej. W gruncie rzeczy nie wie co robić. Za kilka dni jedzie na wieś do Faltera, który przyjechał w tym samym czasie.

Rozmowa z Szembekiem w jego hotelu. Powiedziałem mu z furją co myślę o tym rządzie. On też nie wie co robić. [...] Zobaczymy później. Ten otyły, leniwy człowiek, smakosz, nie wydaje się przygotowany do twardego życia politycznego emigranta.

Tegoż dnia poszedłem do Łukasiewicza. W tonie lekkim i niemal żartobliwym mówił mi o przybywających uchodźcach, którzy zaczną na pewno wygadywać przeciwko rządowi. Prosił więc, abym ich uspokajał i odwodził od robienia niepotrzebnej agitacji. Jego niezrozumienie sytuacji oburzyło mnie. Odpowiedziałem, że powinien znać moją opinię o nędznikach, którzy rządzą Polską, że — nie chcąc doprowadzić do kłótni — odmawiam dyskusowania z nim na ten temat. Nie poszedłem już więcej do niego właśnie dlatego, by uniknąć tych dyskusji.

Łukasiewicz staje się naprawdę skandaliczny. Niedługo zacznie traktować biednych Polaków, którzy z tak wielkim trudem wydostali się z tego piekła, jak natrętów i dezerterów. Głupota tego człowieka jest, naprawdę, nie do zniesienia.

[...]

26 września 1939

Miałem na obiedzie oboje Zaleskich i Falterów.

Powiedział mi dziś Mohl, że warto spotkać się z generałem

Sikorskim. Zgodziłem się i upoważniłem go do zaaranżowania spotkania. Wkrótce tegoż dnia spotkaliśmy się z Generałem i ze Strońskim. Najpierw ściskanie dłoni i wymiana uprzejmości, następnie rozważania o dramacie polskim. Umówiliśmy się, że się spotkamy ponownie.

Po południu udaję się do Champetier de Ribes, na rozmowy o sprawach polskich. Mówię zupełnie szczerze. Pomysł zrobienia Prezydentem Rzeczypospolitej Wieniawy jest skandaliczny. Nie moglibyśmy go zaakceptować. Champetier de Ribes powiadamia mnie o negatywnym stanowisku, zajęтым przez rząd francuski. Aby móc rozmawiać swobodnie, umówiliśmy spotkanie nazajutrz o godz. 8.30.

Wieczorem, po kolacji, przyjeżdża gen. Sikorski w towarzystwie Strońskiego. Dyskutujemy sprawę prezydentury. Wszyscy są zgodni, że należy odmówić współpracy z Wieniawą. Jednomysłność okazuje się znacznie mniejsza, gdy mowa o wyznaczeniu innego kandydata. Stroński wysuwa kandydaturę Paderewskiego, gen. Sikorski myśli o sobie, Zaleski również, choć z mniejszym wigorem.

27 września 1939

Dziś o godz. 8.30 rano jestem na Quai d'Orsay. Powtarzam swoje obiekcje co do kandydatury Wieniawy i nalegam, aby rząd francuski okazał więcej energii. W końcu zapraszam Champetier de Ribes na obiad z Zaleskim, Generałem i Strońskim.

O godz. 5-tej nowa konferencja u mnie: Generał, Zaleski i Stroński; Liberman miał przyjść, ale nie zjawił się.

Sprawa prezydencka wypłynęła znowu. Stroński ponownie wypowiadał się za Paderewskim. Po jego wyjściu Zaleski wrócił do tej kandydatury i wskazał na niedogodność wysunięcia na czoło człowieka tak steranego. Zakończył swoje przemówienie postawieniem kandydatury Sikorskiego, pod warunkiem, że mamy do dyspozycji generała odpowiedniego do objęcia dowództwa nad wojskiem. Sikorski wydał mi się nieco zmieszany nagłością tego bezpośredniego ataku. Pogrążył się w głębokich rozważaniach i wreszcie oświadczył nam, że nie widzi nikogo, kto by mógł objąć dowództwo. Zdecydowano w końcu zaproponować Champetier de Ribes kilka nazwisk: Paderewskiego, kardynała Hlonda, Sikorskiego i Zaleskiego. Ten ostatni był wysunięty przez Generała. Na tym rozstaliśmy się.

Upřednio przyszli Kawałkowski i Dąbrowski z projektem najlepszego sposobu proklamowania gen. Sikorskiego naczelnym

wodzem. Dąbrowski przygotował na ten temat notatkę, z której wynika, że w nieobecności naczelnego dowództwa polskiego i według regulaminów i zwyczajów obowiązujących w armii polskiej, gen. Sikorski, jako najstarszy rangą oficer we Francji ma prawo objąć dowództwo bez wszelkich innych formalności.

Wieczorem obiad u mnie z Champetier de Ribes, generałem Sikorskim, Zaleskim i Strońskim. Rozmowa zagmatwana i bez wyników. Stroński mówi bez przerwy i zanudza biednego Champetier de Ribes. Generał też nie jest fascynujący. Mówi po francusku bardzo marnie i robi sporo gaff. Champetier chce, aby jego obecność w naszym gronie została zatajona. Tymczasem Sikorski już pospieszył powiedzieć o tym Denain'owi i Menard'owi. Tylko Zaleski jest powściągliwy. Mówi mało i zawsze rozsądnie. Umówiłem się z Champetier de Ribes na obiad u mnie z Otto Habsburgiem.

28 września 1939

O godz. 10.30 rano wizyta u Noëla razem ze Strońskim. Powtarzamy mu, to co mówiliśmy Champetier de Ribes; mianowicie, że proponujemy obydwu rządów, francuskiemu i angielskiemu, zrobić *démarche* u Mościckiego i przedstawić mu listę czterech osób: Paderewskiego, kard. Hlonda, Zaleskiego i gen. Sikorskiego, spośród których wybrałby on następcę. Z drugiej strony, gdyby on wybrał inne osoby możliwe do przyjęcia, jak Raczkiewicz lub Bartla — podjęlibyśmy z nimi pertraktacje. Noël oświadczył nam ponadto, że rząd francuski nie życzy sobie oglądać nadal Łukaszewicza. Trzeba się go pozbyć.

Śniadanie z Kocem, Mohlem i Lechoniem. Koc, nudziarz jak zwykle, gada o konieczności opracowania porozumienia etc... Jest tak przezorny i wahający się, że w końcu nic interesującego powiedzieć nie zdołał. Nie przypadł mi do smaku.

O godz. 4.30 rozmowa z Zaleskim w delikatnej sprawie. Odpowiada mi, że jestem jego kandydatem na ambasadę paryską, że mówił już o tym z Sikorskim, którego opinia jest przychylna. Mimochodem powiedział mi: „Jeżeli po śmierci generała Monda na polu bitwy i ucieczce Śmigłego ktoś będzie mi mówił o antysemityzmie — zmieniam obywatelstwo”. Do tych słów warto dodać, że Wielki Rabin Szorr* odmówił opuszczenia Warszawy, ale kardynał arcybiskup poznański — po prostu zwiął.

Kardynał Mercier miał kiedyś inną postawę...

Dziś generał Sikorski objął dowództwo armii polskiej we Francji.

* Nieścisle.

29 września 1939

Dziś rano nowe perypetie w sprawie kandydata, który ma być przedstawiony Mościckiemu. Stroński telefonuje, że ambasadorowie polscy ze względu na nagłość sprawy wysunęli nowego kandydata: Raczkiewicza. Proponuje poprzeć tę kandydaturę, porzucając poprzednie. Stroński dodaje, że Noël zgadzając się z tym, chciałby być pewny naszej zgody, Zaleskiego i mojej, i w tym celu ma do mnie telefonować. Istotnie, wkrótce dostaje telefon od Noëla, któremu mówię, że zgadzam się w imieniu Zaleskiego i swoim. Nie minęła godzina, gdy znów telefonuje Stroński, że jest nowa zmiana. W ciągu nocy Frankowski, zebrawszy się na odwagę, oświadczył zebranyim ambasadorom, że gra dość już długo trwa i że trzeba dodać do nazwiska Raczkiewicza dwa inne: Paderewskiego i Zaleskiego, co zostało przyjęte, zresztą — nie bez zastrzeżeń. W tym stanie rzeczy trzeba tak zrobić, aby propozycja francuska nie ograniczyła się do nazwiska jednego Raczkiewicza. Pędzę na Quai d'Orsay i szukam Noëla podczas alarmu lotniczego. Załatwiam tę sprawę z Noëlem i z Fattonem i wracam do Hôtel du Danube, gdzie mieszka Sikorski ze swoim otoczeniem.

Obiad u mnie z Generałem, Zaleskim i Strońskim, potem narada w moim gabinecie. Postanawiamy interweniować, aby „opóźniono” wypłatę sum z przyznanej przez Francję pożyczki 600 milionów franków, którymi Łukasiewicz ma prawo dysponować. Należy zrobić *démarche* tego rodzaju. Zgodzono się też na tej naradzie co do formy, jaką należy sugerować Francuzom dla wyrażenia ich zgody na gen. Sikorskiego. Generał chce, aby tytuł naczelnego wodza figurował w tekście, oraz aby było tam powiedziane, że jemu są powierzone wszystkie sprawy dotyczące organizacji armii polskiej we Francji i w państwach alianckich.

Nowa *démarche* u Fatton'a, który komunikuje nasze dezyderaty Leger'owi, biorąc je na rachunek ministra. Wychodząc od Fatton'a spotykam Noël'a, z którym rozmawiam o tej sprawie. Noël oponuje twierdząc, że francuska odpowiedź musi pokrywać się z treścią listu Łukasiewicza, oraz że państwa sojusznicze, z naturalnych względów prawnych, nie mogą być w to zamieszane. Ten sam skutek mógłby być osiągnięty, gdyby Raczyński powiadomił rząd angielski o nominacji Generała. W takim razie rząd francuski poparłby *démarche* w Londynie. Biegnę więc do Hôtel du Danube, aby zapoznać się z treścią listu Łukasiewicza. Znajduję tam tylko Strońskiego, który nie zna treści listu. Gene-

rała nie ma, a czas nagli. Stroński telefonuje do Frankowskiego i z wielkim trudem dostaje od niego treść dokumentu przez telefon. Jest tam napisane: „Wyznaczam generała dywizji Sikorskiego na dowódcę armii polskiej we Francji”. Słowo „naczelny” (*chef*) jest opuszczone.

Sytuacja staje się bardzo trudna, ponieważ normalnie tekst wyrażający zgodę nie może zawierać więcej niż sama nominacja. Biegnę znów do uprzejmego Fattona, wyjaśniam mu wagę wzmocnienia autorytetu Sikorskiego i proszę, by wetknął do tekstu odpowiedzi słowo „naczelny”. Fatton obiecuje zająć się tym, ale nie może, oczywiście, gwarantować za skutek. W chwili, kiedy wchodziłem do Fattona, Łukasiewicz był u Champetier de Ribes. Na usilną prośbę Strońskiego proszę Fattona, by telegrafował do Thierry o ułatwienie misji Raczyńskiego do Mościckiego, ponieważ jest obawa, że Rumuni uniemożliwią technicznie widzenie się lub przekazanie odpowiedzi. Czas coraz bardziej nagli i zaczynam wątpić czy zdołamy doprowadzić do końca całą sprawę. Stanowisko prezydenta Mościckiego przekracza granice tego co można tolerować. Skandal doszedł do szczytu. Gazety donoszą dziś o podpisaniu traktatu niemiecko-sowieckiego. Linia demarkacyjna została nieco zmieniona i granica z Rosją przesunięta na Wschód. Dwaj sygnatariusze oświadczają, że wskutek rozwiązania przez ich układ wszystkich kwestii wynikających z „rozpadu państwa polskiego” odpadły wszelkie powody kontynuowania wojny. Jeśli Francja i Anglia odmówią zawarcia pokoju z Rzeszą, poniosą odpowiedzialność za kontynuowanie wojny. W tym wypadku Niemcy i Rosja porozumieją się co do środków, które będą musiały być przedsięwzięte. Rozgardiasz dzisiejszy przeszkadza mi zastanowić się nad tym wielkim wydarzeniem i zmierzyć jego znaczenie. W każdym razie, jest to straszny cios dla Polski. Z dyplomatycznego punktu widzenia to prawdziwa klęska.

1 października 1939

Dzień wczorajszy miałem bardzo wypełniony. Późnym popołudniem rząd został ostatecznie utworzony.

Z rana dowiaduję się o wyznaczeniu Raczkiewicza. Biegnę do Hôtel du Danube, ponurego i cuchnącego, by zobaczyć się z Generałem. Atmosfera raczej defetystyczna. Obawiają się, że nowy prezydent, mając nominację w kieszeni, potraktuje z góry grupę: Sikorski, Zaleski, Stroński. Błagają mnie bym spowodował, aby zgoda francuska nie została udzielona natychmiast, lecz,

by pozostawiono czas na „pertraktacje” z Raczkiewiczem; innymi słowy, aby ukonstytuowanie się rządu i instalacja nowego prezydenta zostały załatwione *en bloc*. Biegnę do Champetier de Ribes; jest prawie godz. 9-ta. Minister uprzedza mnie, że za chwilę przychodzi do niego Łukasiewicz. Przyszedłem więc przed nim. Szczęśliwy przypadek. Wykładam moją sprawę. Champetier de Ribes krzywi się. Przewlekanie tej sprawy sprawia mu kłopot. Chce z tym skończyć, aby być pewnym, że istnieje tutaj rząd polski, zanim Niemcy nie utworzą go w Warszawie. Argument przekonujący, ale my też nie jesteśmy bez racji. Na to, aby nasze pertraktacje dały dobry wynik trzeba, aby Raczkiewicz nie był już pewny swego mandatu. Obiecuję Champetier de Ribes, że będziemy działać szybko w zamian za co zapewnia on mnie, że nie da Łukasiewiczowi ostatecznej odpowiedzi przed godz. 6-tą wieczorem. Wracam na rue Jacob, gdzie natychmiast rozpoczyna się konferencja w obecności Generała, Zaleskiego, Strońskiego i mnie. Składam relację z mojej rozmowy, podkreślając konieczność szybkiego działania. Przedtem byłem w Hôtel Chathaur, aby zobaczyć się z Zaleskim. Wybierał się on właśnie do Raczkiewicza, który przysłał po niego auto z Lipskim, jako jego wysłannikiem. Szczególny wybór! Lipski był właśnie jednym z tych dyplomatów, którzy zachowywali się jak najgorzej wobec Zaleskiego, ich dawnego szefa. Kiedyś Lipski i Zaleski utrzymywali ze sobą serdeczne stosunki. Ale odkąd Zaleski został zastąpiony przez Becka, Lipski uciął wszelkie stosunki ze swoim dawnym szefem i w ciągu sześciu lat nie znalazł nawet czasu, aby złożyć mu wizytę. Ale wróćmy do konferencji.

Zaleski złożył sprawozdanie ze swej rozmowy z prezydentem, który powiedział mu, że pragnie zerwać z przeszłością i pracować w porozumieniu z grupą Sikorski, Zaleski, wobec czego powierza b. ministrowi spraw zagranicznych misję utworzenia rządu. Scenę, która się rozegrała w wyniku tej deklaracji warto zanotować.

Jesteśmy na emigracji wśród całkowitej klęski. Kraj jest okupowany, spustoszony. Rząd, jeżeli uda się go utworzyć, osiadzie gdzieś na prowincji i będzie wegetował. I oto, skoro tylko została postawiona sprawa personalna — obudziły się odwieczne namiętności. Stroński — dość zapalczywie — zażądał dla siebie prezesury rządu. Twierdził, że będąc w Paryżu jedynym reprezentantem prawicy jest uprawniony do stanięcia na czele rządu, tym bardziej, że Zaleski jest zbyt „skompromitowany” swoim udziałem w gabinecie piśsudczyków. W razie odmowy Stroński uchyla się od wszelkiego udziału w rządzie. Zdawało mi się, że jesteśmy 15 lat wstecz w Warszawie, wśród pełnego reżymu parlamentar-

nego. Dialogi tych trzech ludzi w biednym, prawdziwie uchodźczym pokoju hotelowym, brzmiały dziwacznie.

Zaleski, zawsze pojednawczy, nieco lekceważący, nie robił żadnych trudności ze zrzeczeniem się swojej misji. Generał wypowiedział się, jakkolwiek niechętnie, za Strońskim. Był zmuszony wziąć na siebie to zobowiązanie i pojechał do prezydenta, który się zgodził. W ten sposób Stroński w ciągu kilku godzin był desygnowanym premierem. Promieniował! Jego radość miała w sobie coś rozbijającego. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że wybór był fatalny. Na szczęście wszystko zostało zakwestionowane przez Strakacza, sekretarza Paderewskiego. Interweniując stanowczo w imieniu swego starego mistrza oświadczył on, że kandydatura Strońskiego jest nie do przyjęcia. Stać na czele rządu powinien gen. Sikorski, którego nazwisko coś znaczy dla opinii francuskiej, podczas gdy nazwisko Strońskiego nie mówi nic. Poparłem mocno zdanie Strakacza wobec Generała, który bronił się miękko. Stroński nie mógł oponować wnioskowi, wychodzącemu od rzecznika Paderewskiego, na którego autorytet powoływał się co chwila. Partia została wygrana: Generał przyjął prezesurę rządu. W międzyczasie udałem się do Champetier de Ribes, od którego dowiedziałem się, że Łukasiewicz skłamał. Żadna odpowiedź ustna nie została udzielona, przeciwnie, Champetier de Ribes wyraźnie zarezerwował decyzję premiera Daladier. Łukasiewicz powtórzył jeszcze raz, że ta sprawa nie dotyczy Francji i na uprzejmą prośbę Champetier de Ribes o niepublikowanie niczego w prasie o wyznaczeniu nowego prezydenta, dał odpowiedź odmowną. Champetier de Ribes polecił wówczas cenzurze, aby nie przepuściła niczego na ten temat. Nowy pokaz talentów dyplomatycznych Łukasiewicza!

Ostatecznie o godz. 5-tej wszystko było zakończone. Złożenie przysięgi odbyło się i nowy rząd został utworzony. Oto jego skład: gen. Sikorski — premier; Stroński — minister bez teki, wicepremier; Zaleski — minister spraw zagranicznych; Koc — finanse; gen. Haller, socjalista Tomaszewski i Ładoś, przedstawiciel Witosy. Trzej ostatni są jeszcze w Rumunii. Ich nazwiska nie zostały opublikowane z obawy, aby Niemcy nie zażądali zatrzymania ich przez rząd rumuński. Z Zaleskim zostało ustalone, że Łukasiewicz zostanie odwołany w ciągu tygodnia. W tej sprawie Zaleski chce, aby rząd francuski wyraził życzenie zmiany w ambasadzie paryskiej. Champetier de Ribes został uprzedzony i oświadczył, że Daladier też mówił o tym z Generałem.

Dzisiaj jest spokojniej i wypoczywam. O godz. 11-tej uroczyste nabożeństwo w polskim kościele w obecności Prezydenta,

rządu i licznej polskiej publiczności. Kazanie księdza bardzo przeciętne.

Po południu odwiedził mnie Zaleski. Długa rozmowa polityczna. Wykładał mi swoją ideę organizacji Europy Środkowej. Federacji Polski, Czechosłowacji, Węgier, w formie monarchii, ewentualnie z Otto Habsburgiem na czele. Mówię o potrzebie propagandy w tym sensie. Zaleski zgadza się zupełnie. Powiada, że sam o tym myślał. Chciałby wziąć Ciechanowskiego na szefa gabinetu. Zachęcam go do tego. Nieco później widzę się z Generałem. On też chciałby wziąć Ciechanowskiego. Rozmowa bez związku. Stroński zaleca masowe zwolnienie urzędników. Popieram ten wniosek w stosunku do ludzi najbardziej skompromitowanych. Trzeba zrobić gruntowną „czystkę”. Ciągłość prawna — rzecz słuszna. Ale ciągłość moralna z tantym zdemoralizowanym rządem byłaby zgubna.

2 października 1939

Widziałem się dziś rano z Champetier de Ribes. Powtórzyłem mu życzenie Zaleskiego i żałuję, że to zrobiłem. Zanudzać Daladier'a sprawą Łukasiewicza to naprawdę za dużo.

Rząd proponuje Nevers jako rezydencję Prezydenta Rzeczypospolitej, a ja wysuwam Havre, Sainte-Adresse. Champetier de Ribes wątpi, czy to byłoby możliwe, ponieważ Havre będzie prawdopodobnie zajęty przez Anglików. Udałem się do Zaleskiego przed jego wizytą u Daladier'a. Sprawa ambasady zaczyna mi sprawiać kłopot. Stroński już intryguje z Łukasiewiczem. Wobec tego, że słabość Zaleskiego w sprawach personalnych jest przysłowiowa, wszystko jest możliwe. Rzecz zależy od tego, co Daladier powie Zaleskiemu i ewentualnie Generałowi. Zaleski po swej bytności na rue St. Dominique przyjechał do mnie. Daladier musiał mocno poruszyć Generała sprawą Łukasiewicza, gdyż, wychodząc od niego powiedział Zaleskiemu, aby nie bronił Łukasiewicza, którego odwołania domaga się rząd francuski. Dziś o godz. 6-tej jest Rada Ministrów, na której powinna być postanowiona dymisja Łukasiewicza i moja nominacja.

O godz. 5-tej po południu widziałem się z Generałem. Pyta mnie, czy załatwiłem moją sprawę z Zaleskim. Odpowiadam, że umówiliśmy się z nim, iż dzisiaj na Radzie Ministrów złożę wniosek o odwołanie Łukasiewicza i mianowanie mnie. Generał wyraża wątpliwość, czy Zaleski będzie dość energiczny, aby załatwić to za jednym zamachem. Aby uniknąć nieporozumień widziałem się ponownie z Zaleskim, który urzęduje w biurze

ambasadora. Powtarzam mu swoją rozmowę z Sikorskim i nie ukrywam, że w razie odmowy stanowiska ambasadora, uchylę się od wszelkiej współpracy, łącznie ze stanowiskiem podsekretarza stanu w MSZ, o czym dwukrotnie napomykał Sikorski.

Śniadanie u mnie z Kocem, Szembekiem i Pragierem. Jak mówi aforyzm rosyjski: Socjalista, pułkownik i hrabia rozumieli się jak złodzieje na jarmarku, przypinając sobie wzajemnie łatki. Wszyscy krytykowali poprzednie rządy, wszyscy przewidywali co się stanie. Wrażenie smutne. Ludzie się nie zmienili mimo strasznej katastrofy. Głupcy, albo kanalie.

Pomiędzy wszystkimi Polakami, którzy tu są, nie znam ani jednego, o którym można by powiedzieć, że jest jednocześnie inteligentny i uczciwy.

Zaleski jest na pewno człowiekiem przyzwoitym, ale bez żadnego charakteru, lub raczej bez odwagi i bez energii. Sikorski, o wiele mniej inteligentny, nie wydaje się być obdarzony silniejszym charakterem. Co do innych — lepiej o nich nie mówić. Stroński — to gaduła i intrygant, Koc — obłudnik, gotów do wszelkich człołobitności, byle się utrzymać na swoim stanowisku. Szembek — tłusty *bon-viveur*, obojętny na wszystko z wyjątkiem własnej wygody, bez głębszej inteligencji, ale też nie w ciemiej bity, płynie leniwie pośród raf życia dyplomatycznego, mając własny interes za busołę.

Taki jest personel obarczony odbudowaniem nowej Polski. W roku 1914 stary Piłsudski miał inny styl.

3 października 1939

Dziś rano telefon od Zaleskiego. Mówi mi, że wczoraj zjawił się Noël z oficjalnym żądaniem odwołania Łukasiewicza. Zaleski zreferował tę sprawę na Radzie Ministrów. Prezydent prosił, by nominacja następcy Łukasiewicza była rozważana w jego nieobecności, po czym konkretny wniosek ma mu być przedstawiony. Sprawa ta będzie przeto dzisiaj poddana pod obrady Rady Gabinetowej. Zaleski prosi, abym dla zapobieżenia opozycji Strońskiego — pomówił z nim o tym. Nie bardzo to mi się podobało, ale ostatecznie... Zastosowałem się do rady Zaleskiego, udałem się do Hôtel du Danube. Ale ze Strońskim nie rozmawiałem. Tłoczyła się tam gromada ludzi wszelkiego rodzaju. Premier i wicepremier przyjmowali jakąś delegację. Czekanie w tej smrodliwej poczekalni było ponad moje siły. Wyszedłem. O godz. 6-tej Zaleski przyszedł na herbatę. Jest przemęczony tą szarpaniną i

chciałby wyjechać jak najprędzej na prowincję do Blois, gdzie ma być siedziba rządu.

Zjawił się tu lotnik polski, Iżycki. Opuścił Warszawę 25 września, dwa dni przed kapitulacją miasta.

Zaleski opowiedział mi szczególną historię, z której zwierzył mu się gen. Zahorski. W czasie bytności w Rzymie spotkał Niemca, który był jego towarzyszem w dzieciństwie. Ów Niemiec, wybitny hitlerowiec, zapytał Zahorskiego czy miałby ochotę przewodniczyć rządowi polskiemu, stworzonemu przez Niemców w Warszawie. Zahorski, który ze swoją wrodzoną głupotą łączy pewną przebiegłość, dał odpowiedź wymijającą. Niemiec poinformował go, że projektowany rząd polski obejmowałby etnograficzne ziemie polskie, dodał przy tym, że Rosjanie, którzy byli jeszcze na Wiśle, byłiby zmuszeni do wycofania się do Bugu, co rzeczywiście nastąpiło dwa dni później. Dla zachęty, Niemiec dorzucił, że Zahorski może bez obawy przyjąć tę ofertę, bowiem ten rząd warszawski ma już teraz zapewnione współdziałanie jednego z generałów polskich, wziętych do niewoli. Zaleski sądzi, że należy posłać Zahorskiego do Włoch by się dowiedzieć nieco więcej o zamiarach niemieckich. Idea nie jest zła, pod warunkiem bieżącego informowania Francuzów o rezultatach tej operacji. Mimo wielkiego zaufania jakie ma Zaleski u Francuzów, nie należy narażać się na podejrzenia. Kompletna szczerłość jest najrzeczniejszą taktyką.

Marszałkowa Piłsudska przyjechała do Paryża.

Otto Habsburg i Champetier de Ribes byli dziś u mnie na obiedzie.

4 października 1939

Jadłem obiad w banku Lazard'a z André Meyer'em. Wyłożyłem mu swoje projekty co do Europy Środkowej, które go mocno zainteresowały. Podjął się przekazać Daladier'owi, że byłoby w jego interesie narzucić moją nominację. Po południu wizyta Zaleskiego. Sprawa Ambasady wlecze się. Knuje się jakaś intryga. W południe widziałem się dłużej z Noëlem, któremu też wyłożyłem swój plan Środkowej Europy. Był nim również zafrapowany.

Życie w Paryżu wraca do normalnego trybu. Na ulicach dużo samochodów. Restauracje przepełnione. Tylko ciemność panująca wieczorem przypomina o wojnie. Partia pokoju wciąż miota się. Któregoś dnia, podczas śniadania u Marigny, Berenger gadał rzeczy okropnie defetystyczne. Według jego słów, gdyby tylko

Niemcy chcieli, to ich zmechanizowane dywizje pojawiłyby się w Bordeaux. De Monzie jest bardziej umiarkowany, ale gada w tym samym sensie. To samo Mistler. Przeciwko tej fali defetyzmu, która rośnie, istnieje jedna tylko tama: pasywność Daladier'a. Jeżeli się nie robi pokoju, to tylko dlatego, że to by wymagało decyzji. Dali się wpakować w wojnę przez brak energii i będą trwać przez słabość. Taka jest dzisiaj smutna prawda. Francja nie jest rządzona, a wojna, raz rozpoczęta, toczy się, rozszerza, zmienia podług praw jej właściwych. W tych warunkach jedynie wielki spryciarz może przeniknąć przeszłość.

7 października 1939

W ciągu dwóch ostatnich dni moja sytuacja nie zmieniła się. Łukasiewicz, pomimo nalegań francuskich, wciąż nie jest odwołany. Ze swej strony zachowuje wielką powściągliwość.

Rząd polski w dalszym ciągu szamoce się w próżni.

Ciechanowski został wczoraj mianowany sekretarzem generalnym MSZ.

Przyjechał do Paryża Graliński i odwiedził mnie. Jest czołowym ludowcem. Zaleski chciałby go widzieć w rządzie, ale ponieważ Ładoś pierwszy przyjechał do Paryża — został mianowany ministrem. Graliński chciałby odegrać się.

Szczególny to widok tych małych ludzi, szamoczących się dokoła żłobu... pustego. Rozmowy toczą się w terminach partyjnych: padają nazwy „Ludowiec” lub „Endek”, „Socjalista”, lecz nikt nie widzi, że to wszystko jest przedawnione. Nie ma już partii, nie ma już Polski. Jeżeli nowa Polska powstanie z tej burzy, będzie ona tak różna od dawnej, że stare partie polityczne utoną w zapomnieniu. Rzecz dziwna, nikt nie zdaje się uświadamiać sobie, że jesteśmy rzuceni na przełaj czasu i przetrzeniu z zawrotną szybkością, nie wiedząc dokąd zdążamy. Wszystko jest ciemne i niepewne, tyle tylko, że coś nowego tworzy się w boleściach. A ludzie rozprawiają w dalszym ciągu językiem minionego czasu.

Przyjechał do Paryża Gwiazdoski.

9 października 1939

Widziałem się z Robertem de Billy, który powrócił z frontu. Sytuacja, z punktu widzenia lotnictwa, nie jest chwalebna. W ciągu września 30 samolotów francuskich zostało strąconych

— wobec siedemnastu niemieckim. Ponadto 17 samolotów francuskich spadło wskutek różnych wypadków. Ilość samolotów niemieckich zniszczonych z tych samych przyczyn nie jest znana. Trzeba nadmienić, że w tym okresie lotnictwo francuskie było bardzo aktywne i znajdowało się stale nad terytorium nieprzyjacielskim. Nie mniej, stosunek strat jest przykry. Zdaniem Roberta de Billy, Niemcy wciąż jeszcze mają przewagę liczebną. Piloci ich są odważni. Młodzi są sfanatyzowani, czterdziestolatki, przeciwnie, mocno rozczarowani.

Piloci angielscy są odważni, ale ich dowódcy to wielcy ignoranci.

Graliński został mianowany podsekretarzem Stanu w MSZ. Odwiedził mnie i mówiliśmy otwarcie o Ambasadzie. Nie przyjmuję innego rozwiązania niż to jedno. „Mühlstein będzie ambasadorem polskim, albo Zaleski nie będzie ministrem”. Zaleski powinien postawić kwestię zaufania, w przeciwnym razie będę zmuszony stwierdzić, że nie dotrzymał danego słowa, i że rząd nie mianował mnie dlatego, że jestem Żydem. Graliński odparł, że Zaleski nie chce zawiadamiać urzędowo Łukasiewicza o jego zwolnieniu, zanim nie opuści Ambasady i nie przeniesie się do Angers.

Zaleski i Graliński byli u mnie na śniadaniu. Zaleski jest wściekły. Członkowie dawnej kliki zaczynają, jeden po drugim, przyjeżdżać tutaj. Dziś sygnalizują obecność Grażyńskiego. Zaleski zażądał od Noëla, by dawano wizy Polakom tylko za jego zgodą. Nie bardzo rozumiem tych emocji. Co w tym jest ważnego? — zapytałem. — „Ależ, jeżeli ich wielu przyjedzie — odrzekł Zaleski — zaczną się historie à la Kutiepow!”. Te obawy wydały mi się przesadne.

[...]

25 października 1939

Mało wydarzeń godnych zanotowania. Coraz rzadsze spotkania z rodakami, którzy zachowują się w stosunku do mnie w sposób dość nieprzyzwoity. O ambasadzie nie było więcej mowy. Ze swej strony zachowuję tę samą rezerwę.

Leger zapytał mnie przy spotkaniu co jest tego przyczyną. Odpowiedziałem, że nic nie wiem, z wyjątkiem tego, że moje żydowskie pochodzenie wywołało obiekcje.

Obiad z François de Wendel, który nie jest zbyt pesymistyczny. Champetier de Ribes chciał, abym go zaprosił na spot-

kanie z Otto Habsburgiem, którego taktyka wzbudza krytykę. Wysuwa się on za mocno naprzód, akcentuje zbyttno stronę monarchistyczną sprawy austriackiej etc...

2 listopada 1939

Zaniedbałem w ciągu kilku dni swoje zapiski. Wydarzenia są tak monotonne, że nie odczuwa się potrzeby ich notowania. Pisząc słowo „monotonia” trudno mi uwierzyć, że jesteśmy w 1939 roku, w wirze wojny. Prawdopodobnie nowy świat się rodzi, lecz my nic o nim nie wiemy.

Zaleski telefonował wczoraj, że chce się ze mną zobaczyć i dziś przyszedł. Zabawił godzinę, zwierając się z trudności, które napotyka w ministerstwie. Wyszedł — nie uroniwszy słowa o ambasadzie. Dziwny człowiek. Po nieprzyzwoitym w stosunku do mnie zachowaniu się — odwiedza mnie po przyjacielsku, jak gdyby nigdy nic. Rozumiem, że nie chce poróżnić się ze mną. Ja też nie chcę zrywać z nim osobiście, ale czyż on nie zdaje sobie sprawy, że nie mogę dla niego żywić szacunku?

Z tego wszystkiego co mi opowiedział wynika, że moi rodacy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Sikorski piorunuje na prasę, która stawia na równej stopie Polskę, Czecho-słowację i Austrię. Co za skandal!... Wywołuje na Radzie Ministrów burzliwy incydent z powodu mowy Lorda Halifaxa, który mówił o Linii Curzona i domaga się energicznej interwencji u rządu angielskiego. Pycha, próżność — wszystko trwa dalej.

Od kilku dni piszę moją książkę o rekonstrukcji Europy Środkowej. Pisanie — to bardzo nieprzyjemna praca.

Napisałem do Paul-Emil Janson'a z prośbą o pomoc w wy-dostaniu z Warszawy Heleny, Filipostwa i ich córki, jak również Marysi Littauer.

Wracam do mojej rozmowy z Zaleskim, z której zapomniałem zanotować ustęp najciekawszy. Zaleski rozpoznaje, nie bez racji, wielkie niebezpieczeństwo, które zagraża Polsce nawet w razie klęski Niemiec, z powodu Rosji, której wojska nie omieszkają okupować terytoriów polskich, opuszczonych przez Niemców. Aby temu zapobiec, Zaleski wynalazł środek naprawdę zabawny. Byłoby w interesie Polski — powiada — ażeby w Warszawie powstał rząd polski oraz utworzona i wyćwiczona przez Niemców armia polska do walki z Rosją. Miałoby to tylko tę niedogodną stronę, że nie podobałoby się aliantom.

Nie miałem trudności z wykazaniem Zaleskiemu, że mówi nonsensy. Sytuacja w roku 1939 jest zupełnie inna, niż w roku

1914. Nie ma już Austrii i Piłsudski nie żyje. Nawet gdyby był przy życiu — nie mógłby nic zrobić z tej prostej racji, że obecni Niemcy nie pozwoliliby na rekrutację do wojska polskiego. Gdyby nawet rząd niemiecki tego chciał, sprzeciwiłaby się Rosja.

Byłem zaskoczony tym, że Zaleski mówił tyle głupstw. Dawniej miał więcej rozsądku.

Kiedyż Polacy zrozumieją wreszcie, że powinni szukać ratunku jedynie w szczerzej współpracy ze światem zachodnim, liberalnym i demokratycznym.

4 listopada 1939

Obiad jadłem w Sztapie gen. Astier de la Vigerie, dowódcy lotnictwa w strefie północnej. *Rendez-vous* z R. de Billy, adiutantem generała, w koszarach *Gardes Mobiles*. Widziałem tam pierwszych jeńców niemieckich: dwóch pilotów, których samolot został zestrzelony poprzedniego dnia. Spacerowali po dziedzińcu w towarzystwie oficerów tłumaczy, którzy ich badali. Zdaniem oficerów francuskich, lotnicy niemieccy byli bardzo nadęci.

Obiad w kasynie z wyższymi oficerami Sztapu, przy stole generała było bardzo przyjemne: kuchnia znakomita, rozmowa interesująca.

Jestem bardzo zaskoczony atmosferą w tym kasynie: oficerowie wydają się inteligentni, kompetentni. Nie ma chępliwości, nikt nie mówi żargonem. W tym Sztapie dawała się wyczuć pewna atmosfera dworu. Panowała wielka grzeczność, wszyscy czekali na wyjście Generała, jak gdyby był suwerenem.

Piliśmy kawę z generałem tylko we dwóch, rozmawiając o sprawach belgijskich, które go mocno interesują z ważnych powodów: w razie wojny na terytorium Belgii będzie on dowodził armią lotniczą.

Generał nie sądzi, ażeby groziły wkrótce wielkie operacje. Jego zdaniem pora roku stoi temu na przeszkodzie. Chcąc osiągnąć poważny wynik — lotnictwo powinno działać z całą siłą i bez przerwy. Można latać w każdym czasie, to prawda, ale zła pogoda jest bardzo dokuczliwa dla pilotów. Operacja podjęta w obecnych warunkach kosztowałaby drogo atakującego.

„Wprawdzie tej wojny nie rozstrzygnie sama tylko bitwa — powiedział generał — jednak, aby ją zakończyć, trzeba będzie bitwę stoczyć”. „Jeżeli nie można bić się w Belgii, trzeba będzie zrobić coś szczególnego, co — być może — nie uda się”.

D'Astier, jak wszyscy wojskowi, szuka pola do bitwy. Dlatego sprawa Belgii bardzo go niepokoi.

Na drogach nie widać wojny; zaledwie kilka ciężarówek. Jadąc byłem zatrzymany tylko raz. Żandarm, spostrzegłszy mój znak CD dał sygnał by jechać dalej. W drodze powrotnej — w ogóle nic. Wieśniacy spokojnie zbierali swoje buraki.

Niedaleko Senlis widziałem z pewnym wzruszeniem lasy, gdzie kiedyś, w odległym już czasie pokoju, polowaliśmy z chartami.

21 listopada 1939

Przez długi czas zaniedbywałem te zapiski. Od czasu do czasu pytam siebie: po co to robić? Wszystko wydaje się czasami pozbawione znaczenia, nawet najstraszniejsze wydarzenia.

W ciągu tych dwóch tygodni widziałem się z wielu ludźmi: Generał Denain pytał, dlaczego nie figuruję nigdzie w polskich nominacjach; również Leon Noël wczoraj na obiedzie u Drouant'a powiedział mi, że został uprzedzony przez rząd polski o mojej bliskiej nominacji. Jego zdaniem wysunięta została kontrkandydatura Seydy, aby storpedować moją. [...]

Spędziłem wczoraj godzinę w Bibliotece Polskiej, dokąd została zaproszona przez Puławskiego cała emigracja polska, dla wysłuchania przemówienia Filipowicza i wypicia filiżanki herbaty. Smutny widok tych wszystkich uchodźców, którzy, być może, nigdy już nie zobaczą swojej ojczyzny.

Spotkałem tam znowu Łukasiewicza. Przykro patrzeć na niego. Źle wygląda i stał się bardzo skromny. Przechadzał się wczoraj po salonach Biblioteki Polskiej, gdzie kiedyś tronował w pełnym blasku swej ambasadorskiej godności, poszukując uśmiechu lub uścisku dłoni.

22 listopada 1939

Rozmawiałem dziś rano godzinę z Champetier de Ribes, trochę o sprawach polskich, trochę o belgijskich. W gruncie rzeczy Francuzi nie są niezadowoleni z Belgów. Ich zachowanie się w czasie sprawy holenderskiej zostało ocenione jako zadowolające. Właściwie mówiąc nie było rozmów między sztabami głównymi; wojskowi rozmawiali ze sobą i Belgom powiedziano co się będzie robić.

Niemcy prowadzą wciąż swoją „pokojową ofensywę”, co

dzień Paryż otrzymuje jakieś propozycje. Hitler jest niezmordowany. Po południu miałem wizytę dra Rajchmana. Powiedział mi, że nie powinienem źle życzyć Zaleskiemu... Wyjaśniłem mu mój punkt widzenia. Rajchman nastaje, abym się zgodził na współpracę z tym rządem... jako ambasador *at large*. Oferta raczej niewyraźna. Opowiada mi, że Zaleski ma zamiar zaproponować mi stanowisko politycznego podsekretarza Stanu, aby działać w Paryżu i innych stolicach. Nie dałem na to żadnej odpowiedzi. Tymczasem Zaleski zachorował na woreczek żółciowy.

Rząd polski przeniósł się nareszcie do Angers.

[...]

30 listopada 1939

Gen. Denain zawiadomił mnie telefonicznie z upoważnienia gen. Sikorskiego o mojej nominacji na stanowisko posła polskiego w Brukseli. Odpowiedziałem mu, że to jest nonsens. W każdym razie prosiłem go o traktowanie tej naszej rozmowy tak, jakby jej w ogóle nie było. Nie chcę przyjąć jej do wiadomości. [...]

1 grudnia 1939

Liberman był u mnie dziś na śniadaniu. Potwierdza, że atmosfera w Coëtquidan jest wyraźnie antysemitka. Mówi o tym ciągle Sikorskiemu — bez skutku.

5 grudnia 1939

Baliński powtórzył mi dziś to, co Skiwski powiedział pewnego dnia jego bratu: „Odnieśliśmy sukces, bo przeszkodziliśmy Francji i Anglii porozumieć się z Rosją”.

Pułkownik Kowalewski, b. *attaché militaire* w Moskwie i Bukareszcie podał mi przerażające szczegóły o swoich rozmowach ze Sztabem Głównym na temat rosyjskich dostaw dla armii polskiej. Kowalewski był zdania, że tę sprawę należało traktować nie ze stanowiska handlowego, lecz politycznego. „Trzeba było żądać od Rosji pomocy”. 7 września odbyła się w Kwaterze Głównej konferencja na ten temat. Gen. Stachiewicz, przez wzgląd na Becka, uważał że nie należy podejmować decyzji bez

opinii ministra spraw zagranicznych. Kowalewski został więc wysłany do Łucka, aby naradzić się z nim. Wrócił stamtąd do Kwatery Głównej, gdzie odbyły się nowe rozmówki, potem znów pojechał do Łucka, czy Krzemieńca, wciąż po to, aby ułożyć się z Beckiem, ale w dniu jego tam przyjazdu armia sowiecka przekroczyła granicę. W ten sposób w chwili kiedy Polska była prawie w agonii, władze cywilne i wojskowe nie mogły dojść do porozumienia w sprawie tak poważnej jak pomoc rosyjska. Co więcej, ostatnie godziny były zmarnowane na peregrynacje z Brześcia do Łucka i z powrotem. W ciągu kilku lat państwo polskie doszło do przechodzącego wszelkie wyobrażenia stopnia rozkładu. Naród polski dowiódł, że jest niezdolny do rządzenia się. Dowiaduję się, że w Angers mają nastąpić w najbliższym czasie zmiany w rządzie. To jest gorzki żart. Ledwie ukonstytuowany rząd na uchodźstwie odczuwa potrzebę zmian w swoim składzie. Naprawdę to groteska. Prof. Kot ma zastąpić profesora Strońskiego na urzędzie wicepremiera.

7 grudnia 1939

Dziś rano byłem u Georges Bonnet'a, aby go prosić o interwencję na rzecz Stiebel'a.

Załatwiwszy tę sprawę zaczęliśmy rozmawiać o początkach wojny. Georges Bonnet odczytał kilka bardzo ciekawych dokumentów, m.in. ze swojej korespondencji z Ribbentropem. W liście prywatnym, datowanym 1 lipca 1939, Georges Bonnet zawiadamiał Ribbentropa, że Francja będzie u boku Polski w razie wybuchu wojny z powodu Gdańska. 13 lipca Ribbentrop odpowiada listem, napisanym w tonie niemal gwałtownym. Twierdzi, że swoją deklaracją z 6 grudnia 1939 Francja zrzekła się interweniowania na Wschodzie — w strefie żywotnych interesów niemieckich; że zastrzeżenie dotyczące stosunków z stronami „trzecimi” ma zastosowanie tylko do stosunków Francji i Anglii z jednej strony, a Niemiec i Włoch z drugiej. W konsekwencji stosunki polsko-niemieckie zależą wyłącznie od Berlina. Ribbentrop nazywa odpowiedź polską na propozycję Hitlera „dziwną”; oświadcza że w razie interwencji Polski z powodu zmian w statucie Gdańska, wojska niemieckie natychmiast przekroczą granicę i Polska zostanie zniszczona. Interwencja Francji oznaczałaby wojnę z Niemcami. Jeżeli Francja pragnie wojny — znajdzie Niemcy gotowe w każdej chwili. Odpowiedzialność za wojnę spadłaby przeto na Francję. List był bardzo stanowczy.

Odpowiedź Bonnet'a, datowana 20 lipca, była nie mniej stanowcza. Udowodniała, że Francja nigdy nie zrezygnowała ze swoich zainteresowań w sprawach Wschodu i cytowała wymianę zdań, dotyczącą wspólnej gwarancji dla Czechosłowacji. Co do Polski — Bonnet przypominał słowa Ribbentropa, że sojusz z Polską nie krępował Niemiec, ponieważ stosunki ich z Polską były „doskonałe”. Na zakończenie Bonnet oświadczył, że Francja nie mogłaby ponosić odpowiedzialności za wojnę, dlatego, że honorowała swój podpis.

Ta korespondencja jest bardzo dziwna. Wykazuje rozwój konfliktów z powodu Gdańska. Zdaniem Bonnet'a wojna wybuchła dlatego, że Anglia uznała chwilę za odpowiednią dla obalenia Hitlera. W Londynie myślano, że wypowiedzenie wojny przez Anglię i Francję wystarczy do podważenia sytuacji wewnętrznej Hitlera. Przy tym, w ciągu dni poprzedzających wojnę nadeszły wiadomości malujące wewnętrzną sytuację Niemiec w barwach bardzo ciemnych. Bonnet sądzi, że były one rozpowszechniane przez sfery sprzyjające rozpoczęciu wojny. Anglia — cokolwiek o tym mówią jej przywódcy — nie wierzyła w długą wojnę.

Bonnet jeszcze raz opowiedział mi o swojej rozmowie z Halifaxem w Genewie. Powiedział on temu ostatniemu, że niepokoi go nieustępliwość Becka w sprawach Gdańska, dawniej bowiem stosował politykę wręcz przeciwną. Jeszcze nie tak dawno Beck prosił Radę Ligi Narodów o niezajmowanie się Gdańskiem, gdyż tę kwestię zamierza traktować i załatwiać bezpośrednio z Niemcami.

Po południu Halifax znów spotkał się z Bonnet'em i powiedział mu, aby się nie niepokoił. Niech Beck robi swoje. „On jest w takiej zażyłości z Niemcami, że znajdzie w końcu jakiś kompromis z nimi”. W gruncie rzeczy Anglicy uważali Becka za większego germanofila, niż on był w istocie i na tej podstawie oceniali jego politykę. Sądzieli więc, że potrafi porozumieć się z Niemcami bez nowej kapitulacji mocarstw zachodnich.

Wszystko to jest bardzo dziwne i dowodzi, że pozwolono się wciągnąć do wojny niemal bezwiednie.

Bonnet powiada, że pomiędzy nim a Daladier i Leger istniała głęboka rozbieżność. Ci ostatni sądzili, że Hitler bluffuje i że wobec bezużyteczności swego szantażu — porozumiał się ze swoim kompanem Mussolinim, w celu uzyskania drogą konferencji tego, czego nie mógł osiągnąć szantażem i wojną. Bonnet przeciwnie, uważał że Hitler bynajmniej nie bluffuje, że gotów jest wywołać wojnę, że natomiast Mussolini szczerze pragnął jej uniknąć, i

bynajmniej nie był instrumentem Hitlera. Zdaniem Bonnet'a mediacja Mussoliniego była szczerą.

O Łukasiewiczu Bonnet powiedział, że przyczynił się do storpedowania mediacji Mussoliniego m.in. za pośrednictwem swego przyjaciela Bullit'a, który chodził do Daladier'a. „Ten Bullit — to prawdziwy pustogłów”.

Rozmowa z Bonnet'em była bardzo pouczająca. W dodatku odczytał mi depesze konsula francuskiego w Saint-Sebastien, którym posługiwał się w swoich półoficjalnych stosunkach z Franco. Wynikało z tej depeszy, że już w lipcu 1938 Jordana dał najbardziej formalne zapewnienia, że w razie wojny Hiszpania zachowa neutralność i że po zakończeniu wojny domowej, ani jeden obcy żołnierz nie pozostanie na jej terytorium.

Bonnet uważa, że ma prawo twierdzić, że jego polityka zapobiegła wojnie na trzech frontach, i że neutralność Hiszpanii i Włoch jest jego zasługą. Zresztą, akcja na jego korzyść jest już w toku. Przykładem są artykuły Hanoteaux w *Le Journal*.

Był u mnie na obiedzie Tytus Filipowicz i przyniósł memoriał o Polsce i Europie Środkowej. Filipowicz jest w „opozycji”. Opierając się na tym co mu mówił pułkownik Grzędziński, potwierdza że atmosfera w Coëtquidan jest zatruta antysemityzmem. To jest wiarygodne świadectwo.

Wstąpiłem na Quai d'Orsay aby coś powiedzieć Fatton'owi. Był bardzo zajęty przed wyjazdem tegoż wieczoru wraz z Champetier de Ribes do Genewy. Powiedział mi w przelocie, że neutralne państwa, a nawet Niemcy, czynią zabiegi o wszczęcie rozmów. Głównym ich tematem byłoby: zakończyć szybko wojnę, aby powstrzymać posuwanie się naprzód bolszewików i obrócić broń przeciwko Rosji Sowieckiej. Champetier de Ribes jedzie do Genewy z nastawieniem, że Niemcy są „wrogiem Nr 1” i że nie można dać się sprowadzić ze swej drogi.

8 grudnia 1939

Jadłem obiad z Robertem de Billy, który był w Paryżu przejazdem. Wiadomości nie są pocieszające: lotnictwo nie działa. Istnieje wciąż liczebna nierówność na naszą niekorzyść: 1.400 samolotów przeciwko pięciu tysiącom niemieckich. To nie do pojęcia.

Generał d'Astier wrócił z Londynu. Tam również, jego zdaniem, nie przyspieszają produkcji samolotów. Główną ideą jest obrona Anglii i uzbrojenie jej tak jak pokładu pancernika. Myśli się bezustannie o *Deutschland*. To, że ten statek nie

jest zatopiony, spędza Anglikom sen z powiek. Z zaciekleścią więc budują nowe pancerniki. W końcu jednak nie widać i tam żadnego planu.

Co nam w takim razie przyniesie wiosna?

9 grudnia 1939

Wczoraj kolacja z Georges i Odette Bonnet, oraz Ann Crawshay.

Bonnet sądzi, że posiedzenie Izby było bardzo niepomyślne dla rządu. Podobno Moskwa uprzedziła ambasadora francuskiego, że nastąpi „rektyfikacja” granic kosztem Rumunii, ale bez wojny.

No, wyobrażam sobie, przecież Rumuni nigdy nie zaryzykują rozróby!

A *propos* Rumunii: Bonnet twierdzi, że od niej zaczęła się gwarancja angielska dla Polski. Po udzieleniu gwarancji Rumunii, Anglia poszukiwała narzędzia do jej wykonania na Wschodzie i nie znalazła innego, jak tylko Polskę.

Wydaje mi się, że we Francji zarysowuje się teraz wielka kampania na rzecz pokoju z Niemcami, kampania tajemna i kręta. Powód do tego dostarcza Finlandia. Sfery parlamentarne i prasowe, dawniej niechętnie wojnie, obecnie przegrupowują się pod hasłem antysowieckim. *Le Jour*, *Le Matin* — nie mówiąc już o innych — pchają do zerwania z Rosją z powodu Finlandii. Wyobraźmy sobie, że to nastąpi... Jakież będzie tego ciąg dalszy? Sojusz niemiecko-sowiecki automatycznie zacieśni się!

Jasne się stanie, że wojna przeciwko dwom państwom jest wielokrotnie trudniejsza do prowadzenia. To będzie pierwsza faza. Drugą będzie pokój z Niemcami, promowanymi na anty-bolszewickiego szampiona. Wszyscy neutralni będą pomagać, ponieważ umierają ze strachu. Przedłużanie się wojny to koniec ich niepodległości.

Już teraz napływają takie sugestie z państw neutralnych i z Niemiec. Fatton napomknął mi o tym przed wyjazdem do Genewy. Billy mówi, że król szwedzki napisał do Daladier. Wchodzi więc na porządek dzienny sprawa szwedzka.

14 grudnia 1939

Przez kilka dni nie robiłem zapisków ani o wydarzeniach, ani o rozmowach. Nic szczególnego się nie stało, wojna wlecze

się powolutku. Komunikaty donoszą z całą powagą o operacjach, w których bierze się dziesiątek jeńców... Na morzu statki toną w dalszym ciągu, bądź storpedowane, bądź przez natrafienie na minę. W powietrzu nie ma żadnego ruchu. Czyżby ta dziwna wojna trwała wciąż bez działań wojskowych?

Z Polski nadchodzą wiadomości smutniejsze niż kiedykolwiek. Ucisk jest straszny. Usiłuję dowiedzieć się o rzeczywistym zachowaniu się ludności, co jest bardzo trudne. Ostatni przybysze stamtąd opowiadają, że Niemcy znajdują wśród Polaków współpracowników. Powiadają, że chłopci odnoszą się do okupanta bez szczególnej wrogości. Niemcy ze swej strony próbują ich kaptować, skierowując wszystkie okrucieństwa przeciwko inteligencji, przeciw posiadaczom, przeciwko „elicie”. [...]

O rządzie polskim dochodzą do mnie niezbyt radosne echa. W Coëtquidan nastroje są złe. Oficerowie polscy często obrażają i urągają rekrutom spośród emigracji. Polak wychowany we Francji jest inny niż Polak z Polski. We Francji nie szuka się z kimś zaczepki bezkarnie. Coś z tego sposobu bycia w człowieku zostaje: żywsza świadomość godności ludzkiej, upodobanie wolności, inne pojmowanie dyscypliny. Były tu wypadki dezercji, ale... w Legii Cudzoziemskiej.

9 stycznia 1940

Od dłuższego czasu nie notowałem codziennych wydarzeń. Nie wiem dlaczego odczuwam pewną trudność kontynuowania tego małego notatnika faktów i wrażeń.

Dziś rano byłem u Champetier de Ribes. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i natychmiast poruszył ważne sprawy dyplomatyczne: Bałkany, Włochy, Rosję. Wzrost nastrojów antyrosyjskich niepokoi go. Jesteśmy z nim zgodni w sprawie Finlandii i intryg dookoła jej obrony; również co do konieczności rozmawiania z Rosją za czymś pośrednictwem, np. Turków.

Nagle Champetier de Ribes zainteresował mnie w sprawie antysemityzmu w Coëtquidan, o czym otrzymał raport od PFZET. Nie ukrywałem przed nim mojego poglądu i radziłem wezwać gen. Sikorskiego do wyboru jednego z dwóch rozwiązań: 1) zupełnego stłumienia praktyk antysemitycznych albo 2) pozostawienia żołnierzom, zarówno katolikom jak Żydom, prawa wyboru służby w armii francuskiej lub polskiej. Postawiony przed taką alternatywą, gen. Sikorski nie będzie się wahał. Nie chcąc dopuścić do topnienia stanu liczebnego armii, będzie wolał stłumić antysemityzm, ryzykując nawet zwadę z antysemitami.

W porozumieniu z Champetier de Ribes wyjadę za kilka dni do Brukseli.

12 stycznia 1940

Odwiedził mnie Witenberg i opowiedział budującą historię. Ksiądz Cegiełka miał mówić przez radio. Przygotował przemówienie, w którym potępił wszystkie totalizmy — bolszewizm, hitlerizm, jak również antysemityzm. Cenzor polski — zdaje mi się że to był p. Stweteliki (?) skreślił słowo „antysemityzm”. Witenberg potwierdził też, że pułkownik Grzędziński oraz sporo innych oficerów, zostali usunięci z powodu liberalnych opinii. Cała armia polska została oddana O.N.R., która propaguje otwarcie antysemityzm. Paczkowski opowiedział Tuwimowi fakt skandaliczny. Pewien żołnierz Żyd, woźnica pocztowy, spotkał trzech oficerów. Jeden z nich zapytał czy nie ma dla niego listów. Po negatywnej odpowiedzi otworzył sam torbę, wyjął list i rozpieczętował. Po czym zwrócił i powiedział, że się omylił, bo list nie był do niego. Pocztylion poprosił, aby zaznaczył na kopercie, że ją omyłkowo otworzył. Oficer odmówił. Pocztylion nastawał, wskazując na swoją odpowiedzialność. Na to oficer obsypał żołnierza obelgami, zaczął go bić, podczas gdy dwaj jego koledzy trzymali ofiarę. Paczkowski, młody poeta, katolik, jest człowiekiem ponad wszelkie podejrzenia i jego świadectwo nie może być podane w wątpliwość.

Wieczorem koncert w Operze na rzecz Skrzydeł polskich i francuskich. Grali Hubermann i Wanda Landowska. Po koncercie kolacja u nas w domu. Było około 50 osób, m.in. Champetier de Ribes, gen. Denain, Amaury, de la Grange, wielu młodych, Alain, Elie, młodzi Gramont — wszyscy na urlopie; również sporo młodych pańienek. Całe to towarzystwo piło, śpiewało, żartowało. Było też niemało Polaków. Hubermann przyszedł ze swoją przyjaciółką, zdaje się Czeszką i panią Landsberger, która zajmowała się urządzeniem koncertu. Jest ona córką niezującego Maurycego Poznańskiego, zresztą — nudziarka.

13 stycznia 1940

Robert de Billy był u mnie na obiedzie i skarżył się na stan lotnictwa. Samoloty są od chwili dostawy w złym stanie. W eskadrach są demontowane jeszcze przed użyciem. Przy tym aparaty stoją na dworze również w czasie deszczu i śniegu i bar-

dzo niszczej. Zamówiono hangary, które będą gotowe dopiero na wiosnę, kiedy już nie będą potrzebne. Samoloty budowane są bez pośpiechu — nie wychodzą z warsztatów. Kryzys w dowództwie jest stały: generał Vuillemin będzie musiał ustąpić.

Na froncie sytuacja jest napięta. Zadaję sobie pytanie czy nie jest przygotowywany atak. Liczne oznaki za tym przemawiają.

16 stycznia 1940

Niepokój o Belgię i Holandię zaczyna się rozpraszać. Wygląda na to, że ofensywa niemiecka nie nastąpi. Pani Cattier była ze mną na obiedzie i opowiadała ostatnie plotki brukselskie: podobno głównym celem kryzysu rządowego miało być pozbycie się Devize'a.

Bardzo krytykuje się otoczenie Spaaka jako zarażone przez agentów niemieckich. Jednym z głównych ma być jakoby Lucette Didier. Zdaje się, że *Sûreté* ma na oku tę piękną dziewczynę. Félicien Cattier telegrafował do żony, aby ją uspokoić co do ofensywy. Robert de Billy też dzwonił do mnie w tym samym sensie.

18 stycznia 1940

Spotkałem dziś na obiedzie u M. Witenberga płk. Grzędzińskiego. Będąc komendantem Coëtquidan do połowy grudnia 1939, mógł on stwierdzić istnienie propagandy antysemitycznej. Cała armia jest w rękach ONR. Doboszyński, który jest porucznikiem saperów, uważany jest za przywódcę. Widać nawet zewnętrzne oznaki respektu w stosunku do niego.

Zresztą, antysemityzm jest tylko jednym z aspektów tego zagadnienia. W rzeczywistości ma się do czynienia z *sui generis* hitleryzmem. Nic się nie zmieniło: Francja jest pogardzana i niecierpiana, Żydzi — znieawidzeni, wszystko jak w Niemczech. Płk Grzędziński opowiada, że w klubie oficerskim w Coëtquidan pewien oficer wygłosił przemówienie, mówiąc m.in., że Francja jest zgniła i nie trzeba się nią przejmować.

Wszystko to co się słyszało w Polsce w ostatnich latach o Francji, powtarza się teraz w Coëtquidan i gdzie indziej.

Eliminowanie Żydów odbywa się systematycznie. Raz ogłasza się ich za niezdolnych do służby wojskowej i przenosi do służby administracyjnej, innym razem stosuje się bardziej bezpośrednie metody. W otoczeniu generała Maczka, dowódcy pierwszej Dywizji, panuje całkowicie rasizm; jak w Niemczech.

Antyrasistowskie okólniki generała Sikorskiego są lekceważone. Płk Grzędziński był jedynym oficerem, który odczytał ostatni okólnik swoim oficerom i skomentował go. Wszyscy inni oficerowie okólnik ten po prostu zignorowali.

Zresztą zachowanie się samego generała Sikorskiego zachęca jego oficerów do takiego postępowania. [...] Pułkownik Grzędziński kwestionuje zresztą dobrą wolę generała Sikorskiego w zwalczaniu intryg hitlerowskich i antysemickich w armii. Nie dlatego, aby on sam był antysemitą, ale po prostu dlatego, że nie chce być źle widziany przez oficerów-hitlerowców. Generał Sikorski nie sprzeciwi się temu stanowi rzeczy, a jego szef sztabu, płk (*brak w tekście*) otwarcie popiera tendencje hitlerowskie i antysemickie.

„Cóż więc zdecydował ten Żyd algierski?” — zapytał pewnego dnia pułkownik (*brak w tekście*) innego oficera w obecności generała Sikorskiego. „Żyd algierski” to gen. Denain, któremu gen. Sikorski wszystko zawdzięcza. Płk Grzędziński był naocznym świadkiem tej sceny i słyszał powyższą rozmowę na własne uszy.

Atmosfera panująca w nowej armii polskiej jest właściwie straszna. Zdaniem pułkownika Grzędzińskiego, ta nowa armia polska we Francji będzie gorsza od swojej poprzedniczki zarówno pod względem moralnym jak i fachowym. Pracuje się w niej mało i źle. Bezład jest wszędzie. Arogancja, zarozumiałość i próżność przekraczają wszelkie granice. O armii francuskiej mówi się z największą pogardą. Płk Grzędziński cytuje mi wypadek pewnego Polaka, zamieszkałego we Francji, podporucznika czasu wojny w armii francuskiej, którego ranga nie została uznana, ponieważ armia polska nie może oczywiście dopuścić równości rang z armią francuską. Dyscyplina w armii polskiej jest marna i jednocześnie brutalna, nie do wytrzymania dla Polaków, przyzwyczajonych do życia francuskiego. Płk Grzędziński cytuje przykład dwóch żołnierzy polskich, którzy stanęli do raportu przed nim i zażądali zwolnienia z wojska, z powodu wymyślenia im od „synów prostytutek”. Z tą obelgą polscy robotnicy we Francji nie chcą się pogodzić.

Rozmowa z pułkownikiem Grzędzińskim zupełnie mnie zgnębiła. Armia polska zgniła, zanim zdołała dojrzeć.

[...]

26 stycznia 1940. Bruksela

Obiad w Ambasadzie Francuskiej. Obecni: André Siegfried, Paul Hymans, kilku dyplomatów i kilku Francuzów.

Przed obiadem rozmawiałem w MSZ z d'Aspremont-Lynden w sprawie osób, pragnących wyjechać z Polski. Złe wiadomości o profesorach krakowskich; są w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu. D'Aspremont-Lynden sądzi, że w tej sprawie, protest intelektualistów z krajów neutralnych mógłby mieć dobre skutki. [...]

28 stycznia 1940

Napisałem do Zaleskiego o profesorach krakowskich w sensie rozmowy z d'Aspremont-Lynden.

[...]

16 marca 1940

W Paryżu wielkie poruszenie z powodu sprawy finlandzkiej. Gabinet Daladier'a trząsł się w swoich podstawach. Od razu tak długo odkładane zmiany — stały się nieuniknione. [...]

Gen. d'Astier, który przyszedł by odwiedzić Dianę, wyrażał żal, że wyprawa finlandzka nie doszła do skutku. Sądzi, że było tam sporo do zrobienia. Ze swej strony utrzymuję moją dawną opinię, że pokój rosyjsko-finlandzki jest szczęściem dla wszystkich, gdyż wyprawa aliancka zapowiadała się jako bardzo trudna. Otrzymałem Polską „Białą Księgę”. W sumie jest to próba usprawiedliwienia polityki Becka. W gruncie rzeczy można by ją streścić w następującym zdaniu: „Polacy nie byli zdrajcami, lecz głupcami”. To dość bliskie rzeczywistości.

9 kwietnia 1940

Gazety poranne donoszą o zaminowaniu terytorialnych wód Norwegii i o storpedowaniu wielu statków niemieckich. Około jedenastej dowiedziałem się, od Corinne Cartier, do której dzwoniłem — o wkroczeniu wojsk niemieckich do Danii i Norwegii:

Kopenhaga i Bergen są okupowane. Norwegowie stawili opór, Duńczycy — nie.

Zaczyna się wielka awantura. W tej chwili statki alianckie powinny być w drodze do Narwiku i innych portów Północnej Norwegii. Jest to wielki wyścig do kopalni rudy żelaznej. Kto dopadnie pierwszy? Wielka bitwa powietrzno-morska jest nieunikniona.

4 maja 1940

Dziś odwiedził mnie Arciszewski, który wrócił z Rumunii. Opowiedział rozmowę Becka z Gafencu w dniu 4 marca 1939. Gafencu powiedział Arciszewskiemu, że jest zadowolony z rozmowy z Beckiem i że wszystkie sprawy polsko-rumuńskie zostały przewentylowane. Wprawdzie przedmiotem sojuszu polsko-rumuńskiego jest tylko Rosja, w związku z czym Niemcy są poza zakresem rozmów — oświadczył Gafencu — jednak zapytałem Becka jak wyglądają stosunki polsko-niemieckie?

— Bardzo dobrze — odrzekł Beck. — Moja wizyta w Berchtesgaden i wizyta Ribbentropa w Warszawie rozwiąły wszelkie nieporozumienia. Sprawy rozwijają się pomyślnie.

— Czy ma pan porozumienie z Hitlerem? — zapytał Gafencu.

— Nie — odpowiedział Beck. Mam coś lepszego, mianowicie zaufanie do Hitlera, do jego zdrowego rozsądku. To jest wielki człowiek, mający ogromne plany, których nie może zrealizować bez Polski i na pewno nie będzie chciał wystawiać ich na sztych przez kłótnie z nami.

Działo się to na 10 dni przed okupacją Pragi. Gafencu był bardzo zdziwiony.

Spotkałem Gwiazdowskiego, który opowiedział mi ostatnią gaffę Sikorskiego. Dzielny generał zaprosił na obiad Frossard'a, którego zresztą nie znał i Julien Cain'a. W czasie obiadu nie miał nic pilniejszego do powiedzenia ministrowi informacji jak to, że „Continental” to placówka antypolska, że wszyscy tam są Polsce nieprzyjaźni, a ksiądz David — cenzor polski — więcej niż inni. Grubiaństwo nie do pomyślenia i, co gorsza — głupota, gdyż wszyscy w „Continental” byli bardzo dobrze do Polski usposobieni, a ks. David w pierwszym rządzie.

Biedny Gwiazdowski jest przygnębiony, utrzymuje bowiem z tymi panami jak najlepsze stosunki i obawia się, aby oni nie przypisali jemu tego wybryku.

W ambasadzie odbyła się konferencja prasowa. Szef Sztabu Głównego, pułkownik, oświadczył m.in.: „Zasadniczą myślą gen. Sikorskiego jest to, aby armia polska we Francji wcale się nie biła”.

16 maja 1940

O godz. 6-tej rano Robert Rothschild dzwonił, aby mi powiedzieć, że front został przerwany. Niemcy maszerują na Laon i Senlis jest ewakuowane. Proponuję Dianie wyjazd, ale ona odmawia i wychodzi o godz. 8-ej do swego szpitala.

Miasto jest zadziwiająco spokojne. U Forda, gdzie reperują mój samochód, stwierdzam, że robotnicy pracują bez żadnych oznak podniecenia, mimo że wiedzą o poważnej sytuacji. [...]

Chciałem kupić w sklepie broń rewolwer. Nie mają, ale obiecano mi postarać się na popołudnie. Pogoda śliczna! [...]

O godzinie 4-tej po południu byłem u Brusset'a w Ministerstwie Kolonii. Powiedział mi, z miną raczej niepewną, że sytuacja się poprawia, że Niemców zatrzymano. — „Czy są w Laon?” — zapytałem. — „Są znacznie dalej” — brzmiała odpowiedź.

Brusset radzi wyprawić Dianę; on sam wysyła rodzinę. Powróciłem do niego o szóstej. Mówi mi, że wiadomości są daleko lepsze i tym razem mówi to z miną bardziej przekonującą.

Wychodząc od niego spotykam panią Schneider i pana Provest de Launay. Cała prawica „powraca” do Mandela.

Poszedłem do ambasady. Mnóstwo Polaków... Czekają z niepokojem... Zdarza się im to już po raz drugi.

We francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych była tego ranka panika. Pakują się... Widziałem Hervé Alphand'a o 7.30 rano. Do jego ministerstwa wchodzi się jak do młyna: ni dozorczy, ni warty. W końcu jakaś stara kobeta wskazuje mi jego biuro. Wchodzę po schodach, błędzę po długich, ciemnych korytarzach, otwieram różne drzwi. Wszędzie pliki akt na stołach, ale ani jednego urzędnika. Szpieg mógłby zabrać wszystko co by chciał.

Hervé jest spokojny. Otrzymał rozkaz, by spalić tajne archiwa, a inne w ciągu dwóch godzin przygotować do wywiezienia *dwiema ciężarówkami!*

17 maja 1940

Spędziłem rano na poszukiwaniu kontaktu z BCMC, aby

się dowiedzieć, czy droga do Deauville jest wolna. Diana nareszcie wyjechała z Ginette i szoferem.

Popołudniu bez ogródek spytałem Brusset'a, czy należy być gotowym do wyjazdu. Po chwili wahania odrzekł: „Tak. Niech pan będzie gotów i dzwoni do mnie dwa razy dziennie, a ja powiem czy trzeba wyjeżdżać”. Poczyńłem więc pewne przygotowania.

Wieczorem, około godz. 8-mej, wiadomości są gorsze. Wytworzył się drugi worek na froncie, w kierunku na północ, zdaje się — w celu odcięcia armii walczącej w Belgii.

Rozmowa z Amaury de Lagrange, który ma te same informacje. Los świata decyduje się literalnie dziś. Bitwa jest nierozstrzygnięta.

Spotkałem również André Meyer'a. Ta sama śpiewka. Towarzyszyłem mu do MSZ. Wyszedł stamtąd jeszcze bardziej posępny: na froncie formuje się nowy worek, gdzie indziej sytuacja zagmatwana. Wieczorem Marcel Hutin telefonuje do barona, że sytuacja bez zmian.

18 maja 1940

Ranek pochmurny. Żadnych nowych wiadomości. Mówią, że Lille ewakuowane.

W ciągu dnia mówi się wciąż, że zagrożenie Paryża jest wyraźnie pomniejszane, ale że armia niemiecka atakuje w kierunku na Maubeuge, Valenciennes, Calais, i że niebezpieczeństwo jest wielkie. Maubeuge jest zajęte przez Niemców, Valenciennes podobno również. Niemieckie dowództwo przyspiesza marsz swoich wojsk w kierunku morza tak, ażeby przeciąć drogi odwrotu armii alianckich, operujących w Belgii. Jest to próba szybkości. Bruksela, Antwerpia zostały opuszczone, resztę terytorium belgijskiego spotka prawdopodobnie ten sam los. Wyprawy do Belgii nie przynoszą szczęścia armii francuskiej. Jak w roku 1914 tak i tym razem była to bitwa pod Charleroi!

Lagrange mówił mi, że we francuskim Sztapie Generalnym niektórzy oficerowie byli przeciwni wyprawie belgijskiej. Widać teraz, że mieli rację.

Hervé Alphanth mówi mi dzisiaj, u mnie na obiedzie, że Mandel obejmuje Sprawy Wewnętrzne, Reynaud — wojnę, z Pétainem, jako wicepremierem, i że Daladier ma zastąpić premiera na Quai d'Orsay. Ta ostatnia desygnacja jest skandalem. Jeżeli Daladier jest odpowiedzialny za porażkę Francji, a jest na pewno — w takim razie po co posyłać go do MSZ, gdzie potrzebny

jest mąż stanu pierwszej klasy? Polityka w najgorszym tego słowa znaczeniu wciąż jest kontynuowana, nawet w chwili, kiedy Francji zagraża bezprzykładna katastrofa!

Późnym popołudniem dowiaduję się, że „rzeczy nie idą zbyt źle”. Krótki alarm pomiędzy godz. 4.30 a 5-tą po południu. [...]

Czytałem dziś sprawozdanie z marcowej wizyty na linii Sedanu, informujące Naczelne Dowództwo i Ministerstwo Wojny o wszystkich słabych stronach tej pozycji. Autor raportu przepowiada operację, której będą próbowali Niemcy. Jest to wręcz proroczy dokument. Gdy się przystąpi do badania odpowiedzialności okaże się, że ten raport członka parlamentu mówił prawdę, ale go nie słuchano.

Sytuacja zdecydowanie poprawiła się. Armia została wzięta w ręce i jest nadzieja, że wojska operujące w Belgii będą mogły wycofać się z wąskiego korytarza, w którym się znajdują.

19 maja 1940

W ciągu dnia sytuacja pogarsza się. Niemcy posuwają się naprzód w kierunku północnym i zachodnim. Bombardują wszędzie: w Dunkierce, w Compiègne, w Creil. Ludzie są zasępieni.

Oczekując w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na Brusset'a spotykam Philippe Barres'a, który jest w Kwaterze Głównej, w Oddziale II-gim. Powiada, że wszystko jest skutkiem błędów dowództwa. Gamelin i Georges są w zupełnym rozstroju, bezwolni. Nie robi się nic. Niemieckie oddziały zmotoryzowane rozjeżdżają po kraju, wzdłuż dróg, zaopatrując się w paliwo na stacjach benzynowych. Wszędzie, gdziekolwiek jest młody oficer z zacięciem do komendy, tam rzeczy idą lepiej.

Dziś wieczorem obejmuje dowództwo Weygand. Miejmy nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

20 maja 1940

Niemcy są w Peronne! A jednak dzisiaj w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych nastrój wydawał się lepszy. Spotkałem tam Louis Marin'a i Provost de Launay. Sytuacja wyklaruje się w ciągu kilku dni. Duch armii jest lepszy, nominacja Weygand'a zrobiła dobre wrażenie. Gen. Giraud odnalazł się. Były obawy, że dostał się do niewoli.

Wieczorem André Meyer dowiedział się przez telefon od poważnej osobistości, że sytuacja wygląda stanowczo lepiej.

Weygand spełnia pokładane w nim nadzieje. Jest pełen werwy, panuje nad swoim zadaniem i w Kwaterze Głównej oddychają swobodniej. Nic jeszcze konkretnego, ale jest bezsprzecznie lepiej.

Przetelefonowałem tę wiadomość Zaleskiemu, który był bardzo przyjemnie tym zaskoczony. Powiedział, że chce się ze mną zobaczyć i jutro przyjedzie na rue St. Guillaume. [...]

21 maja 1940

Robert de Rothschild telefonuje, że Niemcy ogłaszają przez radio, że ich wojska zajęły Laon.

A. Meyer powiada, że od wczoraj nie ma nic nowego. Kilka motocykli z przyczepkami rozjeżdża tu i ówdzie, ale nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Gwiazdowski mieszka u mnie. W razie ewakuacji pojedzie moim samochodem.

O godz. 1-szej dowiaduję się w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, że sytuacja się pogarsza.

Obiad u Brusset'a. Niemcy są blisko Abbeville. Los Paryża zdecyduje się w ciągu najbliższych trzech dni. Brusset żąda abyśmy zostali i obiecuje zawiadomić w porę: „Będziecie mogli wyjechać na cztery godziny przed wszystkimi”.

[...]

3 czerwca 1940

Dziś spadły na Paryż pierwsze bomby. Urzędnik Gabinetu Reynaud powiedział mi, że 245 samolotów atakowało rejon Paryża. 25 zostało strąconych. Szkody niewielkie. Moim zdaniem to dobry znak. Widocznie Niemcy nie mają nadziei na łatwe zajęcie Paryża.

Wieczorem, widząc się z Mandel'em powtórzyłem mu swoją rozmowę z Zaleskim. Uważa on pomysł za dobry i radzi zbadać po prostu przez Stafford Cripps'a.

Mandel jest jak zwykle spokojny, uprzejmy i taktowny. Nie widać, aby ogromna odpowiedzialność przygniotła go. „To co się stało jest skutkiem dwudziestu lat niedbalstwa, słabości i prześcigania się w demagogii — mówił Mandel. Żadne państwo nie może istnieć bez dyscypliny. Byłem świadkiem okropnego tchórzostwa. Gdy Niemcy nadchodzili nie myślano o oporze, lecz o ucieczce. Aparat administracyjny został wzięty w ręce, ale za

jaką cenę! Gdyby pan wiedział ilu urzędników trzeba było zwolnić!”.

Mandel był bledszy niż zazwyczaj. To ślady zmęczenia w ciągu tych ostatnich dni.

4 czerwca 1940

Dzisiejsze gazety podają, że na rejon Paryża spadło ponad 1.000 bomb; straty wynoszą: 45 zabitych i 150 rannych. W ciągu dnia nie zanotowałem nic szczególnego.

Pogoda wspaniała, niemal przykra w tych okolicznościach. [...]

5 czerwca 1940

Dowiaduję się, że dziś rano rozpoczęła się ofensywa koło Laon.

Sniadanie z Crawshay, który bardzo się troszczy o zebranie informacji co myślą w Paryżu o Anglikach. Zdaje się, że Niemcy przedarli się gdzieś koło Peronne, chociaż mówią, że wojska francuskie trzymają się. Paul Reynaud mówił w tym sensie na posiedzeniu Komisji Wojskowej.

6 czerwca 1940

Widziałem się dziś rano z płk. Lorient, który jest bardzo rozgoryczony zachowaniem się Anglików na północy. Ewakuują oni przede wszystkim swoje wojska w sposób zupełnie cyniczny.

Okolo godz. 1-szej spotkałem André Meyera, który wychodził z M.S.Z. „Trzymamy się znakomicie” — powiedział mi. Wieczorem przemówienie przez radio Paul Reynaud. Po raz pierwszy nie zapowiada katastrofy.

Dziś rano Reynaud ogłosił zmiany w rządzie: Odchodzi: Daladier, ten papierowy dyktator, marionetka Sarraut'a oraz de Monzie. Sens tych zmian jest trudny do odcyfrowania...

[...]

8 czerwca 1940

Czołgi niemieckie przedarły się i doszły do Forges-les-Eaux, około 40 km. od Rouen.

Dzień jest ciężki, wieczór jeszcze bardziej. Komunikat wieczorny przyznaje się do nowego odwrotu wskutek ataku dwudziestu świeżych dywizji. Paryż wydaje się bardzo zagrożony. Noc spokojna, tylko kilka strzałów armatnich.

[...]

10 czerwca 1940

Dzisiaj upływa miesiąc od początku ofensywy. Zbieram się do wyjazdu. Ileż nieszczęść nagromadziło się w ciągu tych 31 dni!

Bardzo mało spałem: zmęczenie; telefony. Rajchman budzi mnie, by powiedzieć, że wyjeżdża w nocy z Mowrer'em. Ambasador Stanów Zjednoczonych dał im złe wiadomości, a attaché wojskowy amerykański powiedział, że motocykliści niemieccy mogą być w Paryżu o czwartej rano. Co do mnie — nie chcę wyjeżdżać w nocy.

W ambasadzie polskiej ludzie siedzą całą noc na swoich walizach!

Obudziłem się rano dość rześki; telefonuję do A. Meyera. Wciąż jeszcze nic nie dostał. Bankierzy na razie zostają, jak również niektóre ministerstwa. Ministerstwo Robót Publicznych, Zdrowia — wyjechały dziś rano.

Poleciłem załadować jeden samochód.

Miasto wydaje się puste; wczoraj wyjechała ogromna ilość ludzi.

Artyleria przeciwlotnicza grzmiała przez całą noc. Nantes jest na wpół zniszczone.

Obiad z A. Fabre-Luce, który też wyjeżdża popołudniu. Opowiada o swoim zwariowanym kuzynie, Robercie. Około godz. 2.30 mówię z Robertem de Rothschild, że czas wyjeżdżać. Około godz. 3.15 ruszamy: on do Bourboule — ja do Chenu. Przyjeżdżam tam około godz. 9-tej wieczorem i dowiaduję się o wypowiedzeniu wojny przez Włochy.

11 czerwca 1940

Wyjazd do Angers z Rajchmanem. Obiad z Zaleskim w Baronnerie, oficjalnej rezydencji MSZ Polskiej Republiki. Po śniadaniu długie rozmowy, „budujące” historyjki o rządzie polskim. Gen. Sosnkowski, pełen animuszu do ucieczki, domaga się dla siebie ambasad w Waszyngtonie. Gen. Sikorski, który chciałby

go widzieć daleko — popiera te ambicje. Gen. Sosnkowski zgadza się jechać, jeżeli jego uposażenie będzie zwiększone z 1.000 do 2.500 dolarów, i jeżeli mu dadzą do dyspozycji pół miliona dolarów na propagandę, oraz obiecują, że w decydującym momencie wojny — otrzyma dowództwo. Mówi on to wszystko 10 czerwca, w chwili kiedy Niemcy są u bram Paryża. Ponura ironia. Zaleski protestuje, Sikorski grozi podaniem się do dymisji.

Polacy dają z siebie okropne widowisko. Sosnkowski żąda bezpieczeństwa i pieniędzy. A Francuzi to płacą! Niewiarygodne!

Powrót z Chenu po zamianie starych paszportów na nowe.

12 czerwca 1940

Rano wyjazd do Château-Laffitte; po drodze wizyta w banku Lazard, w Brain-sur-Allonnes, gdzie jest jego siedziba.

Na drogach widok opłakany: Przejeżdżają tysiące samochodów wszelkiego rodzaju, obładowane walizami, pościelą, statkami gospodarskimi, z materacami na dachach, jako ochroną od kul karabinowych.

Postój w Thouars dla posiłku, który jest bardzo dobry. Restauracja przepełniona ludźmi, jedzącymi w bardzo dobrym humorze. Zadziwiające widowisko!

Wieczorem przyjazd do Château-Laffitte.

[...]

14 czerwca 1940

Rano powrót do Château-Laffitte. Wieczorem jadę do Chenu, gdzie po przybyciu o godz. 4-tej rano dowiaduję się, że rodzina wyjechała poprzedniego dnia. Stamtąd jadę do Angers — Zaleskiego już tam nie ma. Docieram o jedenastej do Chanas, do Fould'ów. Ani żywej duszy. Wszyscy wyjechali do Bordeaux. Dojeżdżam tam również o godz. 9-tej wieczorem.

Po południu prowadzę Zaleskiego do Mandel'a, który nas powiadamia, że Weygand i Pétain są za kapitulacją. On, Mandel, jest za oporem. Rada Ministrów — bez wyników. Decyzja odroczonego do dnia następnego. Nocuję w Laffitte.

15 czerwca 1940

Nowa Rada Ministrów. Kryzys rządowy. Na czele nowego Gabinetu — Pétain; dalej Weygand i inni generałowie, Baudouin

(*brak nazwiska*) pierwszy w MSZ, drugi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Biorę wizy hiszpańskie.

16 czerwca 1940

Rano przyjeżdżam do Bordeaux. Wrażenie posępne — zupełna klęska. Czynię starania o wizę amerykańską.

Podczas, gdy czekam w konsulacie Mowrer przynosi wiadomość o aresztowaniu Mandel'a. Teraz trzeba już wyjeżdżać!

17 czerwca 1940

Całkowita klęska. Wyprawiam Roberta de Rothschild, Nelly i Cécile, które mają już miejsca na statku angielskim. Przyjeżdżam do Laffitte, aby im powiedzieć ostatnie „do widzenia”. W pobliżu zatrzymuje mnie alarm. Komendant pyta mnie z miną współczującą czy jadę do Biarritz. Na moją potakującą odpowiedź powiada mi: „Znam rodzinę Rothschildów, polecę pana przepuścić”. Ten zacny człowiek jest księdzem.

Wieczorem pędzę do Biarritz, dokąd już pojechali Rajchmanowie.

18 czerwca 1940

Około południa wyjeżdżamy wszyscy karawaną, czterema samochodami: rodzina Rajchmanów, pani Mowrer i my, do granicy hiszpańskiej. Około godz. 4-tej formalności są zakończone. Nocujemy w St.-Sébastien. W ten oto sposób zaczyna się nasze życie uchodźcze. Anka i Tototte zabawiają się i dokazują; Nathalie jest smutna. Ona rozumie, że jeden Bóg wie co nam gotuje przyszłość.

19 czerwca 1940

Rano wyjazd z St.-Sébastien. Na drodze do Madrytu spotkałiśmy Errera. Wielki ciężar spadł mi z serca: więc udało mu się wyjechać! W „Palace”, gdzie zajechaliśmy, dostrzegam panią Maurois i pp. Cotnareenu. Diana wciąż mnie dręczy: jej zdaniem nie należało wyjeżdżać.

Hiszpanie przyjmują nas bardzo uprzejmie. Podziwiam brak chciwości u tego narodu.

20 czerwca 1940

Obiad u posła polskiego, Szumlakowskiego. Jest czarujący i robi co może, aby ułatwić nam sytuację. Wydostał wizę dla *nurse'y*, co jest dowodem wielkiej zęczności.

Spotkanie z Edwardem i jego rodziną przed „Palace”. Wyglądają żałośnie.

Jacques Errera wyjechał wieczorem, jutro będzie w Lizbonie. Wiadomości z Francji są niewyraźne. Rząd jakoby wyjechał do Pau. W Tuluzie miały miejsce pierwsze zamieszki antyżydowskie.

Jutro rano wyjeżdżamy.

21 czerwca 1940

Wyjechaliśmy rano tak samo w cztery samochody: Rajchmanowie, Lilian Mowrer i my. Nocleg w Merida. Natychmiast po przyjeździe tam Rajchman telefonuje do Szumlakowskiego i dowiadyuje się, że nie należy zwlekać z przekroczeniem granicy. Wnuk Rajchmanów, Michel, jest chory.

22 czerwca 1940

Ruszamy o godz. 9-tej rano i o 10-tej jesteśmy na granicy. Hiszpanie i Portugalczycy są nad wyraz uprzejmi. Formalności zredukowane do minimum. Obiad w Estremoz. Jaka wielka różnica z Hiszpanią! Biały chleb, mięsa w bród; pełny dostatek.

Około szóstej wieczorem, gdy jesteśmy już pod Lizboną mój Ford staje. Jestem mocno zdenerwowany. Jakiś Portugalczyk podchodzi i pyta co się stało. Zwiija się, aby mi pomóc. Chcę mu dać napiwek, ale odmawia. Uruchamia wreszcie maszynę i prowadzi mnie do Lizbony, najpierw do poselstwa polskiego, potem do hotelu „Francfort”. To wzruszające! Dostajemy dwa pokoje bardzo prymitywne, ale dla nas to przystań ocalenia. Poseł polski, Dubicz, robi niedobre wrażenie. Nic nie wie, nic nie może. To nie tak, jak jego kolega w Madrycie.

23 czerwca 1940

Pierwsza noc w Lizbonie. Łóżka okropne, nie ma łazienek. Koniec z komfortem, ale, rzecz dziwna, nie cierpię z tego powodu. Pozbywam się dość łatwo wygód dawnego życia. Wizyta w poselstwie francuskim, gdzie spotykam Panafieu. Idziemy szukać miejsca na statku. Rezerwujemy kabiny na wskazanym nam „Nea Helles”.

Widzimy moc przechodzących ludzi: Francuzów, Belgów, Polaków. Każdy stara się o wizę i miejsce na statku lub na Kliperze. Ale wiza jest równie rzadka jak i kabina. Amerykanie otrzymali formalne instrukcje: nie wydawać więcej wiz.

Otrzymałem telegram od Roberta; niepokoi się o Mary.

24 czerwca 1940

Dziś od rana nowa bieżączka: do Cook'a po miejsce na statku, do banków po wymianę pieniędzy. Pierwszy kantor wymiany ofiarowuje nam pięć centavos za franka! U Fonseca w ogóle nie wymieniają francuskich banknotów. Na przeciwko, w banku Św. Ducha dają 10 centavos za franka. Zmieniam 50 tysięcy franków. Idę do Fonseca, gdzie R. mają otwarty kredyt. Tam żądają nadesłania instrukcji.

Obiad w Negresco, gdzie spotykam Van Zeelanda, Van Canva-laert'a i innych ministrów belgijskich; również Jean Cattier. Cała Europa jest na tym małym krańcu ziemi, gdzie kończy się nasz kontynent. Jeden wielki skok Niemców naprzód i wszyscy ci ludzie są wrzuceni do morza. To okropne!

Marcel Henri Jaspard złożył wczoraj w BBC deklarację. Dziś rząd belgijski go zdezwuował.

Jest tu moc Polaków: Wieniawa, Miedziński. Nie widziałem już od dawna tego nieudanego hitlerowca. Dziś, w nieszcześciu, odpowiedziałem na jego powitanie.

27 czerwca 1940

Ostatnia próba zdobycia miejsca na Kliperze z W. Silvo. Oczekuję odpowiedzi. Idę do Fonseca w towarzystwie Edwarda Rothschilda. W banku St. Esprit frank spada. Telegrafuję do Nowego Jorku o zarezerwowanie miejsc na statku amerykańskim.

28 czerwca 1940

Wciąż nie ma wiadomości o miejscach na statku. André Meyer jest mocno skonsternowany postępowaniem swojego przyjaciela Baudouin'a. To on doradził mu wyjechać.

Meyer stara się o wizę amerykańską. Ludzie tutaj mają jedyną troskę: wiza, Clipper i statki.

Diana z dziećmi zainstalowała się w Cintra. Wieczorem — w kinie z Rajchmanami, na złym filmie amerykańskim. Clipper pojawia się na horyzoncie.

1 lipca 1940

Przyjechał z Londynu Guy de Baillet i przywiózł mi list od Roberta de Rothschild. Wszystko jest prawie urządzone. Rajchman i ja mamy zdecydowanie obiecane miejsca na Clipperze na 3 lipca. Diana z dziećmi ma dobrą kabinę na statku „Nea Hellas”, który odpływa również 3 bm.

3 lipca 1940

Nareszcie wszystko załatwione: Diana z dziećmi załadowała się na „Nea Hellas”, piękny statek — około 17 tysięcy ton. Ja wsiadam do Clipper'a jutro, jeśli pogoda na to pozwoli.

Wczoraj wielkie poruszenie: Amerykanie cofnęli wizy sprzed 6 czerwca. Na szczęście nasze mają datę 17 czerwca.

4 lipca 1940

O godz. 6.30 rano — budzą: Clipper odlatuje. Po szybkim pierwszym śniadaniu jadę do portu. O godzinie 10.35 Clipper, wspaniały potwór, podobny do ogromnej ryby, rusza z miejsca. Po jedenastu minutach odrywa się od ziemi: naprzód — do Nowego Jorku!

[...]

9 lipca 1940

[..]. Mowa Roosevelta, tego europejskiego i azjatyckiego Monroe, jest interpretowana jako amerykańska rejterada przed

tryumfującym hitleryzmem. W Chinach mowa ta zrobiła również złe wrażenie; Chińczycy obawiają się, że zostaną opuszczeni.

Przyjechał do Nowego Jorku Henry Bernstein. Po południu wizyta w konsulacie: spotkanie z Gruszką i Znanieckim.

Obiad w żydowskiej restauracji. Lubię jeszcze garkuchnię amerykańską. Wróciłem tramwajem, który, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu — istnieje w tym najnowocześniejszym mieście. Potem chodziłem po ulicy 49-tej rozmyślając na czym polega piękno Nowego Jorku. To miasto jest przeciwieństwem Paryża. Nie ma żadnego kształtu, wszystko jest w nim wymienne. Gdyby np. zburzyć Rockefeller Centre i postawić na jego miejsce mały domek w stylu kolonialnym, lub jeden z nieprawdopodobnych kościołów, jakie tu się widzi — to też ujdzie. Tu piękno — to coś ogromnego, coś nieludzkiego, podczas gdy w Paryżu wszystko jest sztuką, kompozycją. Spróbujcie zmienić cokolwiek na Place Vendôme, lub Concorde — a wszystko przepada! Ponieważ Paryż jest sam przez się, niezależnie od swoich pomników, dziełem sztuki, tzn. jest pewną jednolitą całością, jest jedyny, indywidualny jak jednostka ludzka. Nowy Jork jest na przeciwnym biegunie; to przedmiot niezorganizowany, który można ciąć, krajać — jak się chce — a nie można go zabić, i który zresztą posiada swoje piękno.

Im więcej spaceruję po tym mieście, tym bardziej dostrzegam jego sztuczny charakter, sprzeczny z naturą. Dlaczego te miliony ludzi zgromadziły się tutaj? Na skutek jakiej konieczności żyją oni na tej niewielkiej przestrzeni, ściśnięci jak śledzie w beczce? Nie ma odpowiedzi na to pytanie. Nowy Jork jest obrazem Ameryki, wciągniętej na złą drogę. Mam wrażenie, że obyczaje, które zrujnowały Europę istnieją tutaj w tej samej sile.

[...]

11 lipca 1940

Śniadanie z Żółtowskim, który niewątpliwie jest człowiekiem przyjemnym i inteligentnym. Wizyta dr. Rajchmana, który z furją deklamuje o konieczności pracy, ale nie mówi mi konkretnie co trzeba robić. Jest podniecony. [...]

17 kwietnia 1941

[...] Mam duże kłopoty ze współpracą francuską w *New*

Europe. Prosiłem Ewę Curie o artykuł, lecz odmówiła, wymawiając się brakiem czasu.

Sikorski jest w Nowym Jorku. Powiadają, że w Waszyngtonie wywarł wrażenie fatalne.

Anatol MÜHLSTEIN

(Przełożył Kazimierz Okulicz)

Kajetan MORAWSKI

ANATOL MÜHLSTEIN

Latem 1917 roku w przedziale pociągu, jadącego z Poznania do Berlina, siedziało naprzeciw mnie dwóch wyższych oficerów niemieckich. Rozmawiali żywo o okupowanej Belgii, gdzie obaj sprawowali wyższe funkcje wojskowe. Jeden z nich opowiadał, że generalny gubernator, baron Bissing, znajduje co pewien czas na swym biurku gazetę, wydawaną przez belgijski ruch oporu. Mimo usiłowań policji polowej nie zdołano wykryć, kto ją redaguje i gdzie jest drukowana. A choć front odcinał Belgię od zachodu gazeta zamieszczała regularnie komunikaty wojenne wrogiej Koalicji. W okresie, w którym nie znano komunikacji radiowej przedstawiało pochodzenie komunikatów dla sztabu generał-gubernatorstwa zagadkę szczególnie niepokojącą.

Minęło lat 3 i przez te same, już pobite, Niemcy przejeżdżałem towarzysząc Ministrowi Spraw Zagranicznych, Stanisławowi Patkowi, w delegacji na konferencję finansową w Brukseli i zebranie Rady Najwyższej w Spa. Przyjmował nas poseł polski w Belgii, Władysław Sobański. Gdy zapoznawał mnie ze swym sekretarzem Anatolem Mühlsteinem, powiedział mi, że to młody a wybitnie zdolny Żyd polski, który skompromitowany w 1905 roku przechowywaniem bomb w składach drzewa swego ojca, uciekł za granicę i tam ukończył studia. Po wojnie światowej otrzymał wysokie belgijskie odznaczenie bojowe. Bo to on właśnie był założycielem i wydawcą tajnego pisma „Le Flambeau”, które tak drażniło gen. von Bissinga i jego sztab. Redagował je w zamurowanej piwnicy, drukował dzięki znowie z kolejarzami, w tenderze lokomotywy kursującej między Brukselą i Gandawą. Komunikaty wojenne Entente'y odbierał ukrytym w dziupli drzewa telefonem, który Bóg wie jak przeciągniętym drutem połączony był z tamtą stroną frontu.

Rewolucja 1905 roku, wojna światowa 1914-1918, stanowiły heroiczne etapy w życiu Mühlsteina. Nastąpiły po nich etap intelektualny i etap dyplomatyczno-salonowy. W końcu został finansistą, ale tylko dzięki małżeństwu, dzięki odziedziczonym talentom i tylko na marginesie właściwych, politycznych i literackich zainteresowań.

W Brukseli i Spa Mühlstein, jeszcze zapuszczony w stroju, dbający bardziej o zachowanie stylu kawiarnianej *bohème*'y niż o prawidła protokolarne, obracał się głównie w sferach prasy międzynarodowej. Nakładanie fraka i czyszczenie paznokci uważał za przesadę. Jak potem do końca życia podkreślał swe żydostwo, ale głęboko zaciekawiony był katolicyzmem i przyjaźnił się z Dominikanami.

Po znów paroletniej przerwie spotkaliśmy się w 1925 roku w Locarno. Wezwany przez Aleksandra Skrzyńskiego, przyjechał Mühlstein na konferencję już jako obyty i ogładzony w świecie dyplomata. Miał wielu znajomych w delegacji francuskiej i belgijskiej, ze starym Emilem Vandervelde odbywał codzienne długie rozmowy. Przynosił z nich cenne informacje i wskazówki. Zawsze pełen pomysłów, pierwszy ukuł slogan o „duchu Locarna”, który lansowany następnie przez Skrzyńskiego na konferencji prasowej miał przyczynić się do rozszerzającej interpretacji zbyt wąskiego i traktującego nasz rejon po macoszemu tekstu układu.

Bruksela między dwoma wojnami łączyła w sposób swoisty dostojeństwo stolicy królestwa z cechami prowincjonalnego przedmieścia Paryża. Była miastem gdzie zarabiano i jadło się dobrze, a żyło i myślało solidnie, ale wolniej niż nad brzegami Sekwany. Mühlsteina ciągnęły ruchliwe pola elizejskie, nęcił gwar salonów politycznych i artystycznych kawiarni Montparnasse'u. I tu i tam wiedział, jak się obracać i jak się przemykać. Uzyskał przeniesienie do Ambasady R.P. we Francji i pozostał w niej do końca swej służby, wpiery jako pierwszy sekretarz, potem jako radca i minister pełnomocny.

Szefem placówki paryskiej był wówczas Ambasador Alfred Chłapowski, człowiek o wielkich zaletach politycznych i towarzyskich, lubiący, jak niemal wszyscy wielkopolanie, postępować z metodą i systematycznie. Nie pamiętam, czy był z nominacji Mühlsteina zadowolony, ale gdy przydział jego stał się faktem, odniósł się do nowego współpracownika ze zwykłą lojalnością i życzliwością. Zamierzał wprowadzić go w świat polityczny i dyplomatyczny, przedstawić go swym utytułowanym i klubowym przyjaciółom. Operację przygotowywał powoli i starannie. Nie docenił tylko jednej rzeczy, a mianowicie niecierpliwości i obrotowości nowego sekretarza. Bez czekania na dawno zapowiadany debiut oficjalny, zaprosił Anatol któregoś dnia swego szefa do świeżo urządzonej garsoniery. Cisnęli się w niej ludzie noszący już żonatego Mühlsteina umiejętność dozowania rządu, parlamentu, literatury, arystokracji, episkopatu, objawiła się wtedy

po raz pierwszy. Następne przyjęcie w Ambasadzie odbyło się już nie dla przedstawienia Mühlsteina, ale z jego pomocą.

Z Paryża wzywano go często na zebrania Rady i Zgromadzenia Ligi Narodów do Genewy. Jego przyjaciel, Tadeusz Gwiazdoski, miał wryte w pamięć wszystkie teksty i terminy. Anatol Mühlstein znał wszystkich ludzi, ich powiązania i nastroje. Opary zalegające nad Lemanem nie utrudniały mu orientacji, bo kierował się głównie intuicją i węchem. Był z epoki i szkoły Brianda, jak on rozumiał nieraz, zanim wiedział. Barwna plama słowa, rzucona umiejętnie na tło szarego tematu, znaczyła dlań więcej niż ostry zarys paragrafu. Pamiętam nerwowo tik i grymas Mühlsteina spotęgowane irytacją, gdy słuchał jak mądry, ale mało wymowny minister spraw zagranicznych Polski, August Zaleski, jękaniem niweczył efekt najpiękniej literacko i najchytrzej politycznie przygotowanych przezeń oświadczeń.

W tym samym czasie ożenił się z Dianą de Rothschild, która prócz wybitnej urody i znacznego majątku przyniosła mu w posagu wsparcie i rozgałęzione stosunki najpotężniejszej dynastii bankierskiej świata. Salony Mühlsteinów stał się jednym z uznanych salonów politycznych Paryża. W jego ścianach spotykały się i niekiedy krzyżowały wpływy Ambasady Polskiej i innej międzynarodowej siły, wcielonej w dom Rothschildów.

Do tej pory dwoistość w życiu Mühlsteina nie przeradzała się nigdy w sprzeczność. Czuł się Żydem i czuł się Polakiem. Antysemityzm nie budził w nim uczucia nienawiści lub odwetu, raczej nieco wyniosłe zdziwienie. Często powtarzał, iż nie rozumie jak można nie doceniać wartości rasy, której zawdzięcza ludzkość wiele z najgłębszych idei, od nauki chrześcijańskiej aż po teorię względności. Do Polski był szczerze przywiązany, lecz Polskę stanowiły dlań przede wszystkim miasto dzieciństwa — Warszawa i „Pan Tadeusz”, z którym się nigdy nie rozstawał, którego wciąż odczytywał i słowa znał na pamięć. Mały, zniszczony tomik, wyciągany z sakwy podróźnej czyił jako biblię polskiego patriotyzmu i polskiego tułactwa. Syn ludu Księgi odnajdywał w nim całą ojczyznę. Niby motto swego życia prywatnego, swej kariery politycznej i światowej powtarzał słowa:

*... było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu!...*

Właśnie dlatego, że sam pozbawiony był jakichkolwiek urazów, lubił o Żydach, którzy zajmowali wybitniejsze stanowiska, opowiadać anegdoty i robić cięte uwagi. O znanym z odwagi generale Bernardzie Mondzie mawiał, że asymilował się na Kmicica. Gdy Leon Blum, którego wysoko cenił, został po raz pierwszy premierem, przestrzegał, że ludzi krwi żydowskiej krępują często w polityce więzy przyjaźni i pokrewieństwa. Każdy z nich jak cadyk-cudotwórca ciągnie za sobą cały dwór Klientów i pociot-

ków. Zraża tym opinię i często z protektora staje się ofiarą własnego otoczenia...

Ambicją jego, której nie ukrywał i której nie wyrzekł się nawet po opuszczeniu kariery dyplomatycznej, było objęcie stanowiska Ambasadora R.P. w Paryżu. Mówił o tym zupełnie otwarcie. Chciał zostać ambasadorem nie mimo pochodzenia żydowskiego, ale jako Żyd czujący po polsku, który swe wpływy i stosunki, plemienne czy potem też rodzinne, może wstawić w służbę sprawy polskiej. Z końcem 1939 roku był tylko o krok od obiecanego mu przez gen. Sikorskiego realizacji tego projektu. Ale w okresie przedwojennym, kiedy jako minister pełnomocny urzędował jeszcze na avenue de Tokio, zrozumiał jak nieraz w praktyce trudno kluczyć do archiwum ambasady i kluczyć skarbcza Rothschildów złączyć w jednym ręku.

Inny konflikt zaczął równocześnie zakłócać jego pracę: Mühlstein był za młodą socjalistą. Z biegiem lat skłaniał się coraz bardziej w kierunku dość eklektycznego liberalizmu. W polityce międzynarodowej pociągały go zagadnienia związków ponadpaństwowych, zaciekawiała rzucona przez Brianda idea europejska. Nasiąkał humanistyczną kulturą francuską, na wschód — i ten w kontuszu i ten w chałacie — patrzył nadal z rozrzewnieniem ale z oddali. Łącznikiem między realną codzienną pracą polityczną a przeszłością rewolucyjną, a odległym w czasie i przestrzeni krajem młodości, wydał mu się Józef Piłsudski, z którego ramienia spełniał ważne i poufne misje polityczne w samym Paryżu i jeździł do Kowna. Podziwiał go, sycił nim swą wyobraźnię, napisał o nim książkę. Stał się wśród Piłsudczyków, ale nie w wyrównanym szeregu, raczej nieco na uboczu.

A szeregi wyrównywano coraz bardziej, coraz mniej dopuszczano osóbek i odchyłeń. Pułkownik Beck komenderował polską polityką zagraniczną jak dywizjonem artylerii konnej. Narowistych szkap nie znosił na poligonie. Irytował się na mgły nad Sekwaną i mgły nad Lemanem, które pomniejszały precyzję sztabowo ustalonego manewru. Myślał źle o Paryżu, gdzie o nim myślano jeszcze gorzej.

Dla Mühlsteina, bywalca zebrań ligowych, wierzącego we Francję mimo jej przejściowej słabości, zabrakło w takim układzie miejsca. Wpierw przestrzegał, przekonywał, protestował, potem wycofał się do swej pożłacanej samotni. Rzucił służbę i politykę polską, zaczął robić pieniądze.

Kłeska wrześniowa 1939 roku wydobyla znów na wierzch jego patriotyzm. Stał przy gen. Sikorskim, służył mu radą i stosunkami, zabiegał o uznanie przez Zachód jego rządu. Jako Polak, jako frankofil, cieszył się gdy andegaweński zamek Walezjusza wawelskim kształtem odbijał się w Loarze. Toczące się szybko wydarzenia zamykały wnet krótkotrwały miraż. Po kapitulacji Francji wyjechał Mühlstein do Stanów Zjednoczonych, zajmował się w Nowym Jorku interesami teścia i własnymi, z biegiem lat przyjął obywatelstwo amerykańskie. Zbyt wiele posiadał jednak

energii i imaginacji, by w światowej walce o wolność pozostać bierny. Zawsze wrażliwy na gest i legendę, tak jak niegdyś przez Marszałka Piłsudskiego, tak teraz urzeczony był przez generała de Gaulle'a. Nazwisko Mühlsteina widnieje wśród pierwszych za mierzami gaullistów.

Do wyzwolonego Paryża wrócił z paszportem U.S.A., ale nie nagięty do stylu nowego świata, ale znużony tułaczką po różnych krajach i zawodach.

W obszernym mieszkaniu, na paryskiej avenue du Président Wilson, wśród książek i wspomnień, witał zbliżającą się starość. Raz jeszcze wznowił tylokrotne dawne przechadzki po kuluarach zebrań międzynarodowych, gdy tym razem w składzie delegacji francuskiej, udał się na Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych do Nowego Jorku. Dojeżdżał do Brukseli, gdzie już bez dziupli w drzewie, tenderu lokomotywy i innych romantycznych akcesoriów wojny i młodości wydawał nadal „Le Flambeau”.

Zamykał się więc w skorupie ojca rodziny, oświeconego kosmopolity i dyletanta. Do polskiego środowiska uchodźczego, które znał coraz mniej, odnosił się z uczuciami złożonymi. Pociągało go i czuł się w nim obcy. Interesował się Zespołem *Kultury* w Maisons-Laffitte, bo ulegał osobistemu, malarskiemu i pisarskiemu urokowi Józefa Czapskiego, bo odpowiadała mu nie nadmiernie obowiązująca lewicowość pisma, bo rozumiał i sam przeżywał wahania między amerykańizmem a neutralizmem. Stawiał się na Trzeciomajowe nabożeństwa w kościele de l'Assomption i ostentacyjnie cieszył się hebrajskim napisem nad głównym ołtarzem.

Powalony chorobą, żegnając się z życiem i bliskimi, znajdował słowa tylko polskie. Zbędne w ostatniej podróży paszport amerykański, paszport francuski, leżały zamknięte w biurku. Umierając, jak za młodu, „... ojczyznę jako Polak kochał”.

Kajetan MORAWSKI

Tadeusz KATELBACH

„BEZDROŻA”

Od Autora

„Bezdroża” — są moim ostatnim pamiętnikiem wojennym. Pierwszy ukazał się wiosną 1940 roku w Paryżu pt. „Kartki z Pamiętnika”. Obejmował zapiski robione od 1 września do

8 października 1939 roku. Kiedy dobiełem przez Rumunię, Jugosławię, Włochy do Paryża. W książce „U Kresu Drugiego Etapu”, wydanej w Londynie w 1942 roku opisałem swoje przeżycia od 10 maja 1940 roku do przekroczenia 23 czerwca tegoż roku granicy francusko-hispańskiej. Maszynopis książki „Szosa się skończyła” spłonął w czasie pożaru w Londynie. Odtwarzałem w nim dzieje mego przymusowego rocznego pobytu w Portugalii. Wkrótce po wojnie, w 1949 roku ukazała się moja praca autobiograficzna pt. „Spowiedź Pokolenia”. Ostatnie rozdziały dotyczą czasów wojny stąd wchodzę do cyklu mych zapisek wojennych. W 1958 roku w „Bibliotece Kultury” ukazał się pamiętnik „Rok złych wróżb” (1943). „Bezdroża” stanowią jej ciąg dalszy (lata 1944 i 1945 do października). Książka ta zamyka moje wspomnienia wojenne. Pisałem ją po „Roku złych wróżb” i — schowałem do szuflady. Spoczywała w niej do początków roku 1977-ego. Gdy zajrzałem do z lekka pożółkłego już maszynopisu, doszedłem do wniosku, że powinienem te moje ostatnie zapiski wojenne ogłosić.

1. WSZYSTKO JEST JASNE

2 stycznia 1944, niedziela, po północy

Przed chwilą skończył się alarm. Wieczorem odwiedzili nas przyjaciele — S. Kudlicki i S. Głuski. Cóż na powitanie nowego roku piszą tubylcy? Pełno w prasie angielskiej słowa „Polska”. Niestety tylko w związku z niepowstrzymanym pochodem armii sowieckich ku naszym granicom. „Russians now only 27 miles from Poland”. A tym słowom towarzyszą inne. Dzisiejszy *Observer* zamieszcza streszczenie noworocznego przemówienia Prezydenta Raczkiewicza i premiera Mikołajczyka. I nazywa je... *Polish overtures to Russia*.

Przemówieniu Prezydenta nic zarzucić nie można. Stwierdza, że Polska od początku walczy o „narodową egzystencję” i o „integralność” państwa. Wyraża nadzieję, że demokracje anglosaskie odegrają decydującą rolę „w budowaniu przyszłości Europy i świata”, opartej nie na sile, lecz na sprawiedliwości. Ze słów Prezydenta wynika, że ani on ani rząd nie mają najmniejszych złudzeń w sprawie zamiarów sowieckich wobec Polski. I to w całym przemówieniu jest może najbardziej — „pocieszające”.

Skoro Prezydent uznał za wskazane dać publicznie wyraz nadziei, że Anglosasi będą współdecydowali o losach Europy, a więc i Polski, zdawałoby się, że mamy szanse, by nas przynajmniej wysłuchano.

Niestety, będziemy się mogli co najwyżej wypowiedzieć i — to wszystko. Gdzie się dało wypytywałem o przebieg niedawnej konferencji w Teheranie (28. 11 - 1. 12. 43) zakończonej mętym komunikatem o „osiągniętym porozumieniu” wielkiej trójki. Oczywiście w naszym Ministerstwie Informacji nie dowiedziałem się niczego. Od kolegów w MSZ-cie można było jednak coś niecoś wydobyć, choć często sami niewiele wiedzieli. Tak samo mało wiedzieli po październikowej konferencji moskiewskiej z udziałem Cordell Hulla, Edena, Mołotowa, która miała przygotować Teheran.

Otóż na podstawie zebranych okrucich mogłem sobie wyrobić w przybliżeniu taki pogląd. Po pierwsze. Sprawa polska jest dla Anglosasów problemem więcej niż kłopotliwym. Na ołtarzu sojuszu z Moskwą gotowi są poświęcić nasz postulat nienaruszalności granicy wschodniej, ustalonej traktatem ryskim. Po drugie. Uczynią to z tym lżejszym sercem (zwłaszcza Churchill i w ogóle Brytyjczycy, bo o Amerykanach szkoda w ogóle gadać), że Stalin szerokim gestem ofiaruje Polsce za ziemie wschodnie „odszkodowanie” na zachodzie. Rzekomo po Odrę. Stalin jest podobno wobec Niemiec nieprzejednany. Po trzecie. Moskwa nie nawiąże żadnych stosunków dyplomatycznych z rządem polskim dopóki się jak najformalniej nie zrzekniemy ziem wschodnich po „linię Curzona”. Przebąkuje przy tym coraz wyraźniej o reorganizacji rządu Mikołajczyka. Co to znaczy — nie trudno się domyśleć. Chce do rządu wprowadzić komunistyczne wtyczki, a równocześnie pozbyć się z niego „niewygodnych”. Do niewygodnych zalicza na pewno Naczelnego Wodza gen. K. Sosnkowskiego.

Wszystko właściwie jest jasne.

3 stycznia, poniedziałek, 6-ta po południu

„Two big Berlin raids in 21 hours”. Kończą Berlin. Jakże cieszylibyśmy się z agonii stolicy Trzeciej Rzeszy, tego ośrodka tradycji pruskich, gdyby ku Warszawie zdążyły teraz armie zachodnich sprzymierzeńców, a wspólnie z nimi wojska polskie pod wodzą Sosnkowskiego. Ale tak nie będzie. Jeśli powstanie w Europie zapowiadany „drugi front” (o który natarczywie dopomina się Moskwa), armie naszych sprzymierzeńców będą nim całkowicie związane. O to Moskwie chodzi. W tej sytuacji na-

rzuca się proste pytanie: Jeśli dzieło „wyzwolenia” Polski ma być dokonywane wyłącznie sowieckimi rękami, po licha na frontach zachodnich mają się krwawić dalej nasi żołnierze?

4 stycznia, wtorek, 5-ta po południu

Popołudniowy *Evening News* pisze ze szczerym zachwytem o wojskach sowieckich, „*They are in Poland Cossaks over border at several points*” — czyli — „Kozacy w wielu punktach przekroczyli granicę polską”. Koszmary przed którymi broniliśmy się od miesięcy, przybierają realne kształty.

Rano w związku z tymi zagonami kozackimi „prawa ręka” ministra S. Kota, czyli hrabia Drohojowski zaaranżował w naszym Ministerstwie Informacji wewnętrzną konferencję. Pytaliśmy (w większości zupełnie nieświadomi kulisów) hrabiego, czy rząd zwróci się w takiej chwili z jakimś apelem do mocarstw zachodnich. „Nie” — odpowiedział stanowczo Drohojowski. Naciskany pytaniem „dlaczego”, wyznał z wzruszającą szczerością: „Ze względu na oddziały naszego wojska, stacjonowane w Szkocji. Nie należy wywoływać wrażenia, że zaszło coś nieoczekiwanego. Przeciwnie, wojsko i w ogóle w wszystkich trzeba utrzymywać w przekonaniu, że rząd Polski już od dawna spodziewał się takiego rozwoju operacji wojennych na froncie wschodnim”.

Na tak szczere wyznanie zareagowaliśmy śmiechem. Rząd, który niczego nie przewidział — mówiliśmy — usiłuje ratować twarz i — nic więcej. Drohojowski uśmiechał się cynicznie. Bardzo mu z tym do twarzy.

Wróciłem wcześniej do domu. Chciałem uciec od załganej atmosfery panującej w naszym urzędzie.

5 stycznia, środa, 4-ta po południu

I dziś, zaraz po obiedzie, wyrwałem pod jakimś błahym pretekstem z ministerstwa. Nie mogę sobie znaleźć miejsca.

Zaczął się od rana. W podziemnej. Otwieram *Daily Mail* i czytam znowu: „*Great drive on road to Warsaw*”. Czyżby zajęcie Warszawy przez wojska sowieckie miało być tak bliskie? Można oszaleć gdy się o tym myśli. A przecież od zajęcia przez Moskali Berdyczowa nie słyszymy o niczym innym, jak o nowych, sowieckich *deep penetrations* na froncie wschodnim, rozpaczliwie bronionym przez Niemców.

O 2-giej po południu zebrała się rada ministrów. O 4-tej,

a więc właśnie teraz, ma być gotowy apel rządu do mocarstw zachodnich. Więc hrabia bujał? Nie zdziwiłbym się. Przychodzi mu to łatwo.

6 stycznia, czwartek, 1-sza w nocy

W prasie angielskiej temat główny: *Poles and Russians*. Rząd zdobył się jednak na ten apel. W obecnej sytuacji — powiedzmy — nawet możliwy. Mikołajczyk powiada w nim m.in., że „Polska nigdy nie uznawała i nie uzna rozwiązań narzucanych siłą”. Czekamy, jak na to zareaguje Moskwa. Tym to ciekawsze, że przecież Mikołajczyk nic bez Anglików nie robi.

7. stycznia, piątek, po północy

Na razie jeszcze nie znamy reakcji Moskwy. Za wcześnie. Wgapiamy się więc w mapę frontu „polskiego”. Równe, Sarny! A z drugiej strony Niemcy trzymają jeszcze Krym. Co znaczy, że Krzywy Róg czy Nikopol znajdują się wciąż w rękach niemieckich i że Niemcy robią głęboki zagon w kierunku zachodnim na Rokitno i Szepietówkę?

Powtarzam te i podobne pytania z przyzwyczajenia, ale nie chcę się już niczym pocieszać. To było dobre jeszcze w zeszłym roku. Tak samo niczego dobrego nie obiecuję sobie po deklaracjach rządowych. Nie wierzę Mikołajczykowi. Nie dorósł do sytuacji. W początkach grudnia witał komunikat teherański jak zwiastuna szybkiego zakończenia wojny, jakby nie wiedział, że Teheran przygotowywał dyktando w sprawie Polski!

Mimo pesymizmu ogarniającego Polaków, są wśród nas jeszcze tacy, którzy powtarzają w kółko, że jednak trzeba wierzyć. Może mają rację. Przecież dla mego pokolenia romantyczna wiara w odzyskanie niepodległości była niewzruszonym kanonem politycznym. Tylko przerabianie tego samego po raz drugi — jak mi się w tej chwili wydaje — będzie bardzo trudne. Na razie, zamiast odmawiać patriotyczne zdrowaśki, staram się myśleć. Stawiam sobie wciąż pytanie, co należy robić wobec tego, że ziemie polskie przedzej lub później zajmą wojska sowieckie.

Nie wątpię, mimo wszystko — że rząd szuka również odpowiedzi na to pytanie. Ale to jest rząd małych ludzi. I tak na pewno traktuje go Churchill i Roosevelt, nie mówiąc o Stalinie. Dlatego nie wierzę, by umiał zdobyć się na mocną postawę.

Słyszę, że Mikołajczyk wrywał się do Stanów Zjednoczonych, ale za „radą” Churchilla na razie zrezygnował z tej podróży.

Nad głową szumią ciągnące na Niemcy bombowce. Wyrzałem przez okno. Piękna księżycowa noc.

8 stycznia, sobota, 12-ta w nocy

Janka o mało nie zerwała ze swoją angielską równieśniczką, Florence Elliot. Poszło o sprawy polsko-sowieckie. Florence jest uroczą inteligentną dziewczynką. Papa Elliot jest dziennikarzem o bardzo lewych poglądach. Jak wielu podobnych mu intelektualistów angielskich znużony swoiście zakisłą atmosferą brytyjskiej wyspy, łaknie jakichś zmian. Wydaje mu się, że przyjdą tylko z Rosji. Nie przeszkadza mu to pisywać artykułów wstępnych w popularnej popołudniówce londyńskiej *Evening Standard*, wydawanej przez multimilionera i konserwatystę — lorda Beaverbrooka. Ale to w tym kraju nikogo nie dziwi.

Otóż Florence przyszła parę dni temu do Janki z gratulacjami, że wojska sowieckie „uwalniają” Polskę. Argumenty Janki nie pomogły. Florence z uporem powtarzała — jak za panem ojcem pacierz — że powinna się cieszyć.

Ci lewicowcy angielscy — to poważny sprzymierzeniec Moskwy. Gdy się im mówi, że kto siedzi na Kremlu ten musi uprawiać politykę rosyjską, a nie inną — zatykają uszy. Dużo wody upłynie w Tamizie, zanim ta prawda trafi do wielu brytyjskich mózgow. W Stanach Zjednoczonych (nie wyłączając najbliższego otoczenia Roosevelta) pełno jest także *fellow-travellers'ów*.

Konserwatyści właściwiej oceniają Rosję. Eden miał niedawno (wprawdzie „bardzo oględnie”) powiedzieć Mikołajczykowi, że sprzymierzeni bynajmniej nie pragną wpuszczać sowieciarzy do Europy. Dlaczego „bardzo oględnie”? Dlatego — że także w Stanach Zjednoczonych nie ma wielu chętnych do aktywnego przeciwstawiania się penetracji sowieckiej w Europie Środkowo-Wschodniej.

Jeśli tak jest — a wszystko za tym przemawia — perspektywy są niewesołe. Cóż nam pozostaje? Krzyżeć, że nigdy się nie pogodzimy z okupacją ziemi polskiej przez Sowiety. Jeśli się nawet na to nie zdobędziemy, Zachód tym łatwiej wypnie się na nas w decydującym momencie. Wystąpienia polskie należałoby poprzeć jedynym jeszcze argumentem, jaki mamy w rękach. Wojsko polskie winno zaprzestać walki a krajowe podziemie zaszyć się jeszcze głębiej, rezygnując, przynajmniej na razie, z myśli o akcjach dywersyjno-powstańczych. Bo w imię czego, powta-

rzam — ma walczyć wojsko polskie na Zachodzie, skoro zamyka mu się drogę do Kraju? A o tę drogę i o nic więcej, biło się we Francji, pod Narwikiem czy w Battle of Britain. I chce walczyć tylko o Polskę.

Jak słyszę Sosnkowski domaga się od rządu najostrzejszej akcji dyplomatycznej wobec aliantów oraz przygotowania Kraju na najgorsze. Ale na kogo może liczyć w tym rządzie? Na Mikołajczyka, Kota, Grosfelda, Kwapińskiego, Banaczyka? Utopiliby go w łyżce wody. Na prezydenta? Raczkiewicz na pewno zgadza się z Sosnkowskim, ale na nic się nie może zdecydować.

9 stycznia, niedziela, o północy

Z kimkolwiek z Polaków mówię odnoszę jedno wrażenie: przybici, a w głowach zupełny chaos. Moja teoria krzyku wydaje się wtedy nonsensem. Trzeba przede wszystkim otrząsnąć się z nastroju beznadziejności i pesymizmu. Koniec wojny, który przepowiadają już na ten rok, zakończy jedynie operacje wojenne, natomiast nie zlikwiduje nabrzmiałych w przeszłości i nawet nieprzezwalanych konfliktów w przyszłości. A jeden jest pewny: konflikt świata zachodniego (choćby się przed nim bronił rękami i nogami) ze światem komunistycznym, dyrygowanym przez Moskwę. Wszystko dzieli te dwa światy, nie łączy nic. Czy rzeczywiście nic nie łączy?

Najbardziej niepokoi pytanie, jak ten konflikt wytrzyma Kraj wymęczony okupacjami wrogów, dziesiątkowany biologicznie i może zupełnie w przyszłości odcięty od Zachodu. Nie wiem. Ale wiem, że trzeba robić wszystko, by i ten okres przebrnął zwycięsko. Może będzie to ostatni, ciężki rozdział dziejów, jaki od rozbiorów przeżywała Polska. Pomoc krajowi — gdybyśmy mieli na emigracji pozostać — to najważniejsze zadanie. I choć na myśl o pozostaniu skóra cierpnie, sądzę, że trzeba będzie się już wkrótce do tego zadania przygotowywać. Nie warto więc załamywać rąk, zwłaszcza nad własnym losem emigranta.

11 stycznia, wtorek, 8-ma wieczorem

Przyszło zawiadomienie, że Janka zdała maturę angielską. Otwiera jej to drogę do uniwersytetu londyńskiego. Jesteśmy z Zinką wniebowzięci. Taka z Janki jeszcze smarkuła. Ale w niepewnych warunkach naszego bytowania — im prędzej się to stało, tym lepiej.

12 stycznia, środa, o północy

Inspirowana prasa angielska poucza nas o „ostatniej szansie”, co ma znaczyć byśmy się natychmiast porozumieli z Rosją. Kot powiedział Witkowi Czerwińskiemu, że sytuacja jest bardzo ciężka. Moskwa „ofiarowuje” nam granice zachodnie na Odrze, ale w ogóle nic jeszcze konkretnego nie wiadomo.

We wczorajszym *Evening News* znowu kamyczki w stronę Sosnkowskiego. Działa intrygancka rączka ministra Kota i całego wianuszka tuzów z partyjnego „czworoboku”. Nie wiem co o tej robótce myśli Sosnkowski i co w ogóle myśli. Nie widuję go i nie spotykam się z jego zaufanym Witoldem Babińskim, lecz nie mam wątpliwości, że Sosnkowski właściwie ocenia sytuację.

Znam jego październikową, rozważną i przewidującą instrukcję do kraju i niezgodny z nią rozkaz o „Burzy” dowódcy Armii Krajowej. Powitał za to ten rozkaz entuzjastycznie Mikołajczyk. Dlaczego? Bo decyzja podziemia wojskowego idzie po jego linii, po linii współpracy AK z wkraczającymi do Polski wojskami sowieckimi. Nawet bez wznowienia dyplomatycznych stosunków sowiecko-polskich i bez posiadania w kieszeni umowy politycznej z Moskwą! Mówiono mi dziś o liście, jaki w związku z rozkazem Bora wystosował Sosnkowski przed kilku dniami do Mikołajczyka. Postawę wojskowego podziemia generał określa „rozpaczliwym porywem całopalnym Kraju”, którego celem miałyby być zadokumentowanie praw Polski do istnienia. Takim zrywom jest przeciwny. Czy nie budzą się w nim wątpliwości w sprawie celowości dalszego udziału polskich sił zbrojnych w walkach na obcych frontach? Jesienią roku ubiegłego nosił się podobno z zamiarem reorganizowania armii polskiej na Bliskim Wschodzie. Wywołało to sprzeciw brytyjski. Wydaje się, że pomysł zmierzał do tego, aby odwlec, jeśli wręcz nie uniemożliwić użycie tej armii w akcjach projektowanych przez sztaby alianckie.

Tak. Sosnkowski myśli niezawodnie jak najlepiej. Ale czy będzie w stanie nadać swym myślom kształt realny? Wątpię. To wielki legalista i wielki samotnik. Ufa mu bezgranicznie wielu wojskowych i cywilów. Ale jako legalista nikogo nie organizuje i nie skupia wokół siebie. Jak odyniec walczy w pojedynkę ze zgrają wypuszczanych na niego psów, kierowanych przez wytrawnych myśliwych własnych i obcych.

13 stycznia, czwartek, 5-ta po południu

Więc — jak się okazuje — w związku z zajmowaniem Polski przez wojska sowieckie rząd nosił się z zamiarem wystosowania

apelu do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Nie uczynił tego, gdyż — jak nam Drohojowski wyjaśnia — boi się, aby nie wystrzelić za wcześnie „wielkiego naboju” i „nie sprowokować negatywnej odpowiedzi obu zachodnich mocarstw”! Podobno Mikołajczyk miał powiedzieć zwolennikowi apelu — Kotowi, by się nie mieszał do sprawy. Wybaczyłbym Kotowi jego intrygi, gdyby się zdobył na uczciwą postawę wobec nacisków sowieckich i alianckich. Bądź co bądź poznał trochę Moskali w czasie swego ambasadorowania w Rosji. Ale to do niego niepodobne. Po prostu wyrwał się. Dostał teraz po łapach i — koniec.

Moskwa kusi Mikołajczyka *et consortes* koncepcją granicy zachodniej na Odrze. Czeski komiwojażer Benesz — po powrocie z Moskwy — sugeruje Polakom, aby się na to godzili. Linię Odry mamy otrzymać za utratę ziem wschodnich. Ale to nie wszystko. Mamy się zgodzić na wpuszczenie agentury sowieckiej do rządu. Sytuacja rysuje się coraz wyraźniej.

15 stycznia, sobota, po południu

Odpowiedź Moskwy na oświadczenie polskie jest bezczelna. Znamy ją od paru dni. Sprawę ziem wschodnich załatwił już odbyty w 1939 roku „plebiscyt”. Rząd emigracyjny, odcięty od narodu — zdaniem sowieciarzy — nie jest w stanie organizować czynnego oporu wobec najeźdźcy niemieckiego, ba, często staje się narzędziem w jego rękach! Wyobrażam sobie, jakie reakcje wywoła odpowiedź sowiecka gdy dotrze do Podziemia, choćby Mikołajczyk „swoimi drogami” zaopatrzył ją uspakajającym komentarzem.

Już wczoraj po południu znałem tekst deklaracji rządowej. Podobno od A do Ż była uzgodniona z p. Edenem. Jest delikatna, ostrożna. Zapowiada, że rząd polski zwraca się do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych o pośrednictwo w konflikcie z Rosją. Prosi, aby wszczęto z udziałem rządów obu mocarstw rozmowy dotyczące załatwienia — „całokształtu istniejących zagadnień”. Tak spreparowaną deklarację, prasa angielska wita, oczywiście, przychylnie.

Byliśmy u Stasia Głuskiego na dużym zebraniu towarzyskim. Ktoś wrócił z „Zespołu Piłsudczyków”. Na „Zespole” atakowano gwałtownie deklarację. Padały słowa „zdrada”. Podobno Sosnkowski nie znał tekstu deklaracji. Ma jutro rozmawiać z Prezydentem.

Jeśli tak było, Mikołajczyk przestał się liczyć z Naczelnym Wodzem.

16 stycznia, niedziela, po południu

Nie tylko ukrywają przed Sosnkowskim ważne posunięcia. Starają się go wykończyć w opinii brytyjskiej. Wystarczy przeczytać dzisiejszy *Reynolds News*. Co na to Sosnkowski? Słyszę, że wybiera się w podróż inspekcyjną — na Middle East. Nic chyba bardziej nie raduje naszej rady ministrów, jak to, że go w Londynie nie będzie.

17 stycznia, poniedziałek, po północy

Radio ogłosiło komunikat TASS'a. Spieszą się. Moskwa odrzuca sugestię naszego rządu. Nie chce gadać z rządem, który rozpętał „oszczerczą” kampanię w sprawie Katynia i odmawia „uznania linii Curzona”. Treść i odpowiedzi nosi ultymatywny charakter: Albo skapitulujecie godząc się na wszystkie nasze warunki, albo nie ma w ogóle o czym gadać.

Wielu Polaków z którymi mówiłem o odpowiedzi Kremla nie posiada się z radości. Łudzą się, że dopiero ona usztywni naszych rządowych miękoszy. Nie podzielam tego optymizmu. Przeciwnie, spodziewam się nowych nacisków Churchilla, które ostatecznie rozgrzeszą Mikołajczyka. Zresztą o wszystkim przecież decyduje front. A front jest dla Moskwy zwycięski. Ten front zmusi zapewne mocarstwa zachodnie do przyspieszenia ofensywy na Europę, czyli do stworzenia własnego „drugiego frontu”. Nic nam to nie pomoże, choć wojska polskie będą na tym froncie użyte. Nie będą się już biły o wyzwolenie własnego kraju, co przecież stanowiło jedyną rację polityczną odrodzenia armii polskiej na Zachodzie.

18 stycznia, wtorek, wieczór

Sensacją jest artykuł *Prawdy*. Organ sowiecki twierdzi, że na półwyspie pirenejskim toczyły się rokowania niemiecko-brytyjskie, których celem miało być ustalenie warunków odrębnego pokoju między Londynem i Berlinem. Pan Stefan Litauer komentując artykuł mówi, że trzeba mieć zrozumienie dla „wrodzonej podejrzliwości sowieckiej”. Pal sześć Litauera! Znam go dobrze. To agent sowiecki włączający się nieustannie po gabinetach naszych ministrów. Ale dlaczego *Prawda* właśnie teraz ogła-

sza swe „rewelacje”? Czy po to by postraszyć Brytyjczyków, czy też może, aby pod dymną zasłoną ataku na Londyn uprawiać tajne konszachty z Niemcami?

Inna sensacja — to odnowa sojuszu francusko-brytyjskiego. Ktoś bąkał o naszej inicjatywie. Nie wierzę. Nie mniej ta manifestacja solidarności obu aliantów w chwili gdy Moskwa coraz bezczelniej przybiera postawę mocarstwa decydującego o losach świata, jest bardzo przyjemna. Mało to, ale zawsze coś.

19 stycznia, środa, 6-ta po południu

I dziś trochę lepiej na duszy. Anglicy odpierają ataki *Prawdy*, puszczając jednocześnie niedyskrecje o rozmowach niemiecko-sowieckich. Ładnie się bawią — „sprzymierzeńcy”!

20 stycznia, czwartek, 1-sza w nocy

Wieczorem byliśmy u Adamostwa Lisiewiczów. Między 9-tą - 10-tą złapał nas tam ciężki nalot. Trwał z dobrą godzinę. Wczoraj alianci poczęstowali Berlin ładunkiem 2.300 ton bomb.

Mikołajczyk był u Churchilla. Jak zwykle wiele plotek wokół tej wizyty. Jedna głosi, że Churchill jest bardzo twardy i znowu naciska. Nasz hrabia D. twierdzi natomiast, że... „podkreśla tylko swą solidarność z Edenem”! Śmieszny facet ten Drohojowski. Nie kijem go przecież, to pałką. Rzekomo jutro czy pojutrze dalszy ciąg rozmów.

22 stycznia, sobota, 11-ta rano

Alarm i odgłosy strzelaniny obudziły nas o 5-tej rano. Zeszliśmy o piętro niżej — do Czerwińskich.

O północy

Po dłuższej przerwie byliśmy w „Ognisku”. Spotkałem ludzi, których w olbrzymim tonącym w ciemnościach Londynie, nie widzę tygodniami. Wszyscy dzielą się wzajemnie samymi „złymi wiadomościami”. Niektórzy liczą jeszcze na cuda. Wierzą, że Niemcy spłoszą w jakiejś chwili sowieciarzy, gdyż chowają w zanadrzu „tajemnicze bronie”. Innym wydaje się, że Hitlera musi wreszcie szlag trafić, a wtedy wyjdą z ukrycia „dobrzy Niemcy”.

Wywieszają białe flagi i oddadzą się w ręce — oczywiście — zachodnich zwycięzców. Dalszy ciąg filmu „Pobożne życzenia” wiadomy. Mocarstwa zachodnie, mając „załatwione”, Niemcy ruszą do boju z Sowietami, by bronić Europy przed zalewem komunizmu...

Nie dziwię się tym gadaniom, ale słucham ich teraz jednym uchem a drugim wypuszczam.

Znajomy, spotkany w „Ognisku”, powtarzał mi fragment relacji Mikołajczyka o konferencji w Teheranie. W pewnej chwili Roosevelt zaproponował debatę o przyszłych granicach. Na to Stalin miał odpowiedzieć: „Będę mówił z wami o granicach dopiero wtedy, gdy tak jak my stracie osiem milionów ludzi”. Podobno tą odpowiedzią zamknął gębę prezydentowi Stanów Zjednoczonych. A potem już po spoju z Churchilllem prześcigali się obaj w obietnicach niesienia pomocy sowieckiemu sprzymierzeńcowi.

Pewno i dalsze rozmowy na najwyższym „szczycie” będą miały podobny przebieg. Lepiej omijać „Ognisko”, by takich relacji nie słuchać.

23 stycznia, niedziela, 1-sza w nocy

Był wietrzny i chłodny, lecz pogodny dzień. Po południu wybraliśmy się na drugi kraniec miasta do Lawinii Dymszyny. Zastaliśmy u niej parę osób, między innymi, inżyniera A. Piotrowskiego, osobistego sekretarza i starego przyjaciela prezydenta Raczkiewicza. Również spod znaku „braci” masonów szkockiego obrządku. Jest dyskretny, więc nie ciągnąłem go za język, ale sam się rozgadał. Między innymi opowiedział wrażenia Raczkiewicza z Rady Ministrów, na której Mikołajczyk składał relacje z ostatniej wizyty u Churchilla. Churchill, który w Teheranie zapadł na zapalenie płuc, zatrzymał się w Marakesz. Zaraz po powrocie zaczął naciskać na ostateczne rozwiązanie sprawy polskiej. Ze słów Mikołajczyka wynika, że Churchill stawiał sprawę szczerze. Nie ukrywał co myśli o sowietarzach. „Tak, nie kochamy ich, ale oni ponoszą główny ciężar walki z Niemcami”. Z tego wynikają konsekwencje. Churchill pragnie Polski silnej, niepodległej, w granicach między linią Curzona i linią Odry.

Lawinia wierzy w przepowiednie. Teraz ma w repertuarze przepowiednie pewnego Poleszuka nazwiskiem Wasilko. Wasilko prorokuje, że wkrótce „zginie Król angielski”, a po nim — jak mówi „król bolszewicki”. Życzę jak najdłuższego żywota

J. K. Mości Jerzemu VI. Bardzo przyjemny, porządny i skromny pan. Ale niech jak najprędzej diabli porwą Stalina. Śmierć jego może oznaczać koniec najbardziej ponurej epoki w dziejach rosyjskiego komunizmu.

25 stycznia, wtorek, 4-ta po południu

Cała prasa rozpisuje się o działaniach 5-tej armii brytyjskiej, która wylądowała na południe od Rzymu. Wydaje się, że sytuacja pod Leningradem czy na południowym odcinku frontu sowiecko-niemieckiego zajmuje teraz drugoplanowe miejsce w prasie tubylców.

Drohojowski (niepytany) powiedział mi dziś, że Churchill przemawia do Polaków „po ojcowsku”, ale ma w rządzie nad wyraz trudną sytuację. Na ogół wszystko co hrabia mówił pokrywało się z opowiadaniem Piotrowskiego. Pragnąc sprowokować Drohojowskiego zapytałem: „A czy tak samo 'po ojcowsku' domaga się przeprowadzenia zmian personalnych w rządzie polskim i usunięcia Sosnkowskiego?”. Drohojowski zachnął się i zmienił temat. Podobno Mikołajczyk jedzie jednak do Stanów Zjednoczonych. Widocznie otrzymał ojcowskie błogosławieństwo Churchilla.

26 stycznia, środa, 2-ga w nocy

Dwie rzeczy warte zanotowania. Obie świadczą o rosnącej z każdym dniem bezczelności Stalina. Sowietarze ogłosili rodzaj raportu w sprawie Katynia! Uważają, że mogą sobie na to pozwolić. Tak są pewni siebie. Jedyna, choć słaba pociecha, że nikt w ich raporty nie wierzy. Po ujawnieniu wiosną roku ubiegłego zbrodni katyńskiej Churchill miał powiedzieć Sikorskiemu, że w Wielkiej Brytanii nikt, nie wyłączając Króla, nie ma żadnych wątpliwości, kto jest sprawcą zbrodni.

Druga sprawa — innej natury, ale równie znamienita dla pewnej siebie Moskwy. Ponoć Kreml odrzucił propozycję mediacji amerykańskiej w sprawie uregulowania stosunków polsko-sowieckich.

29 stycznia, sobota, po północy

Wieczorem byliśmy w okolicach South Kensington. W drodze

powrotnej złapał nas alarm. Całą godzinę przesiedzieliśmy na stacji kolejki podziemnej Hyde Park Corner.

Coraz nędzniej wyglądają te niemieckie naloty w porównaniu z alianckimi. *Berlin again: 13-th blitz early to-day* — pisze prasa. Od 18 listopada lotnictwo alianckie spuściło na Niemcy ogółem 25 tysięcy ton ładunku.

Brytyjczycy znajdują się podobno już tylko o 15 mil od Rzymu.

30 stycznia, poniedziałek, 1 w nocy

W naszym domu (Eton Hall) panuje wśród Polaków podniecenie. U Czerwińskich dokonano kradzieży. Dziwna kradzież. Prócz bezwartościowych drobiazgów nie ruszono nic. Czyżby kradzież polityczna? Ciekawe, kto zabawił się w rzekomych złodziei, przetrząsających tylko papiery Witka? Różnie to sobie komentujemy.

Plany sowieckie w naszej sprawie zarysowują się coraz wyraźniej. Na wschodzie — nieodwołalnie linia Curzona z tym, że może Lwów pozostanie w granicach Polski. Wilno ma być oddane litewskiej republice sowieckiej, czyli — Rosji. Granica zachodnia — Odra. Prusy Wschodnie, z wyjątkiem Królewca, mają przypaść Polsce. Nowe granice gwarantować będą wspólnie: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Sowiecki. Rosja nie chce gadać z obecnym rządem polskim. Domaga się jego reorganizacji co znaczy, że mają w nim zasiąść komuniści polscy, przez nią odkomenderowani.

Byłem na zebraniu ex-posłów i senatorów z różnych kadencji. Zbieramy się od czasu do czasu. Gadało się m.in. o planach sowieckich. Przeważa pogląd, że premier Mikołajczyk już się na nie zgodził i sugeruje, by cały rząd uczynił to samo za jego przykładem. Sugestie Mikołajczyka są oczywiście echem „sugestii” angielskich, a te znowu nacisków sowieckich.

Jeśli tak jest pytam znowu: czy jest jeszcze jakiś sens, by żołnierz polski krwawił się na obcych frontach, zwłaszcza, że w naszym wojsku jest tylu ludzi pochodzących z ziem wschodnich, które — w myśl planów sowieckich — mają być zabrane przez Rosję?

2 luty, środa, o północy

Cała prasa angielska (niektóre dzienniki z odcieniem ironii) notują autoreklamową wiadomość Moskwy, że 16 republik so-

wieckich otrzymało *their new rights* czyli — nowe prawa. Katalog tych praw wygląda wręcz imponująco! Republiki sowieckie mają mieć teraz własne armie, mogą utrzymywać stosunki dyplomatyczne z innymi państwami i — koń by się uśmieł — mogą kiedy się im spodoba opuścić Związek Sowiecki. Ta papierowa karta swobód republik sowieckich jest nowym trickiem propagandowym, obliczonym na ignorancję i naiwność Anglosasów

Na międzyministerialnej konferencji do spraw niemieckich ambasador Lipski postawił nagle pytanie: Czy Niemcy wycofując się z Włoch pozostawią Piusa XII-go w Watykanie? Przyznam się, że bardziej od tego pytania interesowały mnie wywody przedstawiciela wojska płk. Kijaka. Ze zwykłym sobie spokojem omawia operacje na froncie wschodnim i twierdzi nadal, że — mimo klęsk — Niemcy są jeszcze militarnie bardzo silne.

Piszę przy otwartym oknie. Styczeń był raczej wiosenny i wiosennie zaczyna się luty. Wydaje się, że ta pogoda rozkłada nas psychicznie. Po chwilowym podnieceniu szybko zapadamy w stan zubożenia i apatii. Nawet nie podniecają nas wieści, że koniec wojny blisko. Czy można się temu dziwić? Niczego sobie dobrego po tym końcu nie obiecujemy. Mierzi nas zwłaszcza myśl, że dzwony zwycięstwa i pokoju, które rozlegną się w Londynie, zapowiadać będą rozstanie z Krajem może na zawsze, w każdym razie na dłużej.

6 luty, niedziela, po północy

Z 3-go na 4-ty mieliśmy nocny alarm. Byłem tak niewyspany, że nawet kilku zdań nie chciało mi się skleić. Coraz częściej przeklinam ten nałóg wojenny i chwilami zdaje mi się, że zerwę z nim zanim obwieszczą pokój.

Wiele gadałem w ostatnich dniach. Między innymi o tym sowieckim manifeście, przyrzekającym „samodzielność” republikom sowieckim. Spotkałem się z poglądem, że nie należy go lekceważyć. Może wcale nie jest to tylko manewr propagandowy obliczony na naiwność Zachodu. Niektórzy przypuszczają, że krok ten podyktowały Moskwie jakieś nieznane nam konieczności wewnętrzne. Nie jestem sowietologiem, ale mógłbym przysiąc, że dopóki Stalin żyje, nie warto sobie łamać głowy takimi dociekaniami. Zwycięski dyktator może robić z Rosją co mu się podoba. A tym bardziej zwycięski i bezwzględny Stalin, rządzący masami przywykłymi do niewolnictwa.

Po upadku Równego i Łucka wojska sowieckie idą na Lwów. Na niektórych Polaków ten pochód działa — osobliwie. W *No-*

wej Polsce — organie mego szefa, profesora Kota, pisarz Ksawery Pruszyński agituje za pro-sowiecką orientacją. Nie jest, niestety, wyjątkiem.

Ex-poseł dr Stefan Mękowski, lwowianin, był u Prezydenta w delegacji Związku Ziemi Południowo-Wschodnich. Delegacja złożyła swoje postulaty także premierowi Mikołajczykowi i Ministrowi Spraw Zagranicznych T. Romerowi. Mękowski nie wątpi, że dwaj ostatni już pogodzili się z utratą ziem wschodnich na rzecz Rosji i zerkają w stronę Kremla. Ma rację. Lista podobnie zerkających tuzów rządowych jest znacznie dłuższa.

10 luty, czwartek, 1-sza w nocy

Jestem znowu niewyspany z powodu tych cholernych alarmów. Pewno dlatego łążą mi po głowie jakieś dziwaczne myśli. Wolno mi. Jestem sobie *simplex servus Dei*. To mnie usprawiedliwia. Pytam więc czasem, czy w przemianach jakie niesie ta wojna i w tym — jak się zdaje — nieuniknionym w przyszłości przymusowym przekształcaniu oblicza Polski jest jakiś głębszy sens? Może ludzie mego pokolenia, wrośnięci korzeniami w bezpowrotną przeszłość, przemian tych nie są w stanie zrozumieć? Może trzymamy się kurczowo dawno przebrzmiałych fikcji, gdy obok tworzy się nowa, niepojęta dla nas, ale rzeczywista rzeczywistość społeczna, gospodarcza, polityczna, ba, moralna? Może wszystko co przywykliśmy od dziecka uważać za aksjomaty, nadaje się do lamusa starych rupieci? Może mają rację Mikołajczyki, Koty, Pruszyńscy, Grosfeldy, Stańczyki, a my, jak błędni rycerze, jak romantyczne Don Kichoty, zajęci jesteśmy atakowaniem wiatraków? Może już nawet donkichoterią jest myśl, by po tej wojnie człowiek w Polsce mógł żyć tak jak żyją Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, Duńczycy czy Belgowie i nie uważać za wzór godny naśladowania niewolniczego żywota istoty, której na imię *homo sovieticus*?

Coraz częściej ostatnio zadaję sobie te pytania ale — jak dotąd — innej na nie odpowiedzi nie znajduję, jak tylko jedną. Trwała przebudowa struktury współczesnego świata nie może być dokonana środkami gwałtu, przemocy i pospolitych zbrodni. Szczerzy zryw rewolucyjnego buntu i towarzyszący mu gwałt — to co innego. Ale gwałt stosowany permanentnie i z premedytacją, choćby uzasadniony najwznioślejszymi hasłami, zabija samą ideę, zniekształca ją i wynaturza. Nie! Jeśli mam być chorążyym starego świata, bo inaczej myśleć nie potrafię, wolę zginąć z od-

chodzącym światem. Nie znaczy to bym miał odejść na zawsze *in odore sanctitatis*.

Przed paru dniami spotkałem ex-redaktora londyńskiego *Dziennika Polskiego* Marcelego Karczewskiego. Wylał go z tego stanowiska w roku ubiegłym Kot. Karczewski — mimo to — jest w dobrych stosunkach z Mikołajczykiem. Tłumaczył, że z premierem nie jest wcale tak źle, jak sobie wyobrażam, że posiada jednak jakieś rozeznanie polityczne i świadom jest odpowiedzialności jaka na nim ciąży. Aby mnie ostatecznie przekonać p. Marcełi rzekł: „To na wskroś realny człowiek”. Odpowiedziałem: „Jeśli uleganie każdemu obcemu dyktandemu jest symbolem realizmu politycznego — w takim razie pan Mikołajczyk jest rzeczywiście na wskroś realnym politykiem”. Na pocieszenie p. Marcelego dodałem, że nie wątpię w dobre chęci Mikołajczyka, ale — jak mówi stare powiedzonko — dobrymi chęciami piekło brukowane.

12 luty, sobota, po północy

Chcąc zrobić Jance przyjemność pojechaliśmy znowu do „Ogniska”. Młodzież tańczyła. Hołupce były tak dziarskie, że czasem nie słychać było syren alarmowych. Spotkałem naszego przyjaciela, znakomitego ongiś Stasia Westfala. Złamany. „Tylko wstawiennictwo Opatrzności — powiada — może nas jeszcze uratować”.

Na razie wstawiennictwo razem z Anglikami pomaga Rosji. Anglicy zbierają na *aid for Russia*. W tym roku zebrali o 30 % więcej niż w roku ubiegłym!

13 luty, niedziela, o północy

Z dzisiejszego *Observatora* wynika, że mamy pogodzić się z utratą Lwowa. Za to sprzymierzeńcy (ściśle mówiąc Rosja), ofiarowują nam — jak już o tym była mowa — Prusy Wschodnie bez Królewca, ponadto brzeg morski po Szczecin czy też ze Szczecinem, no i cały Śląsk Opolski, zaokrąglony porządnie na naszą korzyść. Część tych Ziem znam lepiej od wielu rodaków. Znam Szczecin, Wrocław, Królewiec. Przejechałem wzdłuż i wszerz cały Śląsk Opolski i Prusy Wschodnie. To dla mnie nie tylko geografia i historia. Raduję się więc, gdy myślę, że to się tak może na Zachodzie skończyć. Sprawiedliwość dziejowa! Dotychczas — gdy o nasz naród chodzi — słowa te brzmiały

jak bolesna ironia. Czyżby miała się w naszych oczach częściowo ziścić? Nikt tego nie jest w stanie pojąć, kto w dwudziestolecu między wojnami nie oglądał z bliska Niemców i nie widział czego nie wyrabiali, by zatrzeć wszelkie ślady polskości na Śląsku, Warmii i Mazurach.

Cóż kiedy ta przedziwna sprawiedliwość, wymierzana rękami naszych wrogów, nie jest bezinteresowna. Co jedną ręką dają, drugą odbierają. Moskwa każe sobie za nią płacić ziemiami i miastami związanymi z Polską wielowiekowymi więzami politycznymi i kulturalnymi. To prawda, że zamieszkują je w większości Ukraińcy i Białorusini. To prawda, że pierwsi zwłaszcza, do 1938 roku imali się nawet środków terroru, by manifestować wolę do niepodległości. I jakich ich los spotkał? Jestem przekonany, że gdyby można było wśród ludności ukraińskiej czy białoruskiej, która zamieszkiwała nasze ziemie wschodnie, przeprowadzić dziś rzetelny plebiscyt, odpowiedziałaby na pytanie do kogo pragnie należeć: do Polski czy do Rosji?, że tylko do Polski. Choć nie byliśmy w stosunku do niej również bez winy.

Przed pół godziną przyszedł Witek. W czasie ostatniej rozmowy Churchill jeszcze bardziej naciskał Mikołajczyka. Miał mu powiedzieć bez ogródek, że albo rząd polski zgodzi się na wszystkie propozycje sowieckie, łącznie z agenturą sowiecką w rządzie polskim, albo on — Churchill — wyłoży całą prawdę na stół parlamentu, by pozbyć się wreszcie osobistej odpowiedzialności, jaką wciąż wobec Polaków ponosi.

Tak, wszystko jest właściwie jasne, tragicznie jasne.

2. INDEED, IT SEEMS INCREDIBLE...

Inteligentny Bernard Singer (pisywał przed wojną pod pseudonimem — Regnis w warszawskim, żydowskim *Naszym Przeglądzie*) zrobił mi wykład o Leninie i Stalinie. Raczej trockista, więc nie kocha Stalina. Nie słuchałem jego dialektycznych wywodów. Nie mam zdrowia. Już dawno przestał mnie ten temat interesować.

Lenin, w porównaniu ze Stalinem był bardzo swoistym „demokratą” — powiedzmy — *primus inter pares*. Stalin jest pełną gębą dyktatorem. Trzyma za mordę wszystkich i wszystko. Pod względem intelektualnym w porównaniu z Leninem — to prymityw. Może góruje nad dostatecznie brutalnym ojcem rewolucji bolszewickiej bezwzględnością i okrucieństwem. Gdyby Lenin pożył jeszcze kilka lat, stałby się pewno również ofiarą czystek

Stalina. Szkoda, że się tak nie stało. Sprzątnięcie Lenina przez Stalina mogłoby się przyczynić do szybszego rozwalenia komunizmu. Ponieważ tak się nie stało, Stalin jest następcą Lenina, kontynuatorem mistrza, którego tezy interpretuje jak chce. Należy się więc modlić, by go jak najprędzej sprzątnięto.

Nie wiem dlaczego o tym piszę. Pocieszam się. Wciąż się pocieszamy. Ważniejsze, że nadeszła już do Londynu opinia podziemnych władz krajowych o propozycjach sowieckich. Na ile zdołałem się dowiedzieć, podziemie jest przeciwne kapitulacyjnej polityce Mikołajczyka. Dziś obraduje Rada Ministrów. Zapowiadają, że jutro mogą zapaść „ostateczne decyzje”.

15 luty, wtorek, 3-cia po południu

Nie pojechałem do Ministerstwa. Wyszedłem po zakupy. Koło stacji kolejki podziemnej, przy Chalk Farm, spotkałem mieszkającego w sąsiedztwie Stanisława Mackiewicza. Maszerował do domu ze swą najświeższą broszurą. Tytuł bardzo na czasie: — „Nowogródek”. Potwierdza informacje Witka. Rząd otrzymał od Brytyjczyków nowe ultimatum.

1-sza w nocy

Od 8-mej wieczór zaczęły się telefony. Pierwszy telefonował Mackiewicz. Ministrowie-socjaliści opuścili posiedzenie rady ministrów na znak protestu przeciwko jakiemuś szczególnie brutalnemu, drugiemu punktowi listu Churchilla. W tym samym duchu wypowiedzieli się: Kot, gen. Kukiel i gen. Sosnkowski. 25 lute-go, a więc za dziesięć dni, ma się odbyć w parlamencie brytyjskim debata polska.

16 luty, środa, po północy

Berlin bombardują bez przerwy.

Choć w łonie rządu wybuchł konflikt w związku z brytyjskim ultimatum, Mikołajczyk gotów je przyjąć. Mikołajczyk był znowu u Churchilla. O czym gadał, na razie nikt nie wie. Mówią, że w gabinecie brytyjskim istnieje grupa antysowiecka. Ma do niej należeć m.in. labourzysta, minister Cripps, były ambasador brytyjski w Moskwie.

19 luty, sobota, 4-ta po południu

Wczorajszej nocy mieliśmy ciężki nalot nocny. Przed chwilą oglądałem jego skutki na jednej z ulic odległych zaledwie o 100 metrów od naszego domu. Nieprzyjemny widok.

20 luty, niedziela, po 11-tej w nocy

Mieliśmy znowu nalot. Był Mackiewicz i jego nieodłączna towarzyszka pani Eddy. Po nalocie obserwowaliśmy razem z naszego (czwartego) piętra łuny pożarów. Wiatr niósł zapach spalenizny.

Okolo 2-giej w nocy

Był jeszcze jeden, także ciężki nalot. Na południowej ścianie czarnego horyzontu nieba krwawa łuna.

22 luty, woterk, 11-ta w nocy

Podnieciła nas ta ostatnia seria nalotów. Wczoraj znowu zbudziły nad ranem syreny. Wielu Polaków — jak się mówi — „wybombowało”. Zapewne wskutek niewyspania dość apatycznie reagujemy na ostatnią mowę Churchilla.

23 luty, środa, po północy

Ależ niemczury zawzięły się na Londyn! Dopiero przed kwadranssem wróciliśmy z żoną i Janką z kolejki podziemnej przy Chalk Farm. Przesiedzieliśmy w tłumie dwie godziny. Gdy zaczął się alarm jedliśmy kolację. Byli u nas: młody student Polak, Borny, i mój dawny kolega z czasów berlińskich, dziennikarz Stanisław Arnold. Zastanawialiśmy się, czy schodzić do podziemnej kolejki, czy też zostać w mieszkaniu, gdy nagle przez półotwarte okna usłyszeliśmy nerwowe, przyspieszone kroki mieszkańców okolicznych domów. Tak się to nam udzieliło, że nie wiadomo dlaczego w wyjątkowym popłochu zbiegliśmy na dół, gubiąc się na krótkiej przestrzeni dzielącej dom od stacji.

Cóż mieliśmy robić stojąc długo w zapchanym podziemiu stacji? Oczywiście gadaliśmy o ostatniej mowie Churchilla. Czyżby — jak twierdzą niektórzy — chciał sprowokować propolską reakcję parlamentu? Czy też mowa Churchilla — jak sądzą inni — jest z naszego punktu widzenia beznadziejna? Według mnie pesymiści mają rację.

Ciekawi jesteście co powie rząd. Czy w ogóle coś powie? Dlaczego nie wyleją wreszcie tego szpicla sowieckiego Litauera? A co to za plotka o jakimś przemówieniu Sosnkowskiego, które miał wygłosić dziś po południu?

Notuję chaotycznie te pytania. Z niewyspania mam lekki mentlik w głowie.

26 luty, sobota, po 11-tej w nocy

Wczoraj obyło się bez bombardowania Londynu. Dlatego wydaje się, że lada chwila rozlegną się syreny. Zamiast iść spać gadamy i — czekamy.

Jakże Londyn zmienił swój wygląd w ostatnich dniach! Na twarzach ludzi maluje się zmęczenie. Na ulicach świeże, wciąż nieuprzątnięte ślady bombardowań. Byliśmy u Karczewskiego. Mieszka w okolicach Earls Court. Pełno tam również takich śladów.

27 luty, niedziela po 11-tej w nocy

Wczoraj i przedwczoraj noc przeszły spokojne. Można się było wyspać. Dziś całe popołudnie i wieczór spędziliśmy z Mackiewiczem i z Eddy czyli panią Jadzią Dziewulską. Wszyscy ją bardzo lubimy: żona, Janeczka i ja.

1 marca, środa, po 11-tej w nocy

Zrobiło się zimno.

Mamy teraz nowy temat: Finlandię. Czy Finlandia działa za cichym błogosławieństwem Niemiec? Czyżby odradzało się widmo sojuszu niemiecko-sowieckiego? W głowie się kręci.

Rzeczywiście można powiedzieć, że czas zbożnie nam płynie: od troski do troski, od obawy do obawy, od nalotu do nalotu. Kiedyż się to wreszcie skończy?

4-ta rano

Był nalot. Mniej groźny od poprzedniego, ale za to o 3-ciej rano. Nazywamy te naloty — złośliwymi.

3 marca, piątek, po północy

Chwała Bogu, wczorajsza noc przeszła spokojnie. Zinka wróciła nieco do siebie. Znowu żyje w ciągłym, nerwowym napięciu. Oczekuje nalotów.

Ministrem spraw wewnętrznych naszego rządu jest ludowiec — rzecz prosta — spod znaku Mikołajczyka. Nazywa się Banaczyk. Bodaj raz czy dwa razy miałem szczęście rozmawiać z panem ministrem na jakiś zgoła obojętny temat. Robi wrażenie skromnego. Pod tą powłoką tak starannie ukrywa swe intelektualne walory, że w żaden sposób nie można ich zauważyć. Otóż minister Banaczyk zorganizował konferencję prasową na temat naszej armii podziemnej w Kraju. Podobno plótł nieprzytomnie o dziesiątkach dywizji podziemnego wojska polskiego... Po licha? A może Mikołajczyk chce w przetargach z Moskwą wygrywać ten atut.

6 marca, poniedziałek, 7.30 wieczorem

Dziś Amerykanie urządzili dzienne bombardowanie Berlina. W skali dotychczas niepraktykowanej. Wyobrażam sobie, jak na Niemcach skóra cierpnie.

Przyjechał ktoś z Włoch. Dobrze zorientowany w sprawach politycznych. Twierdzi, że wojna może pociągnąć jeszcze długie miesiące. A jeśli o aliantów chodzi, to dopóki nie staną mocną nogą na kontynencie europejskim, nic się w ich postawie wobec Rosji nie zmieni. Mój rozmówca czeka z niecierpliwością na zapowiadaną inwazję armii alianckich na Europę. Ja również.

9 marca, czwartek po północy

„U.S. bombs hit Berlin again to day. Fourth attack in 6 days. All Europe radio off”. I tak dzień w dzień. Pesymiści mówią, że te wielkie wyprawy lotnicze — to chytrze wymyślona na-

miastka zapowiadanej inwazji na kontynent, której w ogóle nie będzie.

Od soboty rząd jest w posiadaniu noty sowieckiej. Jak twierdzą „wtajemniczeni” urzędnicy, odpowiedź sowiecka jest... bardzo skomplikowana. Pewno beczelna.

10 marca, piątek, 11-ta rano

Wyszedłem rano po gazety. Pierwsza wiadomość jaką czytam: „Tarnopol wzięty przez Rosjan. Na ulicach miasta toczą się walki”.

O dwa piętra pod nami mieszka były sędzia sądu okręgowego w Tarnopolu Piotr Siekanowicz z żoną i synem. Kocha swe miasto. Wystarczy zagabnąć o nie, a gotów jest o Tarnopolu opowiadać godzinami.

11 marca, sobota, 8-ma wieczór

Wróciliśmy z kina. W *News*'ach pokazywano fragmenty zajęcia Kijowa przez wojska sowieckie. Marszałek Żukow — w roli głównej. Na widowni brawa rzadkie, ale gorące.

Obserwowałem Anglików. Wydaje mi się, że w ich sposobie patrzenia na sowieckich sprzymierzeńców jest coś z pogardy (nigdy by się do tego nie przyznali) z jaką traktowali tubylców w swych koloniach. Uważają Rosjan za dzikusów.

Obserwacja ta nie dotyczy *fellow traveller*'ów, lewicowych intelektualistów angielskich. Ci są beznadziejnie zakochani we wszystkim, co sowieckie. W naszych blokach przy Chalk Farm mieszka ich spora gromadka. Jedną, wybrylantowaną babę, o semickich rysach dobrze znam z widzenia. Zaczyna mnie irytować. Zbiera na — „*Aid for Russia*”. Stale jej odmawiam i stale, prowokacyjnie dzwoni do nas i ponawia swe prośby. Czuję, że kiedyś jej nawymyślam. Ci entuzjaści Stalina nie kochają Polaków mieszkających w blokach.

12 marca, niedziela, 1-sza w nocy

Dziś nowy wyczyn *Observera*. Podobno jego autorem jest trockista, Izaak Deutscher, Żyd polski. Inspiruje go nieoceniony Kot. Rzygać się chce.

M. Sokołowski wyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych. Szczególnie im zazdroszczę.

14 marca, wtorek, o północy

Zaczął się o godz. 10.30. Trwało równo godzinę. Po dłuższej przerwie znowu było gorąco nad Londynem. Bezpośrednio po odwołaniu alarmu wyszedłem na ulicę. Na czarnym tle nieba widać było krwawe języki pożarów. Widok był groźny ale piękny.

18 marca, sobota, w południe

Wczoraj znowu nalot. Spędziliśmy go w podziemnej. Na razie ociągaliśmy się z Janką. Ale gdy syreny zawyją, ze względu na Zinkę, podążamy truchcikiem we trójkę do kolejki.

Właściwie nie wiem co mam zapisać? Że dzielnicy Finowie odrzucili pokojową ofertę sowiecką? A może to, że sowieccy nie konsultując swych zachodnich sprzymierzeńców, uznali już króla włoskiego i marszałka Badoglio? Nie! lepiej zanotować, jak się wykrwawiają i Niemcy i Rosjanie. W grudniu i styczniu pierwsi mieli pół miliona tzw. strat bezpowrotnych, Rosjanie — milion.

Byle by tylko nie krwawił się dalej nasz żołnierz. Po raz nie wiem który pytam, po co? Sowieccy już w Dubnie.

20 marca, poniedziałek, wieczorem

Rano, po usilnych namowach por. Mariana Jedlickiego, poszedłem z nim do Prezydenta, aby go zaprosić na przedstawienie naszego „arcydzieła” pt. „Druga wyspa”. Ku memu utrapieniu premiera dramatu ma się odbyć w Londynie w jakimś prawdziwym teatrze. Myślałem, że już z tego pomysłu nic nie wyjdzie, ale uparty profesor (współautor — numer jeden) postawił na swoim.

Wiele miesięcy nie widziałem starego znajomego Raczkiewicza. Wygląda źle. Może daje mu się we znaki leukemia na którą zapadał. Jak zwykle towarzysko ujmujący. W czasie krótkiej audjencji mówiliśmy po trosze o wszystkim. Z paru zdań wynioskowałem, że gdy o front wschodni chodzi nie liczy już na żadne cuda. Wojska sowieckie są już tylko o 40 kilometrów od Lwowa.

Od Prezydenta wróciłem do ministerstwa. Zaszedł do mnie pewien znajomek i szepnął: „Drugi front dojrzewa”. Wymienia maj.

Tymczasem grono Polaków podążających do Moskwy (lub przechodzących na jej stronę) stale się powiększa. Powiększył je m.in. wybitny ekonomista obywatel Stanów Zjednoczonych, profesor Oskar Lange. Moskwa wcale nieźle wygrywa „kartę polską”, a wojska sowieckie już w granicach Polski. Wystarczy jeszcze zrobić „swoją rząd” i sprawa załatwiona.

Jestem pod wrażeniem wiadomości o tragicznym losie w So-wietach rodziny Korzeniewskich. Niemal wszyscy zginęli w Rosji. Mieczek Korzeniewski należał do najwybitniejszych przedstawicieli poznańskiego ZET'u i był jednym z twórców Związku Obrony Kresów Zachodnich. On mi dawał przyjacielski wiatyk na drogę, gdy w styczniu 1923 po raz pierwszy jechałem do Berlina. Odwiedzał mnie nieraz nad Szprewą. O ile Niemców, jako poznańczyk, znał doskonale, o tyle Rosja była dla niego światem zupełnie nieznanym. Nie chciał go poznawać. Koncentrował swą wiedzę i energię na jednym wrogu.

W czasie naszej ucieczki we wrześniu 1939 roku spotkaliśmy we Lwowie jego żonę. Zawsze pogodna i opanowana robiła wrażenie zupełnie zgubionej. Z niepokojem czekała na męża. Obawiała się czy nie wpadnie w ręce Niemców. Miałem nadzieję, że się go doczekamy. Pewno nakłoniłbym go do wspólnego przekroczenia granicy rumuńskiej. Zjawił się dopiero po naszym wyjeździe. Uniknął śmierci z rąk niemieckich zbirów, aby go zagarnęły zbiry sowieckie. Cholerny świat.

22 marca, środa, około 1-szej w nocy

Mackiewicz spłodził nową broszurę, pt. „19 marca”. Jeszcze jej nie czytałem. Bardzo zachęca do przeczytania. Wczoraj był nalot, a dziś o 9.30 wieczorem znowu biegliśmy we trójkę do podziemnej. Zanim zdążyliśmy dobiec, zaczął się ogień artylerii przeciwlotniczej, a rozgwieżdżone niebo pokryły smugi reflektorów obrony przeciwlotniczej.

23 marca, czwartek, 1-sza w nocy

Przed chwilą wróciliśmy z podziemnej. Ścisk był piekielny. Wielu ludzi już od tygodni opuszcza regularnie co wieczór swe domy i nocuje na peronach i w przejściach kolejki.

Okoliczne towarzystwo polskie stało się bardzo licznie. Pałac papierosy gawędziliśmy o aktualnych tematach. Pułkownik lotnictwa Karpiński rozwijał optymistyczne teorie. Chwała Bogu, że są jeszcze wśród nas optymiści.

25 marca, sobota, wieczorem

I wczoraj nie obyło się bez nalotu. Znowu jestem niewypany. Mackiewicz powtórzył mi proroctwo Koziół-Poklewskiego: „Emigracja nigdy już do Polski nie wróci”. Często tak myślę, ale gdy się głośno o tym mówi, chwytam mnie coś za gardło.

W styczniu udał się do Kraju w charakterze tajnego kuriera rządu Jerzy Lerski. Szczerze tym kurierom zazdroszczę. Mimo swoich czterdziestu kilku lat chętnie wybrałbym się na taką wycieczkę, byle by tylko zobaczyć Kraj. Ale jestem w sferach rządowych „źle notowany”, więc nie ma o czym marzyć! Otóż szczęśliwy Lerski opowiada, że wbrew temu cośmy dotąd myśleli — ludzie pod okupacją materialnie dają sobie nieźle radę, są pełni zapału i wiary w zwycięstwo. Cieszy mnie to, ale obawiam się, by przebudzenie nie było bolesne.

26 marca, niedziela, w nocy

Dziś nagle buchnęło wiosną. Zrobiło się tak pięknie, że zdobyliśmy się na wycieczkę do Kew Gardens. Uroczy park. Wszędzie kwitnące migdały. Odetchnęliśmy parę godzin świeżym powietrzem, zapominając o wszystkim. Byliśmy wyspani, gdyż wczorajsza noc przeszła spokojnie. I dziś spokój. Zaczytałem się opowiadaniem Wańkowicza pt. „Dzieje rodziny Korzeniewskich”.

29 marca, środa, o północy

Dzisiejsze posiedzenie międzyministerialnej Komisji do spraw niemieckich było nudne. Pułkownik Kijak obliczał, że Niemcy mają na froncie rosyjskim 180 dywizji, a w ogóle jeszcze 300. Pewno, że to wielka siła, ale Niemcy to już kolos na mocno przetrąconych nogach. Chyba, że mają rzeczywiście jakieś nieznanne bronie.

Wracając do Komisji — mam jej dosyć. Co miałem do powiedzenia — powiedziałem w roku zeszłym. Żadnych referatów, o które proszą, wygłaszać nie będę.

30 marca, czwartek, 1-sza w nocy

Spotkałem dziś naszego ex-posła w Grecji, Władysława Günthera. Uważa, że Niemcy się walą i że najpóźniej za kilka miesięcy wojna się skończy. Zgadza się z pierwszą częścią wywodów sympatycznego dyplomaty.

3 kwiecień, poniedziałek, po północy

Choć to kwiecień — pogoda na odmianę obrzydliwa. Po angielsku — ponura i dżdżysta. Nie chce mi się nawet paru zdań zapisać. Nie chce mi się słuchać komunikatów radiowych ani o Finlandii, ani nawet o konflikcie chińsko-sowieckim, ani plotek o porozumieniu sowiecko-japońskim.

5 kwietnia, środa, 11.30 w nocy

Podśmiewamy się z kłopotów naszych angielskich gospodarzy. Od czasu do czasu wybuchają strajki. Uprzejmi Anglianie, aby broń Boże, nie urazić swych sowieckich sprzymierzeńców, przypisują je wyłącznie inspiracji... trockistów! Można się uczyć zakłamania! Anglicy udają, choć doskonale wiedzą, że strajki są dziełem licznych w tym kraju agentów sowieckich.

Ciekawe jak długo ta zabawa potrwa. Czasem wydaje mi się, że bardzo długo. Ostatnio Churchill udzielił nam jeszcze jednej lekcji zakłamania. Rozpływał się nad apelem Mołotowa do „uwalnianych” przez wojska sowieckie Rumunów! Należy witać te wojska — pouczał — *with admiration*.

Jutro wyjeżdżamy na parę dni do Horsham, gdzie obecnie rezyduje nasz przyjaciel z Poniewieża, kpt. lotnictwa Zygmunt Grażyński. Bardzo się cieszę. Rozstanie z Londynem — choćby na kilka dni — to wielka przyjemność.

Nie chciało mi się pójść na przemówienie prezesa Stronnictwa Narodowego, Tadeusza Bieleckiego, zwanego popularnie Sobieskim z powodu tuszy i wąsów. Jak się można było spodziewać zapowiadał wzmoczoną działalność Stronnictwa Narodowego, powołując się m.in. na wieści z Kraju. Każde stronnictwo

emigracyjne ma w kieszeni takie wieści, z reguły dla siebie najlepsze.

Wszystkie nasze stronnictwa w Wielkiej Brytanii powołują się na „opinie Kraju”. To jest *à la mode*. Tymczasem — jeśli wierzyć Lerskiemu — Kraj nie lubi dwóch rzeczy: rzewnego rozplywania się nad jego losem i powoływania się przy lada okazji na jego opinię. Zwłaszcza że dochodzą one do Londynu w formie przeinaczonej. Przeważnie są dopasowane do wymagań tych, którzy chcą się na nie powoływać.

Chyba zbliża się inwazja sprzymierzonych na kontynent. Mój znajomy, parę tygodni temu zapowiadał ją na maj.

9 kwietnia, sobota, 1-sza po południu

Od czwartku jesteśmy w Horsham. Spędzamy tu święta Wielkanocne. Uroczą mięscina, jakich w Anglii wiele. Tu urodził się jeden z największych romantyków, Shelley, tu od wieków hoduje się jelenie, tu — może też od niepamiętnych czasów — odpoczywają zacisznie różnego rodzaju emeryci i rentierzy. Gdy się ktoś ośmiela zakłócić to zacisze (na przykład chcąc zbudować fabrykę), zrywają się gorące protesty.

Gospodynie Zygmunta, dwie stare Angielki, bawią nas ploteczkami o dworze królewskim. Nudne to piekielnie. Zygmunt wyłazi ze skóry, aby naszej trójce było najwygodniej i jak najprzyjemniej.

Oddycham od Londynu, od „kotowego” ministerstwa, od roztrzęsionych nerwów rodaków. W Horsham, odległym tylko o kilkanaście mil od morza, nie czuje się wojny. Przypomina ją tylko widok mundurów i sznury ciężarówek ciągnących ku morzu i od morza. Przypuszczamy, że to nieomylny znak zbliżającej się inwazji na kontynent.

Jest błogo, tak błogo, że nawet nie chce się słuchać radia. Zresztą nic nowego się nie dzieje poza takim „drobiazgiem” jak to, że „doblestne” armie batiuszki Stalina dotarły do granic Czechosłowacji. W tym kraju wojska sowieckie mogą liczyć na entuzjastyczne przyjęcie. Szybko odejdą ci, którzy kolaborowali z Hitlerem, a miejsce ich zajmą nowi kolaboranci — komuniści czescy. Poprą ich rusofilskie masy nie znające Rosji. Cóż za przezorny naród ci Czesi! Ale — mimo to — nie chciałbym nigdy polskiej skóry zamienić na czeską.

Po co zresztą zaprzątam sobie głowę nagle Czechami, kiedy tak beztrąsko jest w Horsham. Prawda! Strajki na wyspie mają się ku końcowi. Pewno także z inspiracji... trockistów.

10 kwietnia, niedziela, w południe

Wczoraj po południu mieliśmy trochę słońca. Spacerowaliśmy starymi alejami. Włóczyliśmy się po uliczkach miasta, strojnych w piękne domy i domki. Trudno uwierzyć, że od Horsham do francuskiego portu Dieppe, jest w prostej linii tylko kilkadziesiąt mil.

(c.d.n.)

Tadeusz KATELBACH

W. W. KULSKI

PAMIĘTNIK B. POLSKIEGO DYPLOMATY (DOK.)

Na mnie wypadł pierwszy nocny dyżur wyższych urzędników M.S.Z. w nocy z 1-go na 2-gi września. Noc była spokojna. Niemcy bombardowali tylko w dzień. Około drugiej w nocy odezwał się telefon. Telefonistka oznajmiła, że dzwoni Berlin. Ze zdumieniem odebrałem telefon i usłyszałem znany mi głos Pierwszego Sekretarza polskiej Ambasady w Berlinie. Oświadczył mi, że Rząd niemiecki zażądał od Ambasady zakomunikowania Rządowi polskiemu ważnej decyzji. Nie mniej ni więcej Berlin proponował powstrzymanie się wzajemne od bombardowania miast otwartych. Prawie nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Przecież lotnictwo niemieckie miało ogromną przewagę nad polskim i już niemiłosiernie atakowało bezbronną ludność cywilną. Po odpowiedzi, że podam decyzję polską w najkrótszym czasie, poprosiłem oficera łącznikowego z Naczelnego Dowództwa, który wraz ze mną dyżurował, aby uzyskał zgodę władz wojskowych. Sam poszedłem do mieszkania prywatnego Becków, które znajdowało się w dobudówce do Pałacu Brühlowskiego. Dyżurny sekretarz Becka, młody krewny Michała Łubieńskiego o tymże nazwisku, zastąpił mi drogę, mówiąc że nie należy budzić zmęczonego Ministra. Odpowiedziałem mu, że sprawa była zbyt ważna i nagła, żeby liczyć się ze snem Ministra.

Otworzyłem drzwi do małej sypialenki, gdzie Beck spał sam tak twardym snem że nie mogłem go obudzić. Dla spokoju sumienia odczytałem na głos propozycję niemiecką i uznałem, że chrapanie Becka było znakiem zgody na przyjęcie tej korzystnej dla Polski propozycji. Powróciłem do mego biura, gdzie już czekał pułkownik łącznikowy ze zgodą Naczelnego Dowództwa. Znowu połączyłem się z Berlinem *via* neutralną Litwę i kabel podmorski i przekazałem polskiej Ambasadzie zgodę naszego Rządu.

Zastanawiałem się nad tym tejże nocy, dlaczego Niemcom zależało na ich propozycji? Chyba dlatego, że spodziewali się wypowiedzenia wojny przez Anglię i Francję i obawiali się natychmiastowego bombardowania miast niemieckich. W każdym razie nazajutrz lotnictwo niemieckie dalej bombardowało otwarte miasta polskie, mimo już zawartego porozumienia. Trudno wymagać ode mnie, żebym teraz litował się nad miastami niemieckimi, które w drugiej połowie wojny padły ofiarą bombardowań amerykańskich i angielskich. We wrześniu lotnictwo angielskie i francuskie tylko zrzuciło ulotki nad Niemcami. Brak akcji ze strony tego lotnictwa tłumaczy dlaczego Luftwaffe dalej znęcała się nad bezbronną ludnością cywilną w Polsce.

Pamięć Becka zupełnie zawiodła, kiedy pisał o tym incydencie, internowany w Rumunii, w swoim tak zwanym *Le Dernier Rapport*. Ten pamiętnik ukazał się drukiem w Szwajcarii po jego zgonie. Wzmiankował w tym pamiętniku, że przyjął 3 września (!) ministra holenderskiego i od niego otrzymał propozycję niemiecką. Holandia, jako państwo neutralne, miała sobie powierzona opiekę — zgodnie z prawem międzynarodowym — nad interesami niemieckimi w Polsce. Naprawdę to ów minister holenderski odwiedził mnie w jakieś dwie godziny po wymianie telefonów z Berlinem i podał mi do wiadomości tę samą propozycję niemiecką. Nim zaczął mówić, powiedziałem mu, z czym przychodzi, co go nie mało zdziwiło. Zaraz potem nasze Poselstwo w Hadze przysłało telegram z tąże propozycją niemiecką, który to telegram otworzyłem bez zainteresowania, wiedząc z góry co zawierał. Uderzające z jaką niemiecką wytrwałością Berlin starał się dotrzeć do Warszawy. Beck dowiedział się ode mnie o wydarzeniach tej nocy dopiero ranem następnego dnia.

Piątego września nadeszła wiadomość, że niemieckie dywizje pancerne idą z Prus Wschodnich na Warszawę. Rząd nakazał ewakuację władz centralnych, włącznie z M.S.Z. Beck wezwał wyższych urzędników do swego mieszkania, aby wydać odpowiednie polecenia. Jego żona była obecna. Beck oświadczył nam, że gros personelu wyjedzie z Wice-Ministrem Szembekiem do Nałęczowa, a tak zwany przyboczny sztab Ministra będzie mu

towarzyszyć do Brześcia, gdzie wtedy znajdowało się Naczelne Dowództwo. Tu mogę wtrącić że Beck nieraz przed wojną mówił, że w razie wojny wdzieje mundur pułkownika konnej artylerii, mundur swej ostatniej rangi wojskowej, i weźmie udział w walce. Nie wykonał tego romantycznego planu, zresztą słusznie. Przyszła kolej na wyliczenie tych urzędników, którzy mieli towarzyszyć Ministrowi. Gdy doszło do wyboru Radcy Prawnego Beck zawahał się. Pani Beckowa wyręczyła go, wymieniając Michała Potulickiego. Beck na me zapytanie, co Minister sam zarządzi, potwierdził decyzję żony. Ta decyzja Ministra wydała mi się dziwną, tym bardziej, że nie znalazł czasu od mego powrotu z Londynu, żeby mi podziękować za pomyślny wynik mych rokowań. Miałem więc jechać z grupą Szembeka do Nałęczowa. Zanim się udałem na to zebranie — ostatnie w gmachu M.S.Z., którego niestety rząd powojenny nie odbudował — prosiłem Szembeka, aby zabrał ze sobą moją żonę, na co zgodził się dzięki wstawiennictwu swego sekretarza Janusza Zembruskiego. Kiedy wróciłem z zebrania u Ministra samochód Szembeka już był odjechał. Na szczęście dla mnie członek Ambasady w Budapeszcie, Kazimierz Mycielski, był akurat w Warszawie i zabrał mnie swoim samochodem do Nałęczowa.

Ani wtedy, ani później w Polsce i w 1940 roku we Francji, jakoś nikt nie dbał o moje bezpieczeństwo, choć w Polsce miałem na sumieniu wobec Niemców traktat przymierza z Anglią, a w 1940 roku nie tylko ten traktat, ale także Białą Księgę Polską o przyczynach dyplomatycznych wojny.

Ewakuacja dokumentów M.S.Z. odbywała się chaotycznie. Niektórzy woźni odmawiali pomocy. Moja żona i ja sami dźwigaliśmy ciężkie paki z dokumentami mego Wydziału, które po wielu perypetiach są teraz szczęśliwie u mnie w domu, co mi pomogło w pisaniu niniejszych pamiętników. Pociąg z dokumentami M.S.Z. nie wyjechał na czas i wpadł w ręce niemieckie. Wkrótce potem Berlin zaczął publikować te autentyczne dokumenty.

W Nałęczowie odnalazłem żonę. Jakimś zrządzeniem Opatrzności zawsze jakby cudem odnajdowaliśmy się po przymusowych rozłąkach i w czasie kampanii polskiej w 1939 roku i później w czasie kampanii francuskiej w 1940 roku. Pobyt w Nałęczowie był krótki. Znowu nadeszła wiadomość, że Niemcy są blisko. Trzeba było wyjeżdżać. Ale jak? Samochodów polskich zabrakło. Byliśmy zdani z żoną na własny los, co nie było zabawne, bo Gestapo chętnie by schwytało autora angielskiego przymierza. Wtedy sobie przypomniałem, że może amerykański Ambasador

Drexel-Biddle, który mnie lubił, jeszcze jest w Nałęczowie. Odnaleźliśmy go, i on natychmiast ofiarował nam dwa miejsca w jednym z samochodów Ambasady. Z nim jechaliśmy aż do Krzemieńca, gdzie mieliśmy spotkać personel M.S.Z. z Beckiem na czele. Drogi były bombardowane przez lotników niemieckich. Nad ranem natrafiliśmy w mroku porannym na taką scenę: W rowie leżała ciężarówka, która widocznie zderzyła się z samochodem francuskim, zepchniętym z drogi. Po drugiej stronie szosy było kilka osób. Jedna z nich siedziała wsparta o słup telegraficzny, a druga leżała na ziemi. Żona moja kazała zatrzymać samochód pomimo protestu szofera, który biadał, że znajdujemy się w niebezpiecznym punkcie tuż przy skrzyżowaniu szos. Po wyjściu z samochodu stwierdziliśmy, że lekko ranni byli Radca Ambasady Francuskiej i jego żona. Moja żona, która miała przy sobie walizeczkę z pierwszą pomocą, dała środek uspakajający obu Francuzom i zrobiła im opatrunki. Szczęściem samochód francuski nie był uszkodzony i oboje ranni mogli odjechać jeszcze przed nami. Na wiosnę roku 1940 Ambasador Noël, który nadal pełnił te funkcje przy polskim Rządzie na wygnaniu, zaprosił nas dwoje na lunch. Tenże sam Radca i jego żona byli gośćmi prócz nas obojga. Ona opowiadała o ich przygodach we wrześniu w Polsce i wyraziła wdzięczność tej nieznannej Amerykance, która zajęła się nimi w Polsce. Jakież było jej zdziwienie, kiedy dowiedziała się, że ta „Amerykanka” to była moja żona, która siedziała z nią przy tym samym stole.

W czasie naszej podróży do Krzemieńca niemieckie radio podało wiadomość o zdobyciu Warszawy. Wtedy nie wiedzieliśmy, że była to wiadomość fałszywa. Warszawa broniła się pod kierownictwem Prezydenta Stefana Starzyńskiego prawie do końca września. Starzyński stał się bohaterem narodowym, co nawet obecny rząd polski przyznał po wieloletnim o nim milczeniu.

Po przybyciu do Krzemieńca pierwszym moim zajęciem było znalezienia *locum* dla Ambasady amerykańskiej, co nie było łatwe wobec zjazdu korpusu dyplomatycznego i wielu polskich uciekinierów. Odtąd Ambasador Biddle nazywał mnie „starostą”, prawdopodobnie myśląc, że takie były funkcje starostów w czasie wojny. Sami we dwoje zostaliśmy bezradnie na ulicy tej małej miejsciny. Zbliżył się do nas nieznany nam Żyd, który ofiarował nam gościnę w swym domu. Oddali nam swoją sypialnię, najlepszy pokój w ich domu, a jego żona i ich służąca były dla nas tak współczujące i serdeczne, jakbyśmy byli ich krewnymi. Minister Beck z swym „sztabem” też nadjechał do Krzemieńca z Brześcia, gdzie Niemcy zbombardowali miasto. W tym bombardowaniu Potulicki uciekając zgubił buty i przyjechał w teni-

sówkach. Ja przez to, że nie byłem zaliczony do ścisłego sztabu Ministra, miałem buty. To, co mieliśmy na sobie i plecak z podręcznymi rzeczami było naszym całym majątkiem, bo w pośpiesznej ewakuacji Warszawy nie było już czasu na pójście do domu z M.S.Z., skąd wyjazd miał zaraz nastąpić. Pozostawiliśmy wszystko w mieszkaniu warszawskim, które szczęśliwie uniknęło bombardowania. Mój brat przewiózł wszystko do swej willi na Żoliborzu. W 1944 roku jego willa została spalona przez Niemców wraz z tym, co tam było mojego i brata. Może przedtem zrabowali cenną porcelanę i równie cenne obrazy, które posiadaliśmy w Warszawie.

W Krzemieńcu zaczęło się rodzaj urzędowania w solidnym gmachu Liceum. Spokój trwał kilka dni. Korpus dyplomatyczny, zaalarmowany wiadomością o zbliżających się wojskach niemieckich, wkrótce wyjechał do południo-wschodniej Polski u podnóża Karpat. Na zebraniu korpusu pod gołym niebem nuncjusz papieski najgoręcej namawiał na wyjazd. Może go skłoniło do tego bombardowanie Krzemieńca poprzedniego dnia.

Dwa samoloty niemieckie tego dnia nadleciały nad miasto, zrzuciły bomby i ostrzelały z karabinów maszynowych ludność, która była liczniejsza, niż zwykle, z powodu zjazdu okolicznych chłopów na tygodniowy jarmark. Było sporo rannych, między innymi, Pierwszy Sekretarz Poselstwa Bułgarskiego. Spotkaliśmy go, kiedy go niesiono na noszach. Kilka minut przedtem rozmawiał z moją żoną. Ona pierwsza usłyszała warczenie zbliżających się samolotów i radziła Bułgarowi ukryć się w pobliskim domu, ale on nie uwierzył w jej ostrzeżenie, mówiąc, że słyszy nie samoloty, ale turkot samochodów na szosie. Kiedy go zobaczyłem na noszach, pomyślałem o dziwnym zrzędzeniu losu: on, dyplomata neutralnego kraju, został ranny, a ja, urzędnik kraju wojującego, nawet nie byłem zadraśnięty.

Po bombardowaniu i wyjeździe personelu dyplomatycznego M.S.Z., pozostałem w Krzemieńcu wraz z członkami sprzymierzonych Ambasad angielskiej i francuskiej. Żonę wysłałem z Ambasadą amerykańską wiedząc, że długo nie będę w Krzemieńcu. Ofensywa niemiecka zbliżała się. Sam zamieszkałem z dwoma kolegami, Tadeuszem Gwiazdoskim i Pawłem Morsztynem z Protokołu Dyplomatycznego, w pokoju, który nam ofiarował dyrektor Liceum. Wczesnym rankiem, po jednej nocy tak spędzonej, wszyscy trzej zostaliśmy zbudzeni przez młodego sekretarza Ambasady francuskiej. Powiedział, że trzeba na gwałt budzić Becka, bo Niemcy się zbliżają. Pobiegliśmy do mieszkania Becka w Liceum. Zaraz potem nastąpiła nowa ewakuacja. Jak w Nałęczowie, zostawiono mnie beztrąsko samego. Na szczęście

wiedziałem, że inny mój przyjaciel, jeszcze z czasów genewskich, teraz Ambasador turecki, nie wyjechał. Poszedłem do niego. Ambasador od razu zgodził się zabrać mnie ze sobą do podnóża Karpat, dokąd personel M.S.Z. i korpus dyplomatyczny zdążyli. Tego samego dnia wieczorem dotarliśmy do podnóża Karpat. Ambasador turecki ulokował się w Zaleszczykach, a ja odszukałem M.S.Z. w Kutach. Jest to wieś ukraińska, która wije się zakrętami na przestrzeni dobrych dwóch mil. W jednym końcu tej doliny mieszkał Beck i jego sztab przyboczny. Ja już nie znalazłem tam pomieszczenia. Z moim nieodłącznym plecakiem, jedynym dobytkiem, powędrowałem na przeciwny koniec doliny. Tam na uboczu stał dom Ukraińca murarza, który zgodził się na mój nocleg pod jego dachem. On, jego żona i dorosła córka byli tak gościnni, jak krzemienniacy Żydzi. Ale mimo to pierwszej nocy przed zaśnięciem przypomniałem sobie o mordach Polaków, dokonywanych przed wojną przez terrorystyczną organizację ukraińską i zadałem sobie pytanie, czy dożyję do rana. Nie tylko obudziłem się nazajutrz rano cały i żywy, ale kiedy kilka dni potem opuszczałem ten gościnny dom na wiadomość o zbliżaniu się wojsk sowieckich, wszyscy troje mieli łzy w oczach.

Z Kut któryś z moich kolegów zawiózł mnie na kilka godzin do Zaleszczyk, gdzie zobaczyłem się z żoną, która tam dojechała z Ambasadą amerykańską. Zaleciłem jej nie odłączać się od personelu Ambasady i w razie konieczności przekroczyć z nimi granicę rumuńską. Zdawałem sobie sprawę, że kampania niemiecka była już niedaleka zwycięskiego końca, i że ja też będę musiał uciekać do Rumunii. Oczywiście nie spodziewałem się, że tę część Polski zajmą wkrótce wojska sowieckie. Wróciłem do Kut, gdzie po raz ostatni spotkałem się z Beckiem. Wezwał mnie do siebie, ażeby zapytać, w jaki sposób Naczelnny Wódz, Marszałek Rydz-Śmigły, mógłby przedostać się do Rumunii. Odpowiedziałem, że jeżeli przekroczy granicę w mundurze i ze switą, to Rumuni muszą go internować. Dodałem, że trudno przewidzieć, co by Rumuni zrobili, jeżeli by zjawił się na granicy w cywilnym ubraniu. Wkrótce po naszej rozmowie z Beckiem Rydz-Śmigły został internowany przez Rumunów. Ta rozmowa w dniu 16 września zrobiła na mnie bardzo przykre wrażenie. Wódz Naczelnny już więc myślał o opuszczeniu swych wojsk, które jeszcze walczyły bohatercko z niemieckim najeźdźcą.

Rankiem 17 września powędrowałem z mojej kwatery na drugi koniec Kut, gdzie mieściła się siedziba M.S.Z. Tam panowała panika. Uderzył mnie zwłaszcza zaferowany wygląd naszego referenta od spraw sowieckich, Stanisława Zabieli. Okazało się,

że wojska sowieckie już wchodziły do Polski, strzelając do żołnierzy polskich. Zrozumiałem, że znalazłem się w potrzasku. Nic mi nie pozostało tylko pobiec do domu, gdzie mieszkałem, zabrać mój plecak i pożegnać mych ukraińskich gospodarzy, których gościnności nigdy nie zapomniałem. Skierowałem się do pobliskiej granicznej rzeczki, gdzie przez most waliły już tłumy polskich uciekinierów.

Po przejściu granicy zdumiałem się zobaczywszy moją żonę, która z nieopisaną radością rzuciła mi się w ramiona. Znajdowała się w towarzystwie angielskich i amerykańskich korespondentów prasowych, którzy zabrali ją ze sobą na wiadomość o wejściu wojsk sowieckich. Miała nadzieję, że spotka mnie na granicy; tak się też stało.

Kampania polska dobiegała końca, podczas gdy wojska francuskie stały beczynnym na Linii Maginota. Teraz wiemy z dokumentów niemieckich ogłoszonych po wojnie, że większość niemieckiego wojska i lotnictwa była we wrześniu skoncentrowana w Polsce. Stosunkowo niewielkie siły chroniły Linie Siegfrieda od strony Francji. Jeżeli by Francja uderzyła na Niemcy w pierwszych dniach kampanii polskiej, to jej armia mogłaby wtargnąć do Niemiec, odciągając część wojsk niemieckich od operacji w Polsce. Może by to pomogło Polsce i uratowało Francję od późniejszej klęski w 1940 roku.

Razem z żoną pojechaliśmy do Czerniowiec z jakąś dziennikarką amerykańską, której tylko imię pamiętam. Miała na imię Tamara; może była pochodzenia rosyjskiego. Jeden z dziennikarzy angielskich pożyczył mi z własnej inicjatywy funty angielskie. Polskie złote już nie miały wartości w Rumunii.

Jeszcze na granicy oboje z rozpaczą obserwowaliśmy tłumy polskich uciekinierów i oddziały polskie, które szły na internowanie do Rumunii.

Wieczorem w Czerniowcach poszliśmy do polskiego Konsulatu. Przechodząc przez jeden z pustych pokoi zobaczyliśmy wojewodę poznańskiego Władysława Raczkiewicza w towarzystwie człowieka niskiego wzrostu który — jak się później, już we Francji, dowiedziałem — był jego totumfackim. Nikt wtedy nie przypuszczał, że Raczkiewicz zostanie wkrótce Prezydentem Rzeczypospolitej na wygnaniu.

W Konsulacie odnalazłem pułkownika Seweryna Sokołowskiego, męża zaufania Becka. Zapytałem go, czy nie ma dla mnie poleceń od Ministra. Nie miał. Wobec tego mogłem robić, co chciałem. Przede wszystkim trzeba było się wydostać z Czerniowiec. Udaliśmy się do Ambasadora Biddle'a, który już był

gotów jechać z żoną pociągiem do Bukaresztu. Biddle zaproponował nam, żeby objąć opiekę nad kolumną samochodów amerykańskich, także zdążających do stolicy Rumunii. Pojechalśmy czołowym samochodem, mając za szofera amerykańskiego Polaka, którego wojna zaskoczyła w Krakowie, gdzie był studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nasz ówczesny „szofer” jest obecnie profesorem historii na jednym z Uniwersytetów w Stanach.

Amerykańskie poręczyki powiewały na samochodach. Mimo to policja rumuńska na każdym większym skrzyżowaniu dróg kazała nam skręcać do posterunku policyjnego w pobliskiej wsi czy miasteczku. Rumuni wtedy internowali polskich uciekinierów. Nas uratowała flaga amerykańska. Tylko raz napotkaliśmy na trudności. Oficer policji w czasie pertraktacji ze mną na szczęście nie pytał o moje dokumenty tożsamości, ale nie chciał przepuścić dalej samochodów. Powiedziałem mu w końcu, że narazi swój kraj na zatarg ze Stanami Zjednoczonymi. Na to *dictum* zafrasował się i powiedział, że zadzwoni do Bukaresztu po instrukcje. Prawdopodobnie chodziło mu o łapówkę, która załatwiała sporne kwestie w jego kraju. Moja żona obserwowała nas obu z okna samochodu, który był zaparkowany naprzeciw biura policjanta. Potem opowiedziała mi, że policjant podniósł słuchawkę, co także zrobił jego kolega w sąsiednim pokoju. Po tej symulowanej rozmowie z „Bukaresztem” oficer pozwolił nam odjechać.

Po przybyciu do stolicy Rumunii udaliśmy się do małego hoteliku, gdzie po raz pierwszy od wyjazdu z Warszawy mogliśmy się wykąpać. Byliśmy zdecydowani jechać na Zachód. W tym zamiarze utwierdził nas polski dziennikarz Wrzos, który potwierdził nam, że Rumuni internują wyższych urzędników polskich.

Tu muszę cofnąć się wstecz. Jeszcze w Czerniowcach spotkałem na ulicy sekretarza Ambasady angielskiej w Warszawie, młodego Hankey'a, i poprosiłem go o wize angielskie dla nas obojga. Od razu zgodził się, mając na szczęście pudło z pieczęciami w swym samochodzie. Kilka lat później spotkałem w Londynie jego ojca, słynnego sekretarza gabinetu angielskiego. Kiedy wspomniałem o przysłudze, oddanej nam przez jego syna, powiedział z zadowoleniem, że syn zachował się jak wzorowy urzędnik, bo zrobił to co należało w niezwyklej sytuacji, nie oglądając się na przepisy biurokratyczne.

Mieliśmy zatem w Bukareszcie wize docelowe i nasze paszporty dyplomatyczne, które były jeszcze honorowane nawet we Włoszech, co prawda sprzymierzonych z Niemcami, ale jeszcze neutralnych. Kiedy wzięliśmy pociąg w Bukareszcie, znaleźliśmy się w zatłoczonym przedziale razem z kilku rodakami i z chło-

pami rumuńskimi w kozuchach cuchnących brudem. Jechaliśmy oczywiście trzecią klasą, oszczędzając każdy grosz.

Wydawało się nam, że już nie napotkamy więcej trudności w „sprzymierzonej” Rumunii. Jednak na granicy rumuńsko-jugosłowiańskiej urzędnik celny chciał nas zatrzymać, twierdząc, że nie byliśmy w porządku z walutowymi przepisami rumuńskimi. W końcu powiedziałem mu, że my jesteśmy dziś uciekinierami, a on może nim stać się w dalszym ciągu wojny. To go przekonało i wreszcie wyjechaliśmy z tego kraju łapówek. Nie mieliśmy żadnych trudności w Jugosławii i Włoszech, gdzie pasażerowie — dowiedziawszy się, że jesteśmy uciekinierami z Polski — wyrażali dla nas i dla Polski żywą sympatię. W Trieście, gdzie zaszliśmy do kolejowej restauracji na kawę, kelner na głos wykrzyknął: *Viva Polonia!*

W końcu dotarliśmy do granicy francuskiej i po dwu dniach odpoczynku wzięliśmy pociąg do Paryża. W naszym przedziale trzeciej klasy siedzieli zdrowo podpici żołnierze francuscy, których nogi ciągle nas trącały.

W Paryżu zasięgnąłem języka w Ambasadzie polskiej, gdzie powiedziano mi, że tworzy się nowy rząd polski, na czele którego stanie na pewno generał Władysław Sikorski. Z Ambasady zaszedłem do Hôtel du Danube, żeby tam odwiedzić mego znajomego, profesora Stanisława Strońskiego. Stroński przedstawił mnie generałowi Sikorskiemu, który też mieszkał w tym skromnym hotelu koło St. Germain-des Prés. Generał, kiedy dowiedział się, że mam zamiar kontynuować podróż i dojechać do Londynu, poprosił mnie o skomunikowanie się z dr. Józefem Retingerem, którego znałem z czasów przedwojennych, kiedy odwiedzał Polskę. Wiedziałem o pogłoskach, że jakoby był mężem zaufania angielskiej Intelligence Service. Okazał się również przyjacielem Generała, którego nie odstępował aż do jego śmierci. Sikorski nie był nazbyt ostrożny w swych stosunkach osobistych.

Z Paryża pojechaliśmy z żoną do Londynu, gdzie Ambasador Raczyński przyjął mnie już nie tak serdecznie, jak dawniej kiedy byłem Naczelnikiem Wydziału Prawnego. Teraz byłem tylko jednym z polskich uciekinierów. Zająłem się zbieraniem w Ambasadzie dokumentów polskich, dotyczących przyczyn wojny. Tę pracę później kontynuowałem w Paryżu. Jej wynikiem była polska Biała Księga, opublikowana w językach francuskim i angielskim w marcu 1940 roku. Wstępy do części niemieckiej i sowieckiej są głównie mego pióra.

W końcu października zostałem wezwany przez nowy polski rząd, w szczególności przez Ministra Spraw Zagranicznych, Augusta Zaleskiego, do objęcia stanowiska Radcy Prawnego.

Michał Potulicki był znowu mym zastępcą. Zbiegiem okoliczności obchodziliśmy naszą pierwszą rocznicę ślubu w samolocie angielskim, lecącym z Londynu do Paryża, gdzie miałem objąć me nowe stanowisko. W pewnej chwili samolot wojenny niemiecki ukazał się na horyzoncie, ale nas nie zaatakował.

Wiceministrem Spraw Zagranicznych był wtedy Zygmunt Graliński, działacz Stronnictwa Ludowego, człowiek dość zarozumiały i mało wiedzący o polityce międzynarodowej. Po przesiedleniu się Rządu polskiego do Londynu po katastrofie francuskiej w 1940 roku, Graliński wyjechał w misji do Stanów i zatonął wraz ze statkiem, storpedowanym przez niemiecką łódź podwodną.

Dyrektorem politycznym był Kajetan Morawski, gorliwy katolik, którego ulubioną tezą było, że Polska jest przedmurzem Chrześcijaństwa. Papież Pius XII nie podzielał tej tezy. Późniejszy Ambasador w Waszyngtonie, Jan Ciechanowski, pełnił funkcje Sekretarza Generalnego Ministerstwa. Była to niewątpliwie bardzo inteligentny człowiek z gruntowną znajomością Zachodu.

W czasie naszego pobytu w Paryżu spotkaliśmy kilkakrotnie przedwojennego Ambasadora w Berlinie, Józefa Lipskiego. Miał trudne do zrozumienia poczucie winy, bo przecież, jak każdy Ambasador, wypełniał tylko polecenia rządu. Jednak uważał za swój obowiązek odkupienie tej „winy” przez wstąpienie jako prosty szeregowiec, do formującej się polskiej armii we Francji. Mieszkał wraz z innymi żołnierzami w wilgotnych i zaniedbanych koszarach w Coëtquidan. On to zaproponował mej żonie, aby zajęła się młodym chłopcem z jego kompanii, który, jak inni polscy żołnierze, nie miał nikogo bliskiego we Francji. Odtąd do roku 1945 żona opiekowała się serdecznie we Francji, a później w Anglii grupką żołnierzy z dywizji pancernej, z lotnictwa i oddziałów spadochronowych. Odwiedzaliśmy ich w Coëtquidan, przesyłaliśmy im paczki i pisaliśmy listy, aby im choć w części zastąpić brak ich własnych rodzin. Niektóre jej listy z lat 1939-1945 i odpowiedzi adresatów zostały później zużyte przez Ksawerego Pruszyńskiego w jego książce o tych czasach. Kilku z tych żołnierzy zginęło na froncie francuskim w 1940 roku. Zostali zastąpieni w Anglii przez innych. Teraz mieszkają albo we Francji, albo w Stanach Zjednoczonych.

W latach 1939-1940 mogłem obserwować Francuzów, których ogromna większość nie miała ochoty wojować. Inni przechwalali się, że nie tak jak Polacy, łatwo zwyciężą Niemców. Podzielali opinię Hitlera, który wprawdzie oddał co się należy prostym polskim żołnierzom, ale wyśmiewał się z polskiego Naczelnego Dowództwa i z oficerów. Nie mieliśmy wtedy kontrargumentów

aż do klęski francuskiej, która pokazała naszym oczom pierzchające wojska francuskie. Niemcy łatwo posuwali się w głąb Francji i mieli straty nie większe, niż w Polsce choć wojsko francuskie w 1939 roku było o wiele lepiej uzbrojone niż nasze. Raz usiadłem w paryskiej restauracji przy stole, zajmowanym przez kilku oficerów francuskich. Zobaczywszy wchodzącego młodego pułkownika polskiego (nie wiedzieli, że ja byłem Polakiem) drwiąco zauważyli, że taki młody pułkownik może mieć tę rangę tylko w marnej armii polskiej. Czasami zadawałem sobie w 1940 roku pytanie czy ci francuscy bohaterowie tak samo uciekali z frontu, jak ich koledzy, których obserwowaliśmy w Angers, jak spieszyli na południe, to jest w odwrotnym kierunku od frontu.

We Francji trapiła nas troska o rodzinę w Polsce, okupowanej przez Niemców. Najbardziej obawiałem się o los mego starszego brata, który objął funkcje Prezydenta Warszawy po aresztowaniu Stefana Starzyńskiego, niedługo potem zamordowanego w obozie koncentracyjnym. Być Prezydentem Warszawy podczas okupacji niemieckiej było zajęciem niebezpiecznym zwłaszcza, że mój brat polecał Magistratowi miasta wydawać fałszywe dokumenty tożsamości Polakom i Żydom, bez zwracania uwagi na przekonania polityczne zagrożonych osób. Ileż ludzi zawdzięczało mu życie! Raz był aresztowany przez Gestapo i byłby na pewno zamęczony w obozie koncentracyjnym, gdyby jakiś przyzwoity Niemiec z nadzoru nad miastem nie uratował go w ostatniej chwili. Brat należał do ruchu podziemnego oporu i w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 roku walczył przeciw Niemcom, tak jak i jego czternastoletni syn, obecnie profesor architektury w Waszyngtonie i urbanistyczny doradca Banku Światowego. W czasie Powstania mój brat o mało nie utonął w kanałach którymi przedzierał się z jednej części miasta do innej. Jego zasługi dla ludności Warszawy były przemilczane przez powojenną prasę polską, ponieważ w 1945 roku nie zgodził się przyjąć posady ministra w komunistycznym rządzie. Jego zgon w sierpniu 1976 roku nie zasługiwał nawet na zmianę w prasie polskiej, podczas gdy prasa zachodnia, jak np. *New York Times*, poświęciła mu notatkę pośmiertne.

W grudniu 1939 pojechałem wraz z delegacją polską na ostatnie Zgromadzenie Ligi w Genewie. Na porządku dziennym była sprawa sowieckiej agresji przeciw Finlandii. Poza Rosją tylko Anglia i Francja były wielkimi mocarstwami, członkami Ligi. Te dwa państwa miały wtedy jak najgorsze stosunki z Sowietami, które współpracowały z Niemcami tak w propagandzie,

jak w dostawach różnego rodzaju, które szły do Niemiec jeszcze na kilka godzin przed atakiem niemieckim na Rosję 21 czerwca 1941 roku. Na wniosek Francji i Anglii Rosja została wypędzona z Ligi. Stąd wynikała odraza Moskwy do Genewy i zgoda na umieszczenie Zjednoczonych Narodów w New Yorku, czego rząd sowiecki może teraz żałuje. Genewczycy, przyzwyczajeni do neutralności swego kraju, nigdy nie demonstrowali za lub przeciw nikomu, czego nie da się powiedzieć o ludności New Yorku, gdzie demonstracje nieraz dały się we znaki dyplomatom sowieckim.

W początku 1940 roku towarzyszyłem polskiemu premierowi gen. Sikorskiemu, w czasie jego wizyty u Edwarda Daladier, ówczesnego premiera i Ministra Obrony Narodowej Francji. Daladier, mówił otwarcie o planie francusko-angielskim wysłania wojska na pomoc Finlandii. Na szczęście ten pomysł nie został wykonany. Jak wyglądałyby te dwa mocarstwa, gdyby miały przed sobą front sowiecki w chwili, kiedy zaczęła się w maju 1940 roku zachodnia ofensywa niemiecka?

W maju 1940 roku nadeszła wiadomość o rozpoczęciu się ataku niemieckiego na zachodnim froncie. Myśmy byli już wtedy w Angers, gdzie Rząd polski został przeniesiony z Paryża. Holandia i Belgia zostały dość łatwo zajęte, a wojsko francuskie ponosiło porażkę po porażce. W końcu i Angers zostało zagrożone przez szybko zbliżające się wojsko niemieckie. Trzeba było uciekać. Ja niezależnie od poprzednich „przestępstw” w stosunku do Niemiec, zajmowałem się do ostatniej chwili dozowaniem ewakuacji archiwum M.S.Z. Kiedy zakończyłem tę pracę, spostrzeżliśmy się z żoną, że już nie było żadnego środka lokomocji, który mógłby nas zabrać na południe Francji. Zostaliśmy, jak we wrześniu w Polsce *pour le compte de grands tailleurs*, jak mówią Francuzi. Na szczęście wiedzieliśmy, że niedaleko od Angers wynajmował jakiś zameczek mój przyjaciel Ambasador turecki, który już ratował mnie w Krzemieńcu. W rozmowie telefonicznej od razu zgodził się on zabrać nas ze sobą. Ale jak mieliśmy dojechać do niego, nie mając własnego samochodu? Na szczęście sąsiadem naszym był Belg, garażysta, który był świadkiem, jak moja żona wynosiła strawę uciekinierom holenderskim, belgijskim i północno-francuskim, uciekającym przez Angers, i często zabierała ich do naszego domu przy szosie, aby mogli umyć się i trochę odpocząć przed dalszą wędrówką na południe. Ten garażysta od razu zgodził się zawieźć nas tych kilkanaście mil do siedziby naszego przyjaciela tureckiego. Ale jego dobrym chęciom stał na przeszkodzie brak benzyny. Moja żona zaraz pobiegła do znajomych sklepikarzy. Było to wzrusza-

jące, jak każdy z nich dzielił się z nią bańkami benzyny. Również wzruszające było to, że Belg nie chciał wziąć od nas pieniędzy po dowiezieniu nas do zameczku, gdzie nasz Turek na nas czekał. W czasie kolacji u niego poznaliśmy jego kochankę Arletty, znaną francuską aktorkę filmową. Pragnęliśmy jak najszybciej wyjechać z powodu pogłosek, że mosty na Loarze były podminowane w związku ze spodziewanym przyjściem wojsk niemieckich. Ambasador nie spieszył się i całą noc się pakował. Ostatecznie był Ambasadorem neutralnego kraju, któremu nic nie groziło. Wreszcie wczesnym ranem ruszyliśmy w drogę. Ja z Ambasadorem jego limuzyną, a żona z aktorką Arletty samochodem sportowym. Wkrótce straciliśmy się z oczu. Dopiero już dość daleko na południu aktorka dogoniła nas obu. Znowu połączyliśmy się z żoną. W końcu dojechaliśmy do Libourne niedaleko Bordeaux, gdzie już urzędował ewakuowany rząd francuski. Umieściliśmy Ambasadora w budynku szkolnym, a sami spędziliśmy noc w samochodzie. Następnego ranka jakimś cudem znaleźliśmy w zatłoczonym przez uciekinierów Libourne schronienie... na strychu, gdzie nad naszymi głowami wisały pęczki suszonego czosnku. Od tego czasu nie znoszę tej przyprawy.

Umówiliśmy się z Ambasadorem tureckim, że spotkamy się w jednej z restauracji. Siedliśmy we troje przy dużym stole, zajęтым przez parę francuską. Dowiedzieliśmy się od oficerów polskich, którzy z gen. Sikorskim siedzieli obok w innym pokoju, że sytuacja wojskowa była bardzo niepomyślna. Wojsko francuskie cofało się, a wielu żołnierzy wracało do domów, Dwie polskie dywizje osłaniały odwrót na jednym z odcinków frontu. Jedna z nich biła się do ostatka i, postawiona przed groźbą odcięcia przez Niemców przeszła granicę szwajcarską po wystrzeleniu ostatnich nabojów.

Kiedyśmy siedzieli w restauracji głośnik zaczął nadawać przemówienie Marszałka Pétain, wówczas szefa rządu francuskiego. Podawał rodakom wiadomość o rozpoczęciu rokowań rozejmowych z Niemcami, chociaż Francja mogła dalej walczyć ze swych posiadłości kolonialnych, włącznie z Afryką Północną. Byliśmy zdruzgotani tą wiadomością. Nawet nasz przyjaciel turecki był przygnębiony. Tylko para francuska nie przejmowała się i śpierała się z kelnerem o jakoby źle wypieczone befsztyki. Nasz Turek zaproponował mi, żebym mu towarzyszył do Turcji gdzie, jak mówił, znajdę pracę w ich M.S.Z. Ja jednak poczuwałem się do obowiązku odszukania rządu polskiego i dalej dzielenia z nim losu.

Gen. Sikorski ze swym sztabem wkrótce opuścił Bordeaux na statku angielskim i w Anglii zajął się przewozem wojska

polskiego do tego kraju. Wśród tych ewakuowanych było kilka tysięcy lotników i mechaników, którzy tak cenne oddali usługi Anglii w czasie bitwy powietrznej o Anglię. Nic dziwnego, że w ozdobach w kaplicy poświęconej lotnikom w Westminster Abbey w Londynie widać orły polskie obok herbu angielskiego.

Rząd polski wyjechał śladami gen. Sikorskiego. W Libourne zostali tylko niżsi urzędnicy M.S.Z. Mnie jako najstarszemu rangą wypadło zająć się wizami dla nich, aby umożliwić im ucieczkę przed Niemcami. My z żoną otrzymaliśmy wizy amerykańskie dzięki Ambasadorowi Biddle, który wtedy pełnił funkcję przedstawiciela Stanów wobec rządu francuskiego w zastępstwie Ambasadora Bullitta, który wyjechał do Waszyngtonu z raportem o sytuacji dla Prezydenta Roosevelta. Konsulat amerykański w Bordeaux przypominał wieżę Babel z tłumem różnojęzycznych interesantów, którzy w strachu przed Niemcami błagali o wizy amerykańskie. Wszystkie prawie narodowości europejskie i wszystkie wyznania były przez nich reprezentowane. Biddle i my nie byliśmy w stanie słyszeć się wzajemnie. Ambasador zaproponował nam, żeby zejść na ulicę. Zabrał z sobą młodego urzędnika Departamentu Sprawiedliwości, który był przydzielony do Konsulatu dla pilnowania, żeby wizy były wydawane zgodnie z przepisami. Ten urzędnik na początku robił trudności, ale Ambasador przekonał go argumentem, że nie wolno zostawić na pastwę losu człowieka, który byłby zabity przez Gestapo za układ z Anglią. Ambasador Biddle wyratował nas po raz drugi z niebezpiecznej sytuacji, raz w Polsce, i drugi raz we Francji. Starłem się w małej mierze odwdziżyć w wiele lat potem, kiedy wydawca amerykański zapytał mnie, czy warto wydać jego raporty do Waszyngtonu. Te raporty, odpowiednio skomentowane przez dwu politologów amerykańskich, wyszły drukiem. Są tam wzmianki o mnie.

Mogliśmy po otrzymaniu wiz amerykańskich jechać przez Hiszpanię. Konsulat tego kraju w Bordeaux nie wydawał wiz tranzytowych, jeżeli paszport nie był zaopatrzonej w wizę docelową.

Teraz trzeba było pomyśleć o tych urzędnikach M.S.Z., którzy jeszcze byli w Libourne. Udaliśmy się z żoną do Bordeaux, żeby prosić Konsula portugalskiego o wizy do jego kraju dla kilku tuzinów tych urzędników. Czekaliśmy przed Konsulatem na ulicy, gdzie pilnował porządku policjant francuski. Ledwie uchylono bramę, zrozpaczony tłum zaczął się pchać na klatkę schodową. Moja żona, przyciśnięta do trzeszczącej poręczy schodów, uległa panice i zaczęła rozpaczliwie wołać o pomoc. Ktoś

otworzył drzwi do Konsulatu, który znajdował się na pierwszym piętrze. Widząc, co się dzieje, ów urzędnik Konsulatu wciągnął żonę na górę, a ja przepchałem się łokciami za nią. Stanęliśmy przed Konsulem który — gdy się dowiedział o co nam chodzi — powiedział, że ma najlepsze wspomnienia z Warszawy, gdzie przedtem pełnił funkcje konsularne, i że wszystko dla Polaków gotów jest zrobić. Jakoż dał nam pieczęć konsularną, którą zaczęliśmy stemplować paszporty a on je podpisywał. Zapomniał przy tym, żeby wciągnąć na listę numery i inne dane. Za to dyktator portugalski Salazar wyrzucił go ze służby.

Otrzymanie wiz tranzytowych hiszpańskich teraz poszło gładko. Oddaliśmy paszporty naszym rodakom, z których ci, co jeszcze żyją, może pamiętają komu zawdzięczają wyjazd z Francji.

Teraz mogliśmy ze spokojnym sumieniem wyjechać z Francji. Szczęściem mój kolega, Stanisław Głuski, miał jakiś stary samochód. Z nim ruszyliśmy w kierunku Pirenejów. W Saint-Jeande-Luz żandarmi francuscy zatrzymali nas, wskazując na ścięte drzewa, leżące na szosie od południa. Ostrzegali nas o niebezpieczeństwie, jakoby grożącym z Hiszpanii. Wytłumaczyliśmy im, że nam niebezpieczeństwo grozi od północy. Wobec tego jeden z nich poszedł zapytać komendanta placu, czy ma nas przepuścić. W międzyczasie nasz samochód został otoczony przez rybaczki, które wrzeszczały: „*Vous, les Polonais, vous nous avez trahis!*”. Były złe na Polaków za to, że Francja weszła do wojny w obronie Polski. W końcu żandarm wrócił i wybawił nas z tej wielce nieprzyjemnej sytuacji. Odsunięto belki i droga stała otworem. Tak dojechaliśmy do granicy hiszpańskiej, gdzie czekało już z jedenaście samochodów na przepuszczenie. Kiedy nasz samochód dojechał, młody oficer hiszpański zabronił nam wjazdu mówiąc, że właśnie wybiła godzina dziewiąta wieczorem i granica została zamknięta. Nie pomogły nasze prośby i wskazywanie na groźbę z północy. Oczywiście nie wiedzieliśmy jak szybko wojsko niemieckie dojdzie do Pirenejów. *Nolens volens* musieliśmy przenotować w Hendaye. W nocy wybuchła burza. Słyszeliśmy gromy, które odbijały się długim echem od pobliskich gór. Wydawało się nam, że był to zły omen. Ale nazajutrz spokojnie przejechaliśmy granicę.

W przeciwieństwie do wówczas pro-niemieckich nastrojów Rządu i urzędników hiszpańskich ludność robotnicza i chłopska nie kryła się z sympatią dla uciekinierów z Francji. Zaledwie rok minął od zwycięstwa Franco w wojnie domowej, i znaczna ilość mężczyzn była trzymana w obozach koncentracyjnych za walkę przeciw hiszpańskiemu dyktatorowi. Niedostatek był wielki. W czasie drogi, raz zatrzymaliśmy się przy chacie chłop-

skiej, w której były tylko kobiety i małe dzieci. Weszliśmy. Starsza kobieta, prawdopodobnie babka, gotowała w saganie gruby, żółty groch, codzienną strawę rodziny. Mogła nam ofiarować tylko kilka jaj. Chleba nie mieli. Żona przyniosła im z samochodu torebkę z cukrem wywiezionym z Francji, i wysypała zawartość do rąk starszej kobiety, która ze łzami w oczach zaczęła całować kawałek cukru, mówiąc, że nie widzieli cukru od kilku lat.

Na następnym naszym przystanku w Burgos mogliśmy dostać w kawiarni tylko po małej filiżance czarnej kawy i po równie czarnej małej bułce. Wszędzie widać było nędzę, skutek wojny domowej.

Dotarłszy do Madrytu odwiedziliśmy Poselstwo polskie, gdzie nas ostrzeżono, żeby w miarę możliwości nie spacerować po ulicach i nie mówić po polsku z powodu agentów niemieckich, operujących w porozumieniu z policją hiszpańską. Najrozsądniej było wyjechać z Hiszpanii, co też zrobiliśmy. Przekroczyliśmy w końcu granicę portugalską, która w tym miejscu wydaje się też klimatyczną i topograficzną granicą. Surowy krajobraz hiszpański ustąpił pogodnemu portugalskiemu.

Po przejechaniu kilku kilometrów zatrzymał nas policjant i po obejrzeniu naszych paszportów polecił udać się do komisariatu policji w pobliskim miasteczku. Odżyły w naszej pamięci wspomnienia rumuńskie. Ale nasze obawy okazały się płonne. Komisarz przyjął mnie przyjaźnie. Jak wiadomo, Portugalia miała od wieków przymierze z Anglią i w czasie wojny nie ukrywała sympatii dla sprawy alianckiej. Rozmowa z komisarzem prowadzona przez niego bardzo kurtuazyjnie trwała z pół godziny. W czasie tej rozmowy wskazałem na dużą fotografię jakiegoś węża, która wisiała na ścianie ponad głową komisarza, i z niewinną miną zapytałem, czy była podobizna Salazara, choć wiedziałem, że Salazar był zawsze gładko wygolony. Komisarz zmieształ się, zaprzeczając. Okazało się, że fotografia przedstawiała głównego szefa policji. Komisarz prędko otworzył szufladkę swego biurka i wyciągnął trochę zakurzoną fotografię Salazara, nad którym zaraz rozpląnął się w zachwytach. Pożegnaliśmy się jak dobrzy znajomi.

Po kilkunastu godzinach przyjechaliśmy do pięknej stolicy Portugalii. Na drugi dzień zaszliśmy do polskiego Poselstwa, gdzie zaraz zaszedłem do Karola Dubicza, naszego trochę narwanego Posła. Dubicz oświadczył, że nie ma dla mnie wezwania do Londynu, gdzie już działał nasz Rząd. Wobec tego poszliśmy za radą spotkanych w Lizbonie państwa Kucharzewskich, aby wraz z nimi jechać do Stanów na neutralnym statku greckim.

Spotkany tam Jan Kucharzewski — to znany historyk i były premier w czasie okupacji niemieckiej podczas Pierwszej Wojny Światowej.

Zamówiliśmy kabinę na dwie osoby w agencji portugalskiej. Wobec tego że byliśmy kruczo z pieniędzmi i że nie mieliśmy dolarów (agent żądał 100 dolarów zastawu), zostawiliśmy nasze paszporty, jako swego rodzaju zastaw. Nazajutrz Dubicz, zobaczywszy mnie w korytarzu Poselstwa, zaczął wołać, że od tygodnia leży u niego wezwanie z Londynu, abym tam jechał. Zły na niego, że dzień przedtem powiedział mi coś wręcz przeciwnego, oświadczyłem, że to jego głowa jak teraz wydobyć nasze paszporty z agencji portugalskiej bez zapłacenia 100 dolarów. Dubicz ze spokojem prawdziwie olimpijskim zapewnił mnie, że to bagatela, którą załatwi jego sekretarka przez swego przyjaciela z tajnej policji portugalskiej. Nie wiem co ten przyjaciel powiedział agentowi okrętowemu, ale ten przyjął nas następnego dnia z nieukrywaniem szacunkiem. Oddał natychmiast oba paszporty i z trwogą w głosie zapytał, czy także żądamy od niego 100 dolarów, których nie wpłaciliśmy. Jasne stało się, że tajny policjant zrozumiał, że nie tylko zostawiliśmy paszporty, ale także wpłacili sto dolarów kaucji. Oczywiście uspokoiłiśmy Portugalczyka, że nie odbieramy niewłasnych pieniędzy.

W czasie niedługiego pobytu w Lizbonie odwiedziłem mego znajomego z Genewy, byłego Ministra Spraw Zagranicznych, a wówczas Gubernatora Państwowego Banku Portugalskiego. Zapytałem go o sytuację międzynarodową jaka powstała po klęsce francuskiej. Odpowiedział z wielką pewnością siebie, że Anglicy, jak zawsze realisci, będą wkrótce rokować z Niemcami o pokój. Wydało się to wówczas prawdopodobne, gdyż Anglia stała samotna oko w oko z Niemcami. Rosja jeszcze współpracowała z Niemcami, a Stany Zjednoczone były neutralne. Ta opinia mego znajomego, który *nota-bene*, jak wszyscy Portugalczycy, był nastrojony przyjaźnie dla Anglii, nie podniosła nas na duchu.

Po kilku dniach Poselstwo zawiadomiło nas, że my, grupa naszych kolegów, tj. Michał Potulicki i Paweł Morsztyn oraz Marian Seyda, endecki przywódca polityczny z żoną i synkiem, mamy wypłynąć z Lizbony statkiem angielskim przy zachowaniu jak największej tajemnicy z powodu bliskości podwodnych łodzi niemieckich, operujących w Zatoce Biskajskiej.

Otrzymałszy od Dubicza odpowiednie wskazówki, udaliśmy się wieczorem do portu, gdzie zobaczyliśmy kontury statku bez świateł. Wkrótce po załadowaniu odjechaliśmy na tym małym statku angielskim, który w czasie pokoju kursował tylko po Morzu Irlandzkim. Na statku było wielu uciekinierów różnych narodo-

wości, między innymi, jeden z Rothschildów francuskich ze swym lokajem. Statek ostrożnie manewrował, oddalając się od brzegów i płynął początkowo na zachód, żeby umknąć niemieckim łodziom podwodnym. Choć pogoda była słoneczna, fale mocno rzucały naszym statkiem. Wiele pasażerów zaczęło chorować, Morsztyn był jednym z nich. Dostał w nocy ataku serca i zmarł. Rano zbudziło nas stukanie młotków pod pokładem. To zbijano deski dla biednego Morsztyna. Uczestniczyliśmy w jego pogrzebie morskim. Kapitan odczytał modlitwy. Moja żona przypięła do płótna, w które były owinięte zwłoki, woreczek z garścią polskiej ziemi, zabranej przed ucieczką z kraju. Marynarze spuścili ostrożnie zwłoki do morza, które zamknęło się nad jednym z mych najsympatyczniejszych kolegów.

Pewnego popołudnia zobaczyliśmy wreszcie brzegi Anglii, ale kapitan miał rozkaz płynąć dalej na północ z powodu niemieckiego powietrznego bombardowania portów nad Kanałem La Manche. Nieoczekiwanie zjawił się nad naszymi głowami samolot niemiecki, który zrzucił dwie zapewne małe bomby. Rozbryzgały wodę po obu stronach statku, ale chybiły. Po płynięciu wzdłuż wybrzeży wreszcie dotarliśmy do Gurock, w pobliżu Glasgow, gdzie wylądowaliśmy z ulgą. Stamtąd autobus zabrał nas do Londynu, gdzie rząd emigracyjny właśnie instalował się. W Ambasadzie był nieład ponieważ Stroński ze swym Ministerstwem Informacji zajął kilka pokojów. Dopiero po tygodniu Ambasada wróciła do normy. Polskie urzędy znalazły swe własne pomieszczenia.

Ja zostałem mianowanym Radcą Ambasady z późniejszą promocją na Ministra. Raczyński był nadal Ambasadorem. Na jego biurku poprzednia fotografia Becka była już zastąpiona podobizną gen. Sikorskiego.

Zaczął się mój pobyt w Anglii, który miał trwać do września 1946 roku. Nawiązałem zaraz kontakty z Foreign Office, gdzie znowu spotkałem starych znajomych, jak Sir William Stranga. Zawarłem także znajomość z referentem od spraw polskich, Frank Robertsem, niezwykle sympatycznym i doskonałym dyplomatą, później Radcą Ambasady w Moskwie, a wreszcie pod koniec kariery Ambasadorem w Bonn.

W Anglii mogłem z bliska obserwować działalność Profesora Stanisława Kota. Ten szanowany historyk okresu reformacyjnego w Polsce, a zwłaszcza działalności Arian, był jeszcze we Francji Ministrem Spraw Wewnętrznych i jako taki tępił niemiłosiernie zarówno tam, jak w Anglii, tych rodaków, których uważał za byłych „sanatorów”. On spowodował mianowanie na drugiego Radcę — jako swego szpicla — niejakiego kpt. Szumowskiego,

mało inteligentnego oficera wywiadu. Na szczęście ten kapitan nie długo zagrzeł miejsca w Ambasadzie. Wśród ówczesnych członków Ambasady odnalazłem mego przyjaciela jeszcze z czasów genewskich, Antoniego Balińskiego ze znanej rodziny warszawskiej. Jego brat Jundziłł był przed wojną działaczem w studenckim ruchu międzynarodowym, a brat Stanisław, dobrym poetą.

Uważałem, że do moich obowiązków należały nie tylko kontakty z Foreign Office, ale także nawiązanie stosunków z innymi organizacjami angielskimi. Toteż uczyniłem to głównie w dwu kierunkach. Nawiązałem przyjaźń z Labour Party, z którą wiązały mnie moje postępowe przekonania. Wkrótce miałem przyjaźnie lub znajomości z Arthurem Greenwoodem, Aneurinem Bevanem, Hugh Daltonem, Herbertem Morrisonem i innymi. Drugim mym kontaktem był Kościół Anglikański, gdzie zdobyłem przyjaźń starego kanonika Douglasa, duchownego doradcy Królowej Mary i swego rodzaju Ministra Spraw Zagranicznych swego Kościoła. Miałem odtąd otwarte drzwi do Smith House, siedziby Labour Party i związków zawodowych, oraz do Lambeth Palace, siedziby Arcybiskupa Canterbury, kiedy nim został wielkiej miary kapłan Dr Temple.

Dr Temple był skromnym człowiekiem. Otwierał zwykle sam bramę swego pałacu, nie chcąc trudzić służby. Umarł w 1944 roku w chwili kiedy przygotowywał przemówienie, które zamierzał wygłosić w Izbie Lordów w obronie sprawy polskiej, już wtedy niepopularnej w jego kraju.

Wypaczona umysłowość Kota uwidoczniła się w pełni przy następującej okazji. Choć wiedział, że mogę mu ułatwić kontakty z najwyższymi dostojnikami Kościoła Anglikańskiego, wyszukał jakiegoś pastora w Liverpoolu dla swych kontaktów, co mało mu dało. Kanonik Douglas powiedział mi z uśmiechem, że ten pastor, żydowski konwertyta, nie cieszył się zaufaniem Kościoła, gdyż podejrzewano go o nawrócenie się tylko dla kariery.

Z wyższego duchowieństwa angielskiego Kościoła Katolickiego znałem bliżej tylko Biskupa Londynu Mathieu, który interesował mnie jako dobre źródło informacji politycznych. Po uznaniu przez Rząd angielski nowego rządu warszawskiego, kiedy ja już wycofałem się ze służby, spotkałem biskupa z okazji jego wizytacji podmiejskiej parafii, do której należeliśmy. Po Mszy św. poszedłem do plebanii, żeby mu złożyć uszanowanie. Spotkał mnie na schodach i nie zaprosił do wejścia. Zapytał trochę drwiąco, z czym Polacy teraz wiązali swe nadzieje. Odpowiedziałem mu pobożnym, ale przemyślanym gestem, spoglądając znacząco w niebo. Ten gest zmieszał czcigodnego biskupa, który niedługo potem został wysłany, jako misjonarz, do Abisynii.

Z Winstonem Churchillem nigdy nie rozmawiałem i tylko raz przelotnie zobaczyłem go, kiedy wyprowadzał gen. Sikorskiego na korytarz z jednego z biur Foreign Office, gdy czekałem na Generała. Za to dobrze znałem Anthony Edena jeszcze z mego okresu genewskiego. Jego osoba zawsze przypomina mi zabawną historyjkę. M.S.Z. za czasów Becka należało na zastępowanie obcokrajowców tj. niższej służby na placówkach zagranicznych, przez Polaków. Myśl była zdrowa, bo ileż razy różne Rządy przekonały się, że cudzoziemca łatwiej skaptować do roboty szpiegowskiej. W naszej Stałej Delegacji do Ligi Narodów kompetentny Szwajcar, który pełnił funkcje oddźwiernego i telefonisty, został zastąpiony przez rodaka z Warszawy, który nie rozumiał ani be, ani me z języków obcych. Pewnego dnia, wracając z lunchu, zapytaliśmy go, czy kto nie telefonował. Odpowiedział, że: „Dzwonił taki jeden”. Domyśliłem się, że to był Eden.

Eden w czasie wojny był Sekretarzem Stanu Spraw Zagranicznych, ale *de facto* Churchill był własnym Ministrem Spraw Zagranicznych i sam prowadził ważne pertraktacje międzynarodowe. Eden był jego łącznikiem z Foreign Office. Ten przystojny mężczyzna wyglądał i ubierał się jak typowy urzędnik Foreign Office. Różnił się zupełnie temperamentem od Churchilla. Churchill był nie tylko wybitnym politykiem, ale także świetnym aktorem. Kiedy niby wpadał w pasję w rozmowach z przedstawicielami naszego rządu emigracyjnego — jak to robił nieraz w okresie polsko-sowieckiego zatargu nalegając na przyjęcie Linii Curzona jako granicy z Rosją — to trzeba było tylko przeczekać ten wybuch symulowanego gniewu. Churchill, kiedy spostrzegł się, że jego sroga mina nie wywoływała spodziewanego skutku na upartych Polakach, uspakajał się i zaczynał mówić normalnym tonem. Inaczej było z Edenem, jak to raz przekonałem się naocznie. Eden w czasie wojny odbywał co tydzień zebrania z ministrami spraw zagranicznych europejskich rządów na wygnaniu w Londynie celem poinformowania ich o ostatnich wydarzeniach politycznych i wojskowych. *De facto* udzielał im wiadomości, które oni sami mogli wyczytać w porannej prasie angielskiej. Raz zastąpiłem Raczyńskiego, który wtedy łączył funkcje Ministra Spraw Zagranicznych ze stanowiskiem Ambasadora. Zaczęło się, jak zwykle, od *exposé* Edena po czym nastąpiła dyskusja. Minister jugosłowiański, którego nazwiska nie przypominam sobie, stary i głuchawy człowiek, zaczął nalegać na informację co do polityki angielskiej wobec Tito Broza, wodza lewicowej partyzantki w ich kraju. Już wtedy Londyn miał kontakty z Tito co niepokoiło królewski rząd w Londynie. Eden wybuchnął gniewem, który nie był symulowany. Czerwony na

twarży, coś mówił podnieconym głosem. Dobrze słyszący Jugosłowianin pewno zareplikowałby również gwałtownie. Sytuację uratowała głuchota Jugosłowianina, który nie zdawał sobie sprawy z niezręcznego tonu Edena.

Polacy byli popularni w Anglii w latach 1940-1941 gdyż jedyni z krajów okupowanych w Europie mieli znaczne siły, stacjonujące w Wielkiej Brytanii: wojsko w Szkocji i lotników oraz mechaników, którzy tak wielkie usługi oddawali w walkach powietrznych z Luftwaffe. Po napadzie niemieckim na Rosję, ta ostatnia przystąpiła do Polski w oczach Anglików. My staliśmy się zawadą w dobrych stosunkach z sowieckim *gallant ally*. Rząd angielski stał na stanowisku, że powinniśmy zgodzić się na Linie Curzona, jako na powojenną granicę z Rosją. Churchill gotów był na przesunięcie naszej granicy daleko na zachód kosztem Niemiec, jako kompensaty za straty terytorialne na Wschodzie, podczas gdy Eden — głos Foreign Office — był o wiele mniej wspaniałomyślny. Trzeba przyznać, że Rząd angielski robił co mógł prawie do ostatniej chwili, żeby ratować niepodległość Polski na tak zmienionym terytorium. Łudził się, że Stalin zgodzi się na istnienie niepodległej Polski za cenę Linii Curzona. Szedł za angielską tradycją możliwego osłabienia najsilniejszego sojusznika, który mógł stać się przeciwnikiem po zakończeniu wojny. Dlatego Rząd angielski sprzeciwiał się na Kongresie Wiedeńskim w 1814-15 pozostawieniu pod berłem Aleksandra I-go całego Księstwa Warszawskiego i w końcu doprowadził do tego, że Księstwo zostało okrojone, a część jego przypadła Prusom i Austrii. Teraz prowadził podobną politykę wobec Stalina. Niepodległa Polska miała stać się barierą przeciw zbyt dalekiemu rozciągnięciu na zachód wpływów sowieckich. Ta polityka nie udała się z dwu powodów: po pierwsze, wojska sowieckie zajęły nie tylko całą Polskę, ale także wschodnie Niemcy. Po drugie, Prezydent Roosevelt, wierzący w powojenne harmonijne stosunki z Sowietami, odmówił poparcia polityki angielskiej.

Ponieważ Rząd emigracyjny nie chciał się zgodzić na przyjęcie Linii Curzona, nastąpił zatarg z Rządem angielskim. Prasa angielska, która w czasie wojny słuchała wskazówek swego rządu, otrzymała wolną rękę w krytykowaniu Polaków. W drugiej połowie wojny nagle staliśmy się bardzo niepopularni. Wpłynęło to na krytyczne nastawienie wobec nas przeciętnego Anglika, czytającego gazety.

Mogłem obserwować nastawienie tychże przeciętnych Anglików w latach 1945-46. Wtedy już nowy komunistyczny Rząd w Warszawie naśladował Moskwę w gwałtownej krytyce polityki

angielskiej w Grecji, gdzie wojska angielskie pomagały w walce z komunistami. Znowu Polacy, choć politycznie inni, byli zawadą w polityce angielskiej. Moi znajomi, przeciętni Anglcy, skarżyli mi się, że Polacy zawsze byli *a nuisance*. Tacy czy inni Polacy ciągle bruźdźli w sprawach międzynarodowych.

Kościół anglikański zachował w tych czasach swoją sympatię dla Polaków może pod wpływem Arcybiskupa Templa. W roku 1942, kiedy nasze stosunki z oficjalnymi czynnikami były chłodne, angielska hierarchia zaproponowała nam, żeby odprawić nabożeństwo na intencję Polski w kościele Św. Pawła. Miało to nastąpić drugiego Maja, w przeddzień polskiego święta narodowego. Katolicy biskupi angielscy, kiedy się o tym dowiedzieli, zaprotestowali ostro przeciw uczestnictwu Rządu polskiego w nabożeństwie „heretyckim”. Miałem na ten temat rozmowę z gen. Sikorskim, który nie przestraszył się pogroźek i postanowił, że on i cały Rząd stawia się w St. Paul. Na to biskupi katolicy w odwecie skasowali planowane nabożeństwo 3-go Maja w wielkim kościele Brompton Oratory. Tradycje polskich i angielskich katolików różniły się zasadniczo. Katolicy polscy, będąc przytłaczającą większością w swym kraju, nie pocztywali za obrazę Boga faktu, że przedstawiciele Rządu uczestniczyli w nabożeństwach protestanckich w dzień święta narodowego. Inaczej było z katolikami angielskimi, którzy jeszcze pamiętali prześladowania od Reformacji aż do tzw. emancypacji katolików w pierwszej połowie XIX-go wieku. W rezultacie tego zatargu Rząd polski z gen. Sikorskim na czele stawiał się 2 Maja w St. Paul, a na drugi dzień słuchał nabożeństwa w małym kościółku polskim, w dzielnicy robotniczej. Jeszcze wiele lat musiało upłynąć, żeby się rozpoczął ruch ekumeniczny i stosunki między dwoma kościołami, katolickim i anglikańskim, stały się przyjazne.

Łączyłem w Londynie funkcje Ministra-Radcy Ambasady z innymi czynnościami. Zostałem przez Ministrów Spraw Zagranicznych rządów zachodnio- i wschodnio-europejskich krajów okupowanych mianowany Sekretarzem Generalnym ich komitetu porozumiewawczego, którego zadaniem było ustalanie wspólnej polityki wobec Niemiec. Współpracowałem, między innymi, z Holendrem Van Kleffensem, Belgiem Paul-Henri Spaakiem, Norwegiem Trygve Lie, późniejszym pierwszym Sekretarzem Generalnym Narodów Zjednoczonych, Janem Masarykiem — Ministrem czechosłowackim, Józefem Bechem — Ministrem luxemburskim, i Gustawem Rasmussenem — przedstawicielem duńskiego ruchu oporu. Prace tego komitetu rozwijały się gładko aż do veto sowieckiego, które położyło im kres w 1943 roku.

To samo veto przerwało rokowania polsko-czeskie w sprawie

powojennej federacji obu krajów. Te rokowania zaczęły się od lunchu, który Raczyński i ja mieliśmy 18 września 1940 roku z ludźmi zaufania Benesza, Jurajem Slavikiem i Hubertem Ripką. Siedzieliśmy w domu, należącym do Czechów. Patrząc na popękane okna — skutek bombardowań niemieckich — zadawaliśmy sobie wszyscy czterej to samo pytanie, czy polsko-czeskie kłótnie przedwojenne nie przyczyniły się do tego, że teraz siedzieliśmy na przymusowym wygnaniu w Londynie? Tak zaczęły się rokowania, bo wkrótce po tym śniadaniu Benesz i Rząd polski zgodzili się zacząć rozmowy na temat wspólnej przyszłości obu narodów. Prace różnych komitetów posuwały się naprzód, o czym dobrze wiedziałem, jako Sekretarz Generalny polskiej delegacji. Czesi byli co prawda ostrożni z powodu wyższości liczebnej narodu polskiego, ale nie mam powodu wątpić w ich dobre chęci. Na czele delegacji polskiej stał gen. Sosnkowski, kulturalny, ale zawsze niepewny siebie, kiedy przychodziło do wydania decyzji. Ze strony czeskiej najsympatyczniejszy był Jan Masaryk, który lubił Polaków i władał dobrze naszym językiem, nauczywszy się go jeszcze, kiedy był młodym oficerem austriackim w garnizonie krakowskim.

Nasze rokowania skończyły się fiaskiem, kiedy Czesi przestraszyli się, że będą wciągnięci w spór polsko-sowiecki. Czesi — tradycyjnie szukający opieki u wielkiego brata słowiańskiego — teraz już patrzyli z ufnością w kierunku Moskwy. Zerwanie rokowań z nami zbiegło się z wizytą Benesza w Moskwie, gdzie zawarł przymierze z Rosją. Wiem od jego współpracowników z tych czasów, że mówił — pamiętając jak Francja i Anglia sprzedały Sudety Niemcom w Monachium — że teraz on sam woli wytargować lepszą cenę „sprzedaży”, tj. sojuszu z Sowietami. Nie spotkałem wówczas ani jednego Czecha, który by wątpił w skuteczność sowieckiej polityki Benesza. Ci, którzy byli wtedy w Londynie i których znałem — jeśli jeszcze żyją — może teraz przyznają rację Polakom w ich nieufności do Rosji, po zamachu komunistycznym w 1948 roku i okupacji Czechosłowacji przez wojska sowieckie w roku 1968.

Problem z Sowietami powstał niedługo po napadzie niemieckim na Rosję 21 czerwca 1941. Do tego czasu Moskwa — tak jak Niemcy — trzymała się tezy, że państwo polskie przestało istnieć we wrześniu 1939 roku. Teraz Rosja sowiecka, stawszy się wbrew swej woli sojusznikiem Anglii, musiała szukać jakiegoś *modus vivendi* z polskim Rządem w Londynie. Rozpoczęły się rokowania w Londynie między Ambasadorem Iwanem Majskim i gen. Sikorskim, w których Rząd angielski pośredniczył. Najbliższym doradcą Generała był nie Minister Spraw Zagranicznych

August Zaleski, ale dr Retinger który — podobnie jak Rząd angielski nalegał na ustępliwość wobec Sowietów. W rokowaniach tych uczestniczył Michał Potulicki, zawsze potulny wobec władz wyższych. Ja wiedziałem, że gen. Sikorski w końcu ulegnie presji Retingera i Rządu angielskiego, i wolałem nie mieszać się do negocjacji w tych warunkach. Generał miał zwykły Polakom kompleks niższości wobec Zachodu, czy to Francji, czy to Anglii.

W rokowaniach chodziło o to, jak załatwić spór terytorialny między naszymi krajami, który to spór powstał z chwilą zajęcia przez Sowiety wschodniej Polski. Stalin nie zamierzał się wyrzekać swych zdobyczy, które uzyskał na początku wojny dzięki porozumieniu z Hitlerem. Nawet klęski sowieckich wojsk w bitwach pierwszych miesięcy roku 1941 nie wpływały na niego w sensie większej ustępliwości. Rząd emigracyjny też nie był skłonny do robienia ustępstw terytorialnych. Rząd angielski w końcu wymógł na Sikorskim przyjęcie niejasnej formuły, mocą której Rosja oświadczała, że anuluje układy z Niemcami dotyczące Polski, ale bynajmniej nie dodawała, że będzie szanować przedwojenną całość terytorialną Polski. Spór terytorialny pozostał otwarty, każda strona utrzymała swój punkt widzenia.

Dziś możemy z typową mądrością po fakcie powiedzieć, że jakkolwiek byłby wynik rokowań w 1941 roku, to Stalin i tak w 1945 roku wzięłby Wschodnią Polskę do Linii Curzona. Wtedy trudno to było przewidzieć. Nawet przeciwnie, Polacy w Londynie i w kraju spodziewali się w 1941 roku, że historia powtórzy się, że jak w czasie Pierwszej Wojny Światowej najpierw Niemcy pokonają Rosję, a potem zachodni alianci zwyciężą Niemcy. Nie doceniano potęgi wojskowej Sowietów, patrząc na nią w świetle wojny polsko-sowieckiej 1919-20 roku. Ponadto armia sowiecka nie bardzo spisywała się w bojach 1939-1940 lat z małą, ale dzielną armią fińską. Niezałatwiony spór terytorialny z Rosją później ciążył na stosunkach z Moskwą. Rząd sowiecki zaczął wkrótce kwestionować prawo polskiej Ambasady w Moskwie do opiekania się najpierw obywatelami polskimi pochodzenia niepolskiego, a potem także i tymi rodowitymi Polakami, którzy pochodzili ze wschodniej Polski, uważając ich za obywateli sowieckich z racji aneksji w 1939 roku. Wzajemne stosunki zaogniały się z każdym miesiącem. Zresztą Stalin po zwycięstwach w latach 1942-1943 myślał już o czymś więcej niż Linia Curzona. Już zaczął dawać dowody, że myśli o stworzeniu powolnego sobie rządu, złożonego z komunistów, przebywających w Rosji.

Rok 1943 przyniósł mu okazję zerwania stosunków z Rządem londyńskim. Radio niemieckie podało w kwietniu 1943 roku, że ich wojsko odkryło masowe groby tysięcy pomordowanych

oficerów polskich. Było jasne, że uczyniło to N.K.W.D., pewno wkrótce po zajęciu we wrześniu 1939 roku wschodniej Polski. Rząd polski w Londynie nie mógł pozostać bierny i zwrócił się do Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża z prośbą o zbadanie sprawy. Foreign Office, który odwiedziłem w tej sprawie, powiedział że nie ma wątpliwości kto pomordował oficerów, ale właśnie dlatego radził nic nie robić, żeby nie drażnić Sowietów. Pomyślałem, czy Rząd angielski też byłby bierny, jeżeli by to byli oficerowie angielscy. Stalin odpowiedział na polskie zwrócenie się do Czerwonego Krzyża zerwaniem stosunków z naszym rządem londyńskim. Jestem przekonany, że zrobiliby to także pod jakimś innym pozorem. Odtąd spór polsko-sowiecki już nie tylko dotyczył granic, ale przede wszystkim tego, jaki rząd ma objąć władzę w Polsce — stalinowski czy londyński.

W lipcu tegoż 1943 roku gen. Sikorski zginął w tajemniczych okolicznościach w katastrofie samolotowej u samych wybrzeży Gibraltaru, dobrze strzeżonego i gdzie ani przedtem, ani potem taka tragedia nigdy się nie zdarzyła. W każdym razie zniknął ze sceny człowiek, który cieszył się wielką osobistą popularnością zarówno w Anglii, jak w Stanach Zjednoczonych. Stanisław Mikołajczyk zastąpił go na stanowisku Premiera, a gen. Sosnkowski — Naczelnego Wodza. Ani jeden, ani drugi nie cieszyli się taką międzynarodową reputacją, jaką miał gen. Sikorski.

Sikorski był gorącym patriotą. Nie potrafił jednak sobie dobrać doradców, jak o tym świadczy jego zaufanie do dr. Retingera. Był to z gruntu człowiek ze złotym sercem. Komuś zawadzał w czasie ostrego zatargu polsko-sowieckiego, który odbijał się ujemnie na stosunkach między Londynem i Moskwą. Jego głos ważył w stosunkach międzynarodowych, i żaden inny Polak nie mógł tej samej roli odgrywać. Los zaoszczędził mu usłyszenia w następnym roku rozpaczliwego wołania o pomoc Warszawy, walczącej przeciw niemieckim okupantom. Przez te dwa i pół miesiąca oboje z żoną drżeliśmy o los naszej rodziny. Później dowiedzieliśmy się, że wszyscy ocaleli. Tylko po stłumieniu Powstania Niemcy spalili willę brata na Żoliborzu, tak jak prawie wszystkie zabudowania na lewym brzegu Wisły. Moje rodzinne miasto leżało w ruinach.

Mój pobyt w Londynie miał prawie nieprzerwany akompaniament bombardowań niemieckich. Zaczęło się to dziennym bombardowaniem w kilka tygodni po naszym przybyciu z Portugalii. Potem przyszło nocne bombardowanie, którego intensywność skończyła się w maju 1941 roku. Hitler wtedy szykował się do ataku na Rosję. W 1944 roku atak bombowy na Anglię

został wznowiony na wielką skalę. Niemcy wypuszczali nowe pociski: V 1 i V 2.

Jeżeli byłbym przesądny, to uwierzyłbym w przeznaczenie. Kilka razy uniknąłem śmierci jakby cudem. Raz późnym popołudniem w 1940 roku brałem udział w jakimś zebraniu w domu, położonym prawie obok gmachu Ambasady i wynajętym przez polskie władze. Kiedy wyszedłem z zebrania był już wieczór i bombardowanie zaczęło się na dobre. Nazajutrz idąc do Ambasady zobaczyłem, że dom, w którym byłem poprzedniego wieczora, był już tylko wielką kupą gruzów. Bomba uderzyła weń w godzinę po zakończeniu zebrania. Innym razem, kiedyśmy spędzali nocę we wsi, położonej o kilkanaście mil od Londynu aby móc spokojnie spać, samoloty niemieckie nadleciały i rzuciły bomby, prawdopodobnie przez pomyłkę, sądząc że bombardują pobliskie przemysłowe miasto. Na szczęście bomby spadły w polu. Kilka wybuchło niedaleko pięknego normandzkiego kościoła, który stracił tylko szyby. Wreszcie trzecim razem w 1944 roku wzięłem taksówkę po lunchu w mym klubie St. James na ulicy Picadilly. Kiedy ruszyliśmy w kierunku Knightsbridge, gdzie zamierzałem załatwić jakiś sprawunek, usłyszeliśmy nad głowami warkot V 1, tego samolotu niepilotowanego z dużym ładunkiem materiału eksplozującego, który wybuchł po spadnięciu V 1 na ziemię. Przy tym akompaniamencie dojechalśmy do celu. Wysiadłem i chciałem płacić, ale szofer taksówki radził natychmiast skryć się w sklepie. Gdy tam wbiegliśmy, zobaczyliśmy zarówno ekspedientki jak klientki skulone na podłodze w obawie poranienia odłamkami szkła. W tym momencie nastąpił wybuch. Kiedyśmy z szoferem wyszli na ulicę, zobaczyliśmy, że na miejscu, gdzie stałem przed kilku chwilami, leżała kupa szkła z wybitych okien wystawowych.

Muszę tu wspomnieć w przelocie że, o dziwo, tylko raz zostałem zaatakowany w Radzie Narodowej — tym małym reprezentacyjnym parlamencie emigracyjnym, wśród którego nie było znanych przedwojennych przywódców partyjnych. Jeden z członków Rady, którego nazwiska zapomniałem, skrytykował mnie za to że — jak powiedział — za dużo czytam! Pewnie to oskarżenie łączyło się z tym, że w Londynie pracowałem nad dwoma kolejnymi książkami na tematy niemieckie: *Thus Spake Germany*, wydanej w 1941 roku i *Germany from Defeat to Conquest*, opublikowanej w 1945 roku. Ów Radca Narodowy uważał może, że czytanie książek było niepotrzebnym luksusem.

W czasach genewskich jednym z mych przyjaciół wśród dziennikarzy był Amerykanin Frederick Kuh, korespondent jed-

nego z dzienników chicagowskich. Był on zawsze świetnie poinformowany. Spotkaliśmy się znowu w Londynie. Od niego dowiedziałem się o decyzjach, dotyczących Polski, powziętych przez Stany Zjednoczone, Anglię i Rosję na Konferencji w Teheranie. Polska granica wschodnia miała biec wzdłuż Linii Curzona. Rodacy z początku nie chcieli mi uwierzyć. Ja zaś poszedłem wprost do Williama Stranga i wręcz zapytałem go, czy moja informacja była prawdziwa, w co zresztą nie wątpiłem. Strang został postawiony przeze mnie w niemożliwą sytuację. Jako urzędnik Foreign Office wiedział, że teherańska decyzja była jeszcze tajemnicą państwową. Zaczerwienił się i zaprzeczył. To mi przypomniało wydarzenie z 1932 roku w czasie konferencji w Lausanne, gdzie Anglia, Francja, Włochy i Niemcy obradowały nad kwestią odszkodowań niemieckich za szkody, wyrządzone w czasie Pierwszej Wojny Światowej. Rozeszły się pogłoski, że te cztery państwa negocjowały równocześnie tzw. Pakt Czterech, na mocy którego utworzyłyby dyktoriał nad Europą z prawem zmieniania granic. Oczywiście chodziło o granice polsko-niemieckie. Po usłyszeniu tych pogłosek ówczesny Radca polskiej Ambasady w Paryżu, Anatol Mühlstein, zagabnął wyższego urzędnika francuskiego M.S.Z., czy była jakaś prawda w tych pogłoskach, *nota-bene* mając we własnej kieszeni tekst projektu Paktu Czterech. Francuz odpowiedział: *Oh, non, ma parole d'honneur!* Strang nie dodał do swego zaprzeczenia, że daje mi słowo honoru, co zresztą nie było zwyczajem angielskim.

Po konferencji trzech mocarstw w Jałcie w lutym 1945 roku stało się jasne, że mający się tworzyć pod egidą tychże trzech mocarstw nowy rząd polski, będzie opanowany przez polskich komunistów. Ówczesny polski Premier w Londynie, Tomasz Arciszewski, był ignorowany przez Rządy angielski i amerykański. Jego poprzednik — Mikołajczyk — skłaniał się do przyjęcia Linii Curzona i do wejścia do nowego rządu, mając nadzieję, że będzie miał wpływ na łagodzenie polityki rządu koalicyjnego i wiedząc, że ogromna większość ludności polskiej była wroga komunistom. Po powrocie do Warszawy, jako wicepremier nowego rządu uznanego przez trzy mocarstwa, przekonał się w niedługim czasie, że poparcie przez ludność polską nie przeważało szali na jego stronę. Wojsko sowieckie stało na drugiej szali. Musiał uciekać z Polski, rozgoryczony na Anglików, którzy swą presją skłonili go do wzięcia udziału w rządzie i do powrotu do Polski.

Po Konferencji Jałtańskiej każdy Polak w Londynie musiał powziąć osobistą decyzję: albo wrócić do Polski, albo pozostać

na Zachodzie jako emigrant polityczny, albo wreszcie wycofać się z polityki i szukać zarobku w jakimś kraju zachodnim. Pewnego dnia odwiedził mnie mój dobry znajomy i zapytał: „Co robić?”. Odpowiedziałem mu, że są trzy możliwości przed nami. Jedną był powrót do Polski, do której trzeba jechać pod flagą zwycięskiej partii komunistycznej, bo mając inne poglądy lepiej rzucić się do Tamizy niż wracać. Drugie rozwiązanie to stanie się emigrantem politycznym. To odradzałem memu rodakowi, pamiętając o smutnym losie międzywojennych emigrantów rosyjskich, ukraińskich i gruzińskich, których znałem osobiście. Zyli w przeszłości. Odmawiali włączenia się do obcego społeczeństwa, wśród którego mieszkali, uważając że przecież w niedługim czasie wrócą do rodzinnego kraju. Skutkiem tego bytowania w nierealnym świecie stopniowo stawali się dziwakami, podczas gdy kraj, do którego chcieli powrócić w nieokreślonej przyszłości, zmieniał się codziennie i już nie był tym, którego obraz pozostał w ich pamięci. Trzecim moim rozwiązaniem było osiedlenie się w Stanach Zjednoczonych lub innym zamorskim kraju i rozpoczęcie życia *ab ovo*. Osobiście wybrałem już to trzecie rozwiązanie, podczas gdy mój rozmówca wolał wrócić do kraju, gdzie dzięki swej dużej zręczności politycznej zrobił dużą karierę dyplomatyczną. Kiedy go spotkałem po wielu latach z okazji wizyty w Warszawie powiedział mi: „Dziękuję” — myśląc o tej naszej rozmowie w 1945 roku w Londynie.

Tymczasem Anglicy wywierali wielki nacisk na Polaków, aby wracali do Polski. Po pierwsze, chcieli się pozbyć ich z Wyspy. Po wtóre, przypuszczali całkiem nierealistycznie, że ci powracający Polacy będą ostoją ich wpływów w Polsce, czego by oczywiście Rosja nie tolerowała. Iluż takich powracających Polaków wymordowano w okresie stalinowskim. Tenże mój rodak, z którym rozmawiałem w 1945 roku w Londynie, powiedział mi w czasie wizyty u niego w Warszawie na początku lat siedemdziesiątych: „Pan zginąłby w okresie terroru stalinowskiego”.

Ja też byłem przedmiotem nacisku angielskiego. Wkrótce po opuszczeniu Ambasady w początkach lipca 1945 roku, gdzie instalowało się nowe przedstawicielstwo rządu warszawskiego, zostałem zaproszony niespodziewanie na lunch przez wysokiego urzędnika Foreign Office, który nie był jednym z mych osobistych przyjaciół. Przy czarnej kawie mój gospodarz zaczął ubolewać, że tylu zdolnych Polaków odmawia powrotu. Zrozumiałem, że w danym wypadku chodzi o mnie. Od razu odpowiedziałem, że w razie mego powrotu być może nowy rząd polski chciałby mianować mnie referentem w M.S.Z. od spraw angielskich. Albo

musiałbym pracować na szkodę Anglii, czego nie chciałybym robić z uwagi na mą sympatię dla tego kraju, albo odmówiłbym takiej roboty i poniósłbym konsekwencje. Ale dlaczego miałbym przypłacić życiem sympatię dla *His Majesty*, nie będąc poddanym Jego Królewskiej Mości? Na to *dictum* mój rozmówca przestał rozmawiać na ten temat.

Presja na tym nie skończyła się. Home Office przez prawie rok odmawiał pod różnymi pozorami wydania nam obojgu dokumentów tożsamości, bez których nie mogliśmy otrzymać czekających dla nas wiz amerykańskich. Ambasada amerykańska w Londynie już nie honorowała ważności polskich paszportów dyplomatycznych, które oboje posiadaliśmy. *Treasury* odmawiała mi pozwolenia na wywiezienie kilku tysięcy dolarów własnych oszczędności, choć ta skromna suma była niższa od maksimum dozwolonego dla emigrantów angielskich czy obcych. Była to nieprawna odmowa. Poszedłem po pomoc do Raczyńskiego, który wtedy pełnił funkcje szefa polskiego biura likwidacyjnego, działającego pod nadzorem angielskim. Miał on obowiązek opiekowania się rodakami, którzy mieszkali w Anglii. Raczyński odmówił pomocy, mówiąc, że ja sam doskonale sobie dam radę. Jego niechęć do mnie odbiła się — jak wspomniałem — w jego pamiętnikach w języku polskim, które opublikował w kilka lat potem. Niedomówieniami pozwalał rodakom domyślać się, że jakoby miałem konszachty w 1945 roku z agentami rządu warszawskiego, choć nie miał na to żadnego dowodu i nie mógł go mieć. Ja już wycofałem się z polskiego życia politycznego i myślałem tylko o wyjeździe do Stanów. Po tak stanowczej odmowie przez Raczyńskiego zwróciłem się do mych przyjaciół z Labour Party, którzy byli oburzeni na takie zachowanie się *Treasury*. W kilka dni później *Treasury* udzieliła pozwolenia, tłumacząc poprzednią odmowę „nieporozumieniem!”. Natomiast Foreign Office zachował swój przyjazny stosunek do mnie. W owym czasie było niezmiernie trudno otrzymać miejsce na statkach angielskich, które nadal, jak w czasie wojny, pozostawały pod kontrolą rządową. Foreign Office przydzielał miejsca dla obcych dyplomatów. Chociaż wtedy byłem już zwykłym prywatnym człowiekiem, Foreign Office zarezerwował dla nas obojga dwa miejsca na *Queen Mary*, która miała odpłynąć z kilku tysiącami żon byłych żołnierzy kanadyjskich z różnych krajów zachodnioeuropejskich. Odpłynęliśmy i po jakimś czasie najpierw zatrzymaliśmy się w Halifax, gdzie żony Kanadyjczyków wysiadły, a w końcu zobaczyliśmy New York. Byliśmy u celu. W rok później rozpocząłem nową karierę profesora nauk politycznych na uniwersytetach amerykańskich. Zacząłem też publikować książ-

ki, które ustaliły mą reputację. Mamy wielki dług wdzięczności wobec Stanów Zjednoczonych, gdzie oboje znaleźliśmy przytułek i możność pracy.

W. W. KULSKI

Wojciech KRZYŻANOWSKI

LATA BUKARESZTEŃSKIE (3)

Pierwsze dni

Następnego dnia po osiągnięciu Bukaresztu — a był to poniedziałek, 4 września — niepomny rad Talleyranda (*surtout pas faire du zèle*) zgłosiłem się już o ósmej rano do ambasady, licząc trochę na to, że moi przełożeni i koledzy nie będą jeszcze obecni i spokojnie będę mógł się rozejrzeć wśród mojego nowego (na jak długo?) miejsca pracy. Okazało się jednak, że oboje ambasadorostwo są już ubrani i „proszą na górę”. Drzwi ich mieszkania otworzyła mi ambasadorowa (Helena z Rohozińskich), wysoka, szczupła, przystojna pani, bardzo spokojna i opanowana.

Roger Raczyński, którego zobaczyłem po raz pierwszy w życiu, powitał mnie życzliwie; dowiedziawszy się, żeśmy przyjechali do Bukaresztu zaledwie poprzedniego dnia późnym wieczorem i że zatrzymaliśmy się na razie w hotelu, zwolnił mnie na cały dzień, abym mógł przede wszystkim znaleźć dla nas dach nad głową.

Los nam sprzyjał, bowiem już tego samego dnia żona dowiedziała się od konsulowej Mikuckiej, że dwa kroki od konsulatu, na tej samej ulicy (Strada Polona), wdowa (Rumunka) zgłosiła w swoim domu niewielkie umeblowane mieszkanie do wynajęcia za godziwą cenę. Wdowa i jej córka (jeszcze uczenica) okazały się bardzo miłe i mieszkanie zachowaliśmy do końca naszego pobytu w Bukareszcie.

Wtorek, 5 września, był moim pierwszym dniem pracy. Okazało się, że — z nielicznymi wyjątkami, jak np. sekretarz Narzym-

* Ludzie dobrej woli o zarazem uważni czytelnicy *Zeszytów Historycznych* zwrócili uwagę autora na błąd, jaki zakradł się na stronie 193 nr. 38-go *Zeszytów Historycznych*. Oczywiście, Chałupczyńskiemu było na imię Mieczysław. Autor sumituje się.

ski, z którym mam dzielić pokój przy wejściu do głównego budynku — cały zespół pracowników ambasady znam z dawnych lat, co również bardzo ułatwiło mi stawianie pierwszych kroków. Ambasador zapowiedział audiencję „prezentacyjną” u króla Karola przy okazji „roboczej” — jak się wyraził — rozmowy z królem, i zaprosił mnie na podwieczorek do siebie („będzie u nas francuski attaché lotniczy prosto z Warszawy, na pewno jego relacja Pana zainteresuje”).

Attaché lotniczy, młody, ciemnowłosy, bardzo szczupły Francuz, jest po cywilnemu, robi wrażenie studenta. Opowiada spokojnie, bez śladu emocji, co czyni jego beznamiętną relację — pierwszą relacją naocznego świadka, z jaką się stykam — jeszcze bardziej przerażającą:

„... wojna jest już przegrana, została przegrana od razu pierwszego dnia, różnice sił zbyt wielkie. Polskie lotnictwo zostało od razu zniszczone, obrona przeciwlotnicza niewystarczająca, nad polskim niebem panuje *Luftwaffe*. Nieliczne uratowane samoloty ukrywa się poza lotniskami, maskuje gałęziami. Polskie myśliwce są wolniejsze od niemieckich bombowców. Wobec niemieckich czołgów Polacy są bezbronni: nie mają ani zapór przeciwczołgowych, ani broni przeciwpancernej. Wojna polega na tragicznym wyścigu w głąb kraju, Polacy na piechotę, Niemcy samochodami. Dowództwo jest bezradne, widać że nie ma żadnej koncepcji, łączność rwie się. W kraju zamieszanie, wzrastające tłumy uchodźców tamują ruchy wojsk.

Z ł o t o

W poniedziałek, 11 września, zostaliśmy obaj po kolei wezwani do ambasadora, Narzyski kilka minut przede mną. W gabinecie zastałem Ponińskiego jako trzeciego; wszyscy mieli bardzo poważne miny.

„Chcemy Pana obarczyć misją, zaczął Raczyński, chodzi o zorganizowanie przejazdu naszego złota przez Rumunię, od Śniatynia do Konstancy, skąd złoto zabierze angielski statek. Pan zna dobrze pogranicze, dostanie Pan samolot — Rumuni dadzą Panu samolot wojskowy — dziś popołudniu odleci Pan do Czerniowiec, wieczorem będzie Pan mógł być w Śniatyniu, punkt zborny w starostwie. W razie trudności niech Pan telefonuje do mnie o każdej porze, nie będę opuszczał ambasady do Pana powrotu”.

Przejęty otrzymanym zadaniem, wyszedłem z gabinetu razem z Narzyskim, który za drzwiami nagle zwrócił się do mnie:

„Niech Pan będzie zupełnie spokojny, w razie czego (sic!) zao-
piekujemy się Pana żoną”. Byłem zupełnie spokojny, ale właśnie
dająca wiele do myślenia przemowa Narzyskiego zaniepokoiła
mnie. Wydawało mi się, że zadanie jest ważne i poważne, ale
chyba nie niebezpieczne?

Tak mi się wydawało, a jednak tej tak pozornie niegroźnie
wyglądającej wyprawy o mało nie przypłaciłem życiem.



Samolot jest dwuśmigłowcem, w maleńkiej kabinie zajmuje
miejsce za plecami pilota. Huk silników ogłusza. Lecimy niecałe
dwie godziny.

Na lotnisku w Czerniowcach czeka już na mnie konsul
Buynowski z samochodem, około ósmej wieczorem przekraczamy
granicę w Śniatyniu - Załucze. Jestem w Polsce ostatni raz, może
ostatni raz w życiu.

Na granicy zupełnie spokojnie, tak samo w samym miasteczku.
Jedynie zaciemnienie zdradza wojnę.

W pół godziny później jestem w pokoju starosty, dowiaduje
się, że transport został przywieziony autobusami, stoi niedaleko,
kierownikiem jest znany publicysta polityczny Ignacy Matuszew-
ski („bardzo zdenerwowany”, powiada starosta), zastąpi go
Floyar-Rajchman, były minister przemysłu i handlu. Na moją
uwagę, że na granicy jest tak spokojnie, starosta wyjaśnia, że
uchodźcy kierują się przeważnie na Zaleszczyki.

Zawsze marzyłem, żeby przynajmniej zobaczyć Halinę Ko-
nopką — żonę Ignacego Matuszewskiego — i choć kilka słów
z nią zamienić; moje marzenia miały się niedługo urzeczywistnić,
choć tylko częściowo i inaczej, aniżeli sobie wyobrażałem.

Usiedliśmy w czwórce przy herbacie u starosty. Chciałem od
razu przystąpić do omawiania spraw zasadniczych, wydawało mi
się, że każda minuta jest droga. Tymczasem Floyar-Rajchman,
który wyglądał na nieludzko zmęczonego, nie reagował na nasze
pytania. W pół siedząc, w pół leżąc, ustawicznie wracał do wspo-
mnień, wreszcie zaczął się rozwodzić nad antysemityzmem, któ-
rego miał być szczególną ofiarą. Krążył ustawicznie dookoła
jednego epizodu — na jakąś wystawę (techniczną?) przybył do
Krakowa Prezydent Mościcki. Witali go na dworcu: on sam,
Rajchman, jako minister przemysłu i handlu; dowódca D.O.K.
Kraków, generał Bernard Mond i prezydent miasta Krakowa
o nieco sztucznie brzmiącym nazwisku, kończącym się jednak na
„ski”. To, że głowę państwa witało trzech dygnitarzy żydow-
skiego pochodzenia dało asumpt prasie endeckiej (tak ciągle wy-

wodził Rajchman) do „niewybrednej” nagonki, że niby „do czego już w Polsce doszło”.

Nie sporo nam było ucinąć te wynurzenia, inaczej mogliśmy byli zostać w jego oczach współuczestnikami owej kampanii. Ale płynęła godzina za godziną i wreszcie wszystko, co można było z Rajchmana wydobyć, to lista autobusów i towarzyszących im osób. Potrafiliśmy jednak uzgodnić z nim godzinę, o której następnego wieczoru autobusy miały osiągnąć przez Śniatyń-Załużce rumuński punkt graniczny „Grigore Ghica Voda”, — i trasę przejazdu przez Rumunię do portu w Konstancy.

Po kilku godzinach snu w konsulacie, niemal jeszcze o świcie, znowu byłem na lotnisku czerniowieckim. Pilot przygotował maszynę do startu. Ale zaledwie oderwaliśmy się od ziemi, zauważyłem kłęby czarnego dymu, wydobywające się z prawego silnika. Trącam pilota, reaguje od razu i przytomnie, zataczając łuk *w lewo*, natychmiast lądujemy na skraju lotniska, pilot coś krzyczy, czego nie rozumiem, wyskakujemy z maszyny, pędzimy do zbawczej tylnej ściany jakiegoś budynku, mam tyle przytomności umysłu, że padam na zdrowe ramię (lewe ciągle w gipsie i na temblaku), czekamy na wybuch. Ale już słychać syrenę straży pożarnej — ogień ugaszono, nim płomień zdołały ogarnąć zbiorniki z benzyną.

Po godzinie był gotów inny samolot, już z innym pilotem. Z duszą na ramieniu, mocno nadrabiając miną szczęśliwie osiągnąłem Bukareszt około południa. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych uzgodniłem z wiceministrem Vântu szczegóły przejazdu transportu. Następnego dnia telefon od sekretarza Vântu, że transport osiągnął Konstancę i że właśnie się przeładowuje. Zaraz potem ponowne wezwanie do Raczyńskiego, u którego zastałem zastępcę attaché wojskowego, majora Mariana Zimnala. Ambasador wręczył mi w zamkniętej kopercie „szczególnie poufny list” do kapitana statku. „List odda Pan kapitanowi do rąk własnych, ze względu na ważność sprawy dostaje Pan ochronę wojskową w osobie majora!”.

Pociągiem do Konstancy; jesteśmy w porcie wczesnym popołudniem. Statek stoi jeszcze przy nadbrzeżu, autobusy zniknęły. Gdy weszliśmy na pokład, pierwszą osobą, jaką zobaczyłem, była Halina Konopacka-Matuszewska: wieszala właśnie bieliznę. Gdzieś spoza tej bielizny wyłonił się nieduży okrągławy pan, łysawy, w binoklach, małymi kroczkami podbiegł do nas: „Matuszewski jestem — kapitan czeka na Panów”.

W messie usiedliśmy przy stole, ja naprzeciwko kapitana. Po przywitaniu, bez wstępów wyjąłem list i w tej samej chwili, kiedy kopertę wręczałem kapitanowi przez stół, stała się rzecz

dla mnie zupełnie nieoczekiwana: Matuszewski nagle rzucił się naprzód, wyrwał mi z ręki list, schował do kieszeni na piersiach, kieszeń przykrył obydwoma rękami, krzycząc histerycznie: „Nie oddam! Nie oddam!”.

Pociemniało mi w oczach. Ułamki myśli przemknęły przez głowę — co robić, jak mogłem do tego dopuścić, wstyd wobec Anglika, odebrać list? co robić? wywołać bójkę?

Wyszliśmy z Zimnałem na korytarz. „Musimy się poradzić ambasadora”, słusznie zdecydował Marian.

Upłynęło sporo czasu, zanim z kapitanatu portu otrzymaliśmy połączenie z ambasadą. Głos Raczyńskiego zabrzmiał niezwykle stanowczo: „List musicie Panowie za wszelką cenę odebrać, musi być doręczony adresatowi. I niech Pan mi da Zimnała do telefonu”. Słyszę, jak Raczyński podniesionym głosem powtarza to samo Marianowi. Jeszcze w kabinie telefonicznej Zimnał rozpiął marynarkę i wymownym gestem pokazał wiszący u pasa rewolwer.

Okazało się, że w międzyczasie statek odbił już od nadbrzeża, płyniemy do niego motorówką. Pierwszy raz w życiu wspinam się po linowej drabince, idzie mi to niesporo, o mało nie wpadam do wody. Ale osiągamy pokład, a tu nowa niespodzianka: o dwa kroki przed nami stoi Matuszewski, jeszcze mniejszy, z niewyraźnym uśmiechem: „Przepraszam Panów, że się uniosłem; proszę...”. I od razu oddał mi *otworzoną* kopertę.

List, który teraz sam doręczyłem kapitanowi na mostku okrętowym, pochodził od brytyjskiego ambasadora w Bukareszcie i zawierał tylko jedno krótkie zdanie: „Proszę Pana Kapitana o udanie się do Konstantynopola, gdzie otrzyma Pan dalsze instrukcje od tamtejszej ambasady Jego Królewskiej Mości”.



Po latach, kiedy starałem się przemyśleć spokojnie wyżej opisane zdarzenie, gdy mogłem dodać do własnych doświadczeń relacje innych o Matuszewskim: uwagi wyższych urzędników Banku Polskiego i samej Haliny Konopackiej¹, lepiej zrozumiałem powody jego nieoczekiwanego wysoku. Reflektor wojny ujawnił małoduszność byłego szefa II-go Oddziału, który dla ratowania żony i siebie narzucił się na „opiekuna” transportu złota, w którym widział gwaranta własnego bezpieczeństwa. Dlatego nie chciał nawet na krótko rozstać się z transportem w Śniatyniu, dlatego wpadł w panikę na myśl, że kapitan statku może otrzymać

1. Por. Zofii Kozarynowej „Wrażenia nadoceaniczne” w numerze 1601 *Wiadomości*.

instrukcje, jemu nieznaną. Kiedy jednak przekonał się, że list nie zawierał niczego, co mogłoby podważyć jego pozycję uspokoił się i nawet zawstydził się swego nieopanowania.

Komitet pomocy uchodźcom

Już od pierwszego spotkania, gdy żona zgłosiła się w konsulacie w poszukiwaniu mieszkania, nawiązała się nić przyjaźni z konsulową Mikucką. Z inicjatywy obu pań (moja żona wielka społeczniczka) powstał w Bukareszcie Komitet Pomocy Uchodźcom, potocznie zwany Komitetem Pań, jako że pracowały w nim prawie wyłącznie nasze żony. Wynajęliśmy niedaleko konsulatu obszerny po-warsztatowy budynek (duża hala z przybudowanymi pokojkami), gdzie została zorganizowana stołówka, punkt informacyjny i, co ze względów językowych było bardzo ważne, polska opieka lekarska, jaką, również bezpłatnie, kilku naszych lekarzy-uchodźców ofiarowało.

Do Komitetu dołączyło wiele innych pań, przeważnie dorywczo i na krótko. Narzymska — tylko przez kilka tygodni; wicekonsulowa Maria Stapińska; przez krótki czas urocza Aniela Mieczysławska, żona Witolda, mego kolegi z gimnazjum w Zakopanem; przystojna Janina Wernerowa, żona bukareszteńskiego korespondenta *Gazety Polskiej*; również dorywczo zgłaszały się do pomocy ambasadorowa Helena Raczyńska, Maria Kryjowa i Teresa Łączkowska².

Komitet pracował dzielnie i wydajnie, inteligentne a zarazem serdeczne podejście polskich kobiet skutecznie przyczyniło się do uśmierzenia roztrzęsionych uchodźczych nerwów.

Tadeusz Kopec

Już w połowie września dowiedziałem się od żony, że „znany nam z Berlina Tadeusz Kopec” za zgodą ambasady (czyli attaché prasowego Sobańskiego) redaguje w Bukareszcie gazetkę ścienną dla uchodźców. W stołówce Komitetu Pań, na olbrzymiej tablicy, Kopec wypisywał kredą dzienne biuletyny, przeważnie komuni-

2. Jej mąż, Bohdan Łączkowski, za premierostwa Zyndrama Kościałkowskiego szef biura prasowego Prezydium Rady Ministrów, inteligentny i rzutki, właściciel resztówki w powiecie chocimskim w Besarabii — dzięki czemu posiadał wyjątkowo zezwolenie na podwójne, polskie i rumuńskie, obywatelstwo, prowadził sprężyste zaimprovizowane biuro prasowe ambasady — z czasem Sobański sam jeden nie mógł wszystkiemu podołać.

katy z pola walki. I one były dostosowane w tonie i, co gorsza, w treści do berlińskich perorowań sprzed ośmiu laty. Każda nasza porażka była nieodmiennie przedstawiana jako zwycięstwo; kiedy Niemcy odcięli polską jednostkę, nazywało się to w redakcji Kopcia „nasze oddziały operują na tyłach wroga”; nieustannie zadawaliśmy wrogowi „olbrzymie straty”; Niemców odrzucamy kontratakami”; „Niemcy u kresu sił”. Lokalny sukces generała Sosnkowskiego pod Lwowem urósł w rękach Kopcia do punktu zwrotnego całej wojny. Ale ustawiczne sukcesy kopciowe były odnoszone coraz głębiej w kraju. Przypomniało mi się tragiczne opowiadanie Alfonsa Daudet „Obleżenie Berlina”, w którym bohaterka, z pobudek rodzinnych, również odwraca (ale jedynie w czterech ścianach własnego domu) przebieg kampanii prusko-francuskiej 1870-71. Ale w naszych warunkach takie publiczne fałszowanie rzeczywistości było nie tylko naiwne — mogło być niebezpieczne. Przedstawiłem rzecz Raczyńskiemu; bez wahania zgodził się ze mną, że trzeba biuletynowi położyć kres. Sobański otrzymał odpowiednie polecenie — prosił jedynie, abym był obecny przy rozmowie z Kopciem. Nie uchyliłem się od tego.



Rozwiodłem się nieco nad tym stosunkowo drobnym epizodem, ale jakże charakterystycznym dla wielu naszych (i nie naszych) propagandowych poczynań. Oczywiście, doceniam znaczenie propagandy, nawet w jaskrawej przesadzie. Ale może ona odegrać pozytywną rolę tylko na krótki czas i musi być podbudowana prawdziwymi elementami

Lucjan Skupiewski

Gdy po czterech tygodniach zdjęto gips z mojej ręki okazało się, że ręka w łokciu jest skrzywiona i na dobitkę prawie zupełnie sztywna. Z dziwnym kikutem zgłosiłem się do pracy i stałem się z miejsca ofiarą żartów Bronka Sobańskiego. Ale ambasador przestraszył się nie na żarty i zdecydował, że „tak zostać Pan nie może”. Zwrócił się o pomoc do znanego lekarza bukareszteńskiego, dr. Lucjana Skupiewskiego, chirurga, lekarza króla Karola, b. burmistrza Bukaresztu. Był to jeden z najwybitniejszych członków Polonii Rumuńskiej.

Dr Skupiewski zdecydował, że trzeba rękę w łokciu złamać i złożyć na nowo. Jego asystentka od razu uśpiła mnie chloro-

formem i już po paru godzinach, z pięknym nowym gipsem, jeszcze trochę oszołomiony, byłem znowu w ambasadzie.

Po miesiącu mogłem się przekonać, że dobre imię dr. Skupiewskiego jako chirurga było w pełni uzasadnione: tym razem łożkić został ustawiony prawidłowo i ręka powoli zaczęła działać normalnie.

Janusz Rakowski

Obszerne, spokojnie ujęte i wyważone w ocenach wspomnienia Janusza Rakowskiego, szefa gabinetu ministra skarbu (*Zeszyty Historyczne* nr 39, str. 51-168) korzystnie odbijają od podobnych opracowań, emocjonalnych, powierzchownych, niesprawiedliwych. Wspomnienia Rakowskiego mogą mieć wartość dokumentarną w tych partiach, gdzie autor relacjonuje wydarzenia z pierwszej ręki, a nie powtarza rzeczy zasłyszanych lub przeczytanych: wówczas — co jest zrozumiałe — trudno uchronić się przed nieścistościami.

Pierwszą taką nieścistością, stosunkowo drobną, ale którą *pour l'histoire* muszę skorygować, odnajdzie czytelnik na stronie 116. Bukowiński hrabia — ziemianin, który na osobiste życzenia króla Karola towarzyszył członkom polskiego rządu do Ślanicu, nie był francuskiego pochodzenia, jakby wynikało z mylnie przez Rakowskiego podanego nazwiska „de Lascała”, lecz włoskiego i nazywał się „della Scala”. Gdy Austria zawładnęła Bukowiną w roku 1774, rząd w Wiedniu zaczął nadawać ziemie w pustym prawie kraju wysłużonym dostojnikom dworskim, wśród których był włoski przodek della Scali. (Północne Włochy długo wchodziły w skład monarchii austro-węgierskiej — ostatnie prowincje odpadły dopiero w roku 1918!, wielu Włochów doszło w Wiedniu do wysokich stanowisk, by wymienić tylko rodzinę Pallavicini — ochmistrzów dworu).

Tyle słów wyjaśnienia, skąd się mógł wziąć della Scala na Bukowinie A.D. 1939. Wielu Polaków wspomina go życzliwie, może zainteresują ich jego dalsze losy. Della Scala sam został wrótce emigrantem; po długiej tułaczce znalazł przystań w Salzburgu, gdzie pracował na stare lata w biurze podróży, oprowadzając turystów po mieście Mozarta. Wolne chwile spędzał niezmiennie w kawiarni „Bazar”; do końca swych dni zachował pogodę ducha i, jak się sam przekonać mogłem, znajomość języka polskiego.

Zmarł na początku lat siedemdziesiątych.



Inną, tym razem istotną nieścisłością o wiele większego kalibru, jest znowu powtarzanie niesprawdzonych wiadomości z drugiej ręki, mianowicie nieprawdziwe twierdzenie, że dla ewakuacji wojska, również lotników, „zorganizowano szereg nieudanych ekspedycji statkami” (str. 142). Przede wszystkim Rakowski nie podaje, na czym opiera swoje twierdzenie, względnie, od kogo tę dezinformacyjną wiadomość otrzymał; podaje tylko, ogólnikowo i krótko: „mówią mi”. Od razu muszą podkreślić, że sam osobiście brałem udział w organizowaniu dwóch *udanych* „ekspedycji statkami” (przy jednej z nich towarzyszył mi nawet nieoficjalnie Witold Mieczysławski, attaché poselstwa w Bukareszcie w latach ubiegłych). Zaraz kilka wierszy dalej Rakowski twierdzi, że „b. minister Wacław Jędrzejewicz... dopomaga też dalszej ewakuacji lotników”. O tej bliżej niesprecyzowanej „pomocy” Jędrzejewicza słyszę po raz pierwszy; Jędrzejewicz współpracował krótko i dorywczo z Komitetem Pomocy Uchodźcom; wyjazd lotników, jak i innych wojskowych, organizowało biuro attachatu, nie Komitet; stanowczo twierzę, że Jędrzejewicz nie brał udziału w akcji zaokrętowywania lotników.

Innym twierdzeniem Rakowskiego, które wymaga nie tyle sprostowania, ile wyjaśniającego komentarza, jest sprawa internowań Polaków w Rumunii, którym to internowaniem wymachuje wielu pamiętnikarzy, bez pokrycia rzeczywistością.

Berlin zażądał od Rumunów internowania naczelnych władz Polski — aby przerwać ciągłość polskiego legalizmu — a także polskich żołnierzy. Dokładne sformułowanie żądań niemieckich nie jest mi znane i nie spotkałem się w literaturze politycznej z cytatami odpowiednich dokumentów. Ale problem, kogo uważać za kombatanta, nie nastęrczał w praktyce wątpliwości: kombatantem był każdy, kto przekraczał granicę w mundurze, z bronią w ręku. Jako naczelne władze rozumiano Prezydenta, Naczelnego Wodza i rząd. Rząd, to premier, wicepremier i ministrowie; a czy również wiceministrowie? Osobiście upierać się będę przy twierdzeniu, że nie; dlaczego, zaraz wyjaśnię. Przede wszystkim sami Rumuni, pragmatycy a nie teoretycy, nigdy nie precyzowali, kogo uważają za członków rządu, względnie nigdy nie podali oficjalnie, gdzie przebiega granica między podlegającymi i niepodlegającymi internowaniu. Dlatego, w braku teoretycznych czy urzędowych danych, musimy opierać się we wnioskowaniu na praktyce. A praktyka wypowiada się *przeciw* asumpcji, że i wiceministrowie są przez Rumunów uważani za członków rządu i podlegają internowaniu. Już same cyfry, przytoczone przez Rakowskiego, podtrzymują moją tezę: na dwunastu internowanych ministrów (dziesięciu w Bâile Herculane, dwóch w Brasowie),

było internowanych zaledwie siedmiu wiceministrów (str. 136). Gdyby było prawdą twierdzenie, że Rumuni internowali również wiceministrów, liczba tych ostatnich winna była przekraczać znacznie liczbę internowanych ministrów, a nie odwrotnie.

Innym argumentem nie mniej przekonywującym, są losy wiceministra Jana Szembeka, najważniejszego, że tak powiem, z wiceministrów, zastępcy Becka, który spośród ministrów znalazł się pod szczególnym ostrzałem. Zamiast internowania, Rumuni pozwalają Szembekowi udać się na własną rękę do Cluj, skąd po bardzo krótkim pobycie bez żadnych trudności opuszcza Rumunię.

Jeżeli już twierdzenie o internowaniu wiceministrów jest więcej aniżeli wątpliwe, logicznie musi z tego wynikać, że opowiadania o internowaniu urzędników niższych stopniem jest koloryzowaniem rzeczywistości. Koloryzowaniem z różnych powodów.

Znane są sporadyczne wypadki, że niektórzy sekretarze ministrów dobrowolnie, ze służbowej czy po prostu zwykłej ludzkiej lojalności przyłączyli się do internowanych szefów i dzielili ich losy, jak np. Doman Rogóyski, który pozostał z Beckiem w Braszowie. Ale w wielu innych wypadkach samowolnie dołączano do internowanych dygnitarzy, ufając nie bez racji, że przy nich będzie można przeczekać okres burzy we względnym spokoju a nawet komforcie. Inna rzecz, że przy rumuńskim bałaganie, przy rumuńskiej mieszaninie biurokratycznej sztywności z pragmatycznym traktowaniem dnia codziennego, mogło się zdarzyć i zdarzało się, że internowano osoby internowaniu w żadnym wypadku nie podlegające, jeżeli *via facti* znalazły się w miejscach internowania, jak na przykład w Bâile Herculane żony i dzieci ministrów.

Janusz Rakowski dwukrotnie (*Tydzień Polski*, Londyn, z 15. I. 1977 i *Zeszyty Historyczne* nr 39, str. 51) powiada o sobie, że „byłem internowany”. Tymczasem sam przyznaje (w tym samym *Zeszyty*, str. 116), że „dołączył” na własną rękę do kolumny slaniczkiej, wbrew — podkreślam: *wbrew* zarządzeniom władz rumuńskich, kierujących uchodźców cywilnych do letnisk w Gura Humorului i Câmpolung — wykorzystując zamieszanie pierwszych dni w Storożyńcu i dobroduszość della Scali.

Stanisław Kot

Maturę zdałem w państwowym gimnazjum humanistycznym w Zakopanem. Nasz dyrektor, zacny Stanisław Turowski, wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, patrzył na świat oczami hu-

manisty i starał się wśród nas rozbudzić humanistyczne zamiłowania. Namawiał nas skutecznie na kompletowanie „Biblioteki Narodowej”, niewielkich zgrabnych tomików z arcydziełami literatury naszej i obcej, z doskonałymi komentarzami. „Biblioteka Narodowa” ukazywała się pod redakcją Stanisława Kota, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Turowski często opowiadał nam o profesorze, podnosząc jego zasługi jako krzewiciela właśnie humanizmu i jako nauczyciela młodzieży, jego wielkie wiadomości, zapał naukowca. Podkreślał zawsze społeczne pochodzenie Stanisława Kota; stawiał nam za wzór chłopskiego syna, który o własnych siłach potrafił zdobyć wybitną pozycję w świecie nauki: „Widzicie — syn chłopa, w *pierwszym* pokoleniu został wielkim uczonym!”.

Lata mijały, znalazłem się za granicą. Zaczęły dochodzić do mnie wieści o innej stronie zainteresowań i działalności profesora-humanisty: o jego akcjach politycznych.



Było to w drugiej połowie września (dokładnego dnia już nie skłecę), gdy zadzwonił do mnie Poniński: ma u siebie ważną osobę, która chce ze mną załatwić pewną dyskretną sprawę. „Czy może Pan przyjść do mnie? W moim pokoju można spokojniej rozmawiać”.

W pokoiku Ponińskiego zastałem mężczyznę w wieku lat może pięćdziesięciu, średniego wzrostu, o krótkich szpeceniastych włosach, lekko wystających kościach policzkowych, binoklach. Pan w binoklach podał mi rękę. „Jestem Stanisław Kot” usłyszałem. Poniński powiedział kilka słów na mój temat, których nie będę powtarzał, bowiem były dla mnie zbyt pochlebne; w każdym razie sens ich był taki, że można zwrócić się do mnie „z całym zaufaniem”.

Ku memu najwyższemu zdumieniu, profesor Kot zaczął się po prostu rozbierać. Najpierw zdjął jesionkę, potem marynarkę, potem wełnianą kamizelkę, potem zwykłą kamizelkę. Rozpiął koszulę do końca i wyciągnął ze spodni szary podkoszulek, podciągnął go w górę przytrzymując podbródkiem, aby mu znowu nie opadł. Kibić profesora otaczał pas, płócienny czy brezentowy (?), szerokości jakichś 30-40 centymetrów, z szeregiem rzędów małych kieszonek, w każdej kieszonce tkwiło coś okrągłego. Widok nie był dla mnie bez pewnej fascynacji, jako że taki pas ujrzałem po raz pierwszy.

Profesor wyłuskał z kieszonek pięć czy sześć złotych monet

i wręczył je mnie, z prośbą o — jak się wyraził — „absolutnie dyskretną” wymianę takowych na leje.

Wymienione pieniądze wręczyłem właścicielowi złotego pasa za pośrednictwem Ponińskiego.



Nigdy już więcej w życiu nie spotkałem Stanisława Kota. Ale tak się złożyło, że jeszcze dwukrotnie miałem osobiście do czynienia ze skutkami jego poczynań.

Po raz pierwszy miało to miejsce już w parę miesięcy później, w czasie mojej podróży służbowej do Bâile Herculane, miejsca internowania rządu. Zrelacjonuję to w następnym odcinku moich wspomnień.

Epizod drugi zdarzył się we Włoszech, w roku 1946. Prawie przez cały ów rok byłem w Mediolanie jako przedstawiciel Oddziału Kultury i Prasy 2-go Korpusu na północne Włochy. Jednym z najważniejszych moich zadań było dopomaganie wysiłkom dowództwa 2-go Korpusu, o udostępnienie wyższych uczelni włoskich możliwie dużej liczbie naszej młodzieży, aby w po-jałtańskiej sytuacji zapewnić jej lepszy start życiowy. Na moim odcinku chodziło przede wszystkim o politechnikę w Turynie i medycynę w Bolonii.

Człowiekiem, który za wszelką cenę starał się paraliżować nasze wysiłki i nie dopuścić do studiów polskiej młodzieży na wyższych włoskich uczelniach — był profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i redaktor „Biblioteki Polskiej”, były ambasador Rzeczypospolitej w Moskwie, potem przedstawiciel dyplomatyczny reżymu warszawskiego w Rzymie: — Stanisław Kot, pedagog i humanista³.

Zofia Warchałowska

1 września 1939 konsul generalny Rzeszy Niemieckiej w Krakowie, Schillinger, opuścił budynek konsulatu i zaginął bez śladu.

Gdy doszło do wymiany dyplomatycznego i konsularnego korpusu między Niemcami a Polską, strona niemiecka wyłączyła z wymiany, drogą represji, naszego konsula generalnego w Królewcu, Jerzego Warchałowskiego (jego poprzednikiem na tej placówce był mój serdeczny druh, Roland Węcowski); internowano go w tymże Królewcu.

3. Por. również *Zeszyty Historyczne*, zeszyt 42-gi, str. 84.

Co się stało z konsulem Schillingerem i dlaczego wybór niemiecki padł właśnie na układowego Warchałowskiego, tego nasi koledzy, którzy tę wieść z kraju przynieśli, wyjaśnić nie umieli. Przygotowując niniejsze wspomnienia do druku zadałem sobie trochę trudu, aby tę tajemniczą sprawę w miarę możliwości — po latach prawie czterdziestu — wyświetlić. Wysiłki moje zostały uwieńczone częściowym powodzeniem. Wówczas — we wrześniu 1939 w Bukareszcie — przetrzymywanie Warchałowskiego w Królewcu stało się dla mnie problemem, który rychło rozrósł się do rozmiarów koszmaru.



Wśród uchodźców znalazła się również żona Jerzego Warchałowskiego, Zofia. Poznałem ją kiedyś przelotnie w Warszawie; zgłosiła się obecnie do mnie, jak do dawnego starego znajomego; podzieliła się ze mną całą swoją rozpaczą: że robi sobie ciągle wyrzuty, że nie powinna była męża zostawiać samego, że gdyby zostali w Królewcu razem, Niemcy na pewno wymieniliby ich oboje, że teraz nikt nie chce jej pomóc i że we mnie cała jej nadzieja.

(Tu słowo wyjaśnienia: wydana na kilka tygodni przed wybuchem wojny instrukcja centrali MSZ przewidywała ewakuację do Polski pracowników kontraktowych — tak np. wrócił z innymi z Bratysławy do kraju Bohdan Brzeziński, rodzony stryj Zbigniewa, obecnego szefa obrony Stanów Zjednoczonych — służby domowej i praktykantów; ewakuacja rodzin była zalecona, nie nakazana, dlatego np. moja żona mogła zostać ze mną w Bratysławie).

Co mogłem dla Zofii Warchałowskiej zrobić w moich warunkach? Praktycznie nic. Pocieszałem ją, że teraz, gdy suwerenność rządu polskiego na polskim terytorium już nie istnieje, kiedy rząd polski nie może ponosić już odpowiedzialności za losy Schillingera, dalsze przetrzymywanie jej męża przez Niemców nie ma żadnego logicznego uzasadnienia, że najprawdopodobniej niedługo dowiemy się o jego zwolnieniu.

Zofia Warchałowska stała się moim codziennym gościem. Godzinami, nawet po rozmowie ze mną, wysiadywała w poczekalni ambasady z zapłakaną twarzą, wywołując wrażenie wśród nieświadomych rzeczy obcych, że jest nie tylko ofiarą przejść wojennych ale i bezdusznego traktowania jej przez polskich urzędników.

Niebawem wydarzyło się coś bardzo smutnego. Doskonale przez Mariana Zimnała zorganizowany „kontrywiad” (słowo

niewiele zbyt szumne w naszych warunkach, nie mniej Marian potrafił zorganizować dyskretną ale efektywną siatkę ochrony naszych placówek i obserwacji urzędów nam wrogich) doniósł mi, że Warchałowska widziano rozmawiającą z kimś przy wejściu do ambasady niemieckiej w Bukareszcie.

Poleciłem woźnemu — oddźwiernemu, ażeby przy najbliższym zjawieniu się Warchałowskiej skierował ją od razu do mnie. Powiedziałem jej spokojnie ale stanowczo, że wiem gdzie była poprzedniego dnia i że, mimo całkowitego zrozumienia jej ciężkiej sytuacji, będę zmuszony zakazać dalszego wpuszczania jej do naszej ambasady.

Odpowiedziała mi potokiem łez: że jest u kresu sił, że mamy czas „na wszystko”, ale nie na ratowanie kolegi, że tylko chciała się dowiedzieć, czy nie mają przypadkiem jakiejś wiadomości o jej mężu, i że to było jeden jedyny raz.



Następnego dnia znowu z własnej inicjatywy poprosiłem ją do siebie. Raz jeszcze starałem się jej wytłumaczyć, że nie jest dla nas rzeczą możliwą bezpośrednia ingerencja w tej sprawie. „Nie wiem, czy interwencja czynników pozarządowych, jak np. Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, byłaby skuteczną drogą. Ale mam pewną myśl: oboje państwo jesteście gorącymi katolikami. Niech Pani jedzie do Rzymu i przez naszą placówkę znajdzie drogę do Ojca Św., mam przeczucie, że jego wstawiennictwo może pomóc”.

Warchałowskiej zabłyśły oczy, twarz jej zmieniła się w mgnieniu oka.

Po kilku dniach była już w drodze do Włoch.



(W Rzymie Zofia Warchałowska spotkała marszałka Pietro Badoglio; przed laty byli wspólnie w Rio de Janeiro: Warchałowski jako attaché poselstwa, Badoglio jako włoski attaché militaire, stąd dawna znajomość. Badoglio okazał się ludzki i uczynny: przy najbliższym pobycie Ribbentropa w Rzymie poruszył sprawę przeciągającego się uwięzienia byłego polskiego konsula generalnego w Królewcu; Warchałowski został zwolniony 2 maja 1940* i pozwolono mu wyjechać do Włoch).

* List Rolanda Wękowski do autora z Genewy z 21 grudnia 1976.

Jerzy Warchałowski zginął w wypadku samochodowym w Rio de Janeiro 6 czerwca 1972; Zofia Warchałowska zmarła miesiąc później w Rzymie**.



Wspomniałem uprzednio, że zadałem sobie trochę trudu, aby znaleźć odpowiedź na dwa istotne pytania: co stało się z konsulem Schillingerem, i dlaczego właśnie Jerzy Warchałowski został ofiarą represji. Z zebranego materiału najwięcej światła rzuca pismo *Auswärtiges Amt*, które z uwagi na wagę sprawy, podaje w tłumaczeniu:

(Tłumaczenie)

Urząd Spraw Zagranicznych

Bonn, 18 lutego 1977.

Wielce Szanowny Panie Krzyżanowski,

Pismo Pana z 8 lutego 1977 zostało mi przydzielone do załatwienia. Chętnie pomogę w znalezieniu wyjaśniającej odpowiedzi na Pana pytania.

W pierwszych tygodniach września 1939 konsul niemiecki w Krakowie, konsul generalny August Karol Schillinger, i jego sekretarka, panna Ruth Jurek, zaginęli. Z natychmiast wdrożonych poszukiwań wynikało, że konsul generalny Schillinger i panna Jurek zostali oddzieleni od pozostałego personelu konsulatu i najpierw przewiezieni do Warszawy. Tam trzymano ich w więzieniu; 7 września przetransportowano ich do Falenicy, gdzie zostali przekazani miejscowemu komendantowi Obrony Narodowej (Straży Obywatelskiej). Następnego dnia, rzekomo pod wojskowym konwojem, odtransportowano ich w nieznanym celu w kierunku Otwocka; wówczas widziano ich po raz ostatni przy życiu. Trzeba jednak przyjąć, na podstawie licznych poszlak jako rzecz pewną, że konsul generalny Schillinger i p. Jurek dostali się w ręce elementów działających na własną rękę i ponieśli śmierć w czasie tego transportu. Gdy przez rok oboje zaginięni nie dali znaku życia, zostali uznani za zmarłych pod koniec roku 1940, przy czym jako datę i miejsce zgonu przyjęto „8 września 1939 w okolicy Falenicy (Polska)”.

** List Rolanda Węckowskiego do autora z Londynu z 24 stycznia 1977.

Łączę wyrazy szczególnego szacunku.
Z upoważnienia,
Dr Sareyko.

Nie mam powodu wątpić w ścisłość tej informacji; nie mniej pozostaje niewyjaśnione, dlaczego los Schillingera był inny aniżeli jego kolegów.

W drugim liście do mnie (*Auswärtiges Amt* z 24 marca 1977) podaje dr Sareyko własną próbę wytłumaczenia, dlaczego właśnie Warchałowski został wyłączony z wymiany; przypuszcza on mianowicie, że wybór padł na Warchałowskiego jako konsula w Królewcu jedynie ze względów technicznych: Prusy Wschodnie były jeszcze odcięte od terytorium Rzeszy w chwili gdy wymiana korpusów dyplomatycznych i konsularnych dochodziła do skutku.

*Stanisław Mikiciński*⁴

W numerze 32-gim *Zeszytów Historycznych* Kazimierz Iranek-Osmecki omawia tajemniczą postać niejakiego Stanisława Mikicińskiego i przedstawia własną wersję okoliczności śmierci tego prawdopodobnie podwójnego agenta a na pewno aferzysty („Okrucy Historii”, str. 187).



Już w pierwszych dniach września kurs złotego w Rumunii spadł do zera, polskie banknoty stały się makulaturą. Jednak wielu uchodźców nie chciało ich wyrzucać i zadało sobie trud złożenia bezwartościowych pieniędzy w ambasadzie. Zwłaszcza kasjerzy, płatnicy, skarbnicy czy inne osoby urzędowe, które wywozły z Polski duże sumy, uważały za swój obowiązek oddanie posiadanych zasobów polskiemu urzędowi. Ambasador polecił wstawić w moim pokoju piękną starą skrzynię, gdzie po prostu składano paczki banknotów. Ich przeliczanie nie miało już praktycznej wartości, ale — co było zrozumiałe — ponieważ wielu składających pieniądze chciało mieć dla porządku jakieś pokwitowanie, ustaliliśmy — w porozumieniu z zastępcą dyrektora Departamentu Obrotu Pieniężnego Ministertwa Skarbu a teraz naszym improwizowanym radcą finansowym, Stanisławem Sadkowskim, poważnym i bardzo pedantycznym panem, że skła-

4. Por. również *Zeszyty Historyczne*, zeszyt 34-ty, str. 233.

dający złote będą otrzymywali, na żądanie, następujące zaświadczenie (tekst zaświadczenia cytuję z pamięci):

Ambasada R.P. w Bukareszcie

Data

P o k w i t o w a n i e

Pan taki a taki, stanowisko, przekazuje Ambasadzie R.P. w Bukareszcie sumę

złotych

słownie

według własnego oświadczenia.

Potwierdzam odbiór bez sprawdzenia powyżej podanej sumy.

Sekretarz ambasady.

Wszyscy składający pieniądze przyjmowali pokwitowania w tej formie.



W styczniu 1940 zakomunikował mi Roger Raczyński, że otrzymał „osobiste” polecenie od Władysława Sikorskiego, aby wydać posiadane przez nas złote, bez liczenia i bez pokwitowania, niejakiemu Stanisławowi Mikicińskiemu, rzekomo byłemu konsułowi honorowemu Chile w Łodzi.

Mikiciński, jak trafnie stwierdza Iranek-Osmecki, sprawiał rzeczywiście odrażające wrażenie; postacią przypominał tragarzy-machabeuszów z placu Kazimierza Wielkiego w Warszawie. Ale zyskiwał przy bliższym poznaniu: był opanowany, rzeczowy i umiał występować ze spokojnym autorytetem. Zjawił się z olbrzymim workiem, dokąd zgarnął zawartość skrzyni, zarzucił sobie worek na plecy jak piórko i zniknął.

Już po kilku tygodniach zaczęły napływać do Bukaresztu wiadomości, że przekazy, wręczone Mikicińskiemu w Rumunii w złocie lub obcych walutach (również w rumuńskich lejach), zostały wypłacone w złotych odbiorcom w Polsce. Rzekomo żaden z odbiorców nie spotkał się z szykanami.



Z Mikicińskim zetknąłem się raz jeszcze, w zimie 1940/41; było to w Stambule, gdzie — po likwidacji ambasady w Rumunii — zamieszkałem przejściowo u mojego kolegi i przyjaciela ówczesnego kierownika naszego konsulatu w tym mieście, Wojciecha Rychlewicza. O kilka kroków od konsulatu, w kawiarni

na placu Taksim, można było codziennie przed południem spotkać Mikicińskiego, który przy stoliku przyjmował klientów. Nie odrzucał niczego; od tych, co nie mieli pieniędzy, brał zegarki, pierścionki, papierośnice, nawet obrączki ślubne. I znowu w Stambule, jak poprzednio w Bukareszcie, zacząłem dowiadywać się o pozytywnym załatwieniu transakcji przez Mikicińskiego i znowu bez przykrości dla odbiorców.

Pod koniec stycznia 1941 dowiedziałem się od Rychlewicza o małej sensacji: Mikiciński znikł! Władze tureckie postanowiły otworzyć jego mieszkanie (Mikiciński mieszkał samotnie); ponieważ chodziło o obywatela polskiego, towarzyszył tureckiej policji polski konsul. Wieczorem opowiedział mi Rychlewicz szczegóły: mieszkanie przedstawiało „fantastyczny” widok — wszędzie „stosy” wszelkiego rodzaju walut, złotych monet, biżuterii, zegarków, cygarniczek, papierośnic. Było widoczne — resztki niedokończonego posiłku na stole — że właściciel mieszkania opuścił je pośpiesznie.



Odpowiedź na ważkie i zasadnicze pytanie Iranek-Osmeckiego, dlaczego Niemcy tolerowali, a nawet pomagali Mikicińskiemu, jest prosta: ryzykowali niewiele, rzecz sprowadzała się do skromnej pomocy dla niegroźnych jednostek, a korzyści dla *Abwehry* (która stała ponad całą niemiecką hierarchią organizacyjną, łącznie z Gestapo) mogły być niezmierne: przy naiwności personalnej Władysława Sikorskiego a głupocie Stanisława Kota, utarty przez Mikicińskiego szlak do Polski mógł skusić do wykorzystania go przez polskie czynniki rządowe, z nieobliczalnymi konsekwencjami.

(Dokończenie nastąpi)

Wojciech KRZYŻANOWSKI

DOKUMENTY

Paweł KORZEC

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW POWSTANIA WARSZAWSKIEGO 1944

PRZEDMOWA

Tekst, który poniżej publikujemy stanowi wśród bogatej literatury historycznej poświęconej powstaniu ludności Warszawy w 1944 roku swoiste *curiosum*. Mamy tu bowiem do czynienia ze spojrzeniem na dramat powstania z drugiej strony barykady. Jest to jedyny dokument niemieckiej administracji cywilnej okupowanych ziem polskich, usiłujący w sposób syntetyczny przedstawić tło, przebieg i polityczne reperkusje powstania. Na ogół tego rodzaju konfrontacje są zarówno dla historyka jak i czytelnika cenne i interesujące, ale wymagają jak każde zresztą źródło historyczne, krytycznego potraktowania. Nie należy zapominać, że wyszedł on spod pióra dygnitarzy hitlerowskiej maszyny państwowej.

Warto nieco uwagi poświęcić sylwetce autora sprawozdania. Ludwig Fischer urodzony w 1905 roku, doktor prawa, wstąpił do NSDAP już w 1926 roku, należał więc do grupy weteranów ruchu hitlerowskiego. W hierarchii partyjno-wojskowej dosłużył się stopnia Gruppenführera SA. Od października 1939 do stycznia 1945, czyli przez cały czas okupacji, zajmował stanowisko gubernatora dystryktu warszawskiego rezydując w historycznym Pałacu Brühla (ul. Wierzbowa 1).

Obejmując swe wysokie stanowisko, niezwłocznie po kapitulacji stolicy Polski Fischer otrzymał od generał-gubernatora Hansa Franka zadanie pozbawienia Warszawy charakteru metropolii i maksymalnego zredukowania jej ludności. Według planów hitlerowskich przysłała, niemiecka Warszawa miała być zredukowana do roli miasta prowincjalnego liczącego 200-300 tysięcy mieszkańców. Tego rodzaju plan z góry determinował politykę deportacji i eksterminacji ludności żydowskiej oraz dużej części ludności polskiej. Gubernator Fischer od początku też był gorliwym wykonawcą otrzymanej misji.

2 października 1940 roku wydał on zarządzenie o utworzeniu getta zarówno w Warszawie jak i w innych miastach dystryktu. Komisarz getta warszawskiego, Heinz Allerswald, podlegał bezpośrednio gubernatorowi Fischerowi. 10 listopada 1941 roku wydał on zarządzenie o karze śmierci za opuszczenie getta. Kilka dni później zarządził utworzenie obozu pracy w Treblince (T 1), którego więźniowie (Polacy i Żydzi) zbudowali w pobliżu słynny obóz zagłady Żydów — Treblinka.

Fischer był odpowiedzialny za niezliczone zbrodnie wobec ludności polskiej. Tak np. w marcu 1942 roku na jego polecenie wykonano egzekucję 100 osób w odwet za strzelanie niemieckiego urzędnika policji i „granatowego” policjanta. We wspomnieniach Polaków, którzy się z nim zetknęli Fischer przedstawiany jest jako kabotyn, odnoszący się z bezwzględnością i pogardą do miejscowej ludności. Z drugiej strony jednak u tego typowego dygnitarza hitlerowskiego istniały jakieś przebłytki ludzkich odruchów. W okresie straszliwej śmiertelności głodowej w getcie warszawskim Fischer starał się — zresztą bezskutecznie — o zwiększenie racji żywnościowych. W drukowanym poniżej raporcie, można znaleźć pewne krytyczne akcenty, przeciw zbyt nieludzkim metodom politycznym Trzeciej Rzeszy wobec ludności polskiej. Co prawda tego rodzaju odruchy, mogły być efektem egoistycznych tendencji: chęci utrzymania *status quo* i nie niszczenia bazy swej niebywałej i lukratywnej kariery. Tego rodzaju tendencje „do niepodcinania gałęzi” obserwowało się nieraz u hitlerowskich dygnitarzy okupacyjnych.

Dr Fischer uciekł w styczniu 1945 roku wraz z nagromadzonym bogactwem. Wydany przez amerykańskie władze okupacyjne Polsce, był w okresie grudzień 1946 - luty 1947 sądzony przez Najwyższy Trybunał Narodowy, skazany na śmierć i stracony. Rzecz znamienna, że w procesie nie ujawniono istnienia poniższego sprawozdania. Tekst jego nie istnieje też w aktach procesowych.

Warto nieco uwagi poświęcić charakterowi publikowanego dokumentu. Normalnie biorąc, można by sądzić, że tajny raport redagowany przez urzędnika do swojego przełożonego powinien zawierać informacje i oceny mniej więcej prawdziwe. Trzeba wziąć pod uwagę, że raport adresowany do generał-gubernatora Franka, został jednak wydrukowany w pewnej ilości egzemplarzy i rozesłany jako druk tajny do szeregu urzędów Trzeciej Rzeszy.

Powstanie jednak — mimo optymizmu autora raportu — wybuchło i przybrało nieoczekiwane rozmiary. Naiwny optymizm zawarty w końcowych partiach dokumentu był zapewne próbą zasłonięcia się przed zarzutem defetyzmu. W gruncie rzeczy jednak zarówno Fischer, jak i jego przełożeni byli świadomi, że istnienie „tysiącletniej Rzeszy” jest kwestią zaledwie... miesięcy. W tej sytuacji sprawozdanie gubernatora Fischera, stało się w pewnym sensie dyrektywą dla niemieckich czynników dyplomatycznych i propagandowych, usiłujących przeciwstawić doniesieniom prasy alianckiej, swoją własną „ulepszoną” wersję prze-

biegu i charakteru powstania. Trzeba zresztą podkreślić, że w późniejszych procesach hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, oskarżeni na ogół powtarzali tezy zawarte w raporcie Fischera.

Można łatwo sformułować kilka zasadniczych tez forsowanych przez autorów sprawozdania: 1) Zasadnicza większość ludności Warszawy była lojalna, a nawet życzliwa wobec niemieckich władz okupacyjnych. Do powstania odnosiła się z rezerwą lub negatywnie. Dopiero masakry i gwałty niektórych oddziałów zmieniły te nastroje i popchnęły ludność na pozycje desperackiej obrony. 2) Miały miejsce masakry, gwałty i grabieże, ale były one dziełem nie Niemców ale oddziałów pomocniczych rekrutowanych wśród licznych, sowieckich grup etnicznych, głównie tzw. Brygady Kamińskiego. Gdy dowództwo niemieckie zorientowało się w sytuacji, wycofano z Warszawy zbrodnicze elementy i odtąd działania wojenne prowadzone były zgodnie z konwencjami międzynarodowymi. 3) Raport niemal przemilcza udział „Wehrmachtu” w zdławieniu powstania, usiłując stworzyć wrażenie, że było ono dziełem wyłącznie jednostek SS i formacji policyjnych. 4) Rozczarowanie w stosunku do aliantów, którzy nie udzielili skutecznej pomocy powstańcom, cyniczna polityka Stalina i humanitarne potraktowanie ludności cywilnej przez dowództwo niemieckie, a zwłaszcza przyznanie powstańcom praw jeńców wojennych, mogą stanowić przełom w nastrojach i w ułożeniu przyszłych stosunków polsko-niemieckich.

Paweł KORZEC

POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944

Sprawozdanie końcowe gubernatora Dystryktu Warszawskiego Gruppenführera SA dr. Ludwiga Fischer'a do Generał-gubernatora Ministra Rzeszy dr. Frank'a.

Sprawozdanie opracował: Dr Friedrich Gollert, Szef Urzędu Dystryktu Warszawskiego¹.

T a j n e

W s t ę p

W historycznych wydarzeniach obecnej doby uwagę naszą coraz bardziej przykuwa rozwój sytuacji wojskowej na różnych

1. Sprawozdanie zostało wydrukowane 20 grudnia 1944 roku w Sochaczewie, dokąd 8 sierpnia przeniósł się Zarząd Dystryktu Warszawskiego i stąd rozesłane zostało do konkretnych adresatów.

frontach rozstrzygających zmagania w Europie. W ich ogniu blednie tymczasem pamięć o poszczególnych wydarzeniach, które są mimochodem zaledwie odnotowane w ramach ogólnego rozwoju sytuacji.

Wyjątek w tym stanie rzeczy stanowi wydarzenie, które od początku sierpnia 1944 roku w okresie kilku miesięcy, wielokrotnie wymieniane było w komunikatach Wehrmachtu i przykuwało — pełną największego napięcia — uwagę milionów ludzi: powstanie zbrojne polskiego ruchu oporu w Warszawie.

Aczkolwiek chodzi tu — z punktu widzenia terytorialnego — o jedno tylko miasto, to wydarzenie to wywołało olbrzymie zainteresowanie i to nie tylko narodu niemieckiego, ale całej światowej opinii. Świadczą o tym doniesienia i sprawozdania prasowe w całym świecie.

Jest to zupełnie zrozumiałe, albowiem w wypadku powstania warszawskiego mamy do czynienia nie z ograniczonym, lokalnym wydarzeniem, ale z inicjatywą polityczną, która wykraczała daleko poza ramy miasta Warszawy. Mogło ono odegrać poważny wpływ na ogólną sytuację wojskową na froncie wschodnim, zaś pod względem jego założeń politycznych mogło wyrzucić ogromny wpływ na dalszy przebieg wojny.

Podsumowujące sprawozdanie o tym powstaniu winno zatem przyciągnąć uwagę i ogólne zainteresowanie.

Niniejsze sprawozdanie, oparte na własnych przeżyciach odtworza prehistorię powstania, jego przebieg i zakończenie.

Równocześnie stawia sobie ono za cel przedstawienie niektórych doświadczeń politycznych wyciągniętych z przebiegu powstania, które być może będą miały znaczenie dla przyszłych decyzji politycznych w zakresie polityki polskiej.

Geneza powstania

Relacja o powstaniu warszawskim musi być poprzedzona odpowiedzią na pytanie, jak w ogóle do tego powstania mogło dojść.

Pytanie to było w ostatnim okresie często powtarzane. Podnoszony był równocześnie zarzut, że odpowiedzialne instancje warszawskie, w szczególności Zarząd Cywilny, Policja i SD, zostały całkowicie zaskoczone wybuchem powstania, podczas gdy przy odpowiedniej czujności winne one były je przewidzieć i zastosować w porę odpowiednie kroki zapobiegawcze.

Każdy rzeczywisty znawca sytuacji wie jednak, że zarzuty te pozbawione są wszelkich podstaw. Powstanie warszawskie nie

było bowiem wynikiem braku czujności miejscowych władz niemieckich, było ono natomiast logicznym efektem trwającego przez lata ruchu. Sam wybuch był nieunikniony w momencie, który oceniony został przez polityczne kierownictwo Ruchu Oporu, jako szczególnie dogodny dla powstania.

Aby wykazać słuszność tego twierdzenia, niezbędne jest dokonanie krótkiego przeglądu rozwoju wydarzeń od 1939 roku.

Kampania polska we wrześniu 1939 roku zakończyła się katastrofalną klęską armii polskiej. Wkroczenie wojsk niemieckich do Warszawy 1 października 1939 roku i parada wojskowa z 4 października 1939 roku z udziałem Führera w Alejach Ujazdowskich, później nazwanych Siegesstrasse (ulica Zwycięstwa), pokazały całemu światu, kompletne załamanie się Państwa Polskiego.

Ta klęska militarna nie powinna jednak była dopuścić do zignorowania faktu, że problem Obszaru Nadwiślańskiego wymaga dalszych rozwiązań.

Każdy kto zna historię Polski, doskonale wie, że Polacy — a w każdym bądź razie aktywna część społeczeństwa — po każdorazowej klęsce podejmowali w konspiracji przygotowania do powstania. Zwłaszcza Warszawa jest tu najlepszym przykładem. W tym bowiem mieście w ubiegłym stuleciu rodziły się niemal wszystkie konspiracje organizowane przez społeczeństwo polskie przeciw władzy rosyjskiej.

Przy tym stanie uczuć aktywniejszej części narodu polskiego, było rzeczą samo przez się zrozumiałą, że również po klęsce 1939 roku nacjonaliści polscy nie pogodzą się z losem i że podejmą bezustanne knowania, by jeszcze raz odwrócić koło historii.

Warszawa tworzyła dla tego przedsięwzięcia najlepszy grunt. Stanowiła ona już przed wojną główną twierdzę polskości. Reprezentowane tu były kierownicze sfery warstw inteligentnych, które obecnie pragnęły podjęcia walki przeciw Rzeszy. Do tego znalazły się tu dziesiątki tysięcy ludzi ewakuowanych po zakończeniu kampanii wrześniowej z nowoprzyłączonych do Rzeszy niemieckich terenów wschodnich, przede wszystkim z Okręgu Warty oraz z Okręgu Gdańsk - Prusy Zachodnie. Wśród przesiedleńców znajdowały się przede wszystkim politycznie podejrzane sfery intelektualne. Ta kierownicza warstwa oświeconej części narodu polskiego, została wówczas — ze zrozumiałych względów polityki narodowej — wyparta z terytorium Rzeszy do Generalnej Guberni. Tam z kolei nastąpił proces przerzucania ich do Warszawy, która w ciągu lat stanowiła swoiste „wysypisko gruzu” (*Schuttbladestelle*) dla wszystkich niepożądanych elemen-

tów. Aczkolwiek na skutek działań wojennych w końcu września 1939 Warszawa w dużym stopniu uległa zniszczeniu, jej ludność w efekcie znacznie wzrosła pod względem liczebnym. Wzrosła mianowicie do ponad 1,5 miliona mieszkańców, wśród których znajdowało się około 500.000 Żydów, fanatycznych wrogów narodu niemieckiego.

Ta olbrzymia koncentracja ludności w dawnej metropolii Republiki Polskiej musiała być rządzona w ciągu pięciu lat przez stosunkowo małą niemiecką kadrę urzędniczą. Należy w związku z tym podkreślić, że Zarząd Dystryktu Warszawskiego w czasie jego największego rozkwitu zatrudniał zaledwie 55 urzędników oddelegowanych z Rzeszy, którzy byli wspomagani przez personel męski liczący w sumie 283 pracowników. Również władze policyjne były w tych pięciu latach w Warszawie nieprawdopodobnie słabe. W pewnych okresach organy odpowiedzialne za realizację zadań, wytyczonych przez niemieckie władze państwowe, miały w tym milionowym mieście do dyspozycji zaledwie 240 funkcjonariuszy policji!

Trwające latami usiłowania władz warszawskich zmierzające do zmiany tego stanu rzeczy, kończyły się zazwyczaj niepowodzeniem gdyż Rzesza użytkowała swoje siły policyjne dla innych celów.

Nic dziwnego zatem, że ten stan rzeczy szybko doszedł do wiadomości niezwykle ruchliwych działaczy polskich. Tak więc, już w początku 1940 roku wystąpiły pierwsze przejawy istnienia polskiego ruchu oporu. Dzięki bezwzględny posunięciom Policji Bezpieczeństwa i SD udało się wtedy zdusić rozwój polskiego ruchu oporu w samym jego zarodku.

Również w następnych latach udało się — dzięki czujności odpowiedzialnych władz niemieckich — utrzymać ruch podziemny w szachu, by uniknąć poważniejszych akcji. Generalna Gubernia i nawet milionowa Warszawa stanowiły do końca 1942 roku — co można stwierdzić bez przesady — jak gdyby spokojny teren ojczysty.

Zasadnicza zmiana nastąpiła wszelako, gdy w końcu 1942 roku po raz pierwszy, po bezustannych niemieckich zwycięstwach, nastąpiły wojskowe niepowodzenia. Polski ruch oporu doszedł do przekonania, że potęga Niemiec nie jest tak niezłomna, jak to się wydawało po własnej klęsce 1939 roku, a w szczególności po szybkim pokonaniu państw Zachodniej Europy.

W owym czasie — zimą 1942/43 — zaczęły się mnożyć napady na przedstawicieli władz niemieckich, jak zresztą w ogóle na Niemców. Stawały się one z czasem tak częste, że nie mogły

być dziełem pojedynczych fanatyków. Była to systematyczna robota coraz bardziej rozwijającego się ruchu oporu.

W jego łonie znajdowały się różne odłamy, częstokroć o sprzecznych tendencjach. Z jednej strony były to elementy narodowe, stawiające sobie za cel usunięcie Niemców i utworzenie wolnej Polski. Z drugiej strony byli to komuniści którzy — ulegając całkowicie wpływowi bolszewickim — dążyli do przyłączenia się do Związku Sowieckiego.

Oba ruchy oporu mimo światopoglądowych sprzeczności miały jeden wspólny cel: usunięcie władzy niemieckiej.

1943 rok stanowił punkt kulminacyjny tegoż ruchu oporu. W tymże roku jednak nastąpiła również kontrakcja władz, prowadzona systematycznie i z dużym rozmachem.

W lutym 1943 roku udało się ująć przysłanego z Londynu delegata narodowego rządu polskiego². Ujawniło to daleko idące plany ruchu oporu.

Jeszcze dotkliwszy był cios, gdy 30 czerwca 1943 Policja Bezpieczeństwa i SD zdołała aresztować w Warszawie dowódcę Armii Krajowej generała Roweckiego. Ruch oporu został przez to tak dalece osłabiony, że nie mógł myśleć o podjęciu jakiegos większego powstania przeciw władzy niemieckiej.

Należy tu nadmienić, że rozmaite kierunki polskiego ruchu oporu, zgodnie z mentalnością i rozbiem społeczeństwa polskiego, ponownie uległy procesom rozłamowym na liczne organizacje, grupy i podgrupy. Mimo wszystkich różnic z biegiem czasu wzrastały dwie organizacje, do których przyłączały się rozmaite grupy. Jedną z nich stanowiła „Armia Ludowa” lub tzw. AL, reprezentująca kierunek komunistyczny. Druga to Armia Krajowa, tzw. A.K. będąca reprezentacją narodowego ruchu oporu.

Dzięki czujności Policji Bezpieczeństwa i SD cele obu tych organizacji zostały coraz bardziej rozpoznawane. Równocześnie udało się ustalić nazwiska znacznej części Polaków członków tych organizacji. Dzięki temu w trakcie akcji odwetowych, będących konieczną reakcją na zabójstwa poszczególnych Niemców, tysiące tych fanatyków zostało rozstrzelanych w trybie doraźnym. Ruch został w ten sposób w poważnym stopniu zdziesiątkowany.

W miesiącach od lutego do kwietnia 1944 roku, w czasie których przygotowania polskiego ruchu oporu coraz bardziej przybierały na sile, wykryte zostały w Warszawie, znaczne ilości broni i materiałów wojskowych. W czasie jednej z tych akcji zdobyto aż 600 miotaczy ognia i 60.000 bojowych granatów ręcznych. Wpłynęło to na znaczne osłabienie ruchu oporu.

2. Chodzi o profesora Piekalkiewicza ze Stronnictwa Ludowego, Delegata Rządu na Kraj.

Z drugiej strony ruch oporu otrzymywał sukurs w postaci stałych zrzutów spadochronarzy nad lasami Generalnej Guberni. Po wylądowaniu udawali się oni w cywilnej odzieży do wyznaczonych celów. Również zrzuty zaopatrzenia z angielskimi pistoletami maszynowymi, lekkimi karabinami maszynowymi i innym sprzętem wojskowym stały się tak częstym zjawiskiem, że było niemożliwe wszystkie te zrzuty wykryć, względnie przechwycić zrzucaną broń.

Ciężkie klęski na Wschodzie w początku 1944 roku ponownie wzmożyły nadzieje Polaków. Szerzyła się powszechnie propaganda zagraniczna głosząca, że potęga Rzeszy została złamana, że godzina wolności się zbliża i że każdy Polak powinien przygotować się na przywitanie dnia wyzwolenia.

Gdy na dodatek w czerwcu i lipcu 1944, po załamaniu się niemieckiego frontu środkowego, oddziały niemieckie liczące dziesiątki tysięcy ludzi zaczęły wycofywać się na zachód, wśród przeważającej większości Polaków zapanowało niezłomne przekonanie, że Wehrmacht jest pobity i że ostateczna klęska Reichu jest kwestią miesięcy, a może nawet tygodni.

To przekonanie Polaków wzmocniło się gdy okazało się, że inwazja Sprzymierzonych na zachodzie przeprowadzona została z powodzeniem, mimo, że niemiecka propaganda w ciągu lat utrzymywała, że jest ona niemożliwa.

Nic zatem dziwnego, że w obliczu takiego rozwoju sytuacji polski ruch oporu uznał, że nadeszła wreszcie chwila do uderzenia i do zlikwidowania władzy niemieckiej.

Odpowiedzialne niemieckie władze w Warszawie od dawna z naciskiem zwracały uwagę na ten rozwój sytuacji. Ponawiały one ciągle, niecierpiące zwłoki żądanie wzmocnienia bardzo słabych sił policji w Warszawie, aby można było spotkać nadciągające niebezpieczeństwo z szansą powodzenia.

Wszystkie te usiłowania spaliły na panewce. Co więcej w początku lipca 1944 roku zostały odwołane na front 22 i 17 pułk SS i policji!

Oczywiście i to nie uszło uwadze Polaków. Wiedzieli oni dokładnie, jak liczebnie słabe są niemieckie siły zbrojne stacjonujące w Warszawie³.

3. Fischer usiłuje przeforsować pogląd, że słabość niemieckich sił była główną przesłanką rozwoju ruchu oporu w Warszawie, jak i późniejszego powstania. Zataja jednak okoliczność, że Warszawa, będąca ważnym węzłem komunikacyjnym, stała się jednym z największych miast etapowych na zapleczu Frontu Wschodniego. W związku z tym stacjonowały tam zawsze liczne jednostki Wehrmachtu, SS i służb pomocniczych, które mogły w każdej chwili być użyte przeciw ruchowi oporu. Obok jednostek regularnych znaj-

Kulminacyjny punkt tego kryzysu osiągnięty został 23 lipca 1944 roku. Doniesiono wówczas, że armie bolszewickie, które już uprzednio przekroczyły granicę Generalnej Guberni, w nieprzerwanym marszu przecinają dystrykt lubelski spiesząc w kierunku Warszawy i że ich czołgi jakoby już dotarły do Puław! Na podstawie tych wiadomości Naczelna Komendantura Wojskowa Warszawy* wydała rozkaz, aby wszystkie kobiety Niemki towarzyszące Wehrmachtowi, tegoż jeszcze dnia opuściły Warszawę. Rozkaz ten i jego zbyt pośpieszne wykonanie wywołały w Warszawie kompletną panikę i wszystkie przykre zjawiska związane z paniczną ucieczką.

Zarząd Cywilny ostentacyjnie nie przyłączył się do tych zarządzeń. Wręcz odwrotnie, podjął wszelkie środki dla opanowania paniki, co mu się też w dużej mierze udało. Jednakże, zachowanie się Wehrmachtu, który zresztą w tych dniach zarządził również wycofanie wielu jednostek wojskowych, było dla polskich nacjonalistów jednoznacznym dowodem, że władza niemiecka dobiega kresu. Gdy istotnie kilka dni później silne rosyjskie jednostki pancerne pojawiły się w pobliżu Warszawy, komendant polskiego ruchu oporu, generał Bór-Komorowski, dał rozkaz do wystąpienia.

Przebieg powstania

Powstanie daje się podzielić na cztery okresy:

- a) Obrona placówek niemieckich w czasie od 1-10 sierpnia 1944.
- b) Pokonanie północnej części Warszawy włącznie ze Starówką do 2 września 1944.
- c) Pokonanie przedmieść i zepchnięcie sił powstańczych w obręb wielkiego kotła do 28 września 1944.
- d) Pertraktacje kapitulacyjne do kapitulacji w dniu 2 października 1944.

Szczegółowo przebieg wypadków rozwijał się następująco:

dowało się w Warszawie tysiące żołnierzy niemieckich: rekonwalescentów, urlopowiczów, a przed powstaniem także wielu maruderów z rozbitych i uciekających jednostek. Gdy we wrześniu 1944 roku dowództwo sił niemieckich zwalczających powstanie, usiłowało zrobić porządek wśród Niemców warszawskich, utworzona w tym celu specjalna Komisja Kontrolna, ustaliła obecność żołnierzy i oficerów należących aż do 300 jednostek wojskowych. 20 września 1944 roku w Warszawie przebywało około 26.000 osób przynależnych do różnego rodzaju taborów i służb pomocniczych.

* Naczelny komendant wojskowy Warszawy generał-lejtenant Schartow, przebywał wówczas na urlopie zdrowotnym w Rzeszy.

Obrona placówek niemieckich

Dzień 1 sierpnia przebiegał w Warszawie na ogół całkiem normalnie. Pracująca ludność zjawiała się, z nielicznymi wyjątkami, punktualnie w swoich urzędach i zakładach pracy. Również w zewnętrznym obliczu miasta nie dało się zauważyć nic szczególnego. Około godziny 15-tej wszakże zaczęły napływać pierwsze meldunki o tym że w mieście daje się odczuć jakiś niepokój. Ogromna większość sklepów zamknęła się, mimo, że nie było w tej sprawie żadnego urzędowego nakazu. Około godz. 16.50 zaczęła się na wielu ulicach gwałtowna strzelanina, która około godz. 17-tej ogarnęła wszystkie dzielnice miasta. Nie było żadnych wątpliwości, że od dawna oczekiwane powstanie wybuchło.

Około godziny 20.15 przez wszystkie megafony ogłoszone zostało w języku polskim i niemieckim następujące zarządzenie Komendanta Wojskowego Miasta Warszawy generał-lejtenanta Stahel'a, uzgodnione z gubernatorem dystryktu warszawskiego:

„Zarządzam niezwłocznie stan oblężenia dla miasta Warszawy. Osoby cywilne, które pojawią się na ulicach zostaną zastrzelone. Gmachy i zakłady z których oddane zostaną strzały do Niemców, zostaną zrównane z ziemią”.

Niemieckie urzędy zostały zaatakowane zgodnie z przygotowanym planem. Zabarykadowały się one natychmiast zasiekami z drutów kolczastych, jak było to przewidziane w poważnych wypadkach, i obsadziły przygotowane pozycje obronne.

W milionowym mieście o tak dużym zasięgu terytorialnym jak Warszawa, było z natury rzeczy wykluczone, by wszystkie niemieckie placówki i urzędy skoncentrować w jednej dzielnicy miasta. Byłoby to zresztą niezgodne z przepisami obrony przeciwlotniczej, które ze względów bezpieczeństwa zalecały dekoncentrację. Jednakże w wyniku wieloletniej praktyki zostały utworzone dwa duże niemieckie bloki (skupiska).

Jeden z nich stanowił tzw. blok rządowy przy Placu Adolfa Hitlera (Plac Piłsudskiego), do którego należały przede wszystkim Pałac Brühla, gmach Komendy Wehrmachtu, Komendantura Naczelnego Dowództwa (Oberfeldkommandantur), Hotel Europejski z jego placówkami Wehrmachtu, oraz bloki obronne „Deutsches Haus” i hotel Bristol. Drugi wielki blok stanowiła „dzielnica policji” przy ulicy Zwycięstwa (Siegessstrasse — Aleje Ujazdowskie) i przy ulicy Policji (Strasse der Polizei — Aleja Szucha).

Prócz wymienionych istniały jeszcze poszczególne instytucje niemieckie, które ze względów technicznych nie mogły być roz-

lokowane w wymienionych wyżej blokach. Chodzi tu przede wszystkim o wielkie instytucje techniczne jak elektrownie, wodociągi, urząd poczty i telegrafu, urzędy stanu cywilnego. Ponadto ze względów bezpieczeństwa oraz konieczności stałego nadzoru nad ludnością polską, na przestrzeni całego miasta rozrzucone były liczne posterunki policji.

Plan ruchu polegał zapewne na tym, by nagłym atakiem opanować wszystkie niemieckie urzędy, koszary i lokale, przy czym główny kierunek uderzenia miał być wymierzony przeciw dzielnicy Rządowej oraz przeciw „znieawidzonej” SS i policji, w szczególności przeciw Policji Bezpieczeństwa i SD. Jednostki te — jak to potwierdziły późniejsze zeznania jeńców — miały zostać całkowicie zlikwidowane.

W dzielnicy administracji, w której swoje siedziby urzędowe mieli zarówno komendant Wehrmachtu Warszawy jak również gubernator dystryktu warszawskiego, S.A. — Gruppenführer dr Fischer i nad którą dowództwo bojowe objął generał-major Rohr, postawiono sobie zasadnicze zadanie utrzymania linii obronnych do czasu przybycia ciągle zapowiadanych jednostek odsieczy wojskowej. Wytyczone zadanie było poważnie utrudnione okolicznością, że polscy strzelcy wyborowi rozlokowani w ruinach Placu Teatralnego i w domach przy ulicy Królewskiej utrzymywali nieustannie Pałac Brühla pod ostrzałem, tak że niemal codziennie ponoszono poważne straty.

W tej sytuacji placówki niemieckie nie mogły się ograniczyć jedynie do obrony, a raczej niemal codziennie zmuszone były do wypadów i akcji zaczepnych, mających za cel zniszczenie wdzierających się coraz głębiej grup nieprzyjacielskich.

Z Pałacu Brühla podjęto przede wszystkim silny wypad wieczorem 6 sierpnia w celu odbicia licznych domów na rogu ulicy Alberta, z których strzelcy wyborowi zadawali nam stale ciężkie straty. Równocześnie załoga bloku bojowego Deutsches Haus i Hotelu Bristol zorganizowała większą ilość wypadów nocnych, które — mimo ponoszonych strat — dzięki znakomitej bojowości i odwadze członków jednostek operacyjnych zazwyczaj z powodzeniem realizowały zamierzone zadania.

Również Dzielnica Policji, która pod dowództwem Oberführera SS i Policji Geibel'a, zgrupowała złożoną z funkcjonariuszy Policji Bezpieczeństwa i SD „grupę bojową Geibel”, przeszła już w pierwszych dniach do ofensywy.

Już 2 sierpnia odbity został Urząd Pocztowy C 1. W czwartym dniu walk podjęto operację zaopatrzeniową otoczonej załogi centrali telefonów zamiejscowych przy ulicy Piusa, w której uczestniczył oddział operacyjny Policji Bezpieczeństwa i SD wspo-

magany czołgami. W wyniku ciężkich strat spowodowanych przez ogień nieprzyjacielski operacja musiała być zaniechana⁴. Również druga próba zakończyła się niepowodzeniem.

Udało się natomiast oczyścić od powstańców domy na rogu Litewskiej i Marszałkowskiej. Kontynuowano również walki o odbicie komisariatu policji.

9 sierpnia ta bohaterska walka Bloku Rządowego i dzielnicy Policji ukoronowana została zasłużoną nagrodą: ściągnięte z Reichu jednostki SS i policji, które z Litzmannstädter Strasse przedarły się do Ogrodu Saskiego⁵ oraz te które z ulicy Wawelskiej miały wywalczyć kontakt z Dzielnicą Policji, odniosły takie sukcesy, że kontakt ten został ustanowiony 8 sierpnia o godzinie 17-tej.

Jeszcze i teraz Dzielnica Rządowa była okrażona z trzech stron i również Dzielnica Policji musiała nadal toczyć ciężkie walki. Niemniej jednak została przywrócona łączność z innymi jednostkami.

Tegoż dnia stało się już oczywiste, że powstanie nie osiągnęło zamierzonego celu. Plan przeciwnika przewidywał bowiem wyparcie Niemców z Warszawy w ciągu trzech dni. Przede wszystkim liczone na efekty zaskoczenia i wyczerpania oddziałów niemieckich.

Plan ten całkowicie załamał się. Jedyne nieliczne niemieckie placówki skapitulowały w wyniku koncentrycznego ataku, jak np. gmach urzędu powiatu Warszawa (Kreishauptmannschaft Warschau-Land). Zasadniczo jednak wszystkie placówki niemieckie trzymały się do nadejścia odsieczy.

Walka o dzielnicę północną Warszawy

Cel strategiczny dalszej walki polegał na rozdzieleniu sił powstańczych.

W wyniku niesłuchanie ostrych ataków opanowano oś Litzmannstädter Strasse⁶ do mostu na Pragę i tym samym rozdzielono powstańczą Warszawę na skrzydło północne i południowe.

4. Obydwa czołgi zasypane butelkami zapalającymi i objęte płomieniami zmuszone zostały do wycofania się do punktu wyjścia. Ich załoga na skutek ciężkiego poparzenia została wyeliminowana z dalszych walk. Oddział operacyjny Policji Bezpieczeństwa i SD pozbawiony osłony czołgów został całkowicie zniszczony przez powstańców (Kranhals, „Der Warschauer Ausstand, 1944”, Frankfurt/M., 1944, str. 272).

5. Były to oddziały policji skierowane przez Himmlera z Wartheland (Okręg Warty) pod dowództwem generała-majora policji Reinefartha. Oddziały te wkraczając do Warszawy dokonały straszliwej rzezi mieszkańców Woli (około 20.000 rozstrzelanych).

6. Oś ulicy Wolska - Most Kierbedzia.

Po tym rozdzieleniu jednostek nieprzyjacielskich trwały w miesiącu sierpniu dalsze walki o zniszczenie skrzydła północnego.

Wywiązały się przy tym niezwykle zacięte walki, spowodowane tym że powstańcy zbudowali setki mocnych barykad. W dodatku w obrębie kotła północnego znajdowały się potężne gmachy Banku Emisyjnego, polski Ratusz i inne liczne gmachy które, zamienione w silne twierdze, dzięki swojej konstrukcji nadawały się do skutecznej obrony przy zastosowaniu stosunkowo niewielkich sił.

Mimo to w wyniku zaciętych walk udało się na początku września 1944 rozbić kocioł północny, przy czym również Stare Miasto wpadło w nasze ręce. 2 września cała dzielnica północna Warszawy, z wyjątkiem willowych przedmieść Żolibórz i Marymont była już opanowana przez wojska niemieckie.

Walka o kocioł południowy

Po zlikwidowaniu kotła północnego, rozpoczęła się walka o kocioł południowy. Ataki wojsk niemieckich były przy tym wspierane ciągłymi nalotami samolotów bojowych, które przy pomocy bomb zapalających i burzących, a także broni pokładowej interweniowały w walkach o poszczególne domy. Później do akcji weszły również ciężkie rodzaje broni niemieckiej jak moździerz, miotacze ognia i artyleria. Również baterie dział przeciwlotniczych i czołgi atakowały bloki mieszkaniowe zamienione w twierdze. Suteryny tych domów zostały zamienione na bunkry. Jednostka miotaczy ognia musiała ostatecznie przystąpić do wypalenia tych piwnic.

W ten sposób rozbijano jedno gniazdo oporu po drugim. W ciągu pierwszych tygodni września zdołano opanować cały zachodni brzeg Wisły i dzielnicę południową miasta, włącznie z najdłużej i najzajadłej bronionym przedmieściem Mokotów.

27 września cała Warszawa była praktycznie uwolniona od powstańców. Stawiały jeszcze opór resztki wielkiego kotła w centrum miasta oraz przedmieście Żolibórz.

Pertraktacje kapitulacyjne

Już 7 sierpnia gubernator dystryktu warszawskiego wraz z komendantem Wehrmachtu w Warszawie, generał-lejtnantem Stahel'em opracowali odezwę do ludności, w której nawoływano ją do złożenia broni. Moment dla tego rodzaju proklamacji

wydawał się w tym czasie bardzo dogodny. Było bowiem rzeczą bezsporną, że szerokie masy ludności nie biorą udziału w powstaniu, a częściowo nawet odnoszą się doń nieprzychylnie. W licznych bowiem wypadkach ludność ukrywała rannych Niemców i umożliwiała im powrót do ich jednostek bojowych przeprowadzając ich przez piwnice i inne przejścia. Również w szeregach powstańców dawało się wyczuć pewne zmęczenie, gdy doszli do przekonania że ich próba zaskoczenia całkowicie zawiodła i że Niemcy stawiają zadziwiający opór.

Oświadczenie jeńców potwierdzały coraz bardziej, że ludność domaga się złożenia broni, ponieważ była przekonana o całkowitej beznadziejności powstania i obawiała się najcięższych represji w stosunku do całego miasta. Przygotowana wówczas odezwa została jednak w ostatniej chwili zaniechana w wyniku nowopowstałych okoliczności⁷.

Kilka dni później wszelka próba przerwania powstania w drodze pertraktacji była już niemożliwa. W międzyczasie bowiem przybyły jednostki Kamińskiego*, które swoim zachowaniem i metodami walki pchnęły w objęcia powstańców dziesiątki tysięcy spośród całkowicie dotąd pokojowej masy ludności polskiej.

Dopiero w połowie września powstały nowe możliwości rokowań, które ze strony niemieckiej zostały skwapliwie podjęte. Powstanie trwało już znacznie dłużej niż to przewidywano i bolszewicy odnieśli w międzyczasie wielkie sukcesy na wschodnim brzegu Wisły. Szczególnie groźne było zajęcie Pragi, gdyż odtąd jedynie Wisła oddzielała armię bolszewicką od powstańców.

Do podjęcia rokowań zachęcał również rząd Generalnej Guberni, gdyż reprezentanci Polskiej Rady Głównej wystąpili z inicjatywą, sugerując, że powstańcy są skłonni do złożenia broni, w razie przyznania im statusu jeńców wojennych. Również arcybiskup kościoła katolickiego Dr Szlagowski⁸ podejmował wielokrotnie starania mające skłonić powstańców do zaprzestania dalszych walk.

W praktyce jednak pertraktacje te nie przynosiły rezultatów, gdyż powstańcy ciągle jeszcze żywili nadzieję, że Reich załamię się w wyniku klęski poniesionej na Zachodzie. Ponadto nadal czepiali się nadziei, że może nadejść pomoc ze strony Anglików i Amerykanów. Każdy zrzut angielskiego zaopatrzenia rozbudzał u powstańców nowe nadzieje na skuteczną pomoc, aczkolwiek

7. Generał von dem Bach sprzeciwił się wydaniu odezwy.

* Chodzi tu o rosyjskich Kozaków.

8. Omyłka — winno być Szlagowski.

nadzieje te w ciągu długich tygodni w okrutny sposób zawodziły.

W końcu września, gdy zdrada Anglii i Ameryki stały się jednoznacznie oczywiste, doszło ostatecznie do pertraktacji kapitulacyjnych.

Pertraktacje te prowadzone były w formie rzadko dotąd praktykowanej w kontaktach niemiecko-polskich, co w szczególności w obliczu powstania określane było jako rzecz niezwykła zarówno ze strony polskiej jakoteż i przez wielu Niemców. Ponieważ jednak ta nowa metoda, która doprowadziła do pełnego sukcesu, może mieć znaczenie w przyszłości relacjonujemy tutaj szczegółowo przebieg rokowań aż do ostatecznej kapitulacji.

29 września 1944 Obergruppenführer SS von dem Bach* doniósł, że naczelny dowódca powstania, generał Bór, poprosił o wszczęcie rokowań. Zgłosił przy tym prośbę o zgodę na uprzednią wizytację obozu w Pruszkowie, aby za pośrednictwem swoich przedstawicieli przekonać się, czy polska ludność cywilna istotnie jest tam tak okrutnie traktowana, jak to opisane zostało w licznych sprawozdaniach zagranicznej prasy.

Obergruppenführer SS von dem Bach powierzył kierownictwo pertraktacji w Pruszkowie kierownikowi Urzędu Warszawskiego Dystryktu⁹ jako zastępcy służbowo wówczas nieobecnego gubernatora. Wyraził przy tym życzenie, aby do rokowań przyciągnąć arcybiskupa kościoła katolickiego dr. Szlagowskiego, aby delegaci polscy mogli również u niego poinformować się o sytuacji w obozie w Pruszkowie. W skład delegacji weszli: pułkownik (Oberstleutnant) sztabu Generalnego Bogusławski, jako reprezentant generała Bora, hrabina Tarnowska jako reprezentantka P.C.K. i jeden lekarz jako reprezentant Rady Głównej Opiekuńczej (R.G.O.).

W trakcie rokowań, prowadzonych w atmosferze uprzejmej, nacechowanej wzajemną rezerwą, hrabina Tarnowska spytała czy Międzynarodowy Czerwony Krzyż wizytował obóz w Pruszkowie, a także czy M.C.K. nadesłał żywność, która została następnie przydzielona uchodźcom. Odpowiedzi były potwierdzające przy czym pokazano fotografie dr. Wyss'a, delegata M.C.K. Również pytanie czy można będzie w obozie pruszkowskim wizytować pociąg z jeńcami A.K. spotkało się z pozytywną odpowiedzią.

Po rokowaniach dano reprezentatowi generała Bora możliwość półgodzinnej nieskrępowanej rozmowy z przybyłym w mię-

* SS-Obergruppenführer von dem Bach objął w połowie sierpnia 1944 dowództwo wszystkich jednostek skierowanych do zduszenia powstania. Podlegał on bezpośrednio Reichsführer'owi SS Himmlerowi.

9. Był to dr Friedrich Gollert.

dzyczasie arcybiskupem dr. Szlagowskim. Niemcy przy rozmowie tej nie asystowali. Odbyła się następnie kilkugodzinna wizytacja obozu w Pruszkowie. Również i tu dano reprezentantowi generała Bora możliwość dokładnego obejrzenia wszystkiego. Zgodnie z udzielonymi uprzednio przyrzeczeniami, trzej delegaci mogli bez jakichkolwiek przeszkód rozmawiać z uchodźcami.

Zwiedzenie pociągu jeńców okazało się niemożliwe, gdyż ten w międzyczasie odjechał. Ponieważ trzej kontrahenci wydawali się podejrzewać, że ten odjazd został nakazany z premedytacją przez stronę niemiecką, pociąg został przy pomocy władz kolejowych zatrzymany na trasie i zawrócony do Pruszkowa. Także i w tym wypadku dano reprezentantom generała Bora możliwość dokładnego zwiedzenia pociągu i przekonania się, że jego pasażerowie — z członkami polskiego AK włącznie — traktowani są ściśle zgodnie z prawem wojennym¹⁰.

Po zwiedzeniu wszystkich urządzeń obozowych, kierownik Urzędu Dystryktu stwierdził, że ze strony niemieckiej nie stworzono żadnych ograniczeń i że polscy delegaci mogli zgodnie z ich prośbą wszystko szczegółowo i bez przeszkód sprawdzić. Polscy delegaci w pełni potwierdzili tę wypowiedź.

Następnego dnia, 30 września 1944 roku przed południem, odbyło się w Kwaterze Głównej Obergruppenführera SS von dem Bach'a w Ożarowie ponowne posiedzenie mieszanej komisji, w której uczestniczyli reprezentanci AK oraz RGO. Brał w nim udział m.in. dotychczasowy wiceprezes Warszawskiego Komitetu Pomocy, dr Wachowiak.

Na zakończenie tego posiedzenia kontrahenci polscy oświadczyli że nie są upoważnieni do zawarcia porozumienia, że wszystko dokładnie zrelacjonują generałowi Borowi i że jego decyzja zostanie zakomunikowana do wieczora.

W wyniku tych rokowań, podano 30 września wieczorem do wiadomości, że 1 października 1944 roku w godzinach 5.00 - 19.00 obowiązywać będzie zawieszenie broni i że ludność cywilna może w tym czasie bez przeszkód opuścić Warszawę.

W niedzielę 1 października 1944 roku zawieszenie broni było przez stronę niemiecką ściśle przestrzegane. Wszystkie obozy zostały przygotowane na przyjęcie ludności. Jednakże poza znikomą liczbą jednostek, ludność cywilna nie opuściła Warszawy. Obergruppenführer SS von dem Bach stwierdził w związku z tym wieczorem 1 października, że Polacy nie wykorzystali danej im możliwości ewakuacji ludności cywilnej i że odtąd działania wojenne zostaną wznowione.

10. Polskie źródła zaprzeczają tej wersji.

W odpowiedzi Polacy w nocy ponowili prośbę o rokowania, Obergruppenführer SS von dem Bach oświadczył, że jest jeszcze raz gotów pertraktować w dniu 2 października 1944 roku. Jednakże obecnie nie może więcej być mowy o ewakuacji ludności cywilnej, zaś rokowania dotyczyć muszą sprawy kapitulacji. Von dem Bach uzależniał swą zgodę na rozmowy od tego, by Komisja miała wyraźne pełnomocnictwa do zawarcia porozumienia.

W odpowiedzi na to, pełnomocnicy polscy przybyli ponownie i rozmowy znowu toczyły się w kwaterze sztabu Obergruppenführera SS von dem Bach'a. Wieczorem rozmowy zostały zakończone kapitulacją Warszawy. Warunki zostały sprecyzowane w dłuższym pisemnym porozumieniu.

Porozumienie przewidywało, że 2 października 1944 roku o godzinie 20-tej czasu niemieckiego i 21-ej czasu polskiego przerwane zostaną działania wojenne w obrębie miasta Warszawy między walczącymi wojskami polskimi a wojskami niemieckimi. Żołnierze oddziałów polskich winni w terminach bliżej sprecyzowanych w porozumieniu złożyć broń i w zwartych formacjach wraz z dowódcami udać się do punktów zbornych. Oficerom AK wyraźnie zastrzeżono prawo zachowania białej broni bocznej. Ponadto AK zobowiązana była do przekazania wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich, a także osoby pochodzenia niemieckiego internowane przez władze polskie.

Żołnierzom AK, włącznie z tymi którzy od 1 sierpnia 1944 dostali się do niewoli, zapewniono po złożeniu broni wszystkie prawa wynikające z Konwencji genewskiej z 27 lipca 1929 roku, dotyczącej traktowania jeńców wojennych. Przyznano również status jeńców wojennych niewalczącym formacjom AK bez różnicy płci, przy czym podkreślono wyraźnie, że dotyczy to również łączniczek sztabów, żeńskiej służby wywiadu, służb zaopatrzenia i opieki, łączności, informacji i prasy, sprawozdawców wojennych itp.

Punkt 8-my umowy kapitulacyjnej postanawiał, że żaden jeńiec nie będzie odpowiadał za swoją wojskową i polityczną działalność w czasie walk w Warszawie ani w okresie poprzedzającym. Punkt ten dotyczy również okresu po zwolnieniu z obozu jenieckiego. Na życzenie pełnomocników polskich rozciągnięto to postanowienie również na wypadki naruszenia niemieckich zarządzeń prawnych jak np. zatajenie stopnia oficerskiego, uprzednie ucieczki z obozów jenieckich i nielegalny powrót do Polski.

Postanowiono jeszcze, że wobec ludności cywilnej, która przebywała w czasie powstania w Warszawie, nie zostaną zastoso-

wane żadne kolektywne represje i że nikt nie może być prześladowany za działalność w czasie walk, we władzach i instytucjach (opieka społeczna, instytucje socjalne i charytatywne), jak również za udział w walkach i propagandzie wojennej.

Dalsze postanowienia układu dotyczą żądanej przez Kierownictwo niemieckie ewakuacji ludności cywilnej, ewakuacji dzieł sztuki, zabytków kulturalnych i kościelnych i innych szczegółów wojskowych kapitulacji.

Wraz z kapitulacją 2 października 1944 zakończyło się powstanie w Warszawie. Trwało ono 63 dni.

Komunikat Wehrmachtu z 3 października oznajmił światu to wydarzenie, w klasycznie lakonicznych zdaniach: „Powstanie w Warszawie upadło. Po długich tygodniach walk, które doprowadziły do niemal całkowitego zniszczenia miasta, resztki powstańców opuszczone przez wszystkich, zaprzestały oporu i skapitulowały”.

Ewakuacja Warszawy

(Opuszczamy ponad 4 strony — 20-24 — poświęcone ewakuacji Warszawy i obozowi w Pruszkowie. Tekst mało interesujący i bardzo tendencyjny. Według raportu Niemcy wykazywali wzruszającą troskę o los ludności. Alarmujące wieści w prasie zachodniej na powyższy temat autor przypisuje propagandzie żydowskiej i wrogiej prasie zagranicznej).

Rezultaty powstania

Od kapitulacji Warszawy upłynęło dość czasu, aby mieć odpowiedni dystans dla oceny zarówno militarnych jak i politycznych rezultatów powstania.

Od początku lipca 1944 armia bolszewicka załała Generalną Gubernię, zaś główny kierunek uderzenia był wymierzony na Warszawę. W połowie lipca ten wypad był tak zaawansowany, że Warszawa była bezpośrednio zagrożona. Ponieważ siła armii bolszewickiej była dokładnie znana, sytuacja przedstawiała się bardzo groźnie.

Powstanie w Warszawie spowodowało dalsze pogorszenie sytuacji wojskowej. Bowiem obecnie już nie tylko trzeba było bronić linii Wisły przed nacierającą Armią Czerwoną, ale na zachodnim brzegu rzeki trzeba było podjąć bój z zajadłe walczą-

cym wrogiem, w niewymownie trudnych warunkach, o zdobycie dzielnicy za dzielnicą, bloku za blokiem, domu za domem.

Fakt, że udało się w przeciągu miesiący zatrzymać armię bolszewicką na wschód od Wisły, a równocześnie pokonać największe w dziejach polskich powstanie, jest wyczynem militarnym największej miary.

Laury zwycięstwa przypadają w równej mierze wojskom, które zastopowały marsz armii bolszewickich nad Wisłą, jak również tym niemieckim jednostkom, które w samej Warszawie pokonały powstanie, a równocześnie nie pozwoliły Rosjanom na sforsowanie Wisły.

Hasło lansowane przez uprzedniego dowódcę 9-tej armii generała wojsk pancernych von Vormann'a: „Stoimy nad Wisłą i trzymamy Wisłę” jest już od miesiący realizowane przez 9-tą armię, mimo przygniatającej nieraz przewagi sił nieprzyjacielskich. Ma to ogromne znaczenie dla ogólnego rozwoju sytuacji na froncie wschodnim. Gdyby bowiem bolszewikom udało się przekroczyć Wisłę w rejonie Warszawy i posunąć się zgodnie z ich planem na zachód, front Wschodnio-Pruski znalazłby się w niezwykle ciężkim położeniu. Udaremnienie tego planu strategicznego, trwające do obecnej chwili wystawia najlepsze świadectwo kierownictwu Wehrmachtu i bohaterstwu żołnierzy niemieckich walczących w rejonie Warszawy.

W równej mierze jednak należy się najwyższe uznanie tym jednostkom niemieckim, które w ciągu sierpnia i września zdusiły powstanie w samej Warszawie dając przykład nadludzkiej postawy. Ich zadanie było, być może, najcięższe ze wszystkich które kiedykolwiek postawiono przed wojskami niemieckimi. Tutaj bowiem w walkach o każdy dom, których rozmiar i niepokonalne, wydawać by się mogło, trudności ocenić może jedynie ten, kto sam uczestniczył w tym bohaterskim boju.

W komunikatach Wehrmachtu niejednokrotnie podkreślano postawę wojsk niemieckich w tych miesiącach, w ciągu których żołnierze niemieccy ponownie wykazali swoją doskonałość. Dobitnym wyrazem uznania dla wojsk niemieckich było przyznanie Krzyża Rycerskiego do Krzyża Żelaznego naczelnemu dowódcy działań wojennych w Warszawie Obergruppenführerowi SS i generałowi policji von dem Bach'owi. Ponadto nagrodzono najwyższymi odznaczeniami niemieckimi dowódców dwóch najtrudniejszych odcinków działań bojowych: Gruppenführer SS Reinefarth otrzymał Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego zaś Oberführer SS dr Dirlwanger Krzyż Rycerski do Żelaznego Krzyża (Ritterkreuz zum Eisernen Kreuz).

Znaczenie polityczne

Zwycięstwa w Warszawie nie należy jednak oceniać wyłącznie z punktu widzenia militarnego. Znacznie poważniejsze było polityczne znaczenie tego wydarzenia.

Wzniciając powstanie polski ruch oporu miał na celu zlikwidowanie władzy niemieckiej w Warszawie i po osiągnięciu zwycięstwa zmierzał do rozpętania powstania w całej Generalnej Guberni, aby w ten sposób utworzyć nowe państwo polskie. Ta „wolna Polska” miała być wywalczona przed nadejściem bolszewików, aby móc wobec Sowietów stanąć jako samodzielne państwo, które wyzwoliło się własnymi siłami.

Że taki był cel powstania świadczą jednomyślne oświadczenia licznych przywódców powstańców.

Rezultat walki wskazuje, że cel ten bynajmniej nie został osiągnięty. Za to milionowa Warszawa, uprzednio metropolia państwa polskiego, została tak doszczętnie zniszczona, że przedstawia ono obecnie jedno wielkie rumowisko¹¹.

Straszliwie wstrząśnięci przywódcy polscy otwarcie oceniali, że zduszenie powstania i całkowite zniszczenie Warszawy stanowi największą klęskę w dziejach polskich.

Ta ocena jest całkowicie słuszna, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że w toku walki ludność polska poniosła straszliwe straty. Trudno oczywiście ustalić liczbę zabitych, gdyż dziesiątki tysięcy jeszcze dotąd spoczywa pod ruinami. Z najróżniejszych kalkulacji wynika jednak na ogół ten sam rezultat: liczba zabitych po stronie polskiej wynosi co najmniej 180.000 a prawdopodobnie przekracza 200.000.

Nic zatem dziwnego, że ta ciężka klęska często porównywana jest z inną klęską, a mianowicie z bitwą pod Maciejowicami, która miała miejsce 150 lat temu i w której 10 października 1794 roku wódz powstańców polskich Tadeusz Kościuszko został zdecydowanie pobity przez Rosjan. Polski bohater narodowy miał wówczas zawołać: „*finis Poloniae*”. Nie wchodzimy w to czy słowa te zostały istotnie wypowiedziane, czy też raczej należą do skarbcza historycznej legendy. Nie mniej jednak istnieje silna analogia między klęską pod Maciejowicami a obecną klęską warszawską. Komunikat radiowy o kapitulacji nadany przez AK głosił również: „jest to koniec armii polskiej”.

11. Raport oczywiście przemilcza fakt, że Warszawa była z rozkazu Hitlera systematycznie niszczone, również po upadku powstania i ewakuacji ludności.

Kapitulacja Warszawy jest jednak równocześnie ciężką klęską Anglii.

Londyn sprowokował naród polski do powstania i do otwartej walki. W licznych audycjach w języku polskim czyniono polskiej Armii Krajowej wyrzuty, że nie wystąpiła jeszcze do walki przeciw Niemcom. Z Londynu nadane zostało hasło do rozpoczęcia powstania warszawskiego.

W nadziei na pomoc angielską Polacy podjęli walkę. Zostali ponownie dotkliwie rozczarowani. Bowiem w ciągu 63 dni walk Anglia wraz z Ameryką przeznaczyli na zaopatrzenie walczącej Warszawy tylko nikłą część samolotów zaangażowanych w codziennych atakach przeciw miastom niemieckim.

To postępowanie odpowiada całkowicie zwyczajom angielskim. Angielska deklaracja o gwarancjach dla republiki polskiej została już w 1939 roku podeptana. Została ona jednak dopiero ostatecznie zniweczona w czasie powstania, gdy Londyn ponownie zdradził Polskę, tym razem wobec Związku Sowieckiego.

Polska rozgłośnia „Świt” z najgłębszą goryczą przygwoździła tę zdradę. Gdy Anglia łzawymi artykułami przyjęła upadek powstania i gdy Churchill ze wzruszeniem mówił o „bohaterskiej epopei Warszawy”, powstańcza rozgłośnia zareagowała na to: „Zostawcie Warszawę w spokoju, wy wszyscy, którzyście Warszawie podpisali wyrok śmierci!”.

Te słowa stanowią najostrzejszą krytykę, jaką rozczarowani nacjonaliści polscy mogli sprecyzować pod adresem Anglii, która faktycznie podpisała Warszawie wyrok śmierci. Z wyjątkiem kilku zrzutów zaopatrzeniowych nie udzielono jej bowiem żadnej praktycznej pomocy. Rozczarowanie Polaków z powodu tej bezczynności Anglii jest powszechne. Podczas gdy do ostatnich miesięcy wiara w Anglię była u Polaków zadziwiająco mocna, została ona na skutek tej zdrady całkowicie zdruzgotana.

Klęska Warszawy stanowiła jednak w ostatecznym rozrachunku także klęskę Stalina.

Stalin swoją taktyką osiągnął oczywiście to, że inteligencja polska, która w głównej mierze walczyła w szeregach AK, bądź poległa w walkach, bądź też wpadła do niewoli. Jednak poza tym z góry przewidzianym sukcesem, rezultat powstania warszawskiego jest dla bolszewizmu zdecydowanie negatywny.

Przeważająca większość narodu polskiego była od dawna nastawiona antybolszewicko. Z jednej strony bowiem dostatecznie poznała reżym bolszewicki, z drugiej zaś wśród Polaków od zawsze panowała nienawiść do wszystkiego co rosyjskie. Szerokie kręgi ludności polskiej były jednak gotowe przejść do

porządku dziennego nad tymi animozjami i zaakceptować ze względów taktycznych sojusz z bolszewizmem. Liczono bowiem, że w ten sposób można będzie pozbyć się władzy niemieckiej. Również ta koncepcja okazała się teraz całkowicie fałszywa, jest bowiem faktem, że Stalin nie tylko nie przyszedł polskim nacjonalistom z pomocą, ale praktycznie stał z bronią u nogi, również w ostatnich dniach powstania, gdy powstańcy AK podjęli jeszcze raz rozpaczliwy atak. Polacy przekonali się niezbitcie że gra na rosyjską kartę może im w efekcie przynieść jedynie niepowodzenie, a nie oczekiwane odbudowanie ich dawnego państwa.

Przebieg konferencji moskiewskiej, odbytej w międzyczasie, która Polakom nic nie przyniosła, jeszcze raz potwierdził ten stan rzeczy przed całym światem.

Postawa ludności polskiej w czasie powstania

Rzut oka wstecz na przebieg powstania warszawskiego prowadzi do dalszych wniosków o wielkim znaczeniu politycznym. Dotyczą one postawy całej ludności.

Gdy AK rozpoczęła walkę, jej przywódcy liczyli na to, że zdołają porwać za sobą szerokie masy ludności warszawskiej i że powstanie stanie się świętą sprawą wszystkich Polaków.

Te oczekiwania przywódców AK całkowicie zawiodły. Należy przede wszystkim stwierdzić, że w Warszawie szerokie masy ludności ustosunkowały się negatywnie do powstania od dnia jego wybuchu, a co najmniej go nie poparły. W każdym bądź razie odnosi się to do pierwszych dziesięciu dni powstania, w czasie których zeznania jeńców lub osób cywilnych zgodnie stwierdzały, że ludność cywilna nie udziela dobrowolnej pomocy, a najwyżej bierze udział w budowie barykad, gdyż jest do tego zmuszana groźbami przez członków AK.

Przejęciowo ta postawa ludności warszawskiej zmieniła się w okresie między 10 a 20 sierpnia, gdyż wówczas miały miejsce ekscesy przybyłych do Warszawy Kozaków Kamińskiego w stosunku do polskich kobiet i dzieci. AK zdołała wówczas zaagitować ludność sugerując, że taki sam los czeka wszystkie kobiety i dzieci polskie. Wielu znalazło w ten sposób drogę do szeregów AK, lub też odtąd w inny sposób popierało powstanie.

Gdy oddziały Kamińskiego zostały wycofane, gdyż nie zachowały się one w Warszawie zgodnie z normami dyscypliny żołnierzy

W ostatnim okresie znaczna część ludności coraz bardziej kategorycznie domagała się zaprzestania powstania. Zostało to rzy niemieckich, szerokie masy ludności ponownie odwróciły się od AK i odąd zachowały się biernie wobec powstania¹². później jednoznacznie stwierdzone i to nie tylko na podstawie przesłuchań Polaków ale również zeznań Niemców którzy znajdowali się w niewoli u powstańców.

Jeszcze bardziej jednoznaczna była postawa ludności wiejskiej. Ta była przeciwna powstaniu od początku do końca. Świadczył o tym fakt, że odmawiała ona wszelkiej realnej pomocy powstańcom, a nawet budowała w pobliżu Warszawy szańce, które w głównej mierze skierowane były przeciw powstańcom.

Ludność wiejska wykazywała swój negatywny stosunek do powstania w wypadkach konkretnych. Gdy część uciekających z Warszawy AK'owców przedostała się na południe w okolice puszczy Kampinowskiej, grupa licząca około 1600 osób nie otrzymała żadnej pomocy ze strony ludności. Dzięki temu można było powstańców tych w ciągu 24 godzin osaczyć i zniszczyć.

Podobną postawę wykazywała polska ludność wiejska wobec wszelkich prób zmierzających do przyciągnięcia ich do powstania, lub co najmniej do tworzenia band, które by atakowały tyły wojsk niemieckich. Ludność wiejska nie zorganizowała w tych miesiącach ani jednej bandy. Podobnie nie wykonano w tym czasie ani jednego aktu sabotażu. Raczej odwrotnie: właśnie w tych miesiącach ludność wiejska jak również ludność miejska

12. Mieczysław Kamiński, ur. w Poznaniu w 1896 r., po rewolucji 1917 r. długoletni więzień w Związku Sowieckim, stworzył w czasie okupacji w Rosji tzw. RONA (*Russkaja Oswobodietelnaja Narodnaja Armija*). Werbował do niej wszelkie szumowiny społeczne, wypuszczonych z więzień kryminalistów żadnych grabieży. Jego oddziały, używane do terroryzowania ludności rosyjskiej i niszczenia partyzantów, uciekły w 1944 roku wraz z Niemcami do Polski. 31. 7. 1944 Kamiński otrzymał od Himmlera nominację na Brigadengeneral (generał Brygady). Jego oddziały istotnie odegrały straszliwą rolę w czasie tłumienia powstania. Krannhals podaje, że wśród tysięcy wymordowanych i zgwałconych kobiet znajdowały się również Niemki spośród cywilnej ludności Warszawy. Oddziały Kamińskiego zostały na skutek alarmów prasy światowej wycofane z Warszawy a sam Kamiński odwieziony do Łodzi, skazany na śmierć i stracony.

Jak już zwróciłem uwagę raport usiłuje wszystkie zbrodnie przypisać brygadzie Kamińskiego, nazywając ich enigmatycznym skrótem „Russische Kozaken”. Obok nich walczyły liczne pomocnicze oddziały „SS” rekrutowane spośród sowieckich jeńców wojennych, głównie spośród ludów muzułmańskich republik ZSSR (ludność nazywała ich „Kałmukami”).

Warto zwrócić uwagę na inny fakt. W Warszawie istniały różne „Einsatzkomandos”. Niemniej straszliwą sławę jak brygada Kamińskiego zyskały jednostki SS dowodzone przez Obergruppenführera dr. Hansa Dirlwangerera, a jest on w raporcie wymieniony jako jeden z trzech najwyższych odznaczonych oficerów dowodzących w Warszawie (Krannhals, *op. cit.*, str. 319 i inne).

w okolicznych powiatach skrupulatnie i lojalnie wykonywały rozkazy władz niemieckich.

Najdobitniej uwidoczniło się to przy budowie licznych okopów do których codziennie i punktualnie stawiało się ponad 40.000 Polaków. Nie zmieniło się nic nawet wtedy, gdy lotnicy rosyjscy zaczęli ostrzeliwać z broni pokładowej budowniczych okopów, których dzienne straty w ludziach osiągały niekiedy do 40-tu zabitych i rannych. Wbrew wszystkiemu Polacy wykonywali prace przy okopach w pobliżu linii frontowej i to w warunkach codziennego ostrzeliwania¹³.

Ta praktyczna postawa jest najlepszym i jednoznacznym dowodem, że szerokie masy ludności polskiej zdecydowanie negatywnie ustosunkowały się do powstania warszawskiego.

Ta ogólna tendencja ludności polskiej została następnie jednoznacznie potwierdzona w wypowiedziach jeńców z polskiej dywizji Berlinga. Dywizja ta stanowi jednostkę armii bolszewickiej w skład której wchodzi wyłącznie Polacy. Jeńcy z tej dywizji zgodnie zeznawali, że przy wkroczeniu na teren dystryktu warszawskiego nie tylko nie zostali powitani przez ludność polską jako wyzwoliciele, ale że odnoszono się do nich z rezerwą i wyjątkowo zimno, a nieraz nawet z lodowatą niechęcią. Według zeznań tych jeńców wojennych ludność polska w odpowiedzi na ich zdumione pytania często oświadczała, że wprawdzie pod władzą niemiecką panował surowy reżym, ale że równocześnie Niemcy zazwyczaj troszczyli się o zapewnienie pracy i chleba. Dlatego też Polacy nie odczuwają żadnej tęsknoty za bolszewizmem.

Wzmocnia to wysuniętą tu tezę, że szerokie masy ludności polskiej z przekonania odrzucają wszelkie próby zlikwidowania władzy niemieckiej na tych terenach.

Wnioski polityczne

Fakt że ludność polska w ogromnej większości ma nastawienie antybolszewickie, został przez powstanie w Warszawie jeszcze raz potwierdzony. Jest również oczywiste, że Polacy czują się obecnie zdradzeni przez Anglię i że nie stawiają więcej na obietnice angielskie. Polacy czują się w tym stanie rzeczy całko-

13. Ostatnie tezy raportu wyraźnie obliczone były na użytek propagandowy, a może dla poprawienia *image* Zarządu Cywilnego w oczach zwierzchnich władz. Dziesiątki tysięcy ludności polskiej kopało okopy jedynie pod przymusem. Jak podaje Krannhals, po zdławieniu powstania w okolicach Warszawy bynajmniej nie zapanował spokój, przeciwnie, sztab IX-tej armii codziennie otrzymywał meldunki o ożywionej działalności partyzanckiej.

wicie opuszczeni. U wielu zaczyna przez to budzić się pogląd, że w obecnej sytuacji istnieje w Europie jedyna potęga, na którą naród polski jest zdany: Rzesza Niemiecka. Szerokie masy ludności polskiej w wyniku powstania warszawskiego bez wątpienia zrewidowały swój stosunek do nas, Niemców. Musiały przede wszystkim stwierdzić, że prorokowane z całą pewnością załamanie się Rzeszy nie tylko nie nastąpiło, ale że właśnie w okręgu warszawskim Niemcy poprzez zduszenie powstania i zatrzymanie nawałnicy rosyjskiej wykazali siłę i moc, jakich żaden Polak już się nie spodziewał.

Na silną zmianę nastrojów wobec władzy niemieckiej wyjątkowo pozytywnie wpłynęła rycerska postawa, jaką wykazał Obergruppenführer SS von dem Bach wobec powstańców w trakcie rokowań kapitulacyjnych, a także daleko idąca opieka okazana ludności cywilnej Warszawy ze strony niemieckiego Zarządu Cywilnego.

Tylko tym można wytłumaczyć fakt, że abstrahując od nieznacznej działalności band na całym obszarze Dystryktu Warszawskiego panuje obecnie całkowity spokój i że mimo bliskości frontu, wszystkie ważne zadania wojenne stawiane ludności polskiej wykonywane są w sposób najbardziej lojalny.

Ten nastrój ludności polskiej powinniśmy my, Niemcy, zrzęcznie wykorzystywać.

Nie jest konieczne czynienie Polakom jakichkolwiek oficjalnych przyrzeczeń, aczkolwiek wywarłoby to obecnie niewątpliwie dodatni wpływ, gdyby w trybie zarządzeń władz lokalnych Polacy wciągnięci zostali do współpracy w niższych urzędach. Jednakże tego rodzaju kroki nie są elementem zasadniczym.

O wiele ważniejsze jest, by wreszcie ustało ciągłe obrażanie ludności polskiej przez zestawienie: „Żydzi, Polacy i Cyganie” powtarzane w niemieckich oświadczeniach w Rzeszy.

Przyzwolita część ludności polskiej słusznie odczuwa jako zniewagę i bolesną obelgę tego rodzaju zrównanie z Żydami i Cyganami. Gdyby w tej dziedzinie ze strony Rzeszy nastąpiła ostentacyjna zmiana, oddziaływałoby to nadzwyczaj pozytywnie¹⁴.

Poza tym, w dowód uznania dla ogólnej postawy społeczeństwa polskiego muszą zdecydowanie ustać wszelkie akty samo-

14. Fischer jest świadomy, że chodzi tu nie o obelgę i „dumą narodową”, ale że zestawienie „Żydzi, Polacy i Cyganie” miały swój złowrogi wydźwięk. Po eksterminacji obu wymienionych grup narodowościowych musiało ono wywołać uzasadniony niepokój o los i po prostu o fizyczne przetrwanie narodu polskiego. Wśród ludności często wyrażano przekonanie: „po Żydach przyjdzie nasza kolejka”.

Jak podaje Krannhals Himmler usiłował to „fatalne określenie” zmienić, począwszy od 10 marca 1944 (*op. cit.*, str. 302).

woli, jakich niestety nie brakło w ostatnich pięciu latach. Polak ma wyraźne zrozumienie dla surowych posunięć wynikających z sytuacji wojennej. Natomiast akty samowoli ranią jego dumę narodową. Gdybyśmy zaniechali tego rodzaju środków samowoli i poprzez ostre ale sprawiedliwe traktowanie Polaków przynajmniej wywołali poczucie istnienia reżymu sprawiedliwego, moglibyśmy wpłynąć na dalszy rozwój obecnego pozytywnego nastawienia ludności polskiej. Można by też w ten sposób doprowadzić Polaków do przekonania, że tylko ze strony Rzeszy oczekiwać można poważnego potraktowania interesów narodu polskiego.

Polityka niemiecka ma obecnie wspaniałą okazję jaka już raz zaistniała w chwili wybuchu wojny przeciw bolszewizmowi. Przygnębienie spowodowane klęską, a zwłaszcza uczucie ludności polskiej, że została opuszczona i zdradzona przez wszystkich sojuszników, daje nam jeszcze raz szansę spacyfikowania obszaru Wisły na drodze dalekowrotnej, mądrej polityki i zgodnie z niemieckimi kierowniczymi aspiracjami.

Idea europejska jest szeroko rozpowszechniona wśród społeczeństwa polskiego. Dotychczas jednak Polacy ogarnięci byli troską, że oni sami nie znajdą swego miejsca w zjednoczonej Europie. Jeśliby im teraz dano nadzieję że i oni w tej zjednoczonej Europie znajdą odpowiadające ich upodobaniom i obyczajom warunki życia i rozwoju, można by teraz w Generalnej Guberni znaleźć u przeważającej części narodu polskiego zdecydowane poparcie dla tego rodzaju polityki niemieckiej. Z upływem czasu coraz bardziej ugruntowałoby się przekonanie, że w tej przyszłej Europie, w interesie Zachodu, Rzesza Niemiecka musi stać się politycznym, gospodarczym duchowym i kulturalnym ośrodkiem (*Mittelpunkt*).

O ile rezultaty powstania warszawskiego w tym duchu praktycznie wykorzystamy, może się okazać, że to powstanie, które setki tysięcy Polaków zepchnęło w stan bezgranicznej nędzy, równocześnie wywarło zbawienny wpływ na losy Kraju Nadwiślańskiego.

(Tłumaczył Paweł Korzec z Politisches Archiv — Bonn, Pol. V-611/3. 5 Aufzeichnungen und Berichte über den Aufstand der polnischen Widerstandsbewegung in Warschau. Numeracja Kenn't'a, tom 3, Serial 1698/398095-398102).

Malina MALINOWSKA

CZTERY LISTY GOMUŁKI

ODPIS

Warszawa, 27 marca, 1956 r.

Władysław Gomułka
W-wa, ul. Saska 109 m. 9.

Do redakcji „Trybuny Ludu”,
w miejscu,
ul. Miedziana 11

W *Trybunie Ludu* z dnia 26 marca br. ukazał się artykuł J. Morawskiego, przedrukowany za *Nowymi Drogami* nr 3 z br. W artykule tym ponownie mówi się o stanowisku tzw. „gomułowczyzny”, co każdy uważa za równoznaczne ze stanowiskiem Gomułki, a więc moim.

W związku z tym pragnę oświadczyć, że poglądy wyrażone w tej sprawie przez autora artykułu niewiele mają wspólnego z rzeczywistym stanowiskiem, jakie zajmowałem w przeszłości w zagadnieniach poruszanych w artykule.

Przypuszczam, że *Trybuna Ludu*, która w przeszłości niejednokrotnie umieszczała skierowane przeciwko mnie artykuły pełne kłamstwa, fałszerstw, oszczerstw i brudnych insynuacji, będzie uważała sobie obecnie za obowiązek podać powyższe oświadczenie do publicznej wiadomości.

Z poważaniem,

(—) Wł. GOMUŁKA

ODPIS

Warszawa, dnia 9 kwietnia 1956 r.

Władysław Gomułka
W-wa, ul. Saska 109 m. 9.

Do
Biura Politycznego KC PZPR
w miejscu

Z przemówienia pierwszego Sekretarza KC PZPR wygłoszonego na naradzie aktywu partyjnego Stolicy i województwa warszawskiego i ogłoszonego w *Trybunie Ludu* z dnia 7 kwietnia br.

dowiedziałem się o rehabilitacji; o oczyszczeniu mnie z oszczerzonych zarzutów wrogiej i dywersyjnej działalności.

Dla wszystkich, którzy się do tego przyczynili, mogę czuć tylko wdzięczność.

W stosunku zaś do tych, którzy wobec mnie świadomie stosowali metody oszczerstwa i prowokacji mam prawo domagać się wyciągnięcia wszystkich konsekwencji.

W tym samym przemówieniu, w celu uzasadnienia walki z tzw. oportunistycznym i nacjonalistycznym odchyleniem w partii znalazły się sformułowania skierowane pod moim adresem zniekształcające w sposób istotny moje stanowisko zajmowane w przeszłości w poruszanych w tym przemówieniu zagadnieniach.

Rzecz jasna, że kierownictwo partii może każdą sprawę, a więc i moje poglądy wyrażane w przeszłości na różne zagadnienia oceniać tak, jak to uważa za słuszne. Chodzi jednak o to, aby posługiwało się pełną prawdą, faktycznymi materiałami, a nie domysłami i przeinaczonymi faktami.

Jeśli kierownictwo partii uznało za potrzebne poinformować partię i opinię publiczną o moich poglądach na ważne sprawy polityczne i gospodarcze, to mam pełne prawo wymagać, aby informacja taka była obiektywna, odpowiadała rzeczywistej prawdzie i oparta na faktycznych materiałach. Tak się, niestety, nie stało.

Równocześnie zwracam się o poinformowanie mnie, jakie stanowisko zajmuje obecnie kierownictwo partii wobec dotyczących mnie i znanych mi (a być może i nieznanymi) organizacyjnych uchwał plenarnych posiedzeń Komitetu Centralnego Partii podjętych w przeszłości.

Załączam niniejszym odpis pisma do Prezydium Rządu PRL w sprawie zwrotu zabranych mi materiałów.

(—) *Władysław GOMUŁKA*

ODPIS

Warszawa, dnia 9 kwietnia 1956 r.

Władysław Gomułka
W-wa, ul. Saska 109 m. 9.

Do
Prezydium Rządu PRL
na ręce Premiera ob. J. Cyrankiewicza

Na podstawie uchwały Rządu PRL, zakomunikowanej mi na piśmie podpisanym przez ówczesnego Ministra Bezpieczeństwa Publicznego ob. Radkiewicza, zostałem aresztowany w dniu 2 sierpnia 1951 r. i osadzony w izolacji.

Zwolniono mnie dopiero w dniu 13 grudnia 1954 r., przy czym ówczesny Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego ob. Dworakowski jako przyczynę aresztowania podał mi, iż „wymagały tego interesy państwa”.

Po aresztowaniu mnie (wraz z żoną, którą również trzymano 3 lata w więzieniu bez sankcji prokuratorskiej) pracownicy b. Ministerstwa Bezpieczeństwa dokonali bez świadków rewizji w moim mieszkaniu, zabierając mi między innymi wszystkie moje rękopisy i maszynopisy, zawierające treść przemówień publicznych i wewnątrzpartyjnych, odpisy listów do KC partii, w tym również odpis listu do Stalina z grudnia 1948, różne notatki sporządzone dla pamięci, pokwitowania różnej treści, zbiory wydawnictw okupacyjnych, niektóre książki i broszury itp. materiały stanowiące moją prywatną własność.

Dokładny spis zabranych mi materiałów (oprócz notatek i pokwitowań) zawiera wykaz, który sporządziłem przed aresztowaniem. Wykaz ten znajdujący się w moim mieszkaniu w 2-ch egzemplarzach maszynopisu, został również zabrany przez funkcjonariuszów b. Ministerstwa Bezpieczeństwa dokonywujących rewizji domowej.

Wymienione materiały dotychczas nie zostały mi zwrócone, chociaż kilkakrotnie zwracałem się o to ustnie tak bezpośrednio, jak i za pośrednictwem mojej żony.

Wobec powyższego zwracam się do Prezydium Rządu o wydanie polecenia nakazującego natychmiastowy zwrot na moje ręce zabranych mi materiałów wraz ze wspomnianym wykazem i zlikwidowanie w ten sposób jeszcze jednej nieprawości.

(—) WŁ. GOMUŁKA

ODPIS

Warszawa, 29 maja 1956 r.

Władysław Gomułka
W-wa, ul. Saska 109 m. 9.

Do
Biura Politycznego PZPR
na ręce tow. A. Zawadzkiego
w miejscu

W związku z dwukrotną rozmową, jaką przeprowadzili ze mną przedstawiciele Biura w dniach 9 i 19 maja br. oraz zapowiedzianą przez tow. Zawadzkiego dalszą kontynuację rozmów, proszę o udzielenie mi odpowiedzi przy najbliższym spotkaniu na niżej sformułowane pytania:

1. Wobec przyjęcia w r. 1951 przez Biuro Polityczne KC PZPR

nieopublikowanej uchwały o wykluczeniu mnie z Partii z tych samych powodów, które posłużyły do bezpodstawnego aresztowania mnie i przetrzymywania w więzieniu przez blisko trzy i pół lat — zapytuję:

— Jak ustosunkowuje się obecnie Biuro Polityczne do sprawy anulowania wzmiankowanej uchwały i przywrócenia mi praw członka partii?

2. Wobec podtrzymywania przez Biuro Polityczne zarzutów o tzw. prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniu, którego miałem być reprezentantem,

— wobec tego, że podstawowe zarzuty, które stanowiły oś wszystkich innych oskarżeń o odchylenie zostały rozwiązane przez życie w zasadzie zgodnie ze stanowiskiem, jakie zajmowałem w przeszłości,

— wobec tego, że niektóre najbardziej istotne sprawy różniące mnie z innymi członkami Biura nie zostały podane do wiadomości na plenum KC PZPR odbytym w sierpniu i wrześniu 1948 roku a niektóre zostały opacznie lub wręcz fałszywie przedstawione,

— wobec tego, iż w przeszłości, kiedy omawiano sprawy tzw. prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia nie było warunków, które pozwoliłyby mi przedstawić Komitetowi Centralnemu Partii całościowo okoliczności bezpośrednio związanych ze stanowiskiem, jakie zajmowałem w sprawach, będących przedmiotem krytyki na plenarnych posiedzeniach Komitetu Partii — zapytuję:

— czy obecnie zostanie mi umożliwione ustosunkowanie się na najbliższym plenarnym posiedzeniu KC PZPR do podtrzymywanych przez Biuro Polityczne zarzutów składających się na treść zawartą w tezie o prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniu od linii partii?

3. Wobec tego, że członkowie Biura powołali się na moją samokrytykę, jaką złożyłem w przeszłości „oświadczam, że moją samokrytykę przekreśliło życie, że krytykowałem siebie za to, za co krytykować nie należało, że stanowisko, jakie zajmowałem w podstawowych zagadnieniach poddanych krytyce i samokrytyce w świetle późniejszych wydarzeń ukazało się słuszne.

Zwracam się o udzielenie mi odpowiedzi na powyższe pytania nie dlatego, że poruszone sprawy dotyczą mnie osobiście, lecz dlatego, że uważam, iż mają one zasadnicze znaczenie dla całej partii. Pozwoli mi również i to podjąć decyzje w sprawach dotyczących mnie bezpośrednio.

Jednocześnie zapytuję, kiedy zostaną mi nareszcie zwrócone materiały zabrane podczas rewizji domowej, o co zwracałem się do Prezydium Rządu pismem z dnia 9 kwietnia br.

(—) Wł. GOMUŁKA

UWAGI

W związku z opublikowanymi powyżej materiałami nasuwają się uwagi następujące:

1. Gomułka został zwolniony z więzienia w grudniu roku 1954. Ponieważ w żadnym z powyższych listów nie ma wzmianki o jakiejś korespondencji wcześniejszej, przypuszczać należy, że pertraktacje pomiędzy nim a przedstawicielami Biura Politycznego zaczęły się dopiero wiosną 1956 roku. Spośród wydarzeń, jakie upłynęły pomiędzy datą jego wypuszczenia z więzienia a datą jego pierwszego listu do Biura Politycznego, najistotniejsze znaczenie miały dlań, oczywiście, XX-ty Zjazd Partii Radzieckiej i śmierć Bieruta. Znaczenia drugiego z tych wydarzeń nie można tu przeoczyć. Znamienna jest opinia wyrażona w swoim czasie przez St. Kuzińskiego (sekretarza Bieruta), że Bierut był najbardziej nieubłaganym przeciwnikiem Gomułki w Biurze Politycznym, że m.in. przeciwstawiał się on zwolnieniu Spychalskiego w czasie, gdy opowiadała się już za tym część Biura Politycznego. (Fakty te musiały być znane również Gomułce). Sprawa Gomułki i „gomułkowszczyzny” jest jedną z tych, które dają podłoże do snucia rozważań o regule „podwójnego autorstwa” wydarzeń na współczesnej polskiej arenie politycznej. Nie ulega wątpliwości, że na losy Gomułki wpływ zasadniczy wywarła polityka radziecka; jego upadek i aresztowanie należy rozpatrywać w kontekście analogicznych wydarzeń w innych krajach bloku radzieckiego. Jednakże rolę istotną odgrywała tu również rywalizacja pomiędzy Gomułką a Bierutem. Każdy z nich uważał się za powołanego do absolutnej władzy nad partią i Krajem i nie mógł wskutek tego ścierpieć obecności drugiego na arenie politycznej.

2. Gomułka został politycznie „zlikwidowany”, według bolszewickich, stalinowsko-bierutowskich reguł pomiędzy czerwcem a wrześniem 1948. Co prawda — przemawiał jeszcze na zjeździe zjednoczeniowym, jednakże występował na nim, rzecz można, w charakterze politycznego upiora. Tzw. II plenum z listopada 1949 należałoby, według bolszewickich obyczajów traktować jako bezpośrednią zapowiedź procesu Gomułki. Mimo to areszt Gomułki nastąpił dopiero w sierpniu 1951. Gomułka nie był torturowany (mimo że zostali poddani torturom Spychalski i Korczyński). Jak na warunki więzienne typu radzieckiej bezpieki traktowany był stosunkowo łagodnie. Zwolniony został w roku, w którym w Rumunii zdążono jeszcze rozstrzelać Patrascanu.

Nasuwają się pytania, skąd to odchylenie się biegu spraw w Polsce od wzorca, pod który sprawa Gomułki podpada. Kwestia jest o tyle interesująca, że w okresie „październikowym” usiłowano, jak wiadomo, zbić kapitał polityczny na fakcie, że Polska była jedynym krajem „demokracji ludowej”, w którym nie dopuszczono do procesu przywódców partyjnych. Miało to być świadectwem humanitaryzmu Bermiana, Zambrowskiego (i Rad-

kiewiczza?), którzy „nie dopuścili do najgorszego”, mimo że w stalinowskim aparacie terroru każde kółko miało świadomość tego, że jutro może się stać częścią miazdżonego materiału. Motywacja odwołująca się do czułego sumienia tych osób byłaby jednak humorystyczna. Natomiast owa niezbywalna świadomość wszystkich elementów stalinowskiej maszyny — że rada ona wiele własne części — powinna istotnie być uwzględniona przy wyjaśnianiu. Ludziom tym istotnie musiało chodzić po głowie, że nie od nich będzie zależała decyzja na kim się skończy to, co się zacznie od likwidacji Gomułki, że zapewne niewielu z nich uniknie, wraz z Bierutem, tak bardzo pamiętnego im losu przywódców KPP. Na zebraniu partyjnym w FSO w roku 1968 Gomułka powiedział: „Oni uratowali mi życie”. Mówił, bez wątpienia, o członkach ówczesnego Biura Politycznego, nie wiadomo jednak, kogo osobiście miał na myśli — Bermana? Minca? Zambrowskiego?

Zwolnienie Gomułki było zapewne bezpośrednim rezultatem listopadowej narady aktywu, na której z krytyką Biura Politycznego i, jak się zdaje, Bieruta osobiście, wystąpili przedstawiciele obu późniejszych grup nacisku, puławskiej i natolińskiej.

3. Na naradzie aktywu z 7. IV. 1956, o której mowa w pierwszym z powyższych listów Gomułki do Biura Politycznego, po raz pierwszy padło publicznie żądanie partyjnej rehabilitacji Gomułki i przyznania mu miejsca w centralnych władzach partii. Osobą, która wystąpiła z tym żądaniem, był Henryk Holland. Został za to tamże straszliwie zgromiony przez Ochaba i Staszewskiego.

Tajemnicza śmierć Hollanda miała się potem stać wydarzeniem znamionującym początek pewnej nowej ery w dziejach likwidacji „października”, w sukcesach ofensywy moczarowców i w politycznym rozgromieniu „puławian”, których niedobitki będą potem jeszcze przez czas dłuższy piastowały posady w aparacie partyjnym i państwowym i trzęsły się o nie. Wspomnieć warto, że podczas owej rewizji u Hollanda, która skończyła się jego śmiercią również nie było świadków, tak samo jak w czasie rewizji, o której wspomina Gomułka w liście do Cyrankiewicza.

4. Jest rzeczą wiadomą, że na zamkniętych konwentyklach góry partyjnej najwcześniej zaczęli się domagać powrotu Gomułki do władzy natolińczycy. Ponieważ grupa ta niewątpliwie była agenturą Kremla, świadczy to, że Gomułka jeszcze przed dojściem do władzy cieszył się zaufaniem jakiejś części kierownictwa radzieckiego. Z drugiej strony, również pewną rzeczą jest to, że Gomułka nie chciał przyjąć władzy z rąk Natolina. U podłoża tej niechęci z pewnością nie leżał niezamaskowany antydemokratyzm grupy natolińskiej, ani też fakt, że Natolin był bardzo niepopularny w społeczeństwie, gdyż gomułkowska formuła rządzenia nigdy nie polegała i nie polega na zabieganiu o popularność jego polityki wśród rządzonych. Wyjaśnienia szukać należy raczej w swoistym bolszewickim „legitymizmie” Gomułki, nie

mającym nic wspólnego ze sprawami popularności, praworządności czy demokracji. Gomułka pragnął inwestytury od aktualnie będącego u władzy K.C. i Biura Politycznego, bez odwołania się do jakiejkolwiek pozainstytucjonalnej grupy nacisku, no i, naturalnie, społeczeństwa. W ówczesnym Biurze Politycznym jedynie Nowak był reprezentantem Natolina.

Tekstem charakterystycznym z powyższego punktu widzenia jest list Gomułka do Zawadzkiego. Dowodzi on, że przynajmniej od czasu wypadków poznańskich Gomułka w swych pertraktacjach z Biurem Politycznym bynajmniej nie zamierzał się odwoływać do takiego czynnika jak nastroje panujące w społeczeństwie. Dowodzi on również, że przedmiotem pertraktacji nie były jakieś „demokratyzacyjne” postulaty Gomułka czy w ogóle sprawy dotyczące jakichś istotniejszych reform: powrót Gomułka na stanowisko I-go Sekretarza miał się, wedle jego postulatów, odbyć pod znakiem odwołania oskarżeń o „odchylenie”.

Ciekawa jest tu sama stylistyka listów. Spośród czterech listów tu publikowanych, jeden dotyczy osobistych praw Gomułka; trzy pozostałe są dokumentami politycznymi *par excellence*. Otóż rzuca się w oczy to, że nie ma w nich żadnej, choćby czysto frazeologicznej wzmianki o Polsce, o społeczeństwie, czy choćby, zgodnie z oficjalnym obrządkiem, o klasie robotniczej. W stylu tej korespondencji znajduje niezamierzony wyraz koncepcja zamkniętego politycznego kręgu partyjnej elity uniezależnionej od rządzących.

Jeśli Gomułka powrócił do władzy na podstawie swoistej akłamacji narodowej, jako mąż zaufania szerokich mas społeczeństwa pragnących przełamania tego monopolu, to stało się tak na skutek niezależnego od niego biegu wydarzeń: zajęć poznańskich, głębokiego politycznego wrzenia w społeczeństwie, powszechnej reakcji na gościnne występy „cyrku Chruszczowa” w Warszawie w listopadzie 1956. W tych warunkach odwykłe od aktywności politycznej społeczeństwo dało sobie na pewien czas narzucić legendę, według której Gomułka, jako ofiara stalinizmu, był „z natury rzeczy” predysponowany na szermierza demokratyzacji i dążeń do uniezależnienia Kraju.

5. Poruszając w listach sprawę swych samokrytyk Gomułka kwituje zupełnym milczeniem fakt, że zostały na nim wymuszone. Obstaje wyłącznie przy tym, że „przekreśliło je życie” i stwierdza, że nie powinien był tych samokrytyk składać. Być może, pomijanie tej sprawy miało sprzyjać legitymistycznemu przejściu władzy. Na dobro Gomułka należy zapisać to, że chociaż od czasu ponownego objęcia władzy przeprowadził szereg koniunkturalnych zmian w swej ekipie, żadnego z usuniętych nie zmuszał do składania samokrytyki.

6. Sprawa odwołania oskarżenia o „odchylenie” natrafiała na trudności. Niewiarygodne jest przypuszczenie, że ludzie typu

Zambrowskiego etc. opierali się żądaniom Gomułki ze względu na jakieś przekonania, które w swoim czasie kazały im Gomułkę oskarżyć i przy których trwali. Oświadczenie, jakiego domagał się Gomułka, było jednak dla nich wysoce kompromitujące — to zaś znaczy, że pozbawiało ich wszelkiego autorytetu w partii i czyniło politycznymi jeńcami Gomułki.

Charakteryzując stosunek ówczesnej góry partyjnej do Gomułki można jednak bez zbytnej naiwności uznać, że istniały w niej również pewne inne opory przeciwko powrotowi Gomułki do władzy. Według opinii krążących w Warszawie, zwłaszcza przed VII plenum 1956 oraz bezpośrednio po nim, tzw. „młodzi sekretarze”, Matwin, Morawski, Albrecht, życzyli sobie jakiejś bliżej nie sprecyzowanej demokratyzacji i zdawali sobie sprawę, że powrót Gomułki do władzy będzie przekreśleniem tych marzeń.

7. Na uwagę zasługuje wzmianka Gomułki o liście, który napisał był do Stalina w grudniu 1948 roku. Niestety, z opublikowanych tu materiałów nie wynika, czy list ten został napisany przed zjazdem zjednoczeniowym, czy po nim, ani co było jego treścią.

Malina MALINOWSKA

D. K.

NA MARGINESIE POLEMIKI GOMUŁKI

Znając apologetyczną drażliwość PZPR wobec swej genealogii, za ewenement uznać można opublikowanie dokumentów, rzucających ostre światło na PPR okresu okupacji. Sprowokowany zaś publikacją Gomułka ujawnił szereg spraw z ówczesnej rzeczywistości jak i późniejsze ich zafałszowania¹. Uwagi Gomułka, z natury polemiki fragmentaryczne, ale z istotnymi nie-domówieniami, skłaniają do pewnych refleksji.

Gomułka twierdzi, że on był inicjatorem koncepcji KRN jako swoistego „zamachu stanu”, uderza jednak, że nie wymieniają go w tym względzie relacje ówczesnych działaczy². Istotniejszy jest termin powstania koncepcji, który Gomułka określa na przełom września/października. Dementuje opinię jakoby nastąpiło to wiosną 1943 po zerwaniu rozmów z Delegaturą:

„... jeszcze przez kilka miesięcy nie zmienialiśmy naszej zasadniczej linii wobec Delegatury... byliśmy dalecy od spalania za sobą wszystkich mostów”.

Zapewne jest to prawdziwe w odniesieniu do koncepcji KRN, ale jest to prawda cząstkowa. W odezwie bowiem z maja PPR zakwestionowała prawomocność rządu Sikorskiego i postulowała utworzenie rządu opartego na „antyfaszystowskim froncie naro-

1. *Archiwum ruchu robotniczego, II, 1975*. Protokół pierwszego posiedzenia KRN. Notatki protokolarne z posiedzeń KC PPR, maj-czerwiec 1944. *Zeszyty Historyczne* nr 39, 1977.

2. W relacji Chełchowskiego (*Centralne Archiwum 887*): „Projekt KRN wysunięty został przez Findera, a po jego aresztowaniu realizowany przez Gomułkę”. Według Roli-Żymierskiego (CA 6840) koncepcja KRN wyszła od Findera. Latem 1943 Józwiak twierdził, że on wysunął taką koncepcję już wiosną, ale uznana została za przedwczesną. Natomiast Osóbka-Morawski (CA 15) podaje, że koncepcja KRN powstała w listopadzie, ale Gomułka nie wymienia.

dowym³. Pojawienie się tego terminu (w użyciu KP Jugosławii) i treść odezwy sygnalizują kierunek zmiany linii PPR.

Prawdą jest, że PPR nie zaniechała ofert pod adresem SL, ale w istocie stanowiły one co najwyżej gesty i naciski polityczne. Trudno sobie wyobrazić, by PPR wierzyła w ich aktualną skuteczność. Jeśli rachuby PPR ożywiły się, gdy Mikołajczyk został premierem, były oczywiście iluzoryczne. Na powołanie przez rząd w sierpniu KRP⁴ odpowiedzią PPR mogło być jedynie zmontowanie przeciwstawnego ugrupowania, które mogłoby pretendować do roli reprezentacji politycznej. To zapewne miał na myśli Gomułka pisząc, że przyszedł czas na „samodzielny czyn zjednoczonych sił polskiej demokracji⁵”. Jedyny wydający się realnym kontrahent — RPPS nie była jednak skłonna do współdziałania z PPR⁶. Uważała ją za „partię sowiecką”, a ZSSR za państwo imperialistyczne. Niezadługo RPPS przystąpi do montowania „swego” ugrupowania uprzedzając powstanie KRN.

Nie wydaje się, by uwagi Gomułki naruszyły pogląd, że od wiosny 1943 rozpoczął się zwrot w polityce PPR, przechodzenie do tzw. „drugiej alternatywy strategicznej⁷”. Zanika wyjściowe hasło PPR — „szerokiego frontu narodowego” z udziałem komunistów, ale przeprowadzonego przez partie burżuazyjne (typu francuskiego czy czeskiego). Zastąpić go ma zwężony wariant: „demokratyczny front narodowy” pod przewodnictwem komunistów (typu jugosłowiańskiego). PPR pozostaje jednak wciąż w osamotnieniu politycznym. Liczy tym bardziej na bodźce działające na jej rzecz w rozwoju sytuacji wojenno-politycznej. W tym sensie dyskontuje październikową konferencję ministrów spraw zagranicznych w Moskwie⁸. Na nią i na wzmocnioną pozycję ZSSR powołuje się list wewnątrzpartyjny mówiący o „rządzie krajowym”. Zalecając kontakty z SL, RPPS i in. zapowiada, że jeśli nie dojdzie do porozumienia od góry, PPR pójdzie „ponad głowami kierownictw tych organizacji”, by stworzyć od dołu przedstawicielstwo krajowe⁹. Taka decyzja już faktycznie zapadła na przełomie października/listopada.



3. Odezwa KC PPR „Do narodu polskiego”, maj 1943. W X-tą rocznicę powstania PPR, *Materiały i dokumenty*, 1952.

4. KRP — Krajowa Reprezentacja Polityczna.

5. *Trybuna Wolności*, 1. 9. 1943. „O myśl polityczną polskiej demokracji”.

6. Na tzw. III-cim Zjeździe RPPS w połowie września wśród 24 uczestników tylko 4 opowiedziało się za współpracą z PPR.

7. Według określenia Przygońskiego. Sesja XX-lecia PPR, 1962.

8. *Trybuna Wolności*, 22. 11. 1943. Ze sformułowaniem skądinąd dziwnym w języku marksistów: „Ideologiczne podłoże konferencji może i powinno stać się również podstawą ideologiczną dla przełomu społeczno-politycznego w Polsce”.

9. List Sekretariatu KC PPR, 23. 11. 1943 z podpisem „Wita” (Józwiaka).

Sprostowanie, że nie było specjalnego komitetu dla uruchomienia KRN jest szczegółem ciekawym dla historyków. Istotniejsze są wzmianki o toczonych wówczas dyskusjach. Nie było rozbieżności co do generalnej koncepcji KRN, Gomułka nie omieszczałby o nich wspomnieć. Były natomiast w sprawie terenowych rad narodowych i Gomułka zgłaszał zastrzeżenie, że mogą one zrodzić podejrzenia o „sowietyzację”. Skądinąd wiadomo, że w aktywie PPR toczono dyskusje o przystosowaniu leninowskiej idei i doświadczeń sowieckich do polskich warunków. Gomułka ustąpił, jako że nie uważał — jak pisze — sprawy za zasadniczą. Niezadługo, na zarzuty z Moskwy bronić będzie sprawy, do której sam miał zastrzeżenia.

Ujawnił Gomułka przemilczanie rozbieżności z Józwiakiem w sprawie AL. Z Rolą, kandydatem na dowódcę AL, zetknął się jako sekretarz partii późno, ale musieli wymienić poglądy. Ale... z tekstem referatu Roli nie zapoznał się. Powiedział zaś Rola:

„... wszystkie formacje wojskowe za granicą, jak korpus im. Kościuski pod dowództwem gen. Berlinga, oddziały gen. Andersa na Bliskim Wschodzie oraz oddziały sformowane w Anglii winny być uważane jako część składowa AL”.

Że to zostało akceptowane i znalazło się w Dekrecie nr 1 KRN mówi samo za siebie. Ale dlaczego Gomułka ma dziś do powiedzenia o tym sformułowaniu-fantasmagorii tylko: „nie pokrywające się w pełni z moim stanowiskiem”?

Szkoda, że Gomułka nie odpowiedział na jedno z intrygujących pytań. Po aresztowaniu Findera zerwała się na kilka tygodni więz z Moskwą i jak Gomułka po latach wyjaśniał:

„PPR nie mogła biernie oczekiwać jak rozwiąże się problem władzy... Związek Radziecki dowiedział się o KRN dopiero po jej powstaniu¹⁰”.

Ale opracowanie koncepcji KRN było zaawansowane przed aresztowaniem Findera. Czy była ona w ogóle konsultowana z Moskwą? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi, śladów w dokumentach nie ma.

Jest natomiast ślad innej dyskusji, o której Gomułka również nie wspomina. W informacji w Moskwie, w lipcu 1944 Spsychalski napomknął:

„Organizację tę chcieliśmy po prostu nazwać Radą Narodową ale dla podkreślenia, że kraj jest w niej czynnikiem decydującym dodano w nazwie — Krajowa¹¹”.

Czy akcent „krajowości” odnosił się tylko do Londynu, czy

10. Przemówienie na XX-lecie PPR, 1962.

11. *Z pola walki*, nr. 4, 1961.

był również symptomem wyczulenia wobec ośrodka moskiewskiego, nim jeszcze sprawa rzeczywiście wypląnęła¹²?

Gomułka zakłopotał historyków ujawniając perypetie dwóch wersji Manifestu, zapowiadającego utworzenie KRN. Nie dlatego, by się one znacznie różniły, ale przez przypomnienie, że w historycznym obiegu znajduje się wersja nieautentyczna. Mogło się zdarzyć, że dokument pióra Gomułki został opublikowany bez wiedzy jednego z aktywnych członków Centralnej Redakcji. Ale na wyrzuty Bieńkowskiego i krytykę „niechlujnej” redakcji dokumentu, Gomułka, zapewne jednoosobowo, godzi się, by ten opublikował „swoją” wersję. Ze zdumiewającą nonszalancją jak na przypisywaną Gomułce pedanterię: „No, to wydawaj sobie...”. Co też ten zdążył przed posiedzeniem KRN uczynić. Nie zdążył natomiast Gomułka — podobnie jak z referatem Roli — z tą wersją się zapoznać. Nie koniec to perypetii sprawy. Do oficjalnej edycji w 1947 weszła właśnie owa „indywidualna” wersja Bieńkowskiego i tym sankcjonowana — do historiografii. Czy dopiero teraz Gomułka zareagował na tę — jak pisze — „fałszerską korektę”?

Kwestia ile osób uczestniczyło w posiedzeniu KRN wydaje się błaża, tyle że odsłania manipulację nazwiskami i znów przeinaczenia *ex-post*. Ale wyłania się pytanie kto i dlaczego nie przybył. Mieści się w nim również „osobista sprawa” Gomułki. Sądzi on, że wprowadzone w przeinaczonym w 1947 protokole sformułowanie „z różnych przyczyn”, obejmujące również jego nieobecność, może rodzić domysły o „tchórzostwie” bądź lekceważeniu KRN. A skłonny jest upatrywać w tym świadomej intencji Bieruta. Jeśli nawet powoduje Gomułką przeczulenie, niełada to przyczynek do stosunków w kierownictwie partii. Ale znów nie wiemy czy Gomułka żywił te podejrzenia już wówczas i czy zareagował.

Rzeczywisty jednak sens pytania kto i dlaczego nie przybył tkwi w tym, że... nie nazbyt miał kto przybyć. Gomułka raz jeszcze potwierdza, że grupy Osóbki i Kowalskiego niewielu dysponowały kandydatami. Nie mówiąc o „dwuosobowym” — jak z ironią pisze — Komitecie Żołny-Manugiewicza. Niezadługo po utworzeniu KRN Gomułka wyjaśniał wąskość jej bazy: „Nie chcieliśmy stworzyć tej reprezentacji sami, lecz przynajmniej z CK RPPS¹³”. Niejednokrotnie, na propagandowy użytek i z rocznicowych okazji mówił Gomułka z emfazą o KRN. Ale broniąc się przed oskarżeniami w 1948, m.in. w sprawie KRN, wyjaśniał, że KRN stworzona została „ze stosunkowo małym udziałem innych grup... poza naszą partią¹⁴”. I teraz — kiedy pisze — że nie chciał „aby KRN była tylko synonimem PPR. KRN była pomy-

12. Pismo KC PPR do CBKP, 12. 1. 1944.

13. List KC PPR do tow. D., 7. 3. 1944.

14. *Nowe Drogi*, IX-X, 1948. Z 14 podpisów pod Manifestem tylko PPR występowała jako partia, pozostałe jako grupy i komitety.

ślana całkiem inaczej” bardziej zapewne niż kiedykolwiek stwierdza, że nim jednak była.

Przyczyną pewnej zwłoki w powołaniu KRN były bezowocne pertraktacje z RPPS natomiast dopingiem — jak pisze Gomułka — zamierzone powołanie przez rząd RJN, jakim demontuje sądy historyków partyjnych¹⁵. Gomułka nie mówi — traktując to zapewne jako truizm — o podstawowym czynniku przyśpieszenia, działającym z zewnątrz. PPR orientowała się, przynajmniej z grubsza, w wynikach konferencji w Teheranie jak i w ruchu Armii Czerwonej (już u dawnej granicy Polski). Odczytywała tak sytuację, że uważała za możliwą i celową samodzielną decyzję o powołaniu KRN. Mylił się Mikołajczyk kiedy w styczniu 1944 w rozmowie z Churchilllem upatrywał w stworzeniu KRN bezpośrednio rękę Moskwy. Ale nie mylił się przewidując, że KRN może posłużyć ZSSR do utworzenia, jeszcze przed przekroczeniem „linii Curzona”, jakiegoś organu władzy dla Polski¹⁶. Problem władzy stanowił właśnie istotną treść polemiki Gomułki w związku z drugim z opublikowanych dokumentów.



W rejestr falsyfikacji wnosi Gomułka największą bodaj z dotyczących tego okresu. Nie kwestionuje, że Józwiak sporządzał notatki z posiedzeń KC. Ale twierdzi, że wersja przedstawiona w 1948 została spreparowana tak, by go obciążyć grzechami okresu okupacji. Wskazuje, że tylko jedna z notatek pozostała w rękopisie, inne w maszynopisach, które nie mogły powstać w czasie notowania posiedzeń. *Nota-bene* w owym rękopisie (z 23 maja) odnotowane jest jądro kontrowersji. Gomułka nie kwestionuje zresztą, że zanotowane problemy były dyskutowane. Nawet jeśli sformułowania dotyczące Gomułki zostały zaostrome, „Notatki”, traktowane ze szczególną ostrożnością, pozostają źródłem poznania ówczesnych dylematów PPR.

Gomułka zarzuca — co wydaje się wiarygodne — że Józwiak pominął dyskusje o AL, by nie utrwać śladów swego fałszywego stanowiska. Dodajmy, że w obecnej publikacji opuszczono drastyczny fragment dotyczący AL (z notatki 18 czerwca). Drugi fragment o tyle nie mógł się znaleźć, że nie ma całej notatki. Zachowały się bowiem nie trzy a cztery notatki, z których pierwsza (5 maja) nie weszła do publikacji. Ze notatki zaczynają się od maja nie jest przypadkiem — rozbieżności w KC wchodziły wówczas w stan zapalny.



Na przełomie 1943/44 w obu ośrodkach polskich komunistów

15. RJN — Rada Jedności Narodowej. Referat na sesji XX-lecia PPR mówi o próbach „dotrzymania kroku ofensywie politycznej PPR i KRN przez utworzenie na gwałt konkurencyjnej RJN” (str. 49).

16. Patrz Ciechanowski, *Powstanie warszawskie*, 1971, str. 115.

(w Moskwie właśnie uformowano CBKP) opracowano programowo taktyczne założenia, których wyrazem była KRN i zamiysł utworzenia PKN w Moskwie¹⁷. Linia polityczna PPR kształtowała się bardziej radykalnie, Moskwa starała się ją mitygować, podobnie zresztą jak to się działo z innymi partiami komunistycznymi. Tyle że obrót rzeczy w „sprawie polskiej” doprowadził do paradoksalnego niejako „odwrócenia pozycji” w podstawowej kwestii — władzy. Rozbieżności wystąpiły natychmiast po nawiązaniu przerwanej jesienią 1943 łączności. PPR wyjaśniając w styczniu motywy utworzenia KRN i jej charakter podkreślała, że w sprawach kraju „mogą decydować tylko czynniki wyłonione w kraju”. W Moskwie uznano, że zamiysł PKN stracił rację bytu, ale koncepcja KRN budziła istotne zastrzeżenia. Zarówno charakter KRN jako „władzy” jak i zasięg jej bazy. Dla jej rozszerzenia zalecano apele do pepesowców, ludowców, endeków itd., by osiągnąć „szeroką platformę frontu narodowego¹⁸”. W Moskwie dopatrywano się sekciarstwa w polityce PPR, czemu ta stanowczo zaprzecza. Nie godzi się również z zarzutem, że rady narodowe stwarzają pozory dążenia do „sowietyzacji”. Rady służą natomiast realizacji „demokratycznego frontu narodowego” jako oparcia dla KRN, który „może zastąpić brak współdziałania od góry”. PPR wyjaśnia w dialektycznej formule, że wobec nieuznawania rządu na emigracji, KRN „jest sama pewną namiastką rządu, nie będąc rządem¹⁹”.

PPR obstając przy swoim kursie, zapowiada w marcu wysłanie delegacji do Moskwy dla wyjaśnienia stanowisk. Różnice ich wiosną 1944 są ewidentne: PPR chce tworzyć „demokratyczny front narodowy”, Moskwa zaleca „szeroki front narodowy”. Odpowiednio program społeczno-gospodarczy jest oględniejszy aniżeli PPR i KRN, z większym pakietem „neutralizujących” zapowiedzi. PPR widzi w KRN ośrodek czy załóżek władzy; według CBKP powinna KRN pozostać jedynie „reprezentacją polityczną”. Źródło różnic leżało w układzie międzynarodowym. ZSSR nie mógł ze względu na aliantów wyeliminować z rozwiązania „sprawy polskiej” wariantu porozumienia z rządem polskim. PPR nie uważała go w tej fazie za realny i punkt ciężkości widziała w rozwiązaniu sprawy władzy w kraju, w oparciu o KRN. Jeśli były w KC różnice poglądów, stanowisko „na zewnątrz” było jednolite i reprezentował je Gomułka²⁰. PPR przyznając, że nie udało

17. CBKN — Centralne Biuro Komunistów Polskich w ZSSR. PKN — Polski Komitet Narodowy.

18. „Uwagi kół ZPP”, 25. 2. 1944. Faktycznie notatka CBKP. Udeczająca jest uporczywość powracania do sprawy endeków, jeszcze w lipcu w piśmie CBKP do Manuilskiego (4. 7.) czy w przemówieniu Wasilewskiej na Plenum ZG ZPP (16. 7.).

19. List KC PPR, 7. 3. 1944.

20. List KC PPR z 12. 1. 1944 podpisany „Wiesław” zamieszczony jest w zbiorach publikacji Gomułki. O liście z 7. 3. 1944 pisze on w pierwszej osobie.

się jej stworzyć frontu narodowego i szerszej bazy KRN, wyraża wszelako optymizm. W styczniu: „...urastamy w siłę decydującą w kraju”. W marcu ogólniej: „...od dołu wyrasta silny fundament oparcia dla KRN”.

Trapi jednak dotkliwie PPR słabość jej siły zbrojnej. W styczniu wyrzuca, że w Moskwie nie docenia się walki AL i nie okazuje pomocy. Demonstracyjnie brzmi przypomnienie, że dlatego KRN wystosowała apel do państw sojuszniczych o broń dla AL. (Można sobie wyobrazić jak przyjęte zostało to w Moskwie). Zarazem PPR motywuje, że AK dysponuje znaczną ilością broni, co „stwarza dla nas niebezpieczeństwo w momentach walki o władzę”. W marcu PPR przekonywuje, że AL zaopatrzona w broń „urośnie do siły decydującej w kraju”. Można jednak wierzyć Gomułce, że musiał przywoływać do zdrowego rozsądku Józwiaka, który wraz z Rolą niepomniernie wyolbrzymiali rolę i siłę AL²¹. Stanowisko ich, które znalazło wyraz w dekreście KRN, skorygowane zostało o tyle, że list z marca zapowiada reorganizację AL, kiedy „w skład jej wejdzie, a raczej trzonem jej stanie się korpus polski gen. Berlinga”.

Żale PPR nie były bezpodstawne. Sprawa długo należała do „wstydliwych”, aż odsonił ją po latach Gomułka: „Aż do roku 1944 ilość... broni ze zrzutów radzieckich była bardzo nikła²²”. Nie bez znaczenia było, że kierownictwo sowieckie jak i CBKP nie żywiły pełnego zaufania do zdolności a zapewne i pewności politycznej kierownictwa PPR. Sporadycznie wzmiankują o tym i historycy partyjni²³. W atmosferze tej niefności mogło dojść do drastycznego incydentu wartego wzmianki, jako że jest przemilczany²⁴.

Między komendantem lubelskiego obwodu AL 'Mietkiem' (Moczar) a oddziałem łącznikowym 'Janowskiego' (Kasman), który miał do rozdysonowania pewną ilość broni, doszło do konfliktu z użyciem przymusu i groźbą zbrojnego starcia. Sprawa omawiana na posiedzeniu KC PPR (5 maja) wywołała kontrowersję. Gomułka, Loga i Kowalski byli za przesunięciem Mietka i za przewidzianą kooptacją

21. List KC PPR ze stycznia mówi dodatkowo o broni dla kilku tysięcy ludzi na Lubelszczyźnie. List z marca wymienia zapotrzebowanie na 2 tysiące automatów i 2 tysiące RKM. Ale Rola w tymże marcu sięgnął szczytów fantazji, kiedy — jak sam relacjonuje — przedstawił przed udaniem się do Moskwy projekt rozbudowy AL do 300 tysięcy i uzyskania wyposażenia dla 30 dywizji. (CA 6840).

22. Przemówienie na XX-lecie PPR, 1962.

23. Góra w dyskusji na konferencji historyków w Belgradzie, 1966, II, s. 164: „...różnorodność rozwiązywania problemów swoich krajów przez niektóre partie komunistyczne (Polska, Jugosławia) budziła nieufność Związku Radzieckiego. M.in. chyba w tym należy widzieć jedno ze źródeł niedostatecznej i mocno spóźnionej pomocy... przede wszystkim w postaci uzbrojenia”. Tenże, Powstanie władzy ludowej w Polsce, s. 92.

24. Fragment nieopublikowanej notatki z 5 maja i opuszczony fragment z opublikowanej notatki z 18 czerwca 1944.

Janowskiego do KC. Bierut, Józwiak i Chełchowski sprzeciwiali się temu uważając, że Janowski nadużył misji zleconej mu przez 'gospodarza'. Bierut zastrzegał się, że odwoła się do tegoż przedstawiając nawet brulion radiodepeszy. Zdecydowano wezwać Mietka dla wyjaśnienia ale wstrzymać się z kooptacją Janowskiego. Stwierdzono, że niedopuszczalne było podporządkowanie sobie przez AL grupy. Wydelegowano w Lubelskie Chełchowskiego ponieważ Janowski zastrzegł się, że broń przekazywać będzie tylko przedstawicielowi KC.

KC wróciło do sprawy po kilku tygodniach (18 czerwca). Z notatki wynikałoby, że napięcie trwało, m.in. Janowski żywił podejrzenie, że Rola, który utkwiał w drodze do Moskwy, został zamordowany. KC podjęcie decyzji odłożył. Niezadługo jednak nastąpiła wymiana komendantów AL między Lublinem i Kielcami.



Po czterech miesiącach istnienia KRN, baza jej nie stała się szersza. Grupy socjalistów i ludowców zostały wprowadzone w partię — „nową” RPPS i SL — „Wola Ludu”, ale pozostawały słabymi namiastkami realnych partnerów. Właściwa zaś RPPS przekształciła swoje ugrupowanie w nieco rozszerzony CKL, który w marcu odciął się od KRN jako nie dająca „rękojmi niezawistości”²⁵. Niemniej PPR nie poniechała jedynego kontrahenta, który chciał z nią w ogóle rozmawiać.

Wymowa rzeczywistości skłaniała część KC PPR (Gomułka, Loga, Kowalski) do poszukiwania dróg wyjścia z impasu. Druga grupa (Bierut, Józwiak, Chełchowski) obstawała jednak przy dotychczasowym kursie. Rozbieżności na tyle przybrały na sile, że na początku maja grupa Bieruta postulowała „wyprostowanie linii partii”. Bieżąca sprawa zjazdu „nowej” RPPS stała się przedmiotem kontrowersji o szerszym znaczeniu. Popierając tę grupę PPR nie ułatwiała sobie porozumienia z RPPS/CKL. Końcowe stanowisko Gomułki nie było jednoznaczne: „... chociaż lewica RPPS jest częściowo przeszkodą, ale też częściowo czynnikiem montującym”²⁶. CKL w tym okresie próbował, bezskutecznie zresztą, skłonić SL do przegrupowania sił w podziemiu w kierunku czegoś w rodzaju „centrolewu” z udziałem PPR. 19 maja KC PPR informuje CBKP o propozycji CKL, by KRN weszła wraz z nim do RJN jako „zjednoczona opozycja”. Odpowiedź ocenia propozycję jako manewr zmierzający do podporządkowania KRN rządowi emigracyjnemu. Dodają, że pogląd ten podziela delegacja KRN²⁷. Nie wiemy kiedy ta przestroga dotarła do KC, ale 23 maja sprawa stosunku do CKL doprowadziła do

25. CKL — Centralny Komitet Ludowy, organ wykonawczy Centralizacji Stronnictw Socjalistycznych, Demokratycznych i Syndykalistycznych.

26. Notatka z 5. 5. 1944, CA 190/1-2. Nie publikowana.

27. Depesza A. Zawadzkiego, b.d. CA 190/1-6. Pierwsza część delegacji KRN dotarła do Moskwy 16. 5., druga dopiero 5. 7. 1944.

ostrego starcia. Końcowy wniosek Gomułki zalecał jednak stworzenie wspólnej z CKL komisji²⁸.

KC PPR nie wiedział jeszcze, że poprzedniego dnia otworzony został nowy, „moskiewski” tor, po którym potoczą się sprawy KRN. Stalin wyraził uznanie KRN zapewniając zarazem jej delegację, że ZSSR nie uzna rządu polskiego „w jego obecnym składzie”. Kropki nad „i” jeszcze nie postawił, ale zademonstrował, że w międzyalianckiej grze o „sprawę polską” ma nową kartę — KRN. Odpowiednio ZPP uznaje KRN jako „kierowniczy ośrodek walki”, ale jeszcze nie jako ośrodek władzy.

Interpretacja tego co zaszło w Moskwie jest w KC PPR rozbieżna. Gomułka docenia uznanie KRN, ale obstaje przy myśli o połączeniu z CKL. Jako gest dobrej woli wobec SL skłonny jest złożyć w ofierze odrębność KRN'owskiej „Woli Ludu”. Natrafia, jak poprzednio, na sprzeciw, pada zarzut „likwidatorstwa” wobec KRN. Pozostaje jednak formalnie w mocy wniosek o kontynuowaniu pertraktacji z CKL. W innych warunkach narastanie sprzeczności doprowadziłoby do wyeliminowania jednej z grup, ale obie wydają się unikać ostateczności. Napięcie dochodzi jednak do szczytu, gdy 18 czerwca Gomułka w imię porozumienia z ewentualnymi partnerami gotów jest — jak twierdzą jego przeciwnicy — do rezygnacji z samoistności KRN, jak on pisze: „zapłacić korektą nazwy KRN”.

Kulminacja sporu w KC PPR zbiega się z kolejnym ruchem na torze moskiewskim. Stalin 22 czerwca faktycznie zalecił przygotowanie organu rządzącego dla Polski, choć sprawa będzie jeszcze miesiąc dojrzewać. Okoliczności decyzji są jasne. Kolejna runda dyplomatyczna do porozumienia z rządem polskim nie doprowadziła, jeśli ZSSR w tym momencie był jeszcze w ogóle doń skłonny. 23 czerwca rozpoczęła się ofensywa mająca przekroczyć „linię Curzona”. Jedynym dla ZSSR punktem oparcia politycznego w Polsce była KRN, jakkolwiek była. Teraz też dokonano się w pełni owo „odwrócenie pozycji” między ośrodkami polskich komunistów. ZPP podporządkowuje się KRN uznając ją teraz za „prawdziwe przedstawicielstwo narodowe” z przesłanką wyłonienia rządu tymczasowego. Wymowna jest zbieżność w czasie: z tą samą datą, 1 lipca opublikowane zostały ta deklaracja ZPP i artykuł w organie PPR pt. „Nasze stanowisko” faktycznie pomijający KRN milczeniem²⁹.



Gomułka wytyka historykom że, nie wnikając w różne fazy polityki PPR, popełniają błędy w ocenie jego stanowiska. Sam

28. Notatka z 23. 5 (rękopis). M.in. zapis: „Myśl główna: by SL wzięło inicjatywę konsolidacji 3 ośrodków — KRN, CKL, RJN...”.

29. *Wolna Polska*, 1. 7. 1944. *Trybuna Wolności*, 1. 7. 1944. Autorem artykułu był Bieńkowski. Przedmiotem dyskusji jest, czy artykuł ukazał się za wiedzą Gomułki.

wszelako te fazy i ewolucję swego stanowiska zamazuje. Przytaczając notatkę „kół ZPP” z lutego zalecającą rozszerzenie bazy KRN, Gomułka ironizuje, że CBKP uważało politykę przezeń reprezentowaną za... sekciarską. Powołując się zaś na radiogram CBKP z lipca zapytuje czy zalecenia kompromisów i koncesji dla rozszerzenia bazy KRN nie świadczą, że „stanowisko moje i większości KC PPR wobec CKL było jak najbardziej słuszne³⁰?”. Luty-lipiec?

Prawdą jest, że PPR zabiegała o partnerów do KRN, ale wobec niepowodzeń przeniosła punkt ciężkości na działanie „od dołu”. Tej polityki, jak i koncepcji KRN, bronił Gomułka do wiosny 1944. Informując zaś o kontrahentach pisał w styczniu m.in. o „łamańcach” linii RPPS pod naciskiem reakcji i elementów trockistowskich w jej kierownictwie. W marcu nader nisko oceniał siłę CKL, którą jednak PPR chce wprowadzić do KRN „doceniając polityczne znaczenie sztyldów tej organizacji”. Ale w CKL działa agentura rządu i nadzieje na porozumienie z całością CKL są nikłe³¹. Jasne jak przyjmowali takie informacje wyczuleni na agentury i trockizm moskiewscy towarzysze Gomułka. Ułatwia on zresztą sobie polemikę przemilczając ich przestrożę przed CKL. Powołanie się Gomułka na radiogram CBKP z 18 lipca (!) jest właściwie od rzeczy. Sens jego polegał na przygotowaniu PPR, podejrzewanej wciąż o sekciarstwo do „przyjęcia” platformy programowej montowanego już w Moskwie organu władzy. Sprawa CKL a tym bardziej jego połączenia z KRN stała się bezprzedmiotową.

W związku z notatką lutową, tą z apelami do... endeków — zapytuje Gomułka czemuż to jej autorów nie zalicza się do „oportunistów i prawicowców”. Mógłby to pytanie rozciągnąć na inne noty CBKP, których autorzy zaprezentowali zresztą później wysokiej próby sekciarstwo. Nie mówiąc o Lampem, którego rozważania były daleko „na prawo” od czegokolwiek co powiedział Gomułka. Jak gdyby nie znał „reguł gry” — taktyki z ładunkiem kamuflażu, w tym okresie bezprecedensowym w partiach komunistycznych. Może mniej wyrafinowanie, ale stosował ją przecież we wszystkich swych wcieleniach jako sekretarz partii³². Również w sferze ideologii — on, który tak usilnie przekonywał, że Polska obejdzie się bez dyktatury proletariatu, powie po latach, że istniała ona od... początku, od PKWN³³. Trą-

30. W 6-cioosobowym KC wyraźny był w tym okresie podział na dwie grupy, z tym, że najmniej znaczący Chełchowski znajdował się w tym czasie na ogół poza Warszawą.

31. Do oceny CKL Gomułka później raczej nie wracał. W 1957 jego ideologiczny *porte-parole* Kliszko oceniał CKL nader ambiwalentnie, ze wzmianką o dywersyjnych elementach w jego łonie. Przemówienie w XV-tą rocznicę PPR w: „Powstanie warszawskie”, 1967, s. 45.

32. By przypomnieć choćby „u rzeczy samej początku”: Gomułka w sierpniu 1944 — w czasie zwrotu październikowego 1944 — na Plenum majowym 1945.

33. Przemówienie w XX-lecie PPR, 1962.

ciłoby naiwnością rzec, że nie przystoi takiemu przywódcy takiej partii przybierać pozy naiwności i obrażonej moralności politycznej.



Na rozbieżności „kraj”- „Moskwa” dotyczące koncepcji KRN nałożyły się od maja 1944 roku rozbieżności w „kraju”, wewnątrz KC PPR. Punktem odniesienia dla obu grup była rola i polityka ZSSR w „sprawie polskiej”, zatem stosunek do rządu polskiego. Różna była jednak interpretacja intencji i wariantów polityki ZSSR, stopnia identyfikacji z jej doraźnymi interesami, zakresu samodzielności i wkładu własnego w rozwiązanie spraw kraju. Stąd różnice taktyki, dopuszczalnych kompromisów i oceny szans bezpośredniego ujęcia władzy przez KRN. Sprawy komunistów polskich rozwijały się latem 1944 w zawiłym troistym układzie.

Grupa Bieruta bardziej „pewna” i zdyscyplinowana wobec Moskwy, bardziej też „sekcjarska”, obstawała przy niezmienności dotychczasowego kursu PPR i nienaruszalności KRN. Ale tę właśnie linię krytykował CBKP jako sekcjarską, również po uznaniu KRN. Grupa ta o tyle nie mogła wykluczać porozumienia ze zrekonstruowanym rządem polskim, o ile wariant ten istniał w polityce ZSSR. Ale żywiła nadzieję, że to nie nastąpi, Gomułce zaś zarzucała, że nie docenia możliwości jakie stworzy wkroczenie Armii Czerwonej dla objęcia władzy przez KRN.

Reorientacja grupy Gomułki, przesunięcie punktu ciężkości na porozumienie „od góry”, wydaje się być bliższa zaleceniom CBKP rozszerzenia bazy KRN, tyle że szła od nich dalej. Adaptacja zaś do polityki ZSSR zakładała wariant, że dojdzie do porozumienia między nim i rządem polskim. Stąd prawdopodobny dalszy tok myślenia: Rola KRN w jej dotychczasowej koncepcji przestanie być aktualna. Nie przestanie jednak nią być rola jaką KRN miałyby odegrać w kształtowaniu nowej, koalicyjnej władzy. Gomułka nie łudził się co do reprezentacyjnego waloru KRN, który spełnieniu tej roli nie sprzyjałby. Ale zdawał sobie sprawę, że jest nierealne proste rozszerzenie KRN. Alternatywą byłoby jakieś jej przekształcenie z udziałem choćby CKL. Dotąd mowa była o włączeniu CKL do KRN, teraz o ich połączeniu. Dałoby to rozszerzenie „szyldów” reprezentacji politycznej, może zwiększyło szanse zabiegów o współdziałanie SL. Ta optymalna rachuba musiała zapewne budzić pytanie czy SL skłonne będzie wiązać się z PPR, skoro Mikołajczyk miałyby wrócić. Jakielwiek były człony tego schematu, zawisł on w próżni po prostu dlatego, że przestała istnieć jego wyjściowa przesłanka.

Gomułka odrzuca zarzut, że nie doceniał „ślepoty politycznej” rządu, nie było bowiem w jego zwyczaju liczyć na „bezgraniczną głupotę” przeciwników. Drastyczne określenia nie przesłaniają jednak „błędu w sztuce” — jakież to polityk nie uwzględnia nawet krańcowych wariantów? Powołanie się zaś na naciski Churchilla

na rząd polski, wydaje się podobnie świadczyć, że w tak złożonym jak „sprawa polska” układzie Gomułka tracił z pola widzenia wektory działające w innym niż on zakładał kierunku. W rezultacie reorientacja Gomułka rozminęła się w maju z polityką ZSSR i jej orientacją na KRN, a w czerwcu weszła z nią w kolizję. Rozdarty sprzecznościami KC PPR znalazł się w lipcu w stanie paraliżu politycznego skazany na wyczekiwanie na decyzje podejmowane w Moskwie.



Gomułka wykracza poza okres objęty „Notatkami”, by powiedzieć jak to się stało, że Józwiak nie wszedł w Lublinie do Biura Politycznego. Z niejaką satysfakcją notuje zdanie Bieruta: „Są lepsi od niego”. Zapewne, ale jest to tylko epizod wspomniany w ramach porachunków z przeszłością. Może kiedyś dopowie Gomułka jak formowało się BP, korygując np. zdanie: „Do centralnych władz partyjnych dokooptowano członków CBKP...”. Szczególna to „kooptacja” gdy w BP znalazły się 2 osoby z PPR a 4 z CBKP³⁴. Nie łatwa była pozycja Gomułka w tym gronie, zwłaszcza że ciążyła na nim nieufność Moskwy³⁵. W postawie mało tam znanego sekretarza, w przejawach jego niezależności, w akcentach „prymatu kraju” upatrywać można było kłopotów na przyszłość. Nie bez kozery.

Wątkiem polemiki są reminiscencje oskarżeń o „prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie” i niemało nagromadziło się resentymentów u przywódcy dwukrotnie strącanego ze sceny politycznej. Czy dziś z widowni, lepiej anizeli ze sceny, widzi Gomułka ówczesną rzeczywistość? Odsłonił wiele jej nieznanych fragmentów i zakamarków, ale prawdy do końca nie dopowiedział. To co i jak powiedział jest m.in. przyczynkiem do obrazu przywódcy, nie wnoszącym bynajmniej doń jasnych barw. Ani, tym bardziej, do obrazu partii, której przewodził.

D. K.

Michał BORWICZ

„MÓJ WIEK” ALEKSANDRA WATA

„Mój wiek” Aleksandra Wata odnotowuje dużo wypadków z pogranicza czy ze splotu kultury i polityki, wiele spotkań i plotek, nazwisk i pomieszań, wreszcie zakulisowych rozróbek, w jakich autor — w jednych czynnie

34. Kołomejczyk, PPR, 1965, s. 21. Do Biura Politycznego weszli z PPR Gomułka — jako sekretarz i Bierut (nieoficjalnie, jako że proklamowany został bezpartyjnym), z CBKP Berman, Minc, Radkiewicz, A. Zawadzki. Dokooptowani zostali później Spychalski i Zambrowski.

35. W okresie PKWN nie sekretarz partii — Gomułka, ale Bierut był w kontakcie ze Stalinem i przekazywał jego rady i zalecenia.

w innych biernie — uczestniczył. Równocześnie wyraża w istocie „pewnego rodzaju umysł”, który Czesław Miłosz bardzo dobrze scharakteryzował w przedmowie do tej książki. Ten ciekawy „pamiętnik mówiony” zawiera jednak także sporo różnego rodzaju deformacji i przeinaczeń, w tym liczne błędy rzeczowe. Pomyłki, to prawda, ludzka bywają rzeczą. Gorzej, gdy popełniane są tytułem prostowania rzekomo cudzych błędów. Jeszcze gorzej, gdy — chociaż pozornie improwizowane, bo rzucane w niby swobodnej rozmowie — formułowane są w określonym celu, z widocznym domysleniem, Ograniczam się niżej do wskazania kilku takich wycieczek, dotyczących mego szkicu pt. „Inżynierowie dusz”, zawierającego garść moich wspomnień o Związku Pisarzy we Lwowie pod pierwszą tam okupacją sowiecką (1939-1941) i ogłoszonego w 1963 roku — tj. 15 lat temu — w *Zeszytach Historycznych* (Nr 3, str. 121-163).

Na początek *le ton qui fait la chanson*: „Znałem Borwicza — mówi Wat — sprzed wojny z Krakowa, jako studenta, a we Lwowie zupełnie go nie pamiętam. Więc przypuszczam, że raczej był gdzieś na galerii, nic nie wydał, więc raczej ze słuchu. To bardzo porządny człowiek, ale ten jego artykuł jest pełen bałamuctw” (I, str. 260*). A w rzeczywistości? Przed wojną widzieliśmy się raz jeden jedyny w czasie okolicznościowego przyjazdu Wata do Krakowa. Nasze spotkanie ograniczyło się wtedy do rozmowy w kawiarni, gdzie z Watem poznał mnie — i chyba nie „jako studenta” — nie pamiętam już — Tadeusz Peiper czy Leon Kruczkowski. Natomiast we Lwowie widywaliśmy się bardzo często i to zwykle właśnie w owym klubie pisarzy. „Niczego nie wydałem”? Miałem już wtedy za sobą sprzed wojny: powieść i kilka oddzielnie wydanych studiów krytyczno-literackich, nie mówiąc o dziesiątkach artykułów ogłaszanych (od 1930 roku!) w czasopiśmie (w tym: w jednym dzienniku, stała rubryka recenzji pt. „Wśród poetów”; w innych recenzje teatralne), współredaktorstwo „Albo-albo”, współpracę w całym szeregu tygodników. W jakim więc celu Wat to wszystko przeinaczył? Po co ten bardzo naiwny wymysł, że „z galerii” (jakiej?) i „ze słuchu”?

Przejdźmy do tych moich rzekomych pomyłek, które Wat rzekomo prostuje. Na stronie 264 opowiada Wat o wstępnym wielkim zebraniu pisarzy: „Borwicz w swoim sprawozdaniu (?) bardzo pokreślił. Pisze na przykład, że Rosjanie byli w prezydium. To jest błędne, bo sowieci bardzo przestrzegali, żeby żaden Rosjanin nigdy nie był w żadnym prezydium”. Po czym szeroko (cała strona) wyjaśnia tę zasadę. Zaglądam do mego tekstu (str. 127) i stwierdzam, że nie ma tam słowa „Rosjanie”, lecz „sowieccy goście” (co w danym wypadku oznacza „sowieccy Ukraińcy”). Inaczej mówiąc: i sprostowanie i cała tyrada Wata oparte są na wstawianiu określenia, którego w moim tekście nie ma.

W związku z tym samym zebraniem, i znowu by niby prostować Borwicza, o incydencie dotyczącym Parnickiego (który rzeczywiście nie był w prezydium, w którym był jednak po niewoli Ortwin): „Piach wyskoczył, że tu na sali jest prowokator, który spowodował, że Pasternaka wsadzili do Berez” itd. Szkoda, że Wat nie uważał za wskazane nadmienić, co „natchnęło” Piacha do tego brzydkiego wyskoku i to akurat przeciwko Parnickiemu. O tym (nie wdając się w szczegóły) napisałem — o czym Wat już oczywiście nie wzmiankuje — ja: „Teodor Parnicki (...) postawił gościom (tzn. sowietom) kilka pytań. Goście odpowiedzieli na nie twierdząco i z pochwałami dla mówcy. Gdy kilka tygodni później Parnicki został

* Cytowane przeze mnie numery stron tekstu Wata dotyczą — wszystkie — pierwszego tomu jego książki; gdy chodzi o mój tekst, wszystkie cyfry dotyczą nr. 3-go *Zeszytów Historycznych*.

aresztowany, panowało zdanie, że został (...) wpisany 'na listę' dzięki tak bardzo zycyliwie przez sowieckich gości ocenionej interwencji" (str. 128). Gdzież tu jakiegokolwiek „przekreślenie”? Tak przecież było. Jeśli Wat pragnął dorzucić szczegóły, mógł to zrobić tytułem uzupełnienia. Lecz on wolał „prostować”. Daje przy tym niedokładny opis przebiegu tego incydentu. Prawdą jest, że zabrał głos by uspokoić Piacha (co mu zawsze poczytywałem za ładny gest); nie jest natomiast ściśle, jakoby wykladał całą przedwojenną awanturę wywołaną niesmacznym wierszem Pasternaka. Na to na tym dużym zebraniu nie było po prostu czasu. Nawiasem: tego rodzaju licencji, tłumaczących się niby techniką swobodnej rozmowy z daleko idącymi dygresjami, istnieje w jego książce dużo, lecz bez zaznaczenia, że chodzi o dygresje; nieraz trudno więc czytelnikowi osądzić, czy chodzi o szczegóły bezpośrednio opisywanego zdarzenia, czy też o wywołane skojarzeniem przypomnienie jakiegoś wypadku z przeszłości lub o antycypację.

W moich wspomnieniach pisałem m.in., że (po aresztowaniu Broniewskiego, Wata, Peipera itd.) był u mnie Putrament z Piachem, którym polecono zainicjowanie zebrania podpisów pod deklaracją potępiającą aresztowanych i że odmówiłem podpisu. Dalej, że „widać opornych było jeszcze zbyt dużo” oraz że w wyniku zwołanego doraźnie zebrania (na które nie poszedłem) Wanda Wasilewska „storpodawała tę wiernopoddaną inicjatywę”. Również *à propos* tego rozdziału Wat rzuca sobie zwrot (str. 292-293), że Borwice „przekreślił”, lecz nie uważa za stosowne powiedzieć co „przekreślił”. Po czym sam wyklada przebieg wypadku na podstawie — jak zaznacza — tego co mu kilka lat po wojnie opowiedział Adam Ważyk: że Putrament „przywołał do związku” kilku literatów i „zapropomował by razem napisać deklarację (...) w celu potępienia zdrajców, prowokatorów itd.”. Gdy Ważyk i Szemplińska przeciwstawili się, zagroził im konsekwencjami. Wobec czego Ważyk i Szemplińska zaalarmowali Wasilewską i „dopiero ona skrzyła to w zarodku, nie dopuściła do tego”. Inaczej mówiąc: to samo co napisałem ja, potwierdzone przez uczestnika zebrania. O jakie „przekreślenie” zatem chodzi? Nie dosyć i tego. Również w nawiązaniu do tego ustępu i także tym razem tytułem jakiegoś (ale jakiego?) sprostowania podkreśla, że to on, Wat, na krótko przed swoim aresztowaniem, zapropomował Putramenta na swoje miejsce do zarządu związku. Szczegół ten (którego ja wtedy nie znałem), wbrew skłonności Wata do gołosłownych sprostowań, tłumaczy całkowicie dlaczego akurat Putramenta do tej „misji” wybrano: po prostu jako niedotkniętego tą czystką polskiego członka zarządu. O co zatem Watowi chodzi?

W rękopisie mego szkicu jedna pomyłka w istocie jednak była: tzw. wybory, o których pisałem, były wyborami do „Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy” a nie do „Wierchownej Rady” (wybory do tej ostatniej odbyły się krótko potem). Dostrzeżona przed ukazaniem się odnośnego numeru *Zeszytów Historycznych* pomyłka ta została poprawiona we wstępnym ustępie danego podrozdziału, lecz ostała się w niektórych innych zdaniach. Wobec tego zamieściłem w *Zeszytach Historycznych* (nr 5, str. 252) oddzielne do-sprostowanie. Czyżby tego Wat już nie dowiedział?

Nie wątpię w Wata subiektywnie dobrą wiarę. Czy nie działała jednak u niego jakaś określona auto-sugestia? I czy nie czytał on wskutek tego moich wspomnień z bardzo daleko posuniętym — powiedzmy — roztargnieniem? Świadczyłyby o tym, w jego książce, również pewne ustępy, które nie dotyczą mego szkicu. Tak np. na str. 285 mówi on o wystąpieniu (na Zgromadzeniu Ludowym Zachodniej Ukrainy) ukraińskiego pisarza Tudora przeciw anty-polskim rzeziom. Chruszczow — relacjonuje Wat — „pieniąc się, zaczął krzyczeć na niego” itd. „Bardzo się potem wszyscy bali, czy Tudor nie zniknie. Nie znikł, ale co się z nim w końcu stało, nie wiem

w jaki sposób zniknął”. Gdyby Wat czytał nieco uważniej mój szkic, wiedziałby że Tudor pozostał dalej jednym z czołowych aktywistów związku pisarzy a zginął — razem z kilku innymi literatami — od pierwszej bomby niemieckiej rzuconej na miasto w czerwcu 1941 roku.

Żałuję, że Wat nie ogłosił swoich „sprostowań” za życia, po ukazaniu się mego szkicu. Byłoby to tym bardziej normalne, że — w przypisie do mych wspomnień — Redakcja *Zeszytów Historycznych* „prosiła o przysyłanie wszelkich uzupełnień do pracy Borwicza”. (Kilka ciekawych przyczynków, np. o Boyu-Zeleńskim, w istocie wpłynęło i były zamieszczone). Zaś Wat, jak pamiętam, mieszkał wtedy blisko Redakcji, bo w Maisons-Laffitte.

Michał BORWICZ

RECENZJE

Józef LEWANDOWSKI

„ZARUBIEŻNAJA ROSSIJA”

Wydana pięć lat temu obszerna praca o historii porewolucyjnej emigracji rosyjskiej pióra profesora historii i historii literatury Piotra Kowalewskiego*, mimo dużych walorów informacyjnych jest mało znana. Nie znalazłem również jakichś wnikliwszych omówień i analiz, nawet w rosyjskiej prasie emigracyjnej. Wypada przy tym żałować, że praca przeszła niezauważona przez polskich naukowców, polityków i działaczy emigracyjnych. Szkoda, bo praca Kowalewskiego jest ciekawa i może przynieść istotne korzyści tym wszystkim, którzy interesują się najnowszą historią Rosji, historią emigracji a zwłaszcza dziejami rosyjskiej kultury. Dla Polaków „Rosja zagraniczna” może być nie tylko źródłem cennych wiadomości ale również impulsem dla dokonania ważnych porównań i przemyśleń.

Podtytuł wyjaśnia, że przedmiotem badań były „historia i działalność kulturalno-oświatowa rosyjskiej zagranicy na przestrzeni półwiecza 1920-1970”. Założenia te zostały spełnione tylko częściowo. Książka nie jest pełną historią rosyjskiej zagranicy ani nawet historią emigracji. Przede wszystkim autor zacieśnił pole widzenia do tzw. „pierwszej emigracji”, zmuszonej do opuszczenia kraju po zwycięstwie bolszewików. Co prawda cezura jest myląca, Kowalewski bowiem za punkt wyjścia przyjął datę klęski tzw. kontrrewolucji w 1920 roku, ale faktem jest, że potok uchodźców popłynął na Zachód już w 1918 roku, ale nie to jest najważniejsze. Gorzej, że praca w znikomym stopniu oddaje ponury klimat owych lat. Według danych sekretariatu Ligi Narodów z 1926 roku Związek Sowiecki opuściło 1.200 tysięcy uchodźców, przeważnie Rosjan co już samo w sobie świadczy o rozmiarach tragedii: ok. 2% narodu rosyjskiego ale kilkadziesiąt procent jego warstw średnich i wyższych, jego elity duchowej i fachowców o wyższych kwalifikacjach. Elita oderwana od ojczyzny

* Kowalewski P., *Zarubieżnaja Rossija*. Paryż, 1971, str. 347 + 3, ilustr.

gleby, zdeklasowana, bez miejsca na ziemi a często i bez dachu nad głową. Tułactwo, walka o byt, nieprzystosowanie do nowych warunków, trudności spowodowane rozmiarami emigracji, samobójstwa.

Wewnętrzne życie emigracji też nie było budujące. Potępięcze swary, wzajemne obciążanie się odpowiedzialnością za rewolucję i torowanie drogi bolszewikom, za niepowodzenia zbrojnych wysiłków antybolszewickich, samosądy, penetracja przez wywiad sowiecki, tendencje ekstremistyczne, które doprowadziły część emigracji do współpracy z hitleryzmem, tragiczne powroty do Rosji, kończące się zazwyczaj w obozach... Rosjanie w czołówce ruchu oporu we Francji...

Niewątpliwie Kowalewski zdawał sobie sprawę z tych zjawisk, ale czy to warsztat historyka okazał się nieprzystosowany do udźwignięcia tragicznych problemów, czy też zawiniła swoista koncepcja, dość że dramat emigracyjny nie znalazł należytego odzwierciedlenia. Prawdy o nim raczej należy szukać — jeśli nie w materiałach źródłowych, dla „zwykłego” czytelnika niedostępnych — to w literaturze pięknej, u Bunina (w Polsce mało, niestety, znanego), Cwietajewej, Remarque’a, nawet u Babla i Erenburga.

Pisałem wyżej o swoistej koncepcji. Jest ona wyraźna. Przedmiotem zainteresowania autora jest nie tragedia emigracji lecz działalność wszelkiego rodzaju komitetów pomocy, by tragedię przewyciężyć, wysiłki obudzenia sumienia świata, próby wykorzystania resztek jakże szybko topniejących wpływów, znajomości, kontaktów i powiązań dla poprawy materialnej i prawnej sytuacji uchodźców. Profesorowie-emigranci powoływali do życia uczelnie, tworzyli kursy po to, by dać wczorajszym porucznikom i kapitanom możliwość uzupełnienia wykształcenia i zdobycia zawodu a pracownikom nauki możliwość zachowania warsztatu badawczego. Myślę, że ta strona życia emigracyjnego jest szczególnie ciekawa dla nas jako punkt wyjścia do porównań nad najnowszymi dziejami polskimi i nad polską emigracją, która lata później rozlała się szeroko po Europie.

Równie dużo uwagi poświęcił Kowalewski działalności twórczej. Albowiem z hasłem *emigracja rosyjska* kojarzy się nie tylko dramat wygnańczy ale również ważny dział kultury rosyjskiej. Zresztą — w przypadku np. Bunina, Nabokowa i przez emigrację niedocenionej Cwietajewej — nie tylko kultury narodowej ale i światowej. Jeszcze większy rezonans osiągnęli rosyjscy kompozytorzy, wirtuozi oraz choreografowie. Kowalewski szeroko rozbudował również dział osiągnięć naukowych. Książka zawiera cenne informacje o rosyjskich filozofach, Bierdiajewie, Łoskim, Franku, Szestowie, o socjologach Sorokinie i Timaszowie, o historykach, archeologach i teologach.

O ile niedole emigracyjne są w ZSSR starannie eksponowane, o tyle dorobek emigracji jest skrupulatnie przemilczany. Mimo wszelakich barier w ostatnich latach widzimy jednak wśród mło-

dych intelektualistów rosyjskich w ZSSR wielkie zainteresowanie dorobkiem myśli emigracyjnej. Szukając odpowiedzi na pytania stawiane przez rzeczywistość, młodzi ludzie coraz częściej w okresie „zrastania się przerwanym nici” sięgają do dorobku powstałego na emigracji. Ale dorobek ten jest trudno dostępny, prace wydane za granicą docierają wyrywkowo i dlatego książka Kowalewskiego może i powinna odegrać rolę przewodnika bibliograficznego, tego, co po rosyjsku nazywa się *putiewoditiel*.

Nie znaczy to, by praca była bez skaz. Z miejsca rzuca się w oczy, iż autor najlepiej orientował się w tym, co się działo (i dzieje) w Paryżu i w ogóle we Francji, że jego informacje o Rosjanach w Niemczech są niepełne, o Czechosłowacji jeszcze bardziej powierzchowne, że nie zauważył emigracji lat wojennych i powojennych, że stracił z pola widzenia całą niemal lewicę, czyli koła mienszewickie i eserowskie, których dorobek zupełnie zbagatelizował. Poważną usterką jest brak indeksu osobowego, niezbędnego w każdej pracy o ambicjach informacyjnych.



Polski czytelnik „Zagranicznej Rosji” nie może się uchronić od natłoku refleksji. Pierwsza z nich, to ocena dorobku polskiej emigracji politycznej. Opiniujemy ją nader często, ale zawsze wychodząc tylko z polskich, wewnętrznych przesłanek. Właściwa ocena nie winna jednak ograniczać się do stosowania tak uproszczonej miarki. Powinniśmy przynajmniej od czasu do czasu próbować oceny porównawczej, przyjmując za punkt wyjścia działalność i dorobek innych grup emigracyjnych, ich możliwości, osiągnięcia i zaniedbania. Może wówczas we właściwszym świetle zobaczymy nasze własne emigracyjne podwórko. Ale to jest refleksja, że tak powiem, elementarna, najbardziej oczywista. Ważniejsze od tego jest chyba stwierdzenie pewnej nadrzędnej wspólnoty losów rosyjskich i polskich. Mam na myśli nie tylko to, że od dwustu lat losy polskie są ściśle wpisane w dzieje rosyjskie, bowiem nawet problemy niepodległej Polski były uwarunkowane rozwojem wydarzeń u jej wschodniego, nawisającego nad nią swymi rozmiarami i potęgą sąsiada. W istocie rzeczy nie ma ani jednego istotnego problemu rosyjskiego, który tak czy inaczej nie dotyczył i Polski. Ale ta zależność działa i w drugą stronę. Sprzężenie jest zwrotne. Wydarzenia w Polsce mają donośne echo w Moskwie i Leningradzie, nasze nadzieje są nadziejami Rosjan, nasze porażki smucą nie tylko nas.

Bezpodstawnym dowodem byłoby twierdzenie, że społeczeństwo polskie jest dostatecznie zainteresowane Rosją. Niestety, zbyt mało i zbyt powierzchownie interesujemy się jej problemami, a co gorsze, rzadko znajdujemy dla nich to, co Askenazy nazywał „miarą właściwą”. Nie bez racji dowodził Wacław Lednicki, że nasi dwaj najwybitniejsi rusycyści, Kucharzewski i Zdziechowski, mimo wielkiej erudycji, wyrządzili więcej

szkody niż przynieśli korzyści. Mimo to śmiem twierdzić, że co byśmy nie mówili, to jednak społeczeństwo polskie świadomość współzależności, może powierzchowną ale jednak posiada, trudno jednak zresztą jej nie dostrzegać z polskiej, zwłaszcza krajowej perspektywy.

O wiele łatwiej przeoczyć ją z perspektywy rosyjskiej. Bo jest jakimś przejawem co najmniej kompleksów dowodzenie znaczenia i dorobku porewolucyjnej emigracji rosyjskiej poprzez pomniejszenie i zlekceważenie rozmiarów, znaczenia i dorobku polskiej emigracji po upadku Powstania Listopadowego (str. 11-12). W istocie rzeczy, do czego Kowalewskiemu to porównanie było potrzebne, czego przy jego pomocy chciał dowieść? (Równie absurdalne byłoby dowodzenie odwrotne, że rosyjska emigracja nie dała kulturze własnej i światowej nikogo na miarę Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Chopina. Takie porównanie, nawiasem mówiąc, spotkałem w publicystyce Karola Radka z lat trzydziestych. Porównanie absurdalne. Czasy i okoliczności były zupełnie inne i wszelkie porównania są chybione).

Co gorsze, pisząc o polskiej emigracji polistopadowej, Kowalewski przeoczył jeden szczegół, o którym właśnie Rosjaninowi zapominać nie wolno, mianowicie, że Polacy w 1831 roku — elita walczącego o wolność narodu — opuszczała ojczyznę niszczoną rosyjskimi bagnietami. To przeoczenie jest nie tylko nietaktem wobec Polaków ale również brakiem obiektywizmu w przedstawieniu dziejów własnych.

Pół biedy, gdyby wyżej wytknięte ujęcie było czymś odosobnionym w omawianej pracy. Tak jednak nie jest. Pisząc o położeniu emigrantów w Polsce Kowalewski znajduje tylko negatywy. Rosjanie — pisze — byli w Polsce prześladowani, nie zezwalano im na tworzenie własnych szkół a w istniejących „wprowadzono katolicką katechizację i obowiązek uczęszczania na katolickie nabożeństwa” (str. 49) o czym świadczą ponoć publikacje polskich historyków, zwłaszcza Konstantego Srokowskiego. Te stwierdzenie wymagają nieco dłuższej repliki. Rzuca się w oczy, że Kowalewski, jakby nie było historyk, bądź nie wie nic o prześladowaniu Polaków i ich szkolnictwa pod rosyjską władzą, bądź uważa je za na tyle naturalne i słuszne, że nie godne wzmianki. Nie zamierzam głosić chwały polskiej polityki narodowościowej, natomiast przy całym krytycyzmie muszę stwierdzić, że informacje Kowalewskiego są bzdurne. Rosjanom w Polsce było źle, bo w Polsce panowała bieda i permanentne bezrobocie. Dotykało ono zresztą nie tylko Rosjan. Wracali z Syberii z *rosyjskiej* katorgi bojownicy o *polską* niepodległość i miesiącami szlifowali ulice, poszukując pracy i dachu nad głową. Polska była w trudniejszej sytuacji niż sojusznicza wobec Rosji Francja, ale „biali” Rosjanie nie potrzebowali w Polsce zezwolenia na podjęcie pracy a zezwolenie na pobyt i naturalizacja rzadko nastęrczały trudności.

Socjaliści rosyjscy znajdowali nadal wspólny język z pepesow-

cami i bundowcami, liberałowie — z liberałami itd. W Warszawie działał Rosyjski Komitet Ewakuacyjny, w skrócie nazywany REK z Borysem i Wiktorem Sawinkowem oraz płk. Kutiepowem na czele, korzystający z czynnego poparcia Marszałka Piłsudskiego. A Dymitr Fiłożofow i jego pismo *Za swobodę?* Jeśli rosyjscy emigranci na kimś się w Polsce zawiedli to chyba na rusofilach z Narodowej Demokracji, którzy zmienili front o sto osiemdziesiąt stopni. W istocie Rosjanie mieli najmniej powodów do narzekania na polską politykę narodowościową. Po prostu nie stanowili dla niej problemu. Duża część mieszkających w Polsce Rosjan w szybkim tempie się polonizowała.

Poruszane przez Kowalewskiego sprawy, układające się w pewien ciąg logiczny, ukoronowane są twierdzeniem, że w okresie międzywojennym w granicach Polski było „... 5 milionów 250 tys. Rosjan zgodnie ze spisem ludności z 30 września 1921 roku i to przy ogólnym zaludnieniu 27 milionów 177 tysięcy” (str. 13, 49). Innymi słowy, ponad 19 % Rosjan! Nie trudno zrozumieć, skąd te liczby się wzięły. Kowalewski potraktował rosyjskość Ukraińców i Białorusinów jako oczywistą, nie wymagającą nawet zgody zainteresowanych. Komentarze pozostawiam Ukraińcom i Białorusinom. Zresztą Kowalewski nie jest odosobniony, dokonany przez niego zabieg mieści się bowiem w stereotypie myślowym rosyjskich nacjonalistów, nie chcących uznać po dzień dzisiejszy istnienia narodu ukraińskiego.

Wracając do spraw polskich. Autor „Zagranicznej Rosji” wyraźnie nie lubi Polaków i pod tym względem też nie jest odosobniony. Czy można grzechem tym jednak obarczać Rosjan w ogóle? Byłoby to niesłuszne i bezpodstawne. Poglądom czy też odczuciom Kowalewskiego można przeciwstawić stanowisko wybitnego rosyjskiego myśliciela (zarazem historyka i teologa) Georgija Fiedotowa, gorącego przyjaciela Polski i rzecznika pojednania, którego dwa piękne artykuły, *Losy imperium* (pisany w 1939 roku pod wrażeniem niemiecko-sowieckiego najazdu na Polskę) i *Polska i my* przedrukowała *Kultura* w 1961 roku. Z niekłamana satysfakcją mogę zaświadczyć iż wśród młodego pokolenia inteligencji rosyjskiej w ZSSR dominuje wyraźna tendencja do przewyciężenia nawarstwionych antagonizmów, przy czym propolskość łączy się jako zasada z postawą opozycyjną i antytotalitarną.

Wydaje mi się, że na poglądy Kowalewskiego i jego kręgu duży wpływ wywarł metropolita Eulogiusz, stojący przez wiele lat na czele rosyjskiego kościoła prawosławnego za granicą. Metropolita Eulogiusz, postać dyskusyjna z wielu względów, kwestionowany przez wielu duchownych prawosławnych, uprzednio, przed odzyskaniem Niepodległości arcybiskup wołyński, był w odczuciu polskiej opinii publicznej synonimem wojowniczego szowinizmu rosyjskiego. Na Eulogiuszu ciąży m.in. duża część odpowiedzialności za prześladowania unitów Chełmszczyzny. Zdaje się, że wojna, rewolucja i emigracja nie zmieniły zbyt wiele jego

światopoglądu, w każdym bądź razie katolicy francuscy widzieli w nim przeszkodę na drodze współpracy katolicko-prawosławnej a nawet w pracy charytatywnej (str. 217-218).



I jeszcze jeden problem, który nie powinien ująć naszej uwadze. Czytam „Zagraniczną Rosję” i notuję niektóre nazwiska jej działaczy, przywódców, twórców kultury rosyjskiej. Kossowski herbu Habdank — inicjator wydania omawianej pracy, Koziół-Poklewski, Szebeko, Miłosławski, Arciszewski, Bętkowski, Kozłowski, Radecki, Kosiński, Biernacki, Groński, Dobrowolski, Zawadzki, Minorski, Chodasiewicz. Wymieniam nazwiska wybrane dość przypadkowo z kilkudziesięciu stron, wszystkie wskazują na polskie pochodzenie osób je noszących. Emigracja rosyjska była inteligencka i w dużej mierze szlachecka, stąd jej nasycenie polskimi nazwiskami jest duże, ale ta ilość Rosjan polskiego pochodzenia figurująca w książce daje dużo do myślenia.

W społeczeństwie polskim panuje niemal niepodzielnie stereotyp myślowy, że w okresie niewoli istniał nieprzebyty mur między Polakami a Rosjanami, bez przepływu w jedną lub w drugą stronę, że, owszem, konieczności ekonomiczne a czasem przymus policyjny zmusiły wielu Polaków do osiedlenia się w Rosji, ale tam zajmowali się oni pielęgnowaniem nie tyle nawet kultury narodowej co narodowej odrębności. Pani Barykowa, po latach pobytu w środowisku rosyjskim na Kaukazie nie potrafiąca mówić po rosyjsku i mylący słowa *roza* i *roza* jest jakimś archetypem wyobrażeń o stosunkach społecznych rosyjsko-polskich.

Czy pani Barykowa w ogóle istniała? Śmiem wątpić. Po odzyskaniu niepodległości do kraju wróciły setki tysięcy Polaków z Rosji, doskonale znających język rosyjski, często rozmiłowanych w rosyjskiej kulturze, w doskonałej zgodzie z polskim patriotyzmem.

A duża część zamieszkałych w Rosji Polaków rusyfikowała się. Niektórzy zmieniali nazwiska, czasami według określonych wzorów kresowych (np. Zabięto — Zabielin, Strumięto — Strumilin), częściej jednak zachowując ich polskie brzmienie, co widać z przytoczonego wyżej zestawu.

Broniące swego istnienia, zagrożone z jednej strony germanizacją, z drugiej — rusyfikacją, społeczeństwo nadzwyczaj ostro piętnowało wynaradawienie się, zwłaszcza jeśli było połączone z przyjęciem prawosławia. Rosja była zaborcą i zruszczenie się było przejściem na stronę wroga. Stosunki z odstępcami rzeczywiście urywały się i byli oni poddani nieoficjalnej anatemie. Dodajmy, że odstępcy częstokroć byli najzawziętszymi rusyfikatorami i wrogami polskości, czego dowodem generał-gubernator warszawski Hurko, ze starej, kresowej rodziny Hurków-Romeyków... Rzeczywistość była jednak bardziej skomplikowana niż patriotyczne czytanki. Nie zawsze zruszczenie było powodowane

chęcią kariery, nie zawsze (i nawet nie w zasadzie) było odstępstwem, o czym pisał przekonująco Wacław Lednicki. Rosjanie polskiego pochodzenia, wybitni pisarze Paustowski i Czukowski przy wielu okazjach akcentowali wpływ polskich, rodzinnych tradycji na zachowanie niezależnej, wolnej postawy psychicznej. Jeden z największych w swym pokoleniu pisarzy Wolnej Rosji, Andriej Donatowicz Siniawski jak i jego żona Maria Wasiliewna Rozanowa podkreślają walory odziedziczone po polskich antenatach. W Moskwie i Leningradzie spotykałem dziesiątki jeśli nie setki młodych ludzi, dumnych z polskiej babki lub dziadka zesłańca, zagubionego na Kaukazie żołnierza, lekarza, położnej, nauczycielki. Co ciekawsze, akcentowanie polskich powiązań *zawsze* jest w ZSSR swego rodzaju cichą deklaracją niezależności od oficjalnej doktryny. Nie jest też przypadkiem, że możliwości współdziałania polsko-rosyjskiego pojawiły się z chwilą gdy na arenę polityczną wstąpiła nowa fala emigracyjna, świadoma wspólnych interesów politycznych i kulturalnych. I tę refleksję kieruję zarówno do polskich czytelników jak i do przyszłych historyków rosyjskiej emigracji. Albowiem każde pokolenie pisze na nowo historię, nie tylko własną ale i pokoleń poprzednich.

Józef LEWANDOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Jan NOWAK

SKONFISKOWANA WYPOWIEDŹ GEN. BERLINGA

Waszyngton, 21 stycznia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do moich rąk dotarła ostatnio skonfiskowana przez cenzurę wypowiedź gen. Berlinga na łamach lubelskiej *Kameny* (nr 15, 1976 r.). Jeden z usuniętych przez cenzora ustępów ma następujące brzmienie:

„Kołatałem u kogo tylko mogłem, żądałem zgody na udzielenie pomocy powstańcom i cywilnej ludności ginącej masowo od kul wroga. Odpowiadano mi jedynie, że za wszystko, co czynię, muszę wziąć odpowiedzialność na siebie. Postanowiłem wziąć taką odpowiedzialność. Byłem polskim generałem, któremu historia nigdy nie wybaczyłaby biernej obojętności wobec losu rodaków. Wtedy dałem rozkaz forsowania Wisły...”.

Wydaje się, że wypowiedź ta rozstrzyga ostatecznie polemiczny spór między mną a p. Z. Siemaszko na temat znaczenia słów wyjętych z listu Berlinga do Gomułki. Wynika z niej niezbicie, że Berling powziął decyzję desantu na zachodnim brzegu Wisły na własną rękę choć sztab Rokossowskiego był o niej poinformowany.

Daleki jestem od bezkrytycznego traktowania wyznań i wspomnień Berlinga. Przytoczony wyżej ustęp znajduje pełne potwierdzenie w dokumentach lecz odślania tylko pół prawdy. Nawet w tych kilku zdaniach Berling nie ośmielił się napisać, że desant na Czerniakowie i Żoliborzu skończył się tragicznie ponieważ wbrew udzielonym mu zapewnieniom zgrupowania Armii Czerwonej na prawej i lewej fłance Pierwszej Armii WP zachowały całkowitą bierność powstrzymując się od natarcia na południu i północy od Warszawy. Oddziały desantowe nie otrzymały od Rosjan nawet niezbędnej ilości pontonów. W gruncie rzeczy dowództwo sowieckie zachowało się wobec armii Berlinga w taki sam sposób jak wobec Armii Krajowej w Warszawie.

Berling niesłusznie nazywa siebie polskim generałem. Awansowany został na generała rozkazem Stalina.

Jak wynika ze skonfiskowanych ustępów artykułu „Generał Berling mówi” jego niedopuszczony do druku pamiętnik liczy aż 1.400 stron maszynopisu.

Łączę wyrazy poważania.

Jan NOWAK

Emilia BREGMAN

NA MARGINESIE POLEMIKI KAZIMIERZA OKULICZA
W „ZESZYCIE HISTORYCZNYM” Nr 42

London, 12 lutego 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* — zeszyt 42-gi — p. Kazimierz Okulicz w swoim artykule polemicznym, podrozdział: „Zaskakujący” pakt Berlin-Moskwa — pisze:

„Rzeczą szczególną w polskiej historiografii Drugiej Wojny Światowej jest brak zainteresowania genezą i przebiegiem zмовy niemiecko-sowieckiej i jej wpływu na wynik decydującej dla Polski kampanii wrześniowej. *Dernier rapport* zupełnie tym ważnym dla nas rozdziałem wojny się nie zajmuje, jak również oficjalna *Biała księga* i *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, tom I, jedynie bardzo przelotnie (albo wcale) liczne opracowania i wspomnienia, jak np. Batowskiego, Piszczkowskiego, Cieniasty, Raczyńskiego, Teki Szembeka, W. Jędrzejewicza (edit.) nawet St. Mackiewicza (*Polityka Becka*) itd.

Wydaje się, jak gdyby chciano pomniejszyć znaczenie dla Polski niemiecko-sowieckiego paktu podziałowego. Ale zaufany Becka, dyrektor departamentu MSZ, Wiktor Tomir Drymmer w swoich wspomnieniach pisze: „Rozmowy rosyjsko-niemieckie budziły w nim (Becku) niepokój... Konsul (Chiczewski w Lipsku) donosił — wiadomość pochodziła z bardzo dobrego i pewnego źródła partyjnego — o planach Niemiec podziału Polski do półki z Rosją”.

A przecież „Najlepszy sojusznik Hitlera” Alexandra Bregmana traktuje tę sprawę bardzo szczegółowo i opatruje obszerną dokumentacją. Pierwsze wydanie tej książki wyszło już w 1958, wydane przez Orbis, London Ltd., i doczekało się 4-ch wydań, ostatnie w 1970 roku. Pisze Autor w przedmowie:

„Kilka powodów skłoniło mnie do napisania tej książki i ogłoszenia jej właśnie w chwili obecnej.

Przede wszystkim stosunki między naszymi dwoma potężnymi sąsiadami, Niemcami i Związkiem Sowieckim, mają dla Polski znaczenie kluczowe. Wpływają one decydująco na nasze losy. Żaden zaś okres w najnowszych dziejach obu tych państw nie miał tak kapitalnego wpływu na los naszego kraju, aniżeli dwulecie 1939-1941, którego punktem szczytowym był pakt Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 — pakt, który umożliwił Hitlerowi rozpętanie wojny, a którego fundamentem był wspólny rozbiór Polski. Toteż wydaje mi się rzeczą pierwszorzędno znaczenia, byśmy ten okres znali dokładnie.

Dziś można ten okres studiować z należytej perspektywy. Rozporządzamy dostatecznym materiałem, aby podjąć próbę odpowiedzi na pytania tak kapitalne jak: Czym kierował się Stalin, zawierając pakt z Hitlerem? Czy pakt nieagresji pozwolił Sowiетom zyskać na czasie — jak to twierdzi propaganda komunistyczna — i lepiej przygotować się do wojny? Jaką rolę odegrał ten pakt w klęsce Polski, a następnie Francji? Jakie czynniki decydowały o wytyczeniu linii podziału państwa polskiego?

Materiały dostępne publicznie i historykowi na emigracji nie były jednak do tej pory dostępne również w Kraju. Dziś, gdy kontakt między Polską a Zachodem stał się żywy i bezpośredni i gdy publikacje z Zachodu docierają

do czytelnika polskiego, tym bardziej na czasie jest opracowanie tych materiałów.

Dzieje współpracy hitlerowsko-sowieckiej w latach 1939-1941 są pasjonujące. Ale jeszcze bardziej interesujące i pouczające są one dzięki temu, że na podstawie tajnych archiwów niemieckich, które w roku 1945 wpadły w ręce sojuszników, można mieć wgląd w największe i najściślej strzeżone tajemnice dyplomacji obu państw. O żadnym rozdziale polityki sowieckiej nie wiemy tak wiele, jak o stosunkach z Niemcami Hitlera".

Będę bardzo zobowiązana za opublikowanie tych uwag.

Jednocześnie łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy podziwu dla Pana wspaniałej działalności,

Emilia BREGMAN



Józef LICHTEN

SPROSTOWANIE

Rzym, 27 stycznia 1978.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Jak to czasem zdarza się, zauważyłem z dużym opóźnieniem, że popełniłem nieścisłość biograficzną w mojej pracy: „O asymilacji Żydów w Polsce” (*Zeszyty Historyczne*, Nr 42-gi) i chciałem ją sprostować.

Zdanie zaczynające się w przedostatnim wierszu strony 99-tej powinno brzmieć:

„Autor niniejszej pracy przez całą swą wczesną młodość brał czynny udział w ruchu zjednoczeniowym, a potem był współzałożycielem kilku stowarzyszeń, wśród nich przede wszystkim korporacji Adelfia, o której będzie mowa poniżej”.

Serdecznie pozdrawiam,

Józef LICHTEN



SPOSTOWANIE

W *Zeszyty Historycznym* Nr 42 na str. 197 nad wyciągami z protokołów rozprawy sądowej wydrukowano omyłkowo nazwisko „płk dypl. Tadeusz Zieleniewski” podczas gdy wyciągi te sporządził płk Józef Jaklicz, są one dalszym ciągiem jego artykułu. (*R e d a k c j a*).

SPIS TREŚCI

Kazimierz Okulicz: <i>O Piłsudczykach, Instytucie im. Piłsudskiego i „Niepodległości”</i>	3
Stanisław Wójcik: <i>Na 30-lecie wyborów</i>	16

WSPOMNIENIA

Anatol Mühlstein: <i>Pamiętnik</i>	44
Kajetan Morawski: <i>Anatol Mühlstein</i>	101
Tadeusz Katelbach: <i>Bezdroża</i> (1)	105
W. W. Kulski: <i>Pamiętnik b. dyplomaty polskiego</i> (dok.) ..	133
Wojciech Krzyżanowski: <i>Lata bukareszteńskie</i> (3)	162

DOKUMENTY

Paweł Korzec: <i>Przyczynek do dziejów Powstania Warszawskiego 1944</i>	180
Dr. Friedrich Gollert (opr.): <i>Powstanie Warszawskie 1944</i>	182
Malina Malinowska: <i>Cztery listy Gomułki</i>	206

POLEMIKI

D. K.: <i>Na marginesie polemiki Gomułki</i>	214
Michał Borwicz: <i>„Mój wiek” Aleksandra Wata</i>	225

RECENZJE

Józef Lewandowski: „Zarubieżnaja Rossija” 229

LISTY DO REDAKCJI

Jan Nowak: *Skonfiskowana wypowiedź gen. Berlinga* .. 236

Emilia Bregman: *Na marginesie polemiki Kazimierza Okulicza w „Zeszytach Historycznym” Nr 42* 237

Józef Lichten: *Sprostowanie do artykułu „O asymilacji Żydów w Polsce” (Z.H. Nr 42)* 238

Sprostowanie Redakcji 238

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAL NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPPIA I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 140,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 120,00.

CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1978 — F. 35,00.

Cena 35 F.